

MIESIĘCZNIK

2(29) LUTY 1985 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

P ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



Polska literatura fantastyczna w RFN

Franz Rottensteiner

W Republice Federalnej Niemiec polska fantastyka jest prezentowana bardzo dobrze, procentowo lepiej niż literatura wielu innych krajów, np. większe objętościowo produkcja ZSRR lub Francji. Polska literatura jest w ogóle często tłumaczona, zainteresowania zaś fantastyką jest zauważalne od niedawna.

W dużej części zainteresowanie to jest spowodowane osobą Stanisława Lema, który odnosi bezprzykładne sukcesy nie tylko wśród czytelników (w obu zresztą państwach niemieckich), ale także krytyków wykraczających w swoich rozważaniach daleko poza granice SF. Lem jest chyba jedynym autorem SF uznanym w pełni pod względem literackim. Pozytywnie wyrażają się o nim tak znani pisarze niemieccy, jak Siegfried Lenz, Günter Herburger i Mario Skenessy, a z krytyków literackich Heinrich Vormweg. Niektóre z tych głosów można – obok esejów krytyków zagranicznych – odnaleźć w wydanej nakładem Suhrkamp'skiej książce Wernera Bertehela „O Stanisławie Lemie” (1981). Łączny nakład książek Lema, które ukazały się w RFN, przekroczył już liczbę 1,5 miliona (dochodzi do tego 2,5 miliona książek wydanych w NRD). Poza J.R.R. Tolkienem i niemieckim autorem gatunku fantastyki Michael'em Endem („Die unendliche Geschichte”, „Momo”) jest Lem najpopularniejszym twórcą współczesnej fantastyki w RFN. W odróżnieniu od Tolkiena i Endego jego wydania oprawne nie osiągnęły wysokich nakładów; sukcesy odnoszą natomiast wydania kieszonkowe, wśród których prym wiodą „Solaris”, „Eden”, „Niezwyciężony i „Dzienniki gwiazdowe”. Każdą z tych książek sprzedano do tej pory w formie kieszonkowej ponad 100 000 razy. Świadczy to chyba o tym, że Lem przyciąga przede wszystkim środowisko czytelników młodych, mniej zamożnych, należy jednak podkreślić, że jego książki są rzeczywiście czytane, nie wstawia się ich na półkę wyłącznie dla snobizmu. Jego czytelnicy to przede wszystkim młodzież o wykształceniu techniczno-przyrodniczym.

Do tej pory przetłumaczono w RFN niemal wszystkie książki Lema, nawet tak trudną i specyficzną, jak „Filozofia przypadku”. Niektóre z jego utworów, np. drobne eseje z „Lema biblioteki XXI wieku”, jak „Jedna minuta”, ukazały się w RFN jeszcze przed ich opublikowaniem w Polsce. Książki oprawne Lema drukuje przede wszystkim wydawnictwo Insel, w tym „Wybór dzieł”, natomiast wydania kieszonkowe – Suhrkamp, gdzie science fiction polskiego autora stanowi irżon redagowanej przez mnie „Biblioteki fantastycznej”.

W RFN znani są jednak również inni pisarze polscy, np. Konrad Fiakowski, którego książki w formie kieszonkowej wydawane są w Monchium przez Wilhelm Heyne Verlag w najpopularniejszej i najobszerniejszej serii SF (dotychczas ponad 1000 tytułów!). Tamtejszy redaktor, Wolfgang Jeschke, stara się ustawicznie o wprowadzenie do serii akcentów międzynarodowych, bez ograniczania się do autorów anglosaskich, niezwykle popularnych

wśród czytelników niemieckich. Z jego utworów wydano w RFN zbiór opowiadań „Allein im Kosmos” („Samy w Kosmosie” – 1977), oraz powieść „Homo divinus” (1980) i „Adam, jeden z nas” (1982; utwór ten nie ukazał się jeszcze w Polsce). Można by ją określić jako alegorię religijną albo reinterpretację mitu religijnego w duchu SF. Powieść stanowi istotny krok w stosunku do niewinnych raczej opowiadań techniczno-przyrodniczych, pisanych uprzednio przez Fiakowskiego, mimo to nie zdobyła jednak większego uznania wśród czytelników SF (nawiasem mówiąc, odbiorcy ci nie zainteresowali się również Lemem; jego zwolennicy pochodzą raczej z kręgów, w jakich nie czytuje się SF, a nawet nie chce się z nią mieć nic wspólnego; niektórzy lani nie uznają Lema w ogóle, nie rozumiejąc, dlaczego cieszy się tak olbrzymią sławą). Tego taktu nie można jednak ustalić ze stuprocentową pewnością, gdyż krytyka SF raczej nie istnieje, o ile nie bierze się pod uwagę amatorskich czasopism i analizów SF.

Uznanie zdobył też Adam Wiśniewski-Snerg, którego dwie pierwsze powieści: „Robot” (1980) i „Według lotra” (1982) również zostały opublikowane nakładem wydawnictwa Heyne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w tym samym wydawnictwie ma ukazać się wkrótce „Nagiel”. Opowiadania A. Wiśniewskiego-Snerga były zamieszczone w różnych antologiach. Ostatnio nakładem wydawnictwa Heyne ukazała się powieść Adama Hollanka „Jeszcze Iroche' pożycz” (1984). Nieco wcześniej Heyne opublikował opracowaną przez Zbigniewa Przyrowskiego antologię klasycznej i współczesnej polskiej SF „Nowa cywilizacja” (1982).

Jeszcze więcej pozycji polskiej SF ukazuje się nakładem Insel/Suhrkamp. Po dwóch wyborach opowiadań Stefana Grabińskiego „Das Absellgleis” (1971) i „Dunst” (1974), w tłumaczeniu Klaus

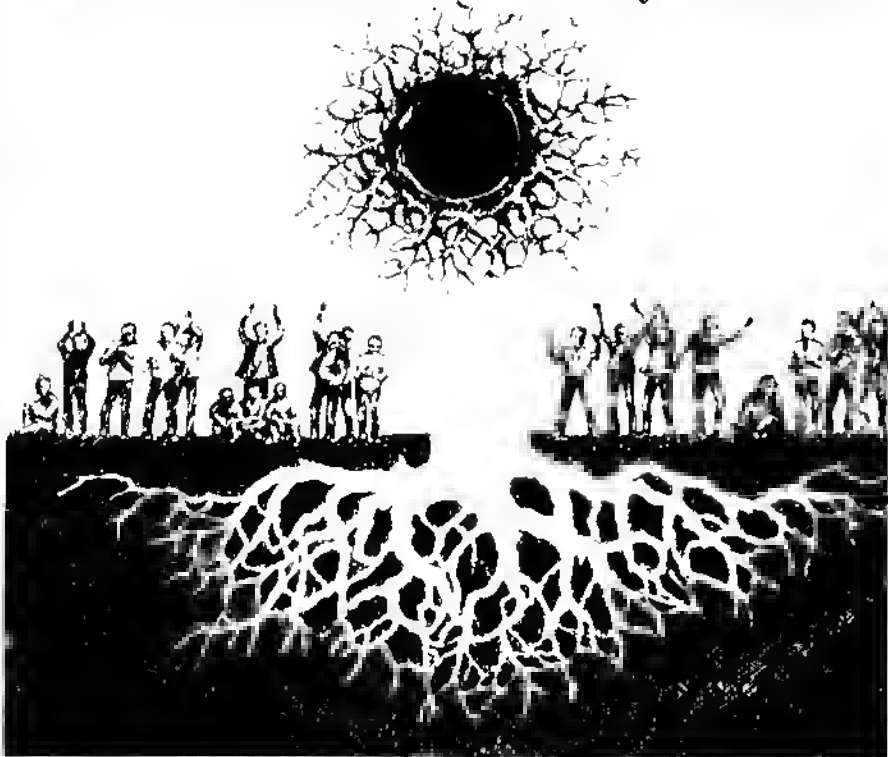
Staemmlera, które ukazały się w serii „Bibliothek des Hauses Usher”, wydano nakładem Suhrkamp'a w formie kieszonkowej wybór opowiadań z obu książek pod tytułem „Das Absellgleis” (1978) z komentarzem Stanisława Lema.

Z bardzo dobrym przyjęciem spotkało się tłumaczenie trylogii Jerzego Żuławskiego „Na srebrnym globie”, „Zwycięzca” i „Stara Ziemia”, dokonane przez Eddę Werfel (1983). Edycja klasycznych pozycji SF jest kontynuowana „Torpedą czasu” Antoniego Stomimskiego, przełożoną przez Klaus'a Staemmlera (1984). W roku 1985 lub 1986 ukaże się druga powieść fantastyczna Stomimskiego „Dwa końce świata”. Wstęp do obu książek napisał Stanisław Lem.

Nie można też pominąć opracowanej i przetłumaczonej przez Klaus'a Staemmlera antologii „Phantasma” (wyd. Suhrkamp, 1982), stanowiącej przegląd całej współczesnej fantastyki polskiej. Obok Iwaszkiewicza i Szczypiorskiego zamieszczeni są tam tacy autorzy, jak Henryk Vogler, Ernest Dyczek, Janusz A. Zajdel, Zbigniew Dolecki, Konrad Fiakowski, Witold Zegalski, Czesław Chruszczewski, Andrzej Czechowski, Adam Wiśniewski-Snerg i Roman Bratny. Tom polskich opowieści niesamowitych, opracowany przez Marka Wydmucha i przeze mnie, ukazał się w 1978 roku nakładem wydawnictwa Fischer Taschenbuchverlag (teksty Ossolińskiego, Barszczewskiego, Trippina, St. Reymonta, Grabińskiego, Meissnera, Żukrowskiego, Rankiewicz'a i Szczypiorskiego).

Z pewnością są jeszcze autorzy polskiej fantastyki nie tłumaczeni w RFN w wystarczającym stopniu, np. Janusz A. Zajdel, ale ogólnie rzecz biorąc literatura polska reprezentowana jest zupełnie dobrze.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz





12

Kontakt z Obcymi, nieśmiertelny człowiek, kolonizacja kosmosu, wielka miłość, przygody na planecie odległej o 114 lat świetlnych od Ziemi – wszystkie te klasyczne motywy utworów SF zawarł w swym – może nie najambitniejszym, ale napisanym ze sporą dozą wyobraźni – opowiadaniu Joseph H. Delaney (nie mylić z Samuelem R. Delanym, jednym z najbardziej znanych przedstawicieli amerykańskiej Nowej Fali lat 60-tych).

Joseph H. Delaney: „W obliczu wroga”

Esej

Fenomen Tolkiena

4

Krzysztof Sekołowski podejmuje próbę odpowiedzi na pytanie, dlaczego fantastyczny, pełen magii świat wykreowany przez J.R.R. Tolkiena w „Hobbitcie”, „Władcy Pierścieni” i „Silmarillionie” tak bardzo fascynuje czytelników

Opowiadania i nowele

John Ronald Reuel Tolkien
Liść, dzieło Niggle’a

7

„... odszedł, by patrzeć na niebo szersze i bardziej błękitne i iść wyżej, coraz wyżej, w Góry...”

Joseph H. Delaney
W obliczu wroga

12

„Połamane stworzenie wsiadło w polach słowych, otoczone aparatami złożonymi na wpół z malarstwa, na wpół z energii, których konstrukcja i funkcyjność były zrozumiałe ledwie dla kilku umysłów we wszechświecie...”

Powieść

James P. Hogan
Najazd z przeszłości (1)

23

W drugiej połowie XXI wieku trzydzieści tysięcy Ziemiaków wyrusza olbrzymim statkiem kosmicznym „Mayflower II” w kierunku planety Chiron, obiegającej Alfę Centauri... – pierwsza z czterech części nowej, pasjonującej powieści.

Z polskiej fantastyki

Edmund Wnuk-Lipiński
Dialog przez rzekę

45

„... Spojrzałem smętnie na stos przygotowanych włóczni. I wówczas zaczął mi świtać nowy pomysł. Postanowiłem zrobić zamach stanu...”

Dariusz Tomasz Lebioda
Piloci ultrafioletowych dali
Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

52

„... samoloty zwiadowcze białych raz po raz pojawiały się nad naszym zamaskowanym lotniskiem...”

Krytyka

Recenzje

54

Piszą: Leszek Bugajski o „Turnieju z podziemnych korytarzy” Charlesa Tannera, Maciej Parowski o „Węźle” Gabrieli Górskiej, Ryszard Głowacki o „Postępie fizyki życia” Włodzimierza Sedlaka oraz Zbigniew Dworak o „Adaxie z Układu Adhary” Jerzego Jana Kolendy.

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Sylwetka Brunona Jasieńskiego (1901–1939) i fragmenty jego przetłumaczonej na wiele języków powieści – „Palę Paryż”.

Przemiany
(Staszów’84)

58

Kolejne, ciekawa dyskusja o literaturze SF (por.: „W przededniu boomeru”, Fantastyka nr 4/84). Tym razem o ewolucji polskiej fantastyki, od popularnej konwencji do zjawiska literackiego rozmawiają: Leszek Bugajski, Ryszard Handke, Adam Holianek, Andżel Niewiadowski, Maciej Parowski i Antoni Smuszkiewicz.

Nauka i SF

Stwórz z legendy

62

Czy chcemy wziąć na siebie odpowiedzialność za życie na naszej planecie i stworzyć dla własnych celów nowe, żywe organizmy? Maciej Kłowiecki o „Inżynierii embrionalnej”.

Film i fantastyka

Indiana Jones
i Świątynia Zagłady

III

Harrison Ford znowu gra archeologa-awanturnika, którego niezwykłe przygody mogliśmy niedawno oglądać w „Poszukiwaczach zaginionych”.

Prorocstwa science fiction? Od początku swego istnienia książkowego, a później filmowego czy videoowego, fantastyka próbowała kształtować światy przyszłości. Skąd brała i do dziś jeszcze bierze wzorce do swych futurologicznych wizji, w jakim stopniu potrafiła przewidzieć, co się stanie jutro, a w ogóle czy potrafiła, czy zdolała tralnie przepowiedzieć czasy jeszcze nieznane?

Projekcje istniejących już, zastanych, a także przygotowywanych innowacji nauki i techniki plus gra wyobraźni, sięgającej po natchnienie do odwiecznych marzeń i baśni ludzkości, to były dwa główne źródła literackiego poznawania jutra, pisarstwa czy filmu science fiction. Bardzo lubię Verne'a, choć jak to ktoś słusznie zauważył, jego pomysłowość była nienowa, nie najlepszej marki i bardzo naiwna. Lubię go zaś za to, co pod pretekstem science fiction w swych wartościach opowieściach przekazał o współczesnym mu człowieku, o jego konfliktach, śmiesznościach, politykowaniu i politykierstwie, o jego odwadze i tchórzostwie. Dzięki temu jego gawędziarskie pisarstwo osłaja się, więcej – weszło chyba już na zawsze do skarbnicy kultury. A prorocтва, a wynalazki? Stały się dla dzisiejszych czytelników anachronicznym sztafżem, któremu przyglądamy się z sentymentem, należnym antykom, w dodatku antykom dowcipnym, zabawnym.

Oczywiście, budowanie wizji przyszłościowej było trudniejsze dla filmowców niż pisarzy. Wprawdzie opisy współczesnej prozy światowej SF są superrealistyczne i przy pewnym talencie wizjonerskim można je sobie prawie w pełni wyobrazić, można zrozumieć po prostu w sposób doskonały te rzeczy rzekomego jutra, które przekazują do rozumienia przez czytelników autor fantastyki, ale większość twórców gatunku potrafiła konstruować tylko fragmentaryczne obrazy świata jutrzejszego. Filmowcy natomiast szybko pojęli słabość przekazywania naukowo opracowanych spekulacji futurologicznych. Widać to doskonale na przykładzie chociażby jednego, ale przecież naprawdę znakomitego serialu – spielbergowskich „Gwiezdnych wojen”. W pierwszych dwóch częściach, zresztą i w trzeciej także – choć już w mniejszym stopniu, – eksponuje się technikę, która jest rodem ze sprytnych gier komputerowych, a więc technikę błyskawicznych rajdów różnych urządzeń o dość schematycznych jednakże kształtach. Eksploatuje się jednocześnie broń i urządzenia przypominające wojnę czasów hitlerowskich, a także walki z obrazów typowych dla opowieści piaszcza i szpady. Toż najmłodszy z Jedi, rycerzy nieustraszonych (rycerzy – tak jest!) bije się z



przeciwnikami, także i z własnym ojcem, na białą broń, tyle że ona trochę fosforyzuje i nazywa się laserową.

Realizatorzy serialu dostrzegają tę swoją słabość, nawiązują czy też, równocześnie, swoją perfidię i ratują się... złamaniem praw nauki, praw przyrody. W gruncie rzeczy coraz więcej utworów jest w kolizji z podstawowymi prawami tego wszechświata, świata i ludzi. W wydrukowanej w numerze listopadowym „Omni” (wielkie światowe czasopismo SF), w wersji niemieckiej, dyskusji zatytułowanej „Prorocy ekranu” znany pisarz o sławie światowej Isaac Asimov tak powiada o pojazdach, które buszowały w „Powrocie Jedi” po gwałtownych leśnych: „Według prawa zachowania masy takie błyskawiczne ich manewry byłyby wprost niemożliwe”.

Inaczej do tej sprawy podchodził Stanisław Lem w kolejnych etapach swej twórczości. Pamiętam jak zachwyciła mnie błyskotliwa i zdawałoby się niezwykle trafna metafora w „Obłoku Magellana” bodajże, robiący coraz to większą karierę młody, młodzieńki podówczas Mojżesz literatury science fiction, który potem za wszelką cenę będzie się starał uciec i wyprowadzić ten gatunek z ziemi niewoli, z fantastycznego getta, wkłada w usta jednego ze swych bohaterów, zachwyconego muzyką Beethovena słowa „on już o nas wiedział”. Alez mi się to wtedy podobało, kiedy mi przeczytał to zdanie, a czytał mi wtedy rozdział za rozdziałem i o wiele spraw mocno się spierał. Ale o tę nie. Ona była nowością, nowatorstwem, swego rodzaju rewelacją. Wartości wnętrza duszy ludzkiej, wartości ideowe, kulturowe przedłożył pisarz ponad wszelkie projekcje sztafżu naukowej fantastyki. Antyutopijność i antynaukowość

Ikwiły zarazem już w tej prozie Lema, dla której on sam żywi dziś, co wynika z jego rozmów z Beresiem, drukowanych w „Odrze”, rodzaj – użyję tu tego słowa – pogardy. Ale lenie Lem uważał zawsze i uważa, choć ucieka od naukowej fantastyki, że fantastyka pozbawiona naukowego kościca nie ma wartości. Tak przynajmniej można odczytać jego teraźniejsze poglądy.

Pisarz, który bodaj pierwszy namacalnie wskazał na straszliwe mielizny i słabości nauki, jako narzędzia użytego do sprawy głównej, do badania wnętrza ludzkiego, pisarz, który nakierowywał przyszłą fantastykę na oglądanie teraźniejszości przez pryzmat jutrzejszych, możliwych lub czasem i niemożliwych, a jakże probierczych, wyspekulowanych przemian – nie potrafił się wyrwać na zawsze i uciec z przyszłości w teraźniejszość.

Niech mi wybaczy moje pełne współczucie i zrozumienie dla jego szamańskich i prób pogodzenia współczesności z przyszłością, dla której to sztuki wyszukuje najwymyślniejsze, najpokrętniejsze oprawy i preteksty, tak, niech mi wybaczy, że ja ciągle upatruję klucza do jego pisarstwa, klucza do pisarstwa, które zaszczerpił w tym kraju – w jego przecież właściwie całkiem niefantastycznym „Wysokim Zamku”, w tej pamiętnikarskiej rzeczy. Nie znał prawie swego miasta, nie dosłrzał na przykład bogactwa architektury Lwowa, ale na pewno zawsze na ślepo trafiłby do sklepiu z baikalowymi przysmakami ze wschodu, który znajdował się w pobliżu Teatru Wielkiego. Sam o tym pisze. Mój Boże, dokąd to ja zaleciałem w swej pasji napisania jakiegoś wspomnienia, eseju czy większej całości, które miałyby uratować zarówno prawdy o samym Lemie, jak i o fantastyce, mogące ulec załatażowaniu lub zatarciu. Może uda mi się to dalej kiedyś pociągnąć. Myślę, że w każdym razie ci, którzy czytają „Fantastykę” i zamieszczone w niej utwory, nie powinni stronić od śledzenia jakże złożonych losów pisarzy, dzięki którym mogą dzisiaj prawie bez tchu czytać i oglądać, co oni – ci pisarze i ich następcy – w swoich powieściach, nowelach i filmach im przekazują. W tym także sensie fantastyka, ze swoją specyficzną historią, staje się nauczycielką przyszłości.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

Fantastyka

00-660 WARSZAWA, ul. LWOWSKA 13

Telefony: 28-91-70 (red. nac. i z-ca red. nac.)

29-40-81 w 13 (sekr. red., działy techn. i graf.)

29-40-81 w 12 (pozostałe działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nac.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bogajski, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Małski (sekr. red.), Andrzej Niewiadomski (kier. działu krytyki), Maciej Perowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szorągma (z-sekr. red.), Anna Szubka, Dariusz J. Toruń.

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-56-26.

Skład: Zakłady Włóknodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P.Z. Graf RSW i Oddz. Oddano do składu 12.10.1984 r. Zam. 1774.

NP INDEKSU 35839. 7cm. 315 95. T 70 Nakład 140 900 egz.

PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XXIV

Ciągle powstają kluby i bardzo to przyjemne, że zwracają się do nas z informacjami o swoich członkach, osiągnięciach, programach, a także o kłopotach. Nic więc dziwnego, że „Lądowanie” dzisiejsze lirzeba poświęcić listom od naszych beniaminków

Z Płocka

Nie tak dawno powołał się w Płocku Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Zostałem jego sekretarzem. Obecnie przygotowuję grunt do powołania Sekcji Twórców i Miłośników Fantastyki. Jeśli wszystko pójdzie po myśli, to w pierwszym kwartale 1985 r. zainaugurujemy jej działalność. Sądzę, że na początek damy senal SF, video ma się rozumieć. Miejscowy dom kultury ma takie możliwości. Pomiedzy tymi mocnymi uderzeniami zamierzamy zorganizować serię spotkań z twórcami SF. Zapisy oraz wszelkie informacje na ten temat można uzyskać w Spółdzielczym Domu Kultury, ul. Krzywoustego 3, w Płocku, w każdą środę w godz. 17-19. Trzymając kciuki za powodzenie.

Jerzy Strusiński

(jeden z laureatów naszego konkursu)

Z Kielc

Do niedawna Kielce były białą plamą na mapie zorganizowanych ruchów fanów w Polsce, bo dopiero mniej więcej dwa lata temu powstał na ich terenie klub miłośników fantastyki „Nadiri”, w którym jestem członkiem Tymczasowej Rady Koordynacyjnej (właściwie władze klubu zostaną wybrane w styczniu 1985 r.). Zresztą ten klub około 40 aktywnych sympatyków SF, pod przewodnictwem p. Andrzeja Nyki (prezesa), który interesuje się literaturą science fiction od kilkunastu lat i posiada księgozbiór liczący około 400 pozycji z tego zakresu. Początkowo „Nadiri” miał swoją siedzibę w Klubie Nauczyciela w Kielcach, ale zabroniono nam tam rozklejania afiszy i reklamowania się, niestety do braku zgody Zarządu, który w tym czasie... nie istniał. W tej sytuacji członkowie „Nadiri” postanowili się przenieść do Osiedlowego Ośrodka Kultury na Podkarłowcu. Zarząd OOK „Amonit” początkowo odnosił się do nas z pewną rezerwą, jednakowoż mimo to obiecywał i obiecywał, i obiecywał, aby po 3-4 miesiącach naszej jeszcze słabej, ale już jednak rozwijającej się działalności, odmówić wreszcie całkiem dostępu do lokalu klubowego. tłumaczyć to porządkami i sprzątaniem przed uroczystością pierwszej rocznicy istnienia, o czym jednak wcześniej nas nie powiadomiono. W tej sytuacji o prowadzeniu dalszej pracy „Nadiri” nie mogło być mowy. Podjęto więc kolejną decyzję przenosić do dość odległego Przekosza, połączonego autobusem z miastem wojewódzkim regularną linią MPK nr 18. Ponieważ kierownikiem tamtejszego ośrodka kultury był nasz prezes, p. Andrzej Nyka, mógł on udostępnić nam lokal na spotkania. Niestety, wszystko rozbiło się o odległość. W amie przychodziło coraz mniej osób. Na szczęście naszemu prezesowi udało się mieszkanie zainteresować „Nadiriem”. W wojewódzki Dom Kultury, dzięki czemu od października 1984 r. rezydujemy w jego pomieszczeniach. Od tego czasu rozpoczęliśmy kampanię reklamową, organizujemy obecnie aukcję, giełdę książek, projekcje filmowe, prelekcje, spotkania autorskie, min. z kieleckim pisarzem SF p. Zbigniewem Pietrzykowskim. Nawiazaliśmy kontakt z innymi klubami miłośników SF w kraju. Gazeta re-

gionalna przeprowadziła nawet wywiad z kilkoma członkami klubu. Oprócz lokalu, WDK zapewnił nam także finansowanie naszej działalności i wydawanie dwa razy do roku fanzinu KMF „Nadiri”. Być może uda nam się uczynić z niego kwartałnik. Nasz adres: Klub Miłośników Fantastyki „Nadiri” przy WDK w Kielcach, ul. Ks. Ściegiennego 6, 25-033 Kielce

Jarosław Patrzalek

Z Tych

Uprzejmie informuję o powstaniu w dniu 1 listopada 1984 r. Klubu Astronomiczno-Astronautyczno-Fantastycznego – „KAAF”. Tym samym deklarujemy swoją chęć współpracy z waszym miesięcznikiem, jednocześnie zwracając się z prośbą o przesłanie informacji organizacyjnych. Klub będzie wydawał biuletyn – pismo klubowe „Wszechświat”. Teraz trochę o sobie. Nazywam się Tomasz Koźmiński, mam 14 lat, chodzę do VIII klasy SP nr 21. Może się więc wydawać, że nie podobał mi jeszcze zadaniom organizacyjnym, ale tak nie jest. Klub nie posiada własnego lokalu – korzysta z pomieszczeń szkolnych. Wkrótce jednak postaram się zaadaptować dużą piwnicę. Oto w skrócie mój program: wymiana fanzinów, spotkania, występy autorskie

Tomasz Koźmiński

ul. Morcinka 5/9 43-100 Tychy

Co z tym fanem

„Co my zrobimy z tym fanem?” – zapytała w szczerym zaloskaniu koleżanka wstępnie kompletując korespondencję do naszych „Lądowań”

Oczywiście posłaramy się przyjść z pomocą potrzebującym. To znaczy odwiedzać kluby, które nie będą mogły sobie absolutnie same dać rady. Ale przykład kielecki, pized chwilą podany, może służyć jako instrukcja i na pewno wzbudza szacunek i nadzieję, iż twórcy klubów SF, jeśli się tylko trochę rozejrzą baczniej wokół i energiczniej zakizają, mogą wyjść z impasu samotności i inicjacji – zorganizować sobie ciekawe i pozytywne imprezy. Oczywiście można by pojąć falwieszym, a w każdym razie już utartym szlakiem. To znaczy przysłać do którejś z istniejących już, i ogarniających różnorodne obszary kraju organizacji la-

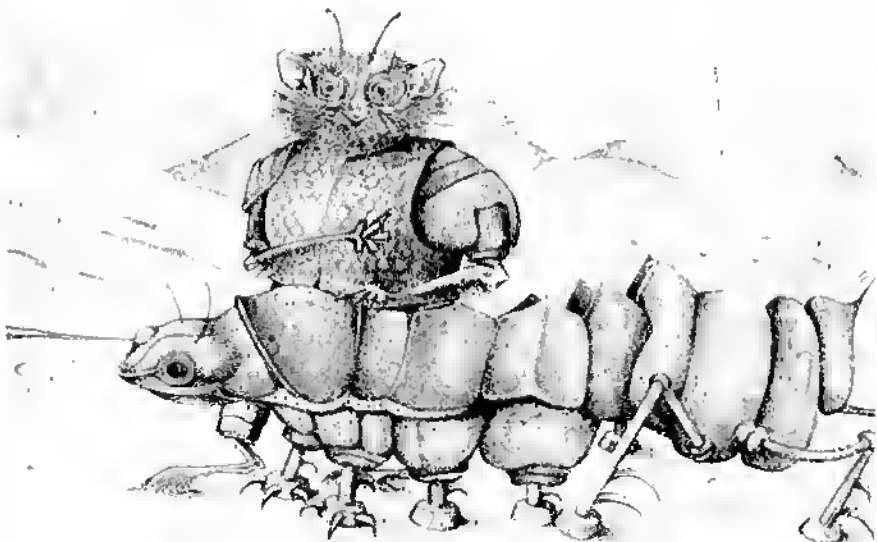
nowskiej. Podawaliśmy niedawno adresy. Najszerszy zakres ma Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, ze swą główną siedzibą w Warszawie i tam przede wszystkim winni szukać pomocy wszyscy ci fanowie, którym trudno o własne, dobrze przemyślane programy i schematy organizacyjne

A swoją drogą przykład kielecki świadczy także i o kłopotach i trudnościach ruchu SF, myślę, że dotyczy to zresztą i innych dziedzin zainteresowań. Przede wszystkim młodzieży

Istnieją wszędzie prawie kluby i klubiki miejskie, wiejskie, osiedlowe, różnych organizacji społecznych, prowadzące często działalność ubogą lub wręcz nędzną. Bywa nierzadko, że klubami dysponują tylko ci, którzy mają chody w zarządach spółdzielni mieszkaniowych, czy innych podobnych instytucji. Mało w takich klubach życia, bardzo mało, ale zarządy dbają, aby broni Boże nie udostępnić ich komuś, kto mógłby zakłócić spokój – czytaj – marazm ich egzystencji. Ludzie lubiący ruch, wykazujący chęć zrobienia czegoś, co mogłoby stać się ośrodkiem życia społecznego, tracą energię przede wszystkim na walkę z wialakami. A potem uważają, że nie warto, nie lirzeba, nie ma po co.

A już gdy chodzi o SF, obawy tych, którzy mogliby pomóc bywają szczególnie silne. Obawy pized działaniami fanów, ale także i zawodowców. Dobrze to znamy z własnej redakcyjnej praktyki. Gdy to piszę, ciągle jeszcze borykam się z lypowymi dla stolicy trudnościami lokalowymi. Nie pomogły ogłoszenia w gazetach; pismo każdy kupuje, każdy je chce mieć, ale pomóc w znalezieniu miejsca, w którym można by je było w odpowiednich warunkach przygotować – na to już właściwie całkiem brakuje chętnych. Zresztą co tam będę pisał o nas. Nie tracimy, staramy się nie wytlacać temperamentu, nie zamierzamy ostatecznie intensywności działania, pracy. Piszę to jedynie dlatego, żeby przeciwstawić się jałom egoizmu, żeby ci, którzy lubią fantastykę, zawsze znajdowali chętnych do pomocy. Jakże charakterystyczna i pouczająca jest w tym względzie niby naiwna, niby dziecinna spielbergowska historia „E.T.”. Zielone ludziki nikomu nie zaszkodzą

Redaktor



fenomen TOLKIENA

Krzysztof
Sokołowski

IW piękny, letni dzień 1930 roku profesor w Leeds mozolnie poprawiał prace egzaminacyjne. „Jeden z kandydatów liłoścwie zostawił niezapisaną stronę (co jest największym szczęściem, jakie może zdarzyć się egzaminatorowi). Napisałem na niej: „W pewnej norcie mieszkał sobie pewien hobbit”. Zawsze nazwy powodowały pojawienie się historii w nym umyśle. W końcu pomyślałem sobie, że dobrze było by odkryć, czym właściwie są hobbiti. Taki właśnie był początek”.

Na początku była powieść dla dzieci. Gotowy maszynopis został przedstawiony firmie wydawniczej Allen and Unwin. Stanley Unwin, dyrektor wydawnictwa, wiedział, że najlepszymi sędziami tej literatury są właśnie dzieci. Spod pióra jego 10-letniego syna Raynera wyszła pierwsza pochlebna recenzja książki: „*Bilbo Baggins* był hobbitem, który mieszkał w hobbitckiej norcie i nigdy nie wyruszał na przygody, w końcu czarodziej Gandalf i jego krasnoludki namówiły go do pójścia. Przeżywał bardzo ciekawe przygody walcząc z goblinami i wargami i w końcu dotarł do samotnej góry. Smok Smaug, który jej bronił jest zabił i po straszej bitwie z goblinami Bilbo wraca do domu – bogaty! Książka z dodatkami map nie wymaga ilustracji i jest dobra, i powinna podobać się dzieciom od lat 5 do 9 (!)”. Rayner zarobił szylinga, a „*Hobbit*” ukazał się w 1937 r. Książka cieszyła się tak wielkim powodzeniem, że zaczęto domagać się od Tolkiena kontynuacji. Na „*Władcę Pierścieni*” przyszło jednak czekać aż do przełomu lat 1954 i 1955. W dodatku nie była to całkiem ściśle „kontynuacja”. Bilbo przestał być bohaterem książki. Na jego miejsce wysunął się tajemniczy Pierścien. Nie była to także książka dla dzieci. Wykorzystał w niej Tolkien fragmenty „*Księgi Zaginionych Opowieści*”, którą zaczął pisać ok. 1917 r., a która później stała się „*Silmarillionem*”. Tego dzieła, bez przesady, „dzieła życia”, nie ujrzał Tolkien w druku, ukazało się dopiero w 1977 r.; podobnie jak „*Unfinished Tales*” (1980) staraniem syna pisarza, Christophera, w jego redakcji i z jego przedmową. Wcześniej, już od 1973 r., publikowano kalendarze z rysunkami Tolkiena, zebrany później w osobną książkę „*Pictures by J.R.R. Tolkien*”, wydaną w 1979 r. Nie znając i nie biorąc pod uwagę tych wszystkich pozycji nie sposób pisać o Tolkienie, są one bowiem bardzo konsekwentnie ze sobą połączone i określają nawzajem swoje znaczenia.

Nie wnikając na razie w subtelności gatunkowej klasyfikacji można stwierdzić, że dość nieoczekiwanie stał się Tolkien ojcem duchowym całej galeji anglojęzycznej odmiany fantasy, skrzyżowanej z baśnią i utopią, mimo iż jego następcy zbuntowali się wkrótce przeciw hegemonii oksfordzkiego profesora. W żadnym innym sensie nie był on pierwszym. Mając ambicję tworzenia mitu (o czym za chwilę), a nie literatury,



„The Mountain-path”

dość niefrasobliwie odnosił się do subtelności teoretycznych. Tego właśnie jego naśladowcy nie mogli (lub po prostu nie umieli) zrobić. Pololgowali sobie natomiast korzyskając z tego, co u Tolkiena najbardziej widoczne. Dla George’a Lucasa był to konflikt Dobra ze Złem, jednowymiarowy i jednoznaczny, poprzedzony w dodatku przez komiks. Cykl „*Wojen gwiazdowych*” doczekał się już 3 filmów i aż 7 książek. O ile filmy są znakomite, o tyle książki niemal en masse kiepskie. Inne problemy podejmują Frank Herbert (cykl „*Dune*”, który jest już tetralogią, a ciągle się rozrasła) i Robert Silverberg („*Majipoor Chronicles*” i „*Lord Valentine’s Castle*”). Herbert produkuje w klasyfikacji najlepiej opłacanych autorów SF, Silverberg depta po piętach, ich honoraria kilkunastokrotnie przekraczają zyski Tolkiena. Obaj tworzą barwne, fikcyjne światy, obaj są niewątpliwie znakomitymi rzemieślnikami i... No właśnie. Brak ich książkom magii, obecnej u Tolkiena.

Krytyka początkowo nie była szczególnie przyjazna Śródziemi. Miano mu za złe fikcyjność (co jest zarzutem absurdalnym, lecz zrozumiałym, jeśli weźmiemy pod uwagę znakomitą reputację Tolkiena naukowca). Narzekano na niezmiennosc charakterów, na brak postaci tragicznych (nie znano wtedy jeszcze „*Silmarilliona*”), a nawet na to, że brak tam elementów seksu i że bohaterowie „*Władcy Pierścieni*” nigdy nie osiągnęli dojrzałości płciowej (!). W 1966 r. gazety donosiły ze zgrozą: „*W Yale trylogia sprzedaje się szybciej niż „Władca Much” Williama Goldinga w szczycie sukcesu. W Harvardzie przegoniła J.D. Salinger „Buszującego w zbożu”*”. Krytyka dotyczyła przeważnie „*Władcy Pierścieni*”, na „*Hobbita*” nie zwracano większej uwagi. Dopiero „*Silmarillion*” został całkowicie zaakceptowany. Poważny „*The Guardian*”

zamieścił nawet recenzję z następującym zdaniem: „*Jak, pracując nieco dłużej niż pół wieku, jeden człowiek stał się twórczym odpowiednikiem ludzkości*”. Zdanie to jest niewątpliwie nonsensowne, a jednak w jakiś sposób słuszne.

Krytyka polska, czego można było oczekiwać, nie wykazała większego zainteresowania Tolkienem mimo horrendalnych cen czarnorynkowych jego książek, które są najlepszym sprawdzianem czytelniczego sukcesu. Bardzo pochlebnie pisał o nim Piotr Kuncewicz („*Samoln w obec historii*”, Warszawa 1967), stawiając angielskiego pisarza na równi z Kafką czy Camusem, a więc nader wysoko. Niestety, w momencie pojawienia się „*Silmarilliona*” i „*Niedokończonych Opowieści*” większość ocen Kuncewicza uległa zdezaktualizowaniu (np. stwierdzenie, że u Tolkiena nie ma religii). Andrzej Zgorzelski w niskonakładowych „*Zagadnieniach Rodzajów Literackich*” analizował układ czasów we „*Władcy Pierścieni*” rozumianym jako nowoczesna baśń. W „*Przeglądzie Kulturalnym*” i w „*Więzi*” pisał o nim Przemysław Mroczkowski. Również w „*Więzi*” (nr 10, 1982) pięknie sprawozdanie z bardzo specyficznej lektury książki zamieścił Wiktor Woroszyński. Nie wzbudził większych zastrzeżeń przekład „*Hobbita*” i „*Władcy Pierścieni*” mimo licznych niekonsekwencji i kilku nadużyć. Nawet kilkakrotne zapowiedzi „*Silmarilliona*”, który jakoś nie może dotrzeć do księgarń nie wywołały żywego zainteresowania. W rezultacie czytelnicy nie znają pisarza, wiedzą o nim bardzo niewiele. Sytuacja paradoksalna, bowiem na Zachodzie Tolkien jest już bohaterem poważnych prac naukowych, ukazując się w wielkich nakładach książki wspaniale ułatwiające poruszanie się wśród jego dzieł, np. „*The Complete Guide to the Middle-Earth*” Roberta Foster’a czy „*Journeys of Frodo*” – atlas map do „*Władcy Pierścieni*”, autorstwa Barbary Strachey.

Czytelnicy – ci nigdy Tolkiena nie zawiedli. Rozchwytyują książki pisarza, a kiedy nie mogą ich dostać w księgarniach, kupują je po cenie 10-krotnie wyższej. Formują słowarzeszenia tolkienowskie, których członkowie nie tylko przebiegają się w stroje hobbitów, zakładają peruczki na stopy i jedzą grzyby, ale też polatują przeciwdziałając pirackim wydaniom książek, usuwając je z księgarń nawet siłą (jak było z amerykańską edycją Ace Books). Niektóre reakcje czytelników są wszakże zdumiewające i one właśnie świadczą o istnieniu „fenomenu Tolkiena”. Już w 1956 r., w liście do syna pisarz stwierdzał melancholijnie: „*Muzycy chcą nuli i notacji muzycznych, archeolodzy ceramiki i metalurgii, botanicy dokładniejszych opisów mallorn, elanor, niphredil, alifrin, mallos i symbolmyne, historycy szczegółów dotyczących społecznej i politycznej struktury Gondoru, a szeroka publiczność więcej informacji o Woźnikach*”.

Haradzie, pochodzeniu Krasnoludków, Ludziach Umarłych, Beorningach i zaginionych dwóch (z pięciu) czarodziejach". W 1968 r. w sludenskich kampusach pojawiają się transparenty „Frodo żyje”, „Gandalf przyjeżdża”, „Wróćmy do Śródziemia”. Przykłady to wielce charakterystyczne. Wykiewany przez Tolkiena świat zawłaszcza nas, potrafiamy się w nim odnaleźć, mimo przedziwnych, rządzących nim zasad rozumienia go od razu, od pierwszego spotkania. I wracamy do niego, przy każdej nowej lekturze odkrywamy go na nowo.

II Poświęcono Tolkienowi wiele różnych plac, ale nikt nie próbował rozszyfrować mechanizmów wspólnoty, jaka powstaje pomiędzy autorem i jego czytelnikiem. Spróbuję udowodnić, że w tej relacji zamyka się tenomen Tolkiena, tworcy nie tylko pięciu książek o Śródziemiu, lecz niepowtarzalnej, mitologicznej wizji Świata.

W tym zdaniu nie ma przesady. Pośrednio potwierdził je sam pisarz, mówiąc, że chce stworzyć „nie istniejącą mitologię Anglii” na wzór mitologii greckiej czy też skandynawskiej (język elfów Quenya jest wzorowany na języku łacińskim). Do podobnych wystąpień wolno odnosić się nieulnie. Najbliższe prawdy byłoby chyba stwierdzenie: „chcę stworzyć coś nowego, co nie byłoby kłamstwem, czyli fikcją”. W ten sposób powstał mł. Mit – projekcja ludzkiego marzenia, którego korzenie tkwią głęboko w wyobraźni łączącej człowieka z Kosmosem – harmonią żywiołów.

Z analiz Gastona Bachelarda wiemy, że każde marzenie podejmuje motywy pierwotne. Twórczość pisarska Tolkiena ujawnia marzenie, które dzięki swej podstawowej konstrukcji opartej na obrazach związanych z czterema żywiołami jest łożsme z marzeniem wszystkich ludzi. Stąd nasza łatwość w odbiorze świata jego książek.

Wszczęświat Tolkiena powstaje inaczej, niż dzieje się to w większości mitów. Nie rodzi się z chaosu, jest od razu Kosmosem, Ładem. Zostaje stworzony z muzyki i jest widzialnym obrazem jej harmonii. Dopiero narodziny zła zagrażają jego porządkowi. Stąd żywiołem najważniejszym staje się powietrze, które w pierwotnym Chaosie miało w sobie zapowiedź przyszłego Ładu.

Zapewne żalowy katolicyzm Tolkiena spowodował, że kreacja Wszczęświata jest u niego udeizająca podobna do biblijnej. Świat jest dziełem wszechmocnego Boga, noszącego imię Eru (lub Ilúvatar). Rodzi się z twórczości przez niego (wraz z Ainui – pomniejszych duchami) muzyki, która zyskuje formę widzialną w wizji, a następnie staje się dzięki wypowiedzianemu słowu Eä (forma imperatywna od „być”) Część duchów Ainui, zachwycona pięknem wizji dobrowolnie udaje się w ten świat. Przeobrażają się one w postacie duchów opiekuńczych (Valar), których zadaniem jest strzec ziemi i kształtować ją dla dzieci Ilúvatar – elfów i ludzi, bezpośrednio Valarom nie podlegających. Najpojęniejszą spośród Valarów – Melkor, próbując tworzyć samodzielnie, niezależnie od myśli Eru, stwarza zło, które jest siłą niszczenia, zagrażającym światu Chaosom. Wypowiada wojnę Valarom, a zwłaszcza ich przywódcy – Manwë zwanemu Súlimo. „Władca Oddechów Ziemi”.

Manwë to izeczywisty władca powietrza. Jego tron był umieszczony na lądzie Aman, w krainie Valinor na szczycie największej góry tej krainy – Taniquetil. Stamtąd mógł on obserwować cały świat. Mimo że Manwë był „bratem” Melkora, nie potrafił zrozu-

mieć isłoty zła. Piesadził tym samym losy Ziemi, kiedy po pierwszej bitwie Melkor-Morgoth został uwięziony Manwë uwolnił go, wierząc w jego skrupę. Melkor kilkakrotnie jeszcze niszczył ziemię, zniekształcając dzieło Valarów, które nigdy już nie stało się zgodne z wizją daną przez Eru, i zaszczipiając zło w sercach elfów i ludzi.

Powietrze to żywioł, w którym element dobra zdecydowanie przeważa nad elementem zła. Zaludniają je skrzydlate istoty. Duchy, przybierające formę orłów i sokółów przynoszą Manwë wieści na szczyt Taniquetil. Powietrze jest światem orłów, isłot, które nigdy nie dały się przeciagnąć na stronę zła.

Wodzem orłów w Pierwszej Erze był Thorondor, który za swe heroiczne czyny otrzymał przywilej nieśmiertelności i z końcem Ery, śladem elfów odszedł do Valinoru. Thorondor wraz ze swymi współplemioncami strzegł królestwa elfów, Gondolinu. W bezpośrednim spolkaniu nazaczył twarz Melkora bliznami, sprawiającymi nieustanny ból i szpecącymi groźne oblicze Władcy Ciemności. Ocalił Berena i Luthien uciekających z twierdzy Czarnej Władcy, z Angbadu. W czasie Wielkiej Bitwy kończącej Pierwszą Erę Świata prowadził do walki przeciw skrzydlatym smokom oddziały orłów, których rola w walce (jak to zdarzało się i później) była decydująca. W czasie tej bitwy Melkor został pokonany, ujęty w podziemiach Angbadu i zesłany w Bezczasową Otchłań. Jego rolę przejął wienny sługa, Sauron, będący jednak tylko cieniem potęgi swego Pana.

Także podczas walki z Sauronem orły odegrały decydującą rolę. Ich wodzem był wówczas Gwaihir, Władca Wicherów. On właśnie uratował Gandalfa, Bilba i krasnoludy Thotina z łap orków i piesadził wynik Bitwy Pięciu Armii. W czasie Wojny o Pierścień niezwykle wspomagał Gandalfa: uwalniając go z Isengardu, unosząc ze szczytu Zirak Zigil po walce z Balogiem i wreszcie ratując Froda i Samę przed śmiercią na zboczach Orodruinu, już po zniszczeniu Pierścienia Władcy.

Kwestia Pierścienia zasługuje na szczególną uwagę. Cztery z nich działają samodzielnie, przy czym istnienie dzieł Tizych Pierścieni Ellów (jedynych posiadających moc tworzenia i leczenia, a nie władzy i niszczenia) jest zależne od istnienia Pierścienia Jedynego. Najpojęniejszą z Pierścieni – Vilya – Pierścień Powietrza – jest własnością Elronda, który otrzymał go od Gil-galada. Dzięki działaniu Vilyi mógł Elrond nie tylko utrzymać w porządku królestwo Rivendell, ale także (do pewnego stopnia) przetrwać myśl Saurona i – jako najmędszy – służyć Gandalfowi radami, które doprowadziły wprawdzie do klęski sługi Morgotha, lecz spowodowały także zniknięcie dzieł Ellów.

Powietrze jest też zaludnione przez stworzy zle, ale są one intruzami, wdzierającymi się w cudze państwo. Stworami tymi są przede wszystkim Nazgûle na swych skrzydlatych wierzchowcach. Wyraźnie widać, jak dalece są one obce powietrzu. Ich ruch zawsze ukerunkowany jest w dół, upiory Pierścienia zawsze spadają. Określenie „Nazgûle wzniosły się” jest w isłocie równowazne powiedzeniu „zniknęły”, „przestały działać”. Ich osłanił to jest także upadkiem – w ognie Orodruinu, w głąb ziemi, z której wyszły. Nazgûle niosą ze sobą chaos i zniszczenie i w tym najbardziej przeciwnym są orłom, przywłacającym ład czego dowodem powtarzający się w

Tizecie Eize okrzyk „Orły, orły nadlatują”, po którym przychodzi czas budowania.

III Woda jest żywiołem rodzącym, oczyszczającym. Valaem rządzącym wodą jest Ulmo, drugi w hierarchii po Manwë. Przyjaciel ludzi i elfów, silny w boju i mądry w radzie, rzadko udaje się na ład. Pozostaje najwerniejszy Ilúvatarowi: muzyka tworząca (ultracona przez obecność zła) harmonię świata przetrwała jedynie w jego królestwie, w szmerze strumieni, w głosie fal udeizających o bież morza. Mimo swej gwałtowności Ulmo potrafił przebaczać. Jeden z jego pomocników spośród tzw. Maiar (podległych Valarom) – Ossë, zdradził go niegdyś i został sługą Melkora. Ukorzył się jednak i powrócił na służbę Ulmo, uzyskawszy przebaczenie i rządy nad wszystkimi wodami płynącymi wśród łądów. Ulmo i Ossë porozumiewali się z elfami dźwiękiem wód, a ponieważ ludzie stracili zdolność pojmowania tego języka, Ulmo czasami pojawiał się im bezpośrednio, ingerując w ziemskie zdarzenia i zapobiegając rozpęstnieniu się zła. Nienya – drugi pod względem potęgi z trzech Pierścieni Ellów – był Pierścieniem Wody. Nosila go Galadriela, a poznajemy go w jednej z najpiękniejszych scen „Władcy Pierścieni”, gdy Królowa Ellów odrzuca dar Froda i nie przyjmuje dobrowolnie olarowanego jej Pierścienia Władcy.

Moment, w którym Galadriela pozwala Samowi i Frodowi odczytać przyszłość ze swego Zwirowadla, zwraca uwagę na współzależność żywiołów wody i powietrza, które wspólnie oznaczają nieśmiertelność. Bardzo wyraźnie jest to widoczne w historii Earendila Żeglarza, jednej z najwcześniejszych napisanych opowieści „Silmarilliona”.

Earendil był półelfem, jego udziałem był jednak los śmiertelnych ludzi. Przyjaciel Cirdana – Budowniczego Okrętów (w polskim tłumaczeniu z niewiadomych przyczyn przechrzczonego na Kirdana) wcześniej okazał się znakomitym żeglarzem. Podróżując na statku Vingilot szukał zaginionych rodziców i drogi do Valinoru, skrytej przed śmiertelnymi. Jego żoną była Elwinga, wnuczka Berena i Luthien, posiadaczka Silmarila. Podczas walk między elfami zdołał dzięki pomocy klejnotu dopłynąć do Valinoru i tam błagał o pomoc Valarów w zakończeniu okrutnej wojny o Silmarile. Pomoc otrzymał, wojna skończyła się uwięzieniem Melkora, a sam Earendil, jedyny śmiertelnik, który znalazł drogę do kraju bogów, został przez nich wysłany na ocean niebios. Żegluje tam, niosąc ze sobą Silmaril, którego blask dodaje siły pozostałym w Śródziemiu podejmującym się walki ze złem. Jego dzieciom – Eliondowi i Elrosowi kazano wybierać między losami ludzi i elfów. Elrond wybrał naród elfów i osiadł w Rivendell, Elros naród ludzi i stał się pierwszym królem Númenoru.

Woda jest także żywiołem przemiany. A przemiana, odnowienie staje się prefigacją śmierci. Jedną z wielu drobnych niekonsekwencji Tolkiena, a może po prostu intuicyjnego poddanie się prawom wyobraźni: elfom przysługuje przywilej wiecznej młodości czy też, powiedzmy dokładniej – beczasowości. Tylko jeden z nich wydaje się podległy wpływowi czasu. Jest stary, ma siwe włosy i długą, również siwą brodę. To Cirdan, przewoźnik do Valinoru, zapewniający elfom nieustanną łączność z krainą bogów. Jakże łatwo rozpoznać w nim Chaiona.

IV Ogień jest jedynym żywiołem, w którym dobro i zło może łączyć się w harmonijną całość. Nie ma swego władcy wśród Valarów, chociaż pewne cechy rządzącego ogniem nosi Aule – rzeczą co do potęgi po Manwë i Ulmo. W dziele Tolkiena bardzo wyraźnie można zaobserwować współistnienie żywiołów ognia i ziemi, choćby przez powtarzający się motyw ognistej góry. Aule jest jednocześnie

nie Kowalem (taki nosi przydomek) i Iwórcą krasnoludków, których wycofał ze skały (do tego motywu jakże wyraźnie autochtonicznego, jeszcze wrociemy). Trzeci, obok Vily i Nenyi Pierścien Elów – Narya był Pierścieniem Ognia. Własność Ciirdana (którego rola w dziejach Śródziemia była znacznie ważniejsza niż wynikało z ukończonych przez Tolkiena książek) został przez niego ołoirowany Gandallowi jako pomoc w walce z Sauronem. Siła Naryi przyczyniła się do zwycięstwa Gandalla – Płomienia Anolu (słowo to nigdzie nie zostało przez pisarza wyjaśnione, przypuszczając jednak wolno, że oznacza po prostu Słońce) nad Balinogiem, Płomieniem Udúnu, Czarnym Ogniem pałacym, lecz nie oświetlającym. W jedności dobra i zła właściwej żywiołowi ognia została umieszczona przez Tolkiena opozycja Światła i Ciemności. Jedność dobra i zła wynika z podwójnej roli ognia, który jednocześnie oświecał, ogrzewał i – pali. Ciemność właściwa Złu (nazwana przez elfy Melkorowi imię Morgoth oznaczała właśnie Władcę Ciemności), zachowuje wyłącznie zdolność niszczycielską odenwaną od zyciodajnych funkcji płomienia.

V Ziemia jest jednocześnie małą, żywiołową i siłą śmierci. Pierwotnie zła nie może być w tym żywiole tak silnie zespolony z dobrem, jak w przypadku ognia. Sama Ziemia bowiem jest zyciodajna, należy do niej jednak sfera Hadesu, sfera śmierci, w której rodzą się niszczycielskie płomienie. W podziemnym płomieniu powstaje i ginie Pierścien Władzy. Z podziemi wychodzą niszczycielskie potwory, wypełniając swe złowrogie dzieło i w podziemiu znikają.

Podobnie jak ogień, ziemia nie ma swego boga, swego Valara. W pewnym stopniu rolę tę pełni Aüle jako mistrz rzemiosł. Swoje boginie mają tylko światło (żeńskim odpowiednikiem Valar są Valier, światłem opiekują się towarzyszą Manwé – Varda) i wszystko co rośnie i rozkwita (opiekunką roślin i zwierząt jest towarzysząca Aüle – Yawanna). Ziemia jest Iwórcą. Motyw autochtoni w dziejach Śródziemia w mitologii Tolkiena jest bardzo widoczny. Przede wszystkim z ziemi, ze skały stworzył Aüle krasnoludy, niejako przeciw woli Ilúvalar, który jako Bóg Jedyny miał przywilej kreacji. Ilúvalar pobłogosławił mimo wszystko to dzieło, bowiem poczęło się bez zlej myśli. Długowieczne, silne krasnoludy były uczniami Aüle i (obok elfów z plemienia Noldorów) najwybitniejszymi rzemieślnikami Śródziemia.

Pozorną zagadką jest pochodzenie hobbitów i lemu plemienia, którego stworzenie wiązało w całość wszystkie książki Tolkiena, wypada poświęcić więcej uwagi. Kilkakrotnie wspomniane ich pokrewieństwo z ludźmi jest mylące, nie tyle może z powodu różnic anatomicznych, co charakterologicznych. Hobbiti obcy byli ludziom znacznie bardziej niż elfy, w najlepszym przypadku i tak to się działo w Bree) oba plemiona po-

prostu nie wchodziły sobie w drogę. Hobbiti są plemieniem łagodzińskim, pozbawionym hiszoru, a przecież tak istotnym, pożytecznym w kluczowym dla dziejów świata momencie Tłaziej Ery – Wojnie o Pierścien. Ich pozbawione brzozy męstwo jest niezwykle. Zdumiewająca jest ich odporność na działania Pierścienia – Gollum był jego właścicielem przez około 550 lat, a przecież dobro (jakkolwiek ulajone) jest w nim stale obecne! A przy- pomnijmy sobie, że nawet tak silny i szlachetny człowiek, jak Boromir uległ pokusie zdobycia Pierścienia przemocą niemal od razu, ze połączną walką, by nie przyjąć Pierścienia od Froda. Równie dziwne jest i to, że Frodo zdobył się na ołoirowanie go, a wcześniej jeszcze – tym razem nawet ku zdumieniu Gandalla – niemal dobrowolnie z posiadania klejnotu zrezygnował Bilbo. Tró- najwybitniejszy hobbit mieszkający w norkach, w dżwiach w ziemi. Pokrewieństwo między wyku- tym w głębi ziemi Pierścieniem i ludem hobbitów jest najgłębsze z możliwych, hobbit bowiem narodził się z ziemi. Każde wyjście hobbita z jego podziemnego domu jest narodzinami i jedno- cześnie przejściem z Ładu w Chaos. Ład może być odzyskany tylko przez powrót do domu, „Za- bawa” niespodziewana i „zabawa” z dawną ocze- kiwaną są tym samym – początkiem porządko- wania świata, które może mieć tylko jedno zakoń- czenie: „Wieczera była gołowa, tak jak się spo- dziewał Różyca wciągnęła go do domu, usa- dowiła w łóżku i posadziła mu na kolanach małą Elanor. Sam odelchnął głęboko.

– Ano, wróciłem! – powiedział”.

I tak kończy się przygoda.

Ziemia jest źródłem siły. Z niej czerpie potęgę Merry, czolgając się „jak robak” przed zadaniem decydującego ciosu Wodzowi Nagulów. Podzie- mia są siedzibą zła, siedzibą naruszoną przez zbyt głęboko diażące ziemie krasnoludy. Żyją tam potwory starsze niż Sauron. Tam znajdowały się Iwredze Melkora: Angbad i Ulumno. Tam żyją jego najpotężniejsze sługi, Balinogowie. W głąb ziemi najchętniej kryją się orkowie, wyhodowani przez Morgotha z elfów wziętych do niewoli w Pierwszej Elze.

Problem „Dzieci Ilúvalara”, elfów (Pierwo- dnych) i ludzi (Następców) – wymaga w tym mo- mencie rozważenia. Oba plemiona, jakkolwiek słabsze od Valarów, są od nich całkowicie nieza- leżne. Więcej – Valarowie jako opiekunowie ziemi sprawują momentami wżenie sług ludów, któ- rych los zna tylko ich stwórca, wszechmocny Ilú- valar.

Dzieje elfów zostały zdeleminowane w Pier- wszej Elze powstaniem Silmarilli, trzech kryszta- łów, przechowywanych w swym wnętrzu światło Dwóch Drzew oświecających świat przed po- wstaniem Słońca i Księżyca. Silmarille były dzie- lem najpotężniejszego i najdumniejszego spo- śród elfów, Féanora. Gdy Melkor zniszczył drze- wa Valinoru Féanor odmówił prośbie Valarów o

ołoirowanie Silmarilli, których poległa mogła je o- żywić. Wkrótce same Silmarille zostały ukradzio- ne przez Morgotha i prowadzone przez Féanora elfy opuściły Valinor, przeszły do Śródziemia sci- gając swego przeciwnika i próbując wydać mu beznadziejną wojnę. Wybuchły bratobójcze walki niszczące elfów, ludzi i Śródziemie, przerwane dopiero interwencją Valarów, których błagał o po- moc Eärendil. Jeden spośród Silmarilli odebrali Melkorowi Beren i Luthien, dwa pozostałe zdobyli synowie Féanora, lecz nie byli ich godni. Silmarille popałyły ich dłońmi tak, jak przedtem spaliły dłoń Melkora i zostały rzucone – jeden w otchłań zie- mi, drugi w morze. Tłazie, niesiony przez Eärendi- la, znalazł się na niebie.

Silmarille były klejnotami i jednocześnie nio- sącymi światło kryształami. Zaś w substancji kry- ształu najpełniej jednoczą się żywioły wody, og- nia, nawet powietrza. Elfy, najpiękniejsze z ple- mion, obdarzone przywilejem nieśmiertelności, żyły w najpełniejszej harmonii ze światem. Wyra- za się to także w ich podziale plemiennym: najdo- stojniejsi, Vanyar, żyli w Valmarze w pobliżu Manwé, Telieri byli żeglazami, zaś Noldor, ulu- bienci Aüle – znakomitymi rzemieślnikami.

Nieśmiertelność zakłada jednak niezmi- enność. Elfy kochały świat, ale obecność zła powo- dowała, że świat się zmieniał. Zwycięstwo dobra nie było ostateczne, zło pozostawiało ślad. Musia- ły odejść.

Śmiertelność – dar Eru dla Ludzi – oznacza zdolność zmiany, przystosowania, a następnie panowania nad światem. Ludzie jako jedyni otrzy- mali przywilej kształtowania swego losu poza nie- uniknionym dla innych istot przeznaczeniem. Przez fakt swej śmiertelności byli jednak znacznie bardziej podlegli działaniu zła. Wypowiedziana Valarom przez mieszkańców Numenoru wojna była właśnie wojną o nieśmiertelność. Przewio- lny happy end Tolkiena: przy końcu świata nawet zło przyczyni się do chwały Ilúvalara. Świat musi być dobry.

VI Zaproponowany przez mnie spo- sób interpretacji z pewnością nie jest jedyny. Pozwala jednak na u- dzielanie odpowiedzi na postawione pytanie – przez stwierdzenie, że Tolkien myśli w sposób identyczny jak my, odwołując się do podstawy marzeń, jaką są obrazy ewokowane przez żywio- ły. Propozycja ta niekoniecznie musi być słuszna – śledziłem obecność miłu pozostawiając na boku sposób jego realizacji, czyli kwestie stricte literackie. Na Tolkienologów czeka jeszcze wiele interesujących zagadnień, choćby zaznaczona przez Piotra Kuncewicza sprawa językowej or- ganizacji świata przedstawionego. Istnieje cała mnóstwo nie rozwiązanych problemów z zakresu socjologii odbioru, na które nie stać było już miejsca. A także bardzo ciekawy sposób prze- lizowania biografii – czy Tolkien chciał tego czy nie – zależności te są widoczne. Inwencja jego zdumiewa bowiem nie w sleize szczegółów, lecz syntazy. Śięgał zawsze po to, co najbliższe i two- rzył z tego harmonijną całość. Swym dziełem zbudował sobie pomnik w sensie niemal dosłow- nym: w skromnej katolickiej części cmentarza ok- sfordzkiego na jednym z nagrobków widnieje na- pis: Edith Mary Tolkien, Luthien, 1889–1971, John Ronald Reuel Tolkien, Beren, 1892–1973. Zaś a- merykańscy wielbiciele zegnali pisarza lekturą jego opowiadania „Leal by Niggle” (Liść, dzieło Niggle’a).

„Przed nim stało Drzewo, jego Drzewo. Ukoń- czone. Jeśli możecie nazwać tak Drzewo, które żyje, którego liście rozwijają się, a gałęzie rosną i kłyszają się na wielkie, który Niggle tak często czuł, którego tak często się domyślał, który tak często i bezskutecznie próbował malować. Spo- żył na Drzewo, wolno podniósł ręce i rozłożył je szeroko.

– Oto dar – powiedział”.

Krzysztof Sokołowski

John Ronald Reuel TOLKIEN

urodził się 3 stycznia 1892 r. w Bloemfontein (obecnie Republika Południowej Afryki), zmarł 2 września 1973 r. w Bodleian Hall w Anglii, niekiedy przenosił się wraz z matką i młodszym bratem ju- ż w 1895 r. Wkrótce przed śmiercią ojca (od 1916 r. studiował na uniwersytecie oksfordzkim). Studi- um ukończył z odznaczeniem w 1915 r. W marcu 1916 r. ożenił się z Edith Mary Bratt. Brał udział w wojnie światowej jako oficer łącznikowy 13 Batalionu Szpiegów z Lancashire, m.in. w bitwie nad Sommą. Znany jako językoznawca, profesor literatury w Oksfordzie, edytor arcydzieł litera- tury staroangielskiej i swej wykładówca, J.R.R. Tolkien jest znany przede wszystkim jako pi- sarz. Szczególną sławę przyniosły mu książki o Śródziemiu: „Prace nad dziejami tej krainy” (zapo- czątkiw 1917 r. zaczęła się pisać „The Book of Lost Tales”, która po wielokrotnych przeróbkach stała się podstawą jego arcydzieła „The Silmarillion” (przekład polski już ukazał się latami temu). Na cykl poświęcony Śródziemiu składają się: „The Hobbit, or There and Back Again” (1937, w jęz. pol. „Hobbit, czyli tam i z powrotem”, 1969), „The Lord of the Rings” (1954–55, w jęz. pol. „Władca Pierścieni” 1961, wyd. II – 1981), „The Silmarillion” (1977), „Unfinished Tales” (1980). Drugi ostate- nie porządkiem powstawał do druku ten ostatni. Wywodził się z powieści, którą Tolkien poświęcił piar- zowi nie tylko talentowi, ale także poetyce („The Adventures of Tom Bombadil”, 1961), plastycyzm („The Pictures by J.R.R. Tolkien”, 1973), także przygotowane do druku przez Christophera Tolkiena. Jest też Tolkien autorom eseju, opowiadań, bajek i znakomitych książek dla dzieci. W Polsce w 1980 r. ukazały się jego opowiadania „Rudy Dziś i jego pies. Kowal z Podlesia Wiekszego”.

(K. Sok.)

Zyl sobie kiedyś człowieczek nazywany Niggle, którego czekała długa podróż. Nie chciał wyjeżdżać, tak naprawdę pomysł ten wcale mu się nie podobał, podróż jednak była konieczna. Wiedział, że kiedyś trzeba ją będzie rozpocząć, ale nie spieszył się z przygotowaniami.

Niggle był malarzem. Niezbyt co prawda znanym, co wynikało także i z tego, że zawsze miał wiele rzeczy do zrobienia. Nie przepadał za nimi, ale robił je, całkiem dohrze, kiedy nie mógł się od nich uwolnić, co (jego zdaniem) zdarzało się aż nazbyt często. W jego ojczyźnie obowiązywały raczej surowe prawa. Były także i inne przeszkody. Na przykład Niggle bywał czasami po prostu leniwy i nie robił w ogóle nic. Był także – na swój sposób – dobry. Znał ten rodzaj dobroci, który sprawia przykrość o wiele częściej niż popycha do jakiegokolwiek czynu. A kiedy wreszcie Niggle zaczynał coś robić, bynajmniej nie powstrzymywało go to od narzekania, przeklinania (głównie do siebie) i tracenia cierpli-

wości. Ale pomimo to pomagał często swemu sąsiadowi, panu Parishowi, który był kulawy. Czasami pomagał także ludziom mieszkającym dalej, jeśli przyszli i poprosili go o to. Od czasu do czasu przypominał sobie także o podróży i zaczynał pakować różne rzeczy w bardzo nieskuteczny sposób. Wtedy nie malował zbyt wiele.

Miał gotową pewną liczbę płócien. W większości były one zbyt wielkie i zbyt ambilne jak na jego możliwości. Niggle należał do tych malarzy, którzy malują liście lepiej od drzew. Spędzał zwykle wiele czasu nad pojedynczym liściem, próbując uchwycić jego kształt, połysk, blask kropli wody na jego krawędzi. Lecz chciał namalować całe drzewo i wszystkie jego liście – tak podobne, a przecież tak różne.

Jeden obraz szczególnie go niepokoił. Rozpoczął się od liścia kołysanego wiatrem, liść przemienił się w drzewo, drzewo rosło, rozpościerając niezliczone gałęzie i wypuszczając fantastyczne korzenie. Pojawiały się dziwne ptaki, wity wśród gałęzi gniazda – i nimi też trzeba było się zająć. Później, wokół drzewa i poza nim, widoczny przez szczeliny wśród liści i gałęzi, rozpostarł się kraj, widać było cien maszerującego lasu i błysk przykrytych śniegiem górskich szczytów. Niggle stracił zainteresowanie innymi obrazami lub przystawiał je i przybijał do krawędzi wielkiego płótna. Szybko stało się ono tak ogromne, że musiał używać drabiny, po której biegł w górę i w dół, tu zrywając skrawek płótna, tam kładąc smugę farby. Gdy ktoś przychodził do niego z prośbą, wydawał się całkiem uprzejmy, choć czasem bawił się leżącymi na stole ołówkami. Nicuważnie słuchał tego, co do niego mówiono. Cały czas myślał o wielkim płótnie, stojącym w wysokiej szopie, którą specjalnie w tym celu zbudował w ogrodzie (w tej części, gdzie niegdyś uprawiał ziemniaki).

Lecz nie mógł jakoś pozbyć się życzliwości. „Chciałbym mieć nieco silniejszą wolę” – mawiał czasem sam do siebie, mając na myśli to, że chciałby, aby kłopoty innych ludzi nie sprawiały mu przykrości. Jednak przez długi czas nikt mu tak naprawdę nie przeszkadzał. „W każdym razie powinienem skończyć ten obraz, mój prawdziwy obraz, nim będę musiał wyruszyć w tę przeklełą podróż” – mawiał. Zaczynał bowiem dostrzegać, że podróży nie można odkładać w nieskończoność. Obraz powinien już przestać rosnąć, a praca nad nim powinna zacząć zbliżać się do końca.

Pewnego dnia Niggle stał przed obrazem i przyglądał mu się niezwykle uważnie i bezstronnie. Nie potrafił uświadomić sobie co ma o nim myśleć i żałował, że nie ma przyjaciela, który mógłby mu to powiedzieć. W tej chwili jego dzieło wydawało mu się całkowicie niezadowolające, a jednocześnie bardzo piękne; jakby było jedynym naprawdę pięknym obrazem na świecie. Tak bardzo pragnął zohaczyć naraz samego siebie, wchodzącego do pracowni, pocznąć klepienie po ramieniu, usłyszeć słowa (wypowiedziane z oryzywistą szczerością): „Absolutnie wspaniale! Wyraźnie widzę, o co ci chodzi. Tylko tak dalej – i nie martw się niczym. Dostaniesz stypendium i będziesz miał wszystko, czego potrzebujesz”.

Ale stypendium nie było. Natomiast jedna rzecz widział Niggle jasno: dokończenie obrazu będzie wymagało skupienia i pracy, o

o obrazie, lecz gdyby nawet wiedzieli wszyscy, nie stanowiłoby to wielkiej różnicy. Wątpie czy sądziłby, że ma to jakieśkolwiek znaczenie. Ośmielił się twierdzić, że nie był to naprawdę dobry obraz, choć może miał dobre fragmenty. Drzewo, w każdym razie, było dziwaczne. Całkiem unikalne na swój sposób. Tak jak sam Niggle, choć był on także zwykłym, głupim ludzikiem.

W końcu czas Niggle'a zaczął być naprawdę cenny. Znajomi z miasteczka przypomnieli sobie, że mały człowieczek ma odbyć kłopotliwą podróż i niektórzy zaczęli się zastanawiać, kiedy ją wreszcie rozpocznie. Zastanawiali się też, kto otrzyma dom i czy ogród będzie lepiej utrzymany.

Przyszła jesień, wietrzna i deszczowa. Mały malarz pracował w szopie. Stał na drabinie, usiłując uchwycić blask zachodzącego słońca na ośnieżonych szczytach gór, które błyszczały na lewo od koniuszków liści rosnących na jednej z gałęzi drzewa. Wiedział, że będzie musiał wyruszyć wkrótce, może w początkach przyszłego roku. Powinien już kończyć obraz, a przecież były fragmenty, gdzie do tej pory miał czas jedynie naszkicować część tego, o co mu chodziło.

Usłyszał pukanie do drzwi. – Proszę – powiedział ostro i zszedł z drabiny. Stał na podłodze machając pedzlem. Przyszedł jego sąsiad, Parish, jego jedyny prawdziwy sąsiad; wszyscy inni mieszkali daleko. Mimo to Niggle niezbyt lubił tego człowieka. Często dlatego, że ciągle był on w kłopotach i potrzebował pomocy, jak i dlatego, że nie obchodziło go malarstwo, za to był bardzo krytyczny, gdy chodziło o ogrodnictwo. Kiedy Parish patrzył na ogród Niggle'a (co zdarzało się często), zauważał głównie chwasty, a kiedy patrzył na jego obrazy (co zdarzało się rzadko), widział tylko zielone i szare pasma i czarne linie, które wydawały mu się bezsensowne. Nie powstrzymywał się od napomknięć o chwastach (sąsiedzki obowiązek), lecz unikał wydawania opinii o obrazach. Uważał to za bardzo uprzejme i nie zdawał sobie sprawy, że nawet jeżeli był uprzejmy, to na pewno niewystarczająco. Pomoc przy chwastach (i być może pochwała obrazów) z pewnością byłaby lepsze.

– No więc, Parish, o co chodzi? – zapytał Niggle.
– Nie powinienem ci przeszkadzać, wiem – odpowiedział Parish (nie patrząc na obraz). – Jestem pewien, że jesteś bardzo zajęty.

Niggle zamierzał powiedzieć coś takiego sam, ale nie wykorzystał szansy. Powiedział tylko: „Tak”.

– Ale nie mam do kogo się zwrócić – powiedział Parish.

– Rzeczywiście – zgodził się Niggle i westchnął. Było to jedno z tych westchnień, które są całkiem niesłychanym, prywatnym komentarzem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Zona od kilku dni choruje i zaczynam się niepokoić. I wiatr zerwał połowę dachówek z dachu, woda leje się do sypialni. Chyba powinienem wezwać lekarza. I murarzy, ale na nich czeka się długo. Myślałem, że masz trochę zbędnego drewna i płótna. Po prostu, żeby załatać dach i pomóc mi na dzień lub dwa.

Teraz spojrzal na obraz.

– Ojej – powiedział Niggle. – Masz pecha. Mam nadzieję, że zona ma tylko katar. Zaraz przyjdę i pomogę ci zaleść ją na dół.

John Ronald Reuel Tolkien

Liść, dzieło Niggle'a

(Leaf by Niggle)

- Bardzo dziękuję - powiedział chłodno Parish. - Ale to nie katar. To gorączka. Nie kłopotalbym cię katarzem. A żona i tak leży w łóżku na dole. Nie mogę biegać w górę i w dół z tacami. Nie z moją nogą. Widzę, że rzeczywiście pracujesz. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Miałem nadzieję, że mógłbyś poświęcić trochę czasu i pojechać po doktora, znając moją sytuację. I po murarzy też, jeśli rzeczywiście nie masz zbędnych płócien.

- Oczywiście - powiedział Niggle, choć przychodzili mu na myśl zupełnie inne słowa. Serce miało w tej chwili po prostu mięknieć, bez żadnych uczuć. - Mógłbym pojechać. Pojadę, jeśli rzeczywiście się martwisz.

- Martwię się, bardzo się martwię. Szkoda, że jestem kulawy - powiedział Parish.

I Niggle pojechał. Zrozumcie, było mu niezręcznie. Parish był jego jedynym sąsiadem, inni ludzie mieszkali daleko. Niggle miał rower, Parish nie miał i nie mógł jeździć. Parish był kulawy, naprawdę kulawy i sztywna noga często bardzo go bolała, o tym powinno się pamiętać tak samo, jak o jego kwaśnej minie i jekliwym głosie. Oczywiście - Niggle malował obraz i miał mało czasu, by go ukończyć. Wydaje się jednak, że z tym powinien liczyć się nie Niggle, lecz Parish. Parish jednak nie liczył się z obrazami, a Niggle nie mógł tego zmienić. - Do diabła z tym - powiedział, kiedy wyprowadzał rower.

Było zimno, wiał wiatr, światło dnia zanikało. „Koniec roboty na dziś” - pomyślał Niggle i całą drogę albo kłął do siebie, albo wyobrażał sobie pociągnięcia pedzła na górach i otaczających je, pełnych liści galeziach, które po raz pierwszy wyobraził sobie na wiosnę. Palce drgały na kierownicy. Teraz, kiedy wyszedł z szopy, wiedział dokładnie, jak pokazać ślwiące galezie, otaczające daleką wizję gór. Lecz głęboko w sercu pojawiło się uczucie jakby strachu, że nie będzie miał już okazji nigdy tego spróbować.

Niggle znalazł doktora i zostawił wiadomość dla murarzy. Biuro było zamknięte, a murarz poszedł do domu grać się przy kominku. Niggle przemógł na wylot i sam się zaziębł. Doktor nie wyruszył tak szybko, jak zrobił to Niggle. Przyjechał następnego dnia, co było całkiem zgodne z jego zwyczajami i miał już teraz dwoje pacjentów w sąsiednich domach. Niggle leżał w łóżku, z wysoką gorączką, a w jego głowie i na suficie pojawiały się wspinające wzory liści i powikłanych galezi. Nie sprawiała mu przyjemności wiadomość, że pani Parish miała jedynie katar i już wstaje z łóżka. Odwrócił się twarzą do ściany i pograżył w liściach.

Jakiś czas pozostał w łóżku. Wiał silny wiatr. Zerwał jeszcze parę dachówek z domu Parish'a i kilka z domu Niggle'a; jego dach też zaczął przeciekać. Murarze nie przychodzili. Niggle przez kilka dni niezbyst się o to troszczył. Potem wyczołgał się z domu w poszukiwaniu jedzenia (nie miał żony). Parish nie przychodził, padał deszcz i bolała go noga, a jego żona zajęta była wycieraniem podłogi i zastanawianiem się, czy „ten Niggle” nie zapomniał przypadkiem zawiadomić murarzy. Gdyby chciała coś pożytycznego, wystąpiłaby Parish'a, kulawego czy nie, ale nie chciała i Niggle pozostawiony był sam sobie.

Mniej więcej pod koniec tygodnia, zataczając się, Niggle znów poszedł do szopy. Usiadł i patrzył na obraz, ale tego dnia nie pojawiły mu się ani wzory liści, ani widok gór. Mógł malować dalekie tło piaszczystej pustyni, ale po prostu nie miał na to siły.

Następnego dnia czuł się już o wiele lepiej. Wspiął się na drabinę i zaczął malować. Obraz właśnie wciągnął go znowu, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Cholera! - powiedział Niggle, lecz równie dobrze mógł powiedzieć uprzejmie: „Proszę wejść”, bo drzwi i tak się otworzyły. Tym razem był to wysoki mężczyzna, zupełnie obcy.

- To prywatna pracownia - powiedział Niggle. - Jestem zajęty. Wynoś się.

- Jestem Inspektorem Budowlanym - odpowiedział mężczyzna, trzymając legitymację w wyciągniętej ręce tak, by Niggle mógł ją przeczytać z drabiny.

- O! - powiedział Niggle.

- Dom waszego sąsiada jest w klepskim stanie - powiedział Inspektor.

- Wiem - odparł Niggle. - Zostawiłem informację dla murarzy już dawno temu, ale nie przyszli. Potem byłem chory.

- Rozumiem, ale teraz już jesteście zdrowi.

- Ale nie jestem murarzem. Parish powinien złożyć skargę w Radzie Miejskiej i otrzymać pomoc konieczną w nagłych wypadkach.

- Wszyscy zajęci są gorszymi zniszczeniami niż tutaj. W dolinie była powódź i wiele rodzin pozostało bez dachu nad głową. Powinniście pomóc sąsiadom w wykonaniu prowizorycznych napraw i nie dopuścić, by likwidacja zniszczeń była bardziej kosztowna. Takie jest prawo. Macie tu mnóstwo materiału: drewno, płótno, wodoodporne farby.

- Gdzie? - zapytał Niggle oburzony.

- Tu! - odparł Inspektor wskazując na obraz.

- Mój obraz! - krzyknął Niggle.

- Tak właśnie przypuszczam - powiedział Inspektor. - Domy są ważniejsze. Tak mówi prawo.

- Ale nie mogę... - Niggle nie zdążył powiedzieć nic więcej, bowiem w tym momencie wszedł drugi mężczyzna. Był bardzo podobny do inspektora, wyglądał niemal jak jego bliźniak, wysoki, ubrany na czarno.

- Proszę za mną - powiedział. - Jestem Szoferem.

Niggle potykał się z drabiną. Gorączka dawała się wyczuć, było mu zimno, głos z chłodu.

- Szofer? Szofer? - wyjąkał. - Jaki Szofer?

- Wasz i waszego pojazdu - odparł mężczyzna. - Pojazd został zamówiony dawno temu. W końcu przybył. Czeka. Zaczynacie dziś swoją podróż.

- A więc tak! - powiedział Inspektor. - Musicie jechać, ale źle zaczynać podróż, zostawiając nie dokończoną pracę. W końcu będziemy jednak w stanie zrobić teraz jakiś użytek z tego płótna.

- Mój Boże - powiedział biedny Niggle i zaczął płakać. - Nawet go nie skończyłem.

- Nie skończyłem! - powiedział Szofer. - No więc z nim skończono, przynajmniej o tyle, o ile was to dotyczy. Wychodźcie!

Niggle wyszedł, całkiem spokojnie. Szofer nie zostawił mu czasu na pakowanie twierdząc, że powinien zrobić to wcześniej i że mogą spóźnić się na pociąg, więc Niggle zdążył tylko złapać w holu małą torbę. Znalazł w niej pudełko z farbami i szkicownik z rysunkami. Nie było w niej ani jedzenia, ani ubrania. Zdążyli jednak na pociąg. Niggle był zmęczony i bardzo śpiący; kiedy wpełzło go do przedziału ledwie orientował się, co się wokół niego dzieje. Nie troszczył się o nic, zapomniał, gdzie ma jechać i po co. Pociąg ruszył niemal natychmiast w głąb ciemnego tunelu.

Niggle osknął się na wielkiej, mrocznej stacji. Wzdłuż peronu szedł Zawiadowca. Nie krzychał nazwy stacji, lecz imię. Wołał: - Niggle!

Niggle wysiadł w pośpiechu i zorientował się, że w przedziale została jego mała torba. Odwrócił się, ale pociąg zdążył odjechać.

- A, tu jesteście - powiedział Zawiadowca. - Tedy. Co? Nie macie bagażu? Powinniście pójść do Przytułku.

Niggle poczuł się bardzo źle i zemknął na peronie. Wezwano karetę i odwieziono go do szpitala przy Przytułku.

Opleka wcale mu się nie podobala. Podawano mu gorzkie lekarstwa. Urzędnicy i obsługa byli wrodzy, milczący i surowi. Nie widywał nikogo oprócz bardzo nieprzyjemnego doktora, który czasami go odwiedzał. Przypominało to bardziej więzienie niż szpital. Kazano mu ciężko pracować, w stałych godzinach; przy kopaniu, w stolarni przy malowaniu surowych desek na jeden, spokojny kolor. Nie wypuszczano go na zewnątrz, a wszystkie okna wychodziły na podwórko. Trzymano go w ciemnościach przez długie godziny, „aby mógł myśleć” - tak mówiono. Tracił poczucie czasu. Nie czuł się ani trochę lepiej, ani trochę - jeśli sędzić po tym, że nic nie sprawiło mu przyjemności. Nawet sen.

Na początku, przez pierwsze stulecie (przekazuje tylko jego wrażenia) bezsensownie martwił się przeszłością. Leżąc w ciemnościach powtarzał nieustannie: „Szkoda, że nie odwiedziłem Parish'a tego dnia, kiedy zaczął wiać wiatr. Przecież chciałem. Łatwo byłoby naprawić pierwsze obłuzowane dachówki. Wtedy pani Parish może by się nie przeziębiła. Wtedy może i ja bym nie zachorował. I może mógłbym pracować tydzień dłużej”. Lecz z czasem zapomniał, na co potrzebny był mu ten tydzień. Jeśli o cokolwiek jeszcze myślał, to jedynie o szpitalnych pracach. Planował je, zastanawiając się, jak szybko uda mu się poprawić skrzypiące deski podłogi, zawłasy w drzwiach, nogę od stołu. Prawdopodobnie był całkiem użyteczny, choć tego nikt mu nigdy nie powiedział. Być może wcale nie z tego powodu przetrzymywano tak długo biednego człowieczka. Może czekali aż mu się „polepszy”, „polepszy” według jakichś ich własnych, medycznych kryteriów.

W każdym razie biedny Niggle nie czerpał z życia przyjemności - przynajmniej takiej, jaką znał. Nie był wesoły. Nie można jednak zaprzeczyć, że zaczynał czuć... może spokojną satysfakcję, mdłą jak chleb, a nie słodką jak dżem. Podejmował pracę na dźwięk dzwonka i odkładał ją równo z dzwonkiem, uporządkowaną, czekającą na podjęcie we właściwym czasie. Robił teraz całkiem sporo i porządnie wykańczał najdrobniejsze prace. Nie miał „wolnego” czasu (wyjąwszy samotność sypialni), a jednak był jego panem. Wiedział dokładnie, co ma robić. Nie czuł pośpiechu. Był spokojniejszy, a w czasie odpoczynku naprawdę odpoczywał.

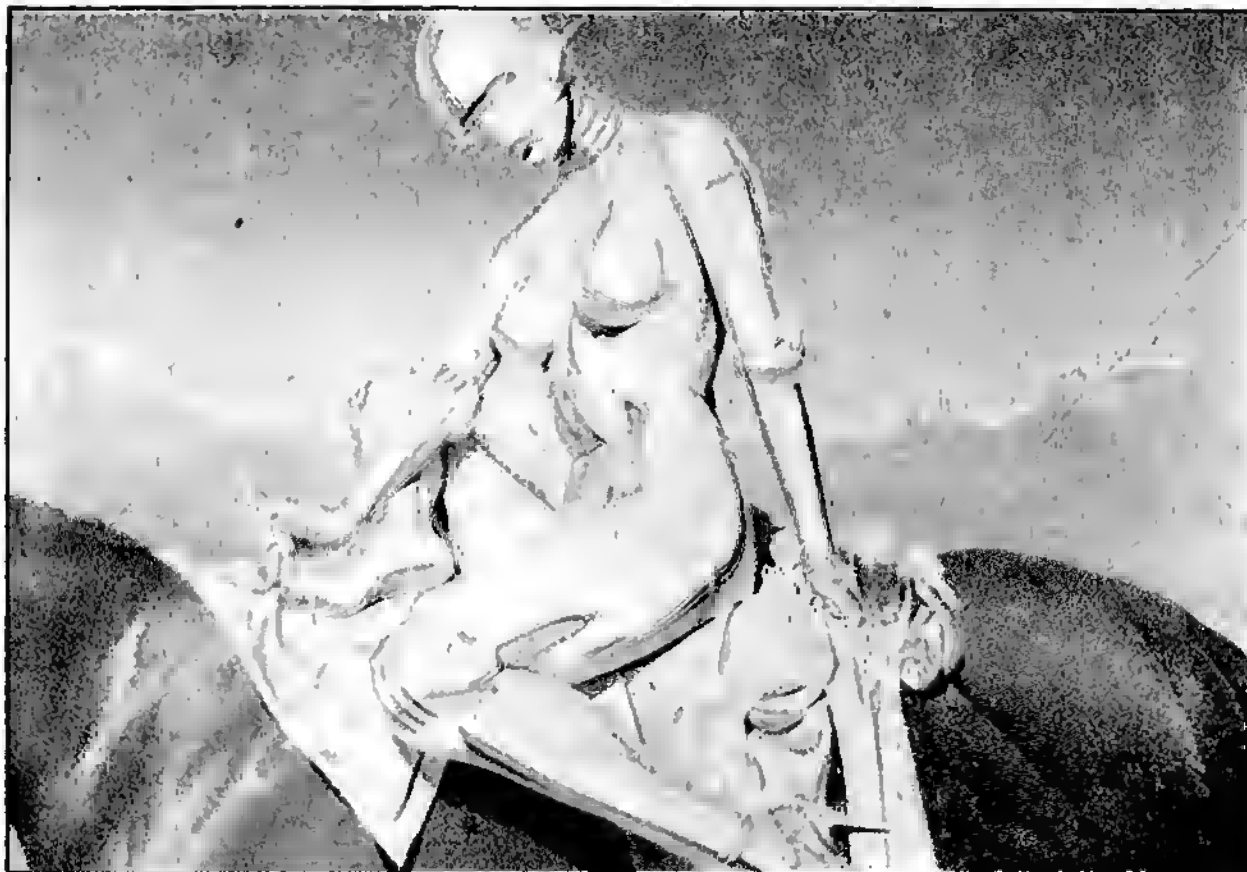
Wtedy nagle zmienili godziny pracy, zaledwie pozwolili mu w ogóle zasnąć, wyrzucili ze stolarni. Kazali po prostu kopać, dźleć po dnu. Przyjął to całkiem spokojnie. Długo trwało nim - zupełnie nieświadomie - zaczęły mu się przypominać dawne przekleństwa. Kopał, aż grzbiet zdawał się pękać, ręce stały się jedną otwartą raną i czuł, że nie zdola już podnieść następnej łopaty. Nikt mu nie podziękował. Lecz przyszedł Lekarz i obejrzał go.

- Koniec pracy - powiedział. - Całkowity odpoczynek. W ciemności.

Niggle leżał w ciemności, całkowicie odpoczywając. Nic nie myślał i niczego nie czuł. Mógł leżeć tak przez godziny i lata - bez żadnej różnicy. I nagle usłyszał Głosy, inne niż te, które słyszał dotychczas. Mogła to być Rada Medyczna, może Sąd odbywający się blisko, niemal w zasięgu ręki, w sąsiednim pokoju przy otwartych drzwiach, choć nie widać było żadnego światła.

- A teraz przypadek Niggle'a - powiedział Głos. Głos groźny, groźniejszy niż Lekarza.

- Jakiś problem? - zapytał Drugi Głos, który można byłoby



HAJIME SORAYAMA

Galeria „Fantastyki” jest naszą nową pozycją, w której mamy zamiar przedstawiać prace grafików i ilustratorów – polskich i zagranicznych. Będą to najczęściej prace jednego autora lub prace łączące się tematycznie.

Jako pierwszego prezentujemy grafika japońskiego HAJIME SORAYAMA (ur. 1947). Jak sam twierdzi, pierwszym jego kontaktem z grafiką były rysunki w tuszu samolotów i okrętów, które zaczął tworzyć w szkole średniej. W wieku 20 lat opuścił Tokio i zaczął studiować w Chuo Art School. Po dwóch latach, jako jeden z najlepszych studentów, ukończył szkołę i zaczął pracę w agencji reklamowej.

Jego specjalnością były rysunki reklamowe wykonywane za pomocą pastelów, flamastrów i kolorowych tuszy.

Od 1971 roku Sorayama pracuje jako niezależny ilustrator. Jego pierwsze „Roboty” powstają w 1978 roku. Maluje je aerografem i pędzlami stosując farby akrylowe. (A.B.)

nazwać uprzejmym, choć nie miękkim, był to głos władcy, brzmiał jednocześnie pocieszająco i smutno. – Jakież kłopoty z Niggle'em? Przecież miał serce.

– Tak, lecz nie pracowało ono właściwie. I można byłoby podejrzewać, że w ogóle nie miał głowy. Zaledwie myślał. Zauważył, że stracił czasu, nawet się nie bawiąc. Nigdy nie przygotował się do podróży. Był całkiem zamożny, a przyjechał jak biedak i trzeba było go ułokować w skrzydle przeznaczonym dla niedzrzy. Obawiam się, że to beznadziejny przypadek. Myślę, że powinien tu jeszcze zostać.

– Prawdopodobnie to by mu nie zaszkodziło – powiedział Drugi Głos.

– Lecz oczywiście to tylko nic nie znaczący człowieczek. Nie chciał być nikim wielkim, nie był nigdy specjalnie silny. Spójrzmy do Akt. Tak. Jest trochę rzeczy przemawiających na jego korzyść.

– Być może – powiedział Pierwszy Głos. – Ale niewiele ich zostanie po dokładnym sprawdzeniu.

– Wiec, oto one – powiedział Drugi Głos. – Był z usposobienia malarzem. Niezbyt dobrym oczywiście, lecz jednak – jego „Liść” ma jakiś szczególny wdzięk. Bardzo troszczył się o liście, po prostu dla nich samych. Lecz nigdy nie sądził, że czyni go to kimś ważnym. Nie ma w Aktach wzmianki, by próbował usprawiedliwić tym, nawet wobec siebie samego, zaniedbania w rzeczach nakazanych przez prawo.

– Wiec nie powinien zaniebawiać ich tak często.

– Mimo wszystko odpowiadał na wiele Wezwań.

– Niewielki procent, tylko na te łatwiejsze i nazywał je Przeszkodami. W Aktach ciągle pojawia się to słowo, wraz z mnóstwem skarg i idiotycznych przekleństw.

– To prawda, lecz jemu rzeczywiście wydawały się przeszkodami, biedaczyna. I jeszcze to: nigdy nie spodziewał się Nagrody, jak wielu podobnych do niego to nazywa. Jest przypadek Parisha, tego, który przybył później. Był sąsiadem Niggle'a, nigdy nie kiwnął dla niego palcem, rzadko okazywał jakąś wdzięczność. W Aktach nie ma jednak nawet wzmianki, by Niggle spodziewał się wdzięczności, wydaje się, że w ogóle o tym nie myślał.

– Tak, to jest coś – powiedział Pierwszy Głos. – Ale niewiele. Sądzę, że zgodzisz się, że Niggle często po prostu zapominał. Zapominał, że zrobił coś dla Parisha, jak tylko już to zrobił.

– A jednak mamy tu ostatni raport – powiedział Drugi Głos. – O tej jeździe rowerem w deszczu. Położyłbym na to nacisk. Wydaje się jasne, że było to prawdziwe poświęcenie. Niggle podejrzewał, że odrzuca ostatnią szansę skonczenia obrazu, podejrzewał także, że Parish niepotrzebnie się martwi.

– Sądzę, że podkreślasz to zbyt mocno – powiedział Pierwszy Głos. – Ale ostatnie słowo należy do ciebie. Oczywiście, to twoje zadanie – jak najkorzystniej interpretować fakty. Czasami na to zasługują. Co proponujesz?

– Myślę, że ten przypadek pozwala na nieco łagodniejsze traktowanie.

Niggle pomyślał, że nigdy nie słyszał czegoś tak wielkoduszniego jak ten Głos. Dzięki niemu „Łagodniejsze Traktowanie” brzmiało jak wspaniały dar, jak zaproszenie na Królewską Ucztę. I nagle Niggle się zawstydził. Myśli, że jego sprawę potraktowano jako nadającą się do „Łagodniejszego Traktowania” przygniotta go, sprawiła, że poczuł się zażenowany. Jakby otrzymał publiczną pochwałę wiedząc – jak wszystkim – że jest ona niezastużona. Niggle ukrył rumieniec pod szorstkim kocem.

Zapadła cisza. Nagle Pierwszy Głos odezwał się do Niggle'a, całkiem blisko. – Słyszales? – zapytał.

– Tak – odparł Niggle.

– Masz coś do powiedzenia?

– Czy możecie opowiedzieć mi o Parishu – poprosił Niggle. – Chciałbym zobaczyć go znowu. Mam nadzieję, że nie jest bardziej chory? Czy możecie wyleczyć jego nogę? Bardzo cierpi z jej powodu. I proszę, nie martwcie się o niego i o mnie. Był bardzo dobrym sąsiadem, sprzedawał znakomite ziemniaki, bardzo tanio, co oszczędzało mi mnóstwo czasu.

– Rzeczywiście? – powiedział Pierwszy Głos. – Miło mi to usłyszeć.

Znowu zapadła cisza. W tej ciszy Niggle usłyszał oddalające się Głosy. „Dobrze, zgadzam się” – powiedział Pierwszy Głos z daleka. „Pozwólmy mu przejść do następnego stadium. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jutro”.

Niggle obudził się i odkrył, że zasłony zostały zdjęte i jego pokój jest pełen światła. Wstał i przy łóżku znalazł wygodne ubranie zamiast szpitalnego uniformu. Po śniadaniu lekarz obejrzał jego poranione ręce, posmarował jakąś maścią i od razu wyleczył. Dał Niggle'owi wiele dobrych rad i butelkę wzmacniającego lekarstwa (gdymy go potrzebował). Późnym rankiem dostał ciastko i szklankę wina.

– Możecie pójść na stację – powiedział Lekarz. – Zawiadowca się o was zatroszczy. Żegnajcie.

Niggle wysłiznął się przez frontowe wejście i zamrugał osłepionymi oczami. Słońce błyszczało tak jasno. Spodziewał się też spaceru przez duże miasto, pasujące do rozmiarów stacji, ale miasta nie było. Stał na szczycie pustego, zielonego wzgórza, omiatanego rześkim wiatrem. W pobliżu nie było nikogo. W dół, u stóp wzgórza, błyszczały dachy stacji.

Pomaszerował w dół rażno, ale bez pośpiechu. Zawiadowca zauważył go natychmiast.

– Tedy proszę – powiedział i zaprowadził Niggle'a na peron, na którym stał bardzo przyjemny, niewielki, lokalny pociąg: jeden wagon, mała lokomotywa – błyszczące, czyste, nowo pomalowane. Wyglądały, jakby była to ich pierwsza podróż. Nawet peron przed lokomotywą sprawiał wrażenie nowego, szyny błyszczały, ławki były pomalowane na zielono, podkłady pachniały wspaniale świeżą smolą, rozgrzaną palącymi promieniami słońca. Wagon był pusty.

– Dokąd jedzie ten pociąg, Panie Zawiadowco? – zapytał Niggle.

– Myślę, że sami jeszcze nie są pewni – odpowiedział Zawiadowca. – Ale na pewno dojedzie. – I zamknął drzwi.

Pociąg ruszył natychmiast. Niggle opadł na ławkę. Lokomotywa pykała, ciągnąc wagon poprzez głęboki wykop o stromych, zielonych ścianach przykrytych błękitnym niebem. Po niedługim (jak się wydawało) czasie rozległ się gwizd, włączyły się hamulce i pociąg stanął. Nie było stacji, nie było żadnego napisu, jedynie schody prowadzące na zielony nasyp. A na szczycie schodów furtka w porządkie przyciętym żywopłocie. Stał przy niej jego rower, a może tylko podobny, w każdym razie żółcila się przypięta do ramy tabliczka, na której wielkimi literami napisano: NIGGLE.

Niggle otworzył furtkę, wskoczył na rower i potoczył się zbożem nasypu w ciepłych promieniach wiosennego słońca. Szybko spostrzegł, że dróżka, którą jechał na początku znikła i rower jedzie po wspaniałej trawie. Była zielona i gęsta, a przecież każde źdźbło widać było wyraźnie. Wydawało mu się, że pamięta taką trawę, że widział ją kiedyś i gdzieś, a może tylko śnił o niej. Kształty terenu też były jakoś znajome. Tak, stawał się teraz poziomym – jak powinien – a teraz znowu zaczynał się wznosić. Pomiedzy słońce a Niggle'a wkradł się zielony cień. Niggle spojrział w górę i spadł z roweru.

Przed nim stało Drzewo, jego Drzewo, skończone. Jeśli możecie nazwać tak Drzewo, które żyje, którego liście się rozwijają, a gałęzie rosną i kotłują się na wietrze, który Niggle tak często czuł, którego tak często się domyślał, który tak często i bezskutecznie próbował malować. Spojrzał na Drzewo, wolno podniósł ręce i rozłożył je szeroko.

– Oto dar – powiedział. Mówił o swej sztuce i o jej dziele, ale użył tego słowa najzupełniej dosłownie.

Chodził patrząc na Drzewo. Rosły na nim liście, nad którymi pracował tak ciężko, a wyglądały raczej tak, jak je sobie wymarzył, niż jak je wykonał. Były też i inne: te, o których jedynie myślał i te, o których mógłby pomyśleć, gdyby tylko miał nieco więcej czasu. Nie było na nich żadnych napisów, były to po prostu śliczne liście, lecz jednocześnie można było określić je tak dokładnie, jak dni w kalendarzu. Te najpiękniejsze i najbardziej charakterystyczne, najlepsze przykłady stylu Niggle'a były na pewno stworzone przy współpracy Parisha, nie było innego sposobu, by się tu znalazły.

Na gałęziach Drzewa ptaki budowały swe gniazda. Zdziwiałące ptaki – jak one śpiewały! Dobierały się parami, wysiadywały młode, rosły im skrzydła i odlatywały do Lasu – właśnie wtedy, gdy na nie patrzył. Dopiero teraz spostrzegł Las, który był tu także, rozpościerając się po obu stronach Drzewa i maszerując w dal. Szczyty Gór błyszczały na horyzoncie.

Potem Niggle obrócił się w stronę Lasu. Nie dlatego, że Drzewo go zmęczyło, zadomowiło się teraz w jego pamięci, był świadom jego i jego wzrostu nawet wtedy, gdy na nie nie patrzył. Kiedy odszedł, odkrył zdumiewającą rzecz: Las – oczywiście – był dalekim Lasem, ale można było zbliżyć się, a nawet wejść w niego i nie trafić on nic ze swego szczególnego piękna. Nigdy przedtem nie był w stanie pójść w głąb, nie zmieniając go w zwykłe „otoczenie”. Dodawało to sporo atrakcji spacerom po tej ziemi, bowiem, gdy szedł, rozpościerały się nowe perspektywy, mogłeś je dwóić, troić, mnożyć zachwyty. Mogłeś odchodzić coraz dalej i dalej, i mieć cały kraj w ogrodzie lub na obrazie (jeśli wolicie tak właśnie to nazwać). Mogłeś iść coraz dalej i dalej, lecz prawdopodobnie nie w nieskończoność. W tle były Góry. Wydawało się, że nie należą one do obrazu, może tylko łączą go z czymś zupełnie innym, czymś całkowicie różnym, błyszczącym spoza drzew; z innym obrazem.

Niggle spacerował, lecz nie była to zwykła włóczęga. Rozglądał się wokół uważnie. Drzewo było skończone, choć z nim nie skończono – „po prostu inna droga ku temu, co zdarza się zwykle” – pomyślał – lecz w Lesie wiele było nie dokończonych miejsc, które ciągle wymagały pracy i namysłu. Nic już nie wymagało zmian; nic z tego, co istniało nie było złe, lecz przecież trzeba było kontynuować pracę aż do końca. W każdym przypadku Niggle był doskonale świadom tego końca.

Usiadł pod dalekim drzewem, odmianą Wielkiego Drzewa, która była, a w każdym razie po kilku korektach mogła być, całkowicie niepowtarzalna i zaczął się zastanawiać, gdzie zacząć pracę, gdzie ją skończyć i ile czasu na nią potrzeba. Nie potrafił całkowicie opracować planu.

– Oczywiście – powiedział – potrzebuje Parisha. Ziemia, drzewa, rośliny mają wiele tajemnic, które on zna, a ja nie. To miejsce nie może stać się moim prywatnym parkiem. Potrzebuje pomocy i rady. Powiniennem być wcześniej o tym pomyśleć.

Podniósł się i podszedł do miejsca, od którego zdecydował się zacząć pracę. Zdjął marynarkę. Nagle w małej, osłoniętej dolinie, ukrytej przed ludzkim wzrokiem zobaczył rozglądającego się wokół i raczej oszołomionego człowieka. Opierał się on na łopacie

i widać było, że nie bardzo wie, co zrobić. Niggle rozpoznał go. – Parish – zawolał.

Parish zarzucił łopate na plecy i podszedł do Niggle'a. Ciagle trochę utykał. Nie odezwali się do siebie, po prostu skinęli głowami, tak jak to inni w zwyczaju mijając się w alejce, lecz teraz szli razem, ramię w ramię. Bez słów doskonale się zgodzili, gdzie ma stanać dom i gdzie urządzić ogród, który wydawał się potrzebny.

Gdy już pracowali razem, okazało się, że teraz Niggle lepszy był w organizowaniu pracy i wykonywaniu planów. Zdumiewające – to Niggle bardziej przyjmował się budownictwem i ogrodnictwem, podczas gdy Parish z zachwytem przyglądał się drzewom, a szczególnie Drzewu.

Pewnego dnia Niggle był zajęty sadzeniem żywopłotu, a Parish leżał obok na trawie, obserwując uważnie piękny i kształtny żółty kwiat, rosnący w zielonej trawie. Już dawno Niggle zasadził ich wiele wśród korzeni Drzewa. Nagle Parish spojrział w górę, jego twarz błyszczała w słońcu, uśmiechał się.

– To wspaniale – powiedział. – Naprawdę nie powinienem tutaj być. Dziękuję za te kilka słów w mojej obronie.

– Nonsens – odpowiedział Niggle. – Nie pamiętam co powiedziałem, ale z pewnością było to za mało.

– Wcale nie. Wyciągnęło mnie znacznie wcześniej. To Drugi Głos, wiesz, on mnie tu przysłał; powiedział, że prosisz, żeby mnie zobaczyć. Zawdzięczam to tobie.

– Nie. Zawdzięczasz to Drugiemu Głosowi. Obaj mu to zawdzięczamy.

I dalej nieszkali i pracowali razem, nie wiem jak długo. Nie ma sensu zaprzeczać, że czasem się kłócili, szczególnie, gdy obaj byli zmęczeni. Na początku zdarzało im się męczyć. Odkryli, że obaj mają lekarstwo. Każda butelka miała na nalepce ten sam napis: „Kilka kropel wpuścić do wody ze Źródła. Używać przed odpoczynkiem”.

Znaleźli Źródło w sercu Lasu. Tylko raz, dawno temu, Niggle wyobraził je: sośnie, ale nigdy go nie namalował. Teraz spostrzegł, że zasila ono błyszczące jezioro i jest źródłem pożywienia dla wszystkiego, co rośnie na tej ziemi. Kilka kropel uczyniło wodę nieco gorzka, odświeżającą jednak i dodającą siły, a w głowie robiło się jaśniej. Po wypiciu odpoczywali samotnie, a potem znów pracowali razem i już się nie kłócili. Niggle myślał o cudownych, nowych roślinach i kwiatkach, a Parish zawsze wiedział dokładnie, jak je zasadzić i gdzie będą najlepiej rosły. Przestali potrzebować lekarstwa na długo przedtem, nim się skończyło. Parish już nie utykał.

Im bardziej ich praca zbliżała się do końca, tym więcej czasu poświęcali na spacer, oglądając drzewa i kwiaty, światło i kształty i położenie swej krainy. Czasami śpiewali razem, lecz Niggle odkrył, że coraz częściej i częściej spogląda w stronę gór.

Nadszedł czas, gdy dom w dolinie, ogród, trawnik, las, jezioro były niemal skończone – w sośnie tylko właściwy sposób. Wielkie Drzewo rozkwitło w pełni.

– Powinniśmy skończyć dziś wieczorem – powiedział Parish pewnego dnia. – Później będziemy mogli pójść na naprawdę długie spacer.

Wyuszyli następnego dnia i szli aż do samego Krańca. Oczywiście, nie było go widać, nie było granicy, płotu, ściany. Lecz wiedzieli, że doszli do krawędzi swego świata. Zobaczyli meżczyźnę wyglądającego na pasterza. Szedł ku nim w dół, po pokrytych trawą zboczach gór.

– Chcecie przewodnika? – zapytał. – Chcecie iść?
Na chwilę cien rozdzielił Niggle'a i Parish'a, bo Niggle wiedział, że chce i (w pewnym sensie) powinien pójść. A Parish nie chciał i nie był jeszcze do tego gotowy.

– Muszę poczekać na żonę – powiedział Parish do Niggle'a – Będzie samotna. Spodziewam się, że zechce wysłać ją do mnie kiedyś, kiedy będzie już gotowa i kiedy ja przygotuję się dla niej. Skończyliśmy dom – taki, jaki pokrafilismy zrobić – i chciałbym go jej pokazać. Będzie mogła go poprawić, uczynić bardziej przytulnym. Spodziewam się, że także polubi nasz kraj. Obrócił się do pasterza. – Jesteś przewodnikiem? Czy mógłbyś powiedzieć mi, jak nazywa się to miejsce?

– Nie wiesz? – zdziwił się mężczyzna. – To Kraina Niggle'a. To obraz Niggle'a. Przynajmniej w większości, część to także Ogród Parish'a.

– Obraz Niggle'a! – krzyknął zaskoczony Parish. – Ty wymyśliłeś to wszystko, Niggle? Nie myślałem, że jesteś taki mądry. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Próbowal – powiedział pasterz. – To ty nie chciałeś patrzeć. Wtedy miał tylko płótno i farby, a ty chciałeś zalać nimi dach. To właśnie to, co wraz z żoną nazwaliście Głupstwem Niggle'a albo mazanią.

– Ale wtedy wyglądało to zupełnie inaczej, nieprawdziwie – powiedział Parish.

– Wtedy był tylko cień, ale mógłbyś zobaczyć nawet cień, gdybyś tylko pomyślał „warto spróbować”.

– To ja i dałem ci szansę – powiedział Niggle. – Nie próbowałem nigdy nie wyjaśnić. Nazywałem cie Starym Robalem. Czy ma to teraz jakieś znaczenie? Mieszkaliśmy i pracowaliśmy razem. Los mógłby kierować nami inaczej, ale nie mógł lepiej. Mimo to obawiam się, że powinienem pójść. Przypuszczam, że spotkamy się znowu, musi być jeszcze wiele rzeczy, które potrafimy zrobić razem. Do zobaczenia.

Potrząsnął dłonią Parish'a – była to dobra, mocna, uczciwa dłoń. Odwrócił się na chwilę i spojrzął za siebie. Kwiaty Wielkiego Drzewa lśniły jak płomienie, a płaki fruwały ponad nim śpijąc. Uśmiechnął się, uklonił Parishowi i odszedł z pasterzem.

Odszedł nauczyć się wszystkiego o owcach i hałach, odszedł, by patrzeć na niebo szersze i bardziej błękitne i iść wyżej, coraz wyżej, w Góry. Nie wiem, co zdarzyło się z nim później. Nawet mały Niggle w swoim starym domku mógł szkicować Góry, wchodziły w świat jego ohrazu, lecz co leży poza nim wiedza tylko ci, którzy je przekroczyli.

Myśle, że był to tylko głupi, mały człowiek – powiedział Radca Tompkins. – Naprawdę bezwartościowy, żadnego pożytku dla społeczeństwa.

– Nie wiem – odpowiedział Atkins, który nie był nikim ważnym, po prostu nauczycielem. – Nie jestem pewien, to zależy, co rozumiesz przez „pożytek”.

– Bez pożytku praktycznego czy ekonomicznego – powiedział Tompkins. – Odważyć się powiedzieć, że można byłoby zrobić z niego użyteczne kółko w mechanizmie społecznym, gdybyście wy, nauczyciele, znali swoją robotę. Ale nie znacie i ślad biorą się tego rodzaju bezużyteczni oświeceni. Gdybym ja rządził tym krajem, potrafiłbym znaleźć pracę, do której on i jemu podobni się nadają: zmywanie naczyń w kuchni komunalnej czy coś podobnego i sprawdzałbym, czy robią to dobrze. Jeśli nie, zrobiłbym z nimi porządek. Z nim już dawno powinienem zrobić porządek.

– Zrobić porządek? To znaczy, że kazałbyś mu zacząć podróz przed jego czasem?

– Tak, jeśli upierasz się przy tym starym, nic nie znaczącym określeniu. Przepchnąć przez tunel na Wysypisko Śmieci – to miałem na myśli!

– Wiec sędzisz, że malarstwo nie jest nic warte – używania, zachowania, rozwijania.

– Oczywiście, malarstwo bywa użyteczne. Ale nie jego malarstwo. Jest ogromne pole do działania dla śmiałych, młodych ludzi, nie bojących się nowych idei i nowych metod. Żadnego dla takich staromodnych bzdur. Marzenia na jawie! Nie potrafiliby zaprojektować plakatu reklamowego, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Marnowanie czasu na liście i kwiaty. Raz zapytałem go: „po co?” Odpowiedział, że sądzi, iż to ładne. Uwierzyć w to? Ładne! Co, trawienie i płciowe organa roślin? Powiedziałem mu to i nie umiał odpowiedzieć. Głupiec, robił z siebie wariata.

– Robił – zgodził się Atkins. – Tak, biedny ludzik. Nigdy niczego nie skończył. Oczywiście, kiedy odszedł, z jego płócien zrohiono „lepszy użytek”. Ale nie jestem tego taki pewien, Tompkins. Pamiętasz to wielkie, którego użyli do naprawy zrujnowanego domu w sąsiedztwie, po burzach i powodzi? Znalazłem jego fragment, wyrwany, leżący w polu. Był zniszczony, ale czytelny: szczyt gór i gałąz pełna liści. Ciagle mam w głowie ten widok.

– Masz gdzie? – zdziwił się Tompkins.

– O czym wy w ogóle mówicie? – zapytał Perkins, próbując zaprowadzić spokój. Atkins bowiem mocno się zacerwienił.

– Nie warto o nim mówić – powiedział Tompkins. – Nie wiem, po co w ogóle zaczęliśmy tę rozmowę. Nie mieszka w mieście.

– Nie – zdenerwował się Atkins. – Ale mimo to miałeś na oku jego dom. Dlatego przychodziles, gadales i kpięś z niego, gdy pił herbatę. No więc masz teraz jego dom i jeszcze jeden w mieście, więc nie zazdrość mu imienia. Mówimy o Niggle'u, jeśli chcesz wiedzieć, Perkins.

– Biedny, mały Niggle. W ogóle nie wiedziałem, że miałował. W ten sposób prawdopodobnie po raz ostatni wymieniono imię Niggle'a w rozmowie. Jednak Atkins przechował ocalałą część obrazu. W końcu zgnila, ale jeden liść pozostał nieknięty. Atkins oprawił go, później ofiarował nawet Muzeum Miejskiemu. Długo jeszcze „Liść, dzieło Niggle'a” wisiał w kacie, zauważany przez niewiele. W końcu muzeum spłonęło i liść, wraz z Niggle'em, poszedł w zapomnienie w swej dawnej ojczyźnie.

To naprawdę okazało się użyteczne – powiedział Drugi Głos. – Na wakacje, dla odprężenia. Odszykuje się pełnie siły i nie tylko. Dla wielu jest to najlepsze wprowadzenie w Góry. Działa cuda w niektórych przypadkach. Coraz częściej ich tam wysyłam. Niewiele musi wrócić.

– No właśnie – rzekł Pierwszy Głos. – Powinniśmy jakoś nazwać ten kraj. Co proponujesz?

– Zawiadowca zrobił to jakiś czas temu. „Pociąg do Niggle's Parish” gotów do odjazdu”, tak mówi od dawna. Niggle's Parish. Zawiadomilem ich obu.

– I co powiedzieli?

– Śmiali się. Góry dzwierały ich śmiechem.

Przełożył Krzysztof Sokołowski

! Niggle's Parish - Parafia Niggle'a. Imiona bohaterów opowiadania, jak wiele imion w książkach Tolkiena, są znaczące: „to nigg-le” oznacza „grzebac się w drobiazgach”, natomiast „parish” to „parafia”.

w obliczu

Prolog

Połamane stworzenie wisiało w polach siłowych, ołoczone aparatami złożonymi na wpół z materii, na wpół z energii, których konstrukcja i funkcje były zrozumiałe ledwie dla kilku umysłów we wszechświecie.

- Jest odrażające - powiedział głos. - Czy żyje?
- Jego siła życiowa jest bliska wygaśnięcia, ale obecnie na trwałym poziomie - odrzekł drugi. - Jest pryncyplenne, lecz sądzę, że naprawdę potrafi myśleć.

- Zaciekawia cię?
- Zależy. Kiedyś my zapewne byliśmy tacy, jak ono obecnie. Poznam je, a przez to wczorajszych nas samych.

Zbadał ciało zwierzecia, poznał je i ogarnął go smutek.

- Tragiczne - powiedział. - Zszedłem do jego komórek. Jakich ohydny brak sprawności. Walczą, pożerają się nawzajem. Są drapieżnikami i żerują wewnątrz organizmu. Mogą na chwilę osiągnąć równowagę, ale nigdy harmonii.

- Wydaje się kompletnie zniszczone. Co uczynisz?
- Naprawdę, poddam je obserwacji w życiu i w działaniu.

Istota dotknęła połamanego kształtu. Używając uporządkowanych sił odbudowała stworzenie zgodnie z jego wzorcem.

- Fascynujące. Ono żyje. Na pewien czas odzyskało równowagę. Walczy, by ją zachować, ale wobec wewnętrznych konfliktów walka nie potrwa długo. Zużywa energię, by zahamować zniszczenie, ale unie przy tym zachować jej część na myślenie.

- To jest przypuszczenie.
- Nie. To fakt. Jest świadome swego istnienia. Pojmuje upływ czasu. Pyta o sens istnienia. To jest świadomość. Nazywa siebie imieniem Kah-sih-oinah.

- Może z czasem rzeczywiście świadomość stanie się faktem. Obecnie nie wydaje mi się to prawdopodobne. Chwyta tylko urywki z potoku informacji zmysłowych, jak więc może się nauczyć?

- Może uczy się tylko trochę. Będziemy to w stanie określić, bo zaciekawia mnie coraz bardziej. Może nigdy tedy już nie przejdziemy, ale jeśli przypadkiem...

- Co zrobisz?
- Zmienię je, wprowadzę dyscyplinę, zapewnię porządek.

- Zamiar wart zachodu. Będę obserwować twoje wysiłki. Być może będę komentować.

- Zrobisz mi tym przyjemność.
Kontury znowu pociemniały. Materia przeszła w wyższy stan. Nastąpiły subtelne zmiany.

- Interesujące. Musisz być zadowolony.

- Owszem. Zauważ: w miarę, jak goją się jego rany, regeneruje się również forma, do której powraca. Świadomość przenika z centrum aż na poziom komórkowy.

- Jest nadal odrażające.

- Już nie musi być. Jego wola, choć ospała, sprawuje jednak kontrolę. Być może stworzenie cię słyszy. Pełne stosownej skruchy może zacząć eksperymentować i przybierze kształt bardziej ci przyjemny.

- Brak mu rozumu.

- Nie, nie rozumu. Doświadczenia. Żył przecież tylko przez mgnienie, dane mu przez naturę. Ja mu dałem całe wieki.

Czas mijał. Zabawa się skończyła. Potrzeba, która ich sprowadziła na tę młodą planetę, została zaspokojona. Ich pojazd, sondując wnętrza góry, znalazł, wydobył i oczyścił poszukiwane pierwiastki rozpuszczalne. Teraz wydobył się z okopconej, pełnej żużla sztolni, w której spoczywał tak długo, marnotrawiąc zgromadzoną w pędzły międzygwiazdnej energii.

Stworzenie, którym się bawili, przekształcone i teraz już bezpieczne, patrzyło zdumione. Nie pojmowało działań bogów, a także, jak dotychczas, i siebie samego.

(In the Face
of my Enemy)

wroga

Nie jestem z natury tchórzem, choć w każdym z nas z pewnością tkwi jego odrobina. Ta odrobina ujawniła się, gdy tylko rozpoznałam twarz człowieka, wysiadającego z wahadłowca. Był to mój szef, Ivan Carmody, we własnej osobie.

Są ludzie. I są też LUDZIE. Różnica leży w jakości, a nie w stanowisku i umysł chwyta ją natychmiast, bezbłędnie i w niewytłumaczalny sposób.

Zbliżał się człowiek, którego się bałam, ale moim obowiązkiem było objaśnić mu istnienie drugiego. I byłam ciekawa, czy to potrafię.

Miesiące spędzone przeze mnie na Campbellu były wypełnione dziwnymi doświadczeniami. Niektóre z nich, jak uważałam, lepiej było pominąć w moim raporcie. Ale to był Carmody. ON bowiem, jak się obawiałam, ON zażąda zdania sprawy ze wszystkiego. A co najgorsze, wiedziałam, że wszystko mu opowiem.

Miałam zbyt niskie stanowisko, by go kiedykolwiek spotkać osobiście - rzecz prosta do tej chwili - ale jako Sekretarz Spraw Pozaziemskich Carmody był najpóźniejszą osobistością w Narodach Zjednoczonych, i najbardziej malowniczą.

Gdy podszedł, zrozumiałam, czemu tak było. Był narzucającą się osobowością. Wysoki i żyłasty, z prośnymi, białymi włosami, zaczesanymi do tyłu i wielkim, zagiętym nosem, podobny był do starego orla. Grube szkła okularów jeszcze powiększały jego przenikliwe, zielone, szeroko otwarte oczy.

Jeśli sama jego obecność miała na mnie przemożny wpływ, to był on niczym w porównaniu z poleźnym wrażeniem, jakie wywarł, gdy przemówił. Miałam nadzieję, że potrafię się oprzeć tej sile.

- Kimberley Ryan - zagrmiał - czy to pani zarządza tym balaganem?

Rozejrzałam się wokół. Ulica była błotnista, budynki wypalone, urządzenia zdemolowane. Paru ludzi, którzy przyglądali się lądowaniu wahadłowca, rozprzeczło się na jego widok.

- Tak, sir. Objęłam tu dowództwo na zasadzie Paragrafu 309 Przepisów Stanu Wyjątkowego - powiedziałam z nadzieją, że cytuję właściwie. Czulałam jak ogląda mnie cała, wraz z prymitywną skórzaną odzieżą, zrobioną dla mnie przez Caseya. - To wszystko, co mi zostało, panie Sekretarzu. Reszta się spaliła.

- Chcę natychmiast usłyszeć pani raport, miss Ryan, o ile to jednak możliwe nie tu, na ulicy.

- Tak, sir. Możemy przejść do budynku kierownictwa Solar Minerals, do biura pana Meyersa. To znaczy do tego, ro z niego zostało. Zaprowadzę pana.

Odwrociłam się i ruszyłam wzdłuż ulicy, slarając się wybierać suchsze miejsca. Carmody szedł za mną.

- Gdzie jest Meyers?

- Nie żyje - odpowiedziałam. - Zastrzelił się, zanim osiedle... hmmm... zostało zdobyte, myślał, że obcy spalą budynek. Mógł natomiast posłać po pana Bigelowa. O ile mi wiadomo, on obecnie kieruje sprawami Solar.

- Nie. Chcę najpierw usłyszeć pani raport. Być może postawimy kierownictwo Solar, z panem Bigelowem włącznie, w stan oskarżenia.

Doszliśmy do budynku. Zaczęłam wspinać się na schody, zastanawiając się czy będą zdolne w obecnym stanie utrzymać ciężar dwóch osób. Ale Carmody wszedł na nie bez wahania.

Weszliśmy do gabinetu Meyersa i Carmody bez zaproszenia usiadł za biurkiem Meyersa, na fotelu Meyersa, nie zważając na to, że oparcie było jeszcze zbrzydzone zaschniętą krwią i maziem. Pochylił się nad biurkiem w moją stronę, opierając podbródek na rękach, zgarbiony, patrząc mi prosto w oczy.

- Proszę wsiąść krzesło, miss Ryan. Nie lubię patrzeć na ludzi do góry.

Przysunęłam do biurka jedno z prymitywnie skonstruowanych krzeseł i osłownie usiadłam, pamiętając o drzazgach; a gdy usadowiłam się już na tyle wygodnie, na ile mogło mi się udać w obecności tak przerażającej władzy, spytałam go, od czego mam zacząć.

- Od początku, miss Ryan, od chwili, gdy wyładowała pani na Campbellu. I proszę, niczego nie omijać, czy to jasne?

- Całkowicie. Jednak wszystko się zaczęło zanim tu przybyłam. Dopiero później się o tym przekonałam, pan Bigelow mi powiedział.

Carmody poklepał się palcami jednej dłoni po podbródku.

- Wszystko - powiedział.

- Na cóż, jest oczywiste, że on, to znaczy kapitan Corsetti -

dowódca „Wilmingtona”, miał rozkaz dać Meyersowi trochę czasu, zanim ja wyląduję. Jak tylko weszliśmy na orbitę, wywołał Meyersa przez radio i powiedział mi, że przybywam. To wskazuje, że kierownictwo Solar na Ziemi wiedziało o piramidzie i chciało ją ukryć przed...

- Proszę to pominąć. Ja się nimi zajmę. Chcę wiedzieć o tym Indianinie. Jak on się nazywa?

- Kah-sih-omah. Ale nazywamy go Casey. Gdzie pan o nim słyszał?

- Nieważne. Proszę mówić dalej.

- Tak, sir. No, ale cześć tego, co wiem, pochodzi z drugich ust, od Bigelowa i dopiero znacznie później się o tym dowiedziałam. W każdym razie od początku nie było zgody między mną a Meyersem. Wiedział, po co przybyłam, albo przynajmniej tak sądził, i wiedział również, że wkrótce może znaleźć się na lodzie, że jeśli dowiem się o piramidzie, będzie skończony.

- Proszę wstrzymać się od komentarzy, miss Ryan. Tylko istotne fakty.

- Staram się tylko przedstawić jego nastawienie, Mr. Carmody.

Carmody nie sprzeciwiał się więcej. Nic nie odpowiadał, uznałam więc, że mogę kontynuować, powtarzając dosłownie wszystko, co pamiętałam.

Zaczęło się dość niewinnie; po prostu podziękowałam Meyersowi za wyjście po mnie na przystań. Odpowiedział mi grubiaństwem.

- Nie po to tu przyszedłem, moja pani. Przyszedłem, żeby sprawdzić ładunek. Jeśli idzie o inne, to następnym statkiem może sobie państwo odlecieć z powrotem. A w ogóle, czego pani tu chce?

- Pan dobrze wie, po co przyjechałam, panie Meyers. Jestem tu, by przeprowadzić inspekcję ekologiczną. Zgodnie z przepisami prawa. Nie wolno otworzyć żadnej planety dla eksploatacji lub kolonizacji, zanim Komisja Ekologiczna Narodów Zjednoczonych na to nie zezwoli i nie określi niezbędnych ograniczeń. To moje zadanie, o'kay? Nie szukam z panem sprzeczki.

- Ani ja. Ale mam teraz dość pracy bez pilnowania pani czy tracenia czasu na pani oprowadzanie.

- Nie potrzebuje, by mnie ktokolwiek pilnował. Ani oprowadzał. Potrafię sama dać sobie radę. Nie zauważy pan nawet, że tu jestem.

Odwrociłam się, by odejść, a wtedy on schwycił mnie za ramię. Tak, że mnie to zabolęło i o to, jak sądzię, mu chodziło. Nie mogłam się wyrwać.

- Ręce przy sobie - ostrzegłam. - Jestem funkcjonariuszem Narodów Zjednoczonych. Może pan pójść za to do więzienia.

Puścił mnie, ale na ramieniu zostały mi wielkie czerwone ślady.

- Może pani postępować, jak się pani podoba, ale proszę zapamiętać, że na tej planecie jest 450 zdrowych robotników budowlanych i ani jednej kobiety. Niektórzy z nich nie widzieli kobiety od dwóch lat. Może ja nie zauważyłam pani obecności, ale zauważył każdy z nich, zanim wyjdzie pani z tej przystani.

Byłoby w porządku, gdyby na tym poprzestał. Ale nie zrobił tego.

- Oczywiście być może o to właśnie pani chodzi. Taka dziewczyna jak pani może przez te cztery miesiące pobytu zrobić tu majątek.

Zamachnęłam się, by dać mu w twarz i w tym samym momencie już wiedziałam, że to błąd. Zatrzymał mnie z łatwością olbrzymim łapskiem.

- Nic z tych rzeczy, moja pani. Na Campbellu prawo to ja. Jestem sędzią, ławą przysięgłych i całą resztą. Napad na mnie może kosztować przynajmniej trzy miesiące aresztu. Bigelow! - zawołał.

Zjawił się wielki chłop z zaspanymi oczami. Meyers nazywał go „Sroty”. Nie wiedziałam wówczas, że nie jest bynajmniej tak niewinny stworzenie, jak wyglądał. Bigelow był tutejszym architektem projektantem, kierownikiem budowy siatki lądowania. Ale miał też uboczne zajęcie: był półetatowym mordercą.

Meyers kazał mu natychmiast zaprowadzić mnie do biura kierownictwa budowy, więc poszłam za nim. Meyers nie załatwił tego zbyt chytrze, chociaż starał się ukryć swe prawdziwe zamiary. Udało mi się usłyszeć, że polecił Bigelowowi znaleźć mi jako ochronę osobistą kogoś możliwie wielkiego, brzydkiego i głupiego.

Wtedy jeszcze Bigelow wydawał mi się dość sympatyczny, chociaż i on dał mi do zrozumienia, że tu przeszkadzam. Mieli ustalone terminy robót i jakiegokolwiek, najmniejszych nawet, opóźnienie kosztowałoby konsorcjum ogromne sumy, które obciążyłyby inwestorów, angażujących swoje pieniądze w nadzieję na eksploatację bogactw mineralnych planety, gdy sieć lądowania zostanie ukończona. On zaś osobiście obawiał się o premie, których kierownictwo budowy nie otrzymałoby w wypadku niedotrzymania terminu ukończenia robót. I opowiedział mi też o rodzinie, którą wielkim kosztem utrzymywał na Ziemi.

Zostałam więc tam zamknięta w pokoju na zapleczu i było mi go żal. Było mi żal nawet Meyersa, choć go nie lubiłam. Na pewno byłam dla nich problemem i być może na ich miejscu, mając kogoś, kogo trzeba było chronić przed 450 potencjalnymi gwałcicielami, zachowywałabym się podobnie.

Żdawało mi się, że do powrotu Bigelowa upłynęły godzinny.

Moją rozrywką było wyglądanie przez jedyne okno pokoju. Wychodziło ono na błotnistą ulicę, odznaczającą się zupełnym brakiem ruchu. Wreszcie Bigelow pojawił się, a wraz z nim niezgrabny, powłóczyący nogami inżynier, uhrany w ogrodniczy kombinezon i sztywny kapelusz. Nie nosił koszuli i na miedziąnoskórce ramiona spadały mu spod kapelusza długie, czarne warokocze. Był równie ciężki, jak masywny. Bigelow wykonał otrzymaną rozkaz tylko w jednym punkcie: ten człowiek był wielki. Miałam wówczas nadzieję, że nie okaże się zbyt tępym, choć rozglądał się wokół gapowato, jak turysta. Nie był brzydki, był po prostu przeciętny.

Bigelow przedstawił go jako K. S. Omah.

- Cześć, mister Omah - powiedziałam.

- Nazywają mnie Casey - odpowiedział nieśmiało. - Miło mi panią poznać. Czy jest pani gotowa?

Podziękowałam Bigelowowi i zeszłam za Caseyem po schodach na ulicę, po drodze przyglądając mu się. Poruszał się jak cień, bez wysiłku czy pośpiechu i zaczął podziwiać wdziek, z jakim poruszało się jego masywne ciało. Znałam Indian już dawniej, a on bez wątpliwości był jednym z nich, na co wskazywał też orli nos i wystające kości policzkowe. Był dostatecznie wysoki i jasnoskóry, by uchodzić za Północnego Siuksa, jednak oni rzadko bywali tak potężnie zbudowani.

Nie rozmawialiśmy, zanim nie dotarliśmy do swoich apartamentów: foyer, kuchnia i dwie sypialnie, wszystko z nieheblowanego miejscowego drewna z paroma meblami z tego samego materiału.

- Nie jest to Hotel Ritz - powiedziałam - ale wystarczy.

I zaraz pomyślałam, że zabrzmiało to bardzo głupio. Rozejrzałam się. Mój bagaż był w większej sypialni. Zajrzałam do drugiej. Leżał tam zniszczony worek wojskowego typu. Zanim zdołałam zapytać, Casey odpowiedział:

- Mój. Mam pani pilnować bez chwili przerwy.

Rzekł to takim tonem, jakby rozumiał to dosłownie. Już miałam zaprotestować, ale powstrzymałam się i pomyślałam: „To jest rozsądne”. Co mi mogło grozić w jego obecności? Wyglądał dość sympatycznie. Powiedziałam więc zamiast tego:

- Dobrze, postaram się nie sprawiać panu kłopotów.

Na to bardzo niewinnym tonem odpowiedział:

- Zupełnie mi pani nie przeszkadza, miss Ryan. A co pani będzie tutaj robić?

- Jestem osobą wsadzającą nos w nieswoje sprawy. Casey. Czy nie powiedział panu tego?

↳ Potrząsnął głową z powagą i mruknął z rezerwą: - Nie.

↳ Uświadomiłam sobie, że staram się być złośliwa, odgrywać się na tym prostym człowieku za wrogię przyjęcie na przystani.

- Przepraszam - powiedziałam. - Chciałam powiedzieć, że mam tu zrobić inspekcję ekologiczną planety, ustalić, czy obecność człowieka nie wyrządzi jej szkody, czy nie zniszczy miejscowych form życia lub czy nie wystąpią niebezpieczeństwa dla przyszłych kolonistów i tak dalej. Rozumie pan? - Będzie musiała wyjeżdżać w teren, może po parę dni i przypuszczam, że pan też będzie ze mną.

- Tak, miss Ryan. Pojaję.

- Czy bywał pan już w terenie?

- Tylko koło bazy, nigdy dalej.

Początkowo ta odpowiedź mnie zaniepokoiła i rozżłościłam się, że Meyers nie dał mi doświadczonego przewodnika. Ale przemysławszy sprawę uznałam, że tak jest lepiej. Dzięki temu będę sama wybierać kierunek, a ten prosty człowiek mówił tak szczerze, że byłam pewna, że zechce i potrafi mnie obronić, nawet przed Meyersem.

- Świetnie, wyruszamy rano. Potrzebny nam będzie ślizgacz. Myślę, że będzie pan to umiał załatwić i że potrafi pan kierować.

- Owszem, miss Ryan, potrafię.

W świetle tego, czego dowiedziałam się później, moje następne pytanie było niepotrzebne, lecz wówczas tego nie wiedziałam, a Casey nie poczuł się dotknięty.

- Będziemy biwakować kilka dni, Casey. Musi pan postarać się o sprzęt i żywność. Przypuszczam, że ma pan pojęcie o biwakowaniu i gotowaniu.

- Jakoś dam sobie radę, miss Ryan. Dostane wszystko, co trzeba i będę gotów na rano.

Pomógł mi rozpakować się, po czym zostawił mnie za zamkniętymi na klucz drzwiami i zaczął przygotowywać nasz wyjazd. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, jakie poruszenie wywołało moje przybycie ani jak drastycznie posunięcia wykonali Meyers i Bigelow, by mieć pewność, że nie opuszcze Campbella z wiadomościami o piramidzie. Chociaż znajdowała się bardzo daleko, w gestii puszczy, a szanse, bym ją odnalazła, wyrażały się ułamkiem o astronomicznej ilości zer po przecinku, nie chcieli podejmować nawet tak znikomego ryzyka. Bali się, że jeżeli istnienie piramidy zostanie ujawnione, ich działalność zostanie zawieszona do chwili ustalenia czym ona jest. Może sądzili, że uznamy ją za znak, że jakaś inna rasa wcześniej zgłosiła roszczenia do Campbella i polecimy ewakuować planetę?

Już przedtem próbowali ją zniszczyć, ale bez rezultatu.

Współczesne materiały wybuchowe jej się nie linały. Człowiek nie był w stanie ani jej zbudować, ani zniszczyć. Później dowiedziałam się, że Meyers zastanawiał się nad możliwością zagrzebania piramidy w ziemi, ale moje niespodziane przybycie nie

zostawiło mu na to dość czasu. Wobec tego postanowili mnie zlikwidować, a wraz ze mną Caseya – wielkiego, łepęgi, przeznaczono na straty Indianina.

Alb wówczas tego nie wiedzieliśmy.

Z początku dzień był przyjemny, chociaż było nam obojgu, ubranym w szorty, zimno. Ale ta strefa Campbella leżała w tropikach i wkrótce zrobiło się gorąco, mimo chłodzącego nas powiewu od śmigieł ślizgacza. O zachodzie słońca dolecieliśmy do pagórków, wśród których było nieco chłodniej. Casey rozbił dla mnie namiot między drzewami, na kłaczce złożyły się przywieszone z osiedla zapasy. Casey, czy to z powodu nieśmiałości, czy dlatego, że tak wolął, odmówił korzystania z namiotu i zawiązał się w koc pod gołym niebem.

Pokazał w ten sposób, że las nie jest mu obcy. Ohnzwisko założył łachow, namiot stał prosto, z naciągniętymi mocno linkami, ustawiony na małym wzniesieniu dla spływu wody. Ogień płonął jasno i bez dymu, podsycały suchym, martwym drewnem. Jakieśkolwiek wątpliwości czy zastrzeżenia, które mogłam żywić wobec tego człowieka, znikły tego wieczoru. Spałam w namiocie tak spokojnie, jak za najlepszych czasów na Ziemi.

Lekki powiew poranny przyniósł mi do namiotu zapach świeżo zaparzonej kawy. Gdy wstałam, Casey pochylony nad ogniem gotował śniadanie. Otaczała nas gęsta mgła, spowijająca czubki drzew i zasłaniająca wschodzące słońce.

Casey podał mi parującą kubek. Spróchniałam, on zaś przez ten czas przełożył zawartość rondelka na dwa niedrzwane talerze. Jedzenie miało cudowny zapach, zaczęłam więc wciągać głęcho w płuća poranne powietrze Campbella. I powiedziałam:

– Casey, wiem po co tu przyjechałam. Powachaj to powietrze. Takiego, jak to nie ma już na Ziemi – nigdzie. Człowiek popsuł je głównie temu. Ale dopatrze, by nikt nie zepsuł go tutaj.

Podał mi talerz, który przyjąłam z wdzięcznością, ale nie nie odpowiedział. Zamiast tego, nim wrócił do swych zajęć, spojrzał mi w oczy. Czy miał w nich łzy? Może od dymu ogniska? Ale wówczas, rzecz prosta, nie wiedziałam jeszcze, że Casey już to wszystko znał.

Zjedliśmy, zwiniliśmy obóz, wytarliśmy rosę z fotoogniów ślizgacza i wystartowaliśmy w dalszą drogę. Drzew było teraz więcej i były wyższe. Rosły grupami, choć nie tak gęsto, by stałowiły już las. Były obwieszane jakimiś orzechami, którymi pasły się zwierzątka wielkości kotów. Pierwsze większe ich stado ujrzałam tego ranka. Były to czworonogi, ale miały bardzo zreczne przednie łapki. Biegły we wszystkie strony, zbierając i gryząc orzechy i nie zwracały na nas uwagi.

Niewiele wiedziałam o florze i faunie Campbella. Tu zaś, co wiedziałam, pochodziło ze sprawozdań pierwszych zespołów zwiadowczych, odwiedzających planety, a, jak wszystkie tego rodzaju raporty, zawierały one tylko to, co najbardziej rzucało się w oczy.

Ku własnemu zadowoleniu wykluczyły one istnienie życia rozumnego, co można było spokojnie założyć, ponieważ Campbell zdawał się być geologicznie młodszy od Ziemi i wobec tego miał niższe niż ona formy życia. Oczywiście występowało też zlewianie się ewolucyjnie, ale, przynajmniej na tym kontynencie, nie doprowadziło ono do powstania wielkich przeżuwaczy czy drapieżników.

Występujące na Campbellu białka były zorganizowane nieco inaczej niż ziemskie i wykorzystywały w swej strukturze inne aminokwasy. Większość z nich była po prostu nieużyteczna dla człowieka jako pokarm, ponieważ nie poddawały się one przemianom w ludzkich organizmach, niektóre zaś były wręcz trujące.

Tę noc obozowaliśmy u podnóża gór. Znow Casey rozbił namiot. Nie miałam ochoty zagłębiać się w notatki tak jak poprzedniej nocy i potem wcześniej udać się na spoczynek. Zaczynałam się przyzwyczajać do życia pod gołym niebem, ogarnął mnie nastrój przygody. Zdecydowałam, że pozapisuję wszystkie głupstwa na jutro, a dziś zamiast tego będę się cieszyć wszystkim, co powodowało, że podróż stała się dla mnie niezapomnianym wydarzeniem.

Dlatego wzięłam na siebie gotowanie, podczas gdy Casey poszedł do strumienia po wodę. Siedziałam przy ogniu, napawając się aromatem jedzenia i cichym, spokojnym urokiem rozgwieżdżonej planetarnej nocy.

Casey wrócił zaniepokojony. Najpierw nie chciał mi powiedzieć dlaczego. Ale ponieważ nie dawałam mu chwili spokoju, w końcu to wyjaśnił.

– To może nie mieć znaczenia – powiedział – ale znalazłem resztki ogniska.

Zaprowadził mnie tam i zbadaliśmy je w świetle latarki. Znajdowało się nad strumieniem: zwęglone kawałki drzewa, tak małe, że ledwie mogłam je dostrzec, rozrzucone dokoła i na wpół zagrzebane w piasku. Jemu jednak one coś mówiły, ja bym ich nawet nie zauważyła, a tym bardziej nie uznałabym ich za dowód hitnacji człowieka, nie rozumiałam więc jego niepokojów.

– No więc dobru! – powiedziałam w końcu – byli tu jacyś ludzie i rozpalili ogień. Czemu cię to denerwuje?

– Bo teraz muszę poszukać kości.

Schylił się i podniósł z piasku jakiś płytko zagrzebany przedmiot. Oczyszczył go. Była to czaszka podobnego do ryby stworzenia, wyglądała na zwęgloną.

– Stworzenia z tej planety są odmiennie do ziemskich. Niektóre

z nich można spokojnie jeść, choć są mało odżywcze i mają okropny smak. Większość jest jednak niebezpieczna. Te zaś są trujące, a wiłac, że zostały upieczone, a ich mięso zjedzone.

– Przez kogo? Jeśli ty o tym wiesz, to inni na pewno także.

– Tak. Wszyscy to wiedzą – teraz. Musiała to więc zrobić jedna z pierwszych grup balawczych, już nie żyjąca w czasie, gdy tutaj przyleciałem. Nie słyszałem, by od tej pory zaginał ktoś z hazy, a te resztki są stare. Przeszukam to miejsce jeszcze raz rano.

Zrobił to, ale nie znalazł nic, poza rylcami ośmi. Tego dnia odkryłam, że Casey potrafi być ponury, przygnębiony i zaniepokojony. Zachowywał się tak, jakby uznał znalezienie tych ości za zły znak. I tak okazało się naprawdę, gdyż i olknęło nas pierwsze nieszczęście.

Nagle nasz nawigator obliczeniowy okazał się martwym nawigatorem obliczeniowym. Odmówił pokazywania naszej pozycji na monitorze konsoli, wyświetlając wijące się przez całą szerokość ekranu linie. Nie udało się nam wydobyć z niego nic, poza słabym, anemicznie świecącym punkcikiem, który loczył się tam i z powrotem wzdłuż dolnej ramki.

– Umiesz to naprawić, Casey?

Jego spojrzenie było wymowniejsze od słów.

– Przekracza to moje umiejętności, nawet gdybym miał części zamienną i narzędzia. Będziemy musieli popracować – dostróić się do satelity nawigacyjnego i obliczyć naszą pozycję przy jego następnym przelecie. Proponuję, żebyśmy się nie ruszali z miejsca, zanim tego nie zrobimy.

Włączył radio i nacisnął czerwony guzik kanału nawigacyjnego. Czekaliśmy. Czas płynął, ale przechodzący po niebie satelita się nie odezwał. Casey zdjął osłone odbiornika bez odpowiednich narzędzi – nie było to łatwa robota. Spojrzał do środka i westchnął.

– Stąpiony. Tuner nieruchomiony. Był jakiś skok napięcia, huk elektrowni między płytami. Zespawały się. Jeśli poruszę je siłą, tuner się rozleci. Jeśli zaś nie, nie możemy się dostróić do częstotliwości satelity.

– Co jeszcze mamy? – zapytałam. Czulałam się wyjątkowo bezbronna, ponieważ moje wykształcenie nie obejmowało tego rodzaju spraw technicznych i brak mi było nawet takiego zasobu wiedzy, który pozwoliłby mi w pełni zdać sobie sprawę z trudności naszej sytuacji.

– Nic. Nawet kompasu. Współczesna nauka dawno temu zastąpiła takie rzeczy byle jakimi maszynkami. Obawiam się, że musimy się uciec do jeszcze prymitywniejszych metod.

Casey zmienił kurs, skierował się na wschód, uważnie śledząc cień ślizgacza na ziemi pod nami. Leżał kursem, który, jak miał nadzieję, powinien nas doprowadzić w pobliże bazy, odchyłając go lekko w prawo i starając się brać poprawkę na zmieniające się w ciągu dnia położenie słońca na niebie. Była to żmudna robota.

Nie odzywałam się, po części wiedząc, że jest bardzo zajęty, a po części z powodu ogarniającego mnie niezadowolenia z tak niepomysłnego przebiegu wypadków. Siedziałam więc, czując powiew wiatru we włosach i słuchając monotonnego brzęku śmigieł.

Usłyszałam trzask, najpierw ledwie słyszalny, ale z biegiem czasu coraz głośniejszy.

Casey też go usłyszał i nastawił uszu. Miał zaniepokojony wyraz twarzy, jakby spodziewał się ze strony maszyny nowych kłopotów. Wreszcie dźwięk zamilkł i Casey się uspokoił.

Leceliśmy ze słalą szybkością około czterdziestu pięciu węzłów przez blisko dwie godziny bez żadnych oznak, wskazujących na źródło tajemniczego hałasu. W ślizgacz, który ma konstrukcję i układ sterowania bardzo proste, niewiele może się zepsuć i oboje nie podejrzewaliśmy, że przyczyną słukania może być coś poważniejszego niż pęknięcie, który uwiązał w siatce ochronnej śmigieł.

Wtedy ukazała się skarpa. Groziło, że będzie się ona ciągnęła przez całe mile, prostopadłe do kierunku naszego lotu. Próba jej ominięcia, biorąc pod uwagę zawodność ludzkich zmysłów, mogła nas kosztować utratę orientacji w terenie. Wobec tego Casey zdecydował się zwiększyć wysokość i wspiać się na nią, by, wobec zbliżającej się nocy, rozbić obóz na płaskowyżu.

Lecz gdy zwiększył obroty dla uzyskania potrzebnej siły wznoszenia, stuk nagle powrócił. Stał się głośniejszym łuskotem, wkrótce dołączył się do niego pisk. Oba dźwięki przekształciły się wkrótce w łomoczącą wibrację. Chwyciłam za siedzenie, bojąc się wypaść na zewnątrz. Casey walczył, by to opanować, ale nie mógł wy równać lotu. W desperacji wyłączył silnik, a ślizgacz spadł jak kamień – jego pilaty nie wystarczająco do utrzymania nas w powietrzu bez pomocy śmigieł.

Leżące na linii naszego ostrego i szybkiego ślizgu drzewa runęły ku nam gwałtownie. Widziałam, jak Casey mocuje się z drążkiem sterowym, próbując nas skierować w stronę małej polanki koło strumienia, ale wiedziałam, że to się mu nie uda. Jeszcze patrzyłam z przerażeniem na jego walkę, gdy ziemia podskoczyła do góry, a my uderzyliśmy w nią pod ostrym kątem ze wstrząsem, który odczułam wszystkimi kośćmi. Suneliśmy ślizgiem po ziemi, wyrzucając w powietrze krzaki i kamienie i podnosząc chmurę pyłu i zwiru. Poczułam, że jakaś siła wyrzuca mnie w przód i wiedziałam, że uderzę w przednią szybę. Zrobiłam rozpaczliwy wysiłek, by schylić głowę.

Ujrzałam wszystkie gwiazdy i na chwilę poczułam smak krwi. A po tym przyszła ciemność.

HAJIME SORAYAMA

Nie wiem, jak długo trwała moja osobista noc. Obudziłam się, pośród nocy realnej, patrząc w górę ku usianemu gwiazdami niebu Campbella i czując, że mi mokro i zimno. Bolała mnie twarz, ręce i nogi. W ustach miałam nadal smak krwi, a parę moich przednich zębów chwtało się. Ale próbując poruszyć rękami i nogami doszłam do wniosku, że kości mam całe.

Zrobiłam wysiłek, by unieść głowę, poczułam fale bólu i znów opadłam na szorstki piasek. Zdecydowałam, że powtórzę próbę, ale znacznie wolniej. Tymczasem ruzejrzałam się w ciemności, zwracając głowę z boku na bok. Nie dostrzegłam wiele, poza słabym jarzeniem z prawej strony, w kierunku szczytu dalekiego pagórka. Gdy tak patrzyłam, zauważyłam, że pełnię onę w górę stoku i zrozumiałam, że jest to ogień. Cierpki zapach dymu potwierdził ten wniosek. I nagle przyszło mi na myśl, że nie wiem, gdzie jest Casey.

Nie zwracając już uwagi na ból podniosłam się na nogi i na próbę zrobiłam parę kroków. Potknęłam się. Wysiłkiem wzrok, by dojrzeć coś w ciemnościach bezkieszcycowej nocy. U nóg miałam bezkształtną masę. Nasz namiot? Nie, torba z zapasami, w każdym razie z ich częścią. Pachniała dziwnie, zrozumiałam, że jest nadpalona.

Zaczęłam ją obmacywać, chcąc znaleźć zapiecie i wydostać latarkę. Wtedy usłyszałam jęk Caseya. Leżał pod torbą, obejmując ją rękami. To one, a nie torba, były spalone.

Zaczęłam mocować się z torbą, starając się ją przesunąć w kierunku jego stóp. W końcu torba ześliznęła się na ziemię. Otworzyłam ją i gorączkowo przeszukiwałam zawartość, aż wreszcie poczułam pod ręką znajomy kształt.

Nacisnęłam guzik, zajaśniał ostry płomień światła. Ujrzałam opalone pnie drzew i pokrytą czarnym popiołem ziemię. Trawa, choć zachowała swój kształt, była zupełnie spopieleną i rozpadała się w pył pod tchnieniem wiatru.

Skierowałam światło na Caseya i dech mi zaparło z przerażenia. Ramiona trzymał ciagle w górze, jakby nadal obejmował torbę. Zamiast palców miał zwęglone kikuty. Ramiona były pokryte straszliwymi pecherzami i chociaż torba zasłoniła przed ogniem twarz i piersi, warkocz był spalony i resztkę włosów zwisała luźno z czaszki. Z głębokiej rany na czole obficie ciekła krew, spływając po szyi na ziemię i rozlewając się w czarną kałużę obok głowy.

Jęk był znakiem, że Casey żyje, jednak jego widok świadczył w jak okropnym jest stanie. W naszej torbie była tylko mała apteczka. Przeszukałam ją i nie znalazłam nic, co by się choć trochę nadawało w tym wypadku. Była tylko tuba galaretki antyseptycznej, którą posmarowałam najgorzej opalone miejsca na ramionach i dłoniach. Ale brakowało dużych opatrunków, nie było żadnych maści i tylko trzy ampułki morfiny dla ulżenia bólowi. Nie na długo by wystarczyły. Postanowiłam poczekać z ich użyciem do chwili, gdy będzie ich najbardziej potrzebował. Przykryłam go kocem i usiadłam obok, by się zastanowić nad własną sytuacją. Nic bardzo złego mi się nie stało. Parę małych guzów, skaleczeń i otarć naskórka, ogień zaś nawet mnie nie osmalił. Sądząc z tego, jak wyglądał przód mego bluzki, poleciał mi dużo krwi z nosa, ale choć mnie bolał, nie wyglądał na złamany.

Wstrząs mijał, a ja, siedząc samotnie, starałam się zrozumieć, co się stało. Wiedziałam, że ślizgacz musiał się rozbicić o skałę czy wielkie drzewo, że fotogniwa musiała potrzaskać, co spowodowało ich krótkie spiekanie, wskutek czego stopił się kadłub, co znów podsycało ogień. W pobliżu nie było widać szczątków ślizgacza, a więc Casey odciągnął mnie z miejsca wypadku, zanurzył w strumieniu i wyciągnął na piasek. Musiał być wtedy w pełni sił. Z tego, że nie byłam poparzona, a nawet osmalona, wynikało, że nie byłam ani chwili w ogniu. To znaczy, że Casey poszedł następnie do ślizgacza, by wydobyć torbę, a ogień musiał już wtedy gwałtownie się palić. Odniosł więc obrażenia, ratując torbę, ale czemu – zastanawiałam się – poszedł aż na takie ryzyko?

I wtedy przypomniałam sobie, że tutejsze pożywienie nie nadaje się dla człowieka. My potrzebowaliśmy ziemskiego. Powrót do osiedla bez ślizgacza potrwa całe tygodnie, wystarczająco długo, by umrzeć z głodu po drodze. Casey wiedział, że aby wrócić, potrzebna nam torba, że jesteśmy samotni i zgubieni, bez nadziei na ratunek. Dlatego wrócił do ślizgacza.

Na chwilę poczułam do niego złość za to, że w ten sposób oboje nas naraził na śmierć. Jego meski umysł podpowiadał mi, że musiał mnie ocalić przynosząc jedzenie, ale nie powiedział, że bez jego pomocy i tak nie mam przed sobą najmniejszej szansy. Gdy to zrozumiałam, w jakiś dziwny sposób wcale mnie to nie zaniepokoiło, a w każdym razie nie tak, jak myśl o tym, że będę go musiała pocieszać w ostatnich, co już było oczywiste, chwilach jego życia.

Casey nie poruszył się i dalej leżał pod kocem z rękami w górze. Nie wiedziałam, czy jeszcze żyje i długo wahałam się, zanim zmusiłam się do uchylenia koca.

Wstrząs byłby mniejszy, gdybym go ujrzała martwego z zamkniętymi oczami. Były otwarte. I rzecz niewiarygodna – poruszał nimi. Był przytomny i zadziwiająco opanowany, jakby na mnie rzekał.

Dość długo trwało, nim wreszcie byłam w stanie przemówić.

– Casey, mam morfina. Dam ci zastrzyk.
– Nie – odpowiedział pełnym głosem. Zupełnie to nie pasowało do strasznego bólu, który, jak wiedziałam, musiał odczuwać. – Zachowaj ją. Panuje nad tym. – Po czym zaniknął oczy.

Pamiętam, że powtarzałam sobie: „On bredzi”. Wybuchnęłam. Ja w każdym razie nad tym nie panowałam.

– Casey! – wołałam. – Twoje ręce! Nic z nich nie zostało. Co my pocznemy?

Spokojnie otworzył oczy, by mnie uspokoić. Znowu powiedział coś niezrozumiałego: – Poczekamy.

– Casey, jesteś zgubieni, o setki mil od bazy. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Ja nie potrafię nas tam doprowadzić. Nawet sama siebie nie potrafię, a co dopiero ciebie.

– Poczekamy! – prawie huknął na mnie. – Rozstaw namiot nade mną, a potem daj mi spać. I zmyj krew z twarzy. Wyglądasz okropnie.

Zamknął oczy, a ja znowu wpadłam w panikę. Czy to było majaczenie, czy też Casey był jakimś niewrażliwym na ból supermanem? Tak źle wyglądał, a mówił tak mocnym i zdecydowanym głosem. Przez długie minuty kleczałam schylona nad nim, patrząc jak jego pierś podnosi się i opada w głębokim, regularnym oddechu. Wreszcie przykryłam go znowu i poszłam zrobić, czego zażądał.

Zmyłam z siebie krew za pomocą maczanej w chłodnej wodzie strumienia apaszk, by następnie wrócić i umyć jego.

Zastanawiałam się teraz nad szansą na to, by wyzdrowieć, tak jak parę godzin temu zastawiałam się nad jego śmiercią. Jeśli wyżyje, będzie przez całe tygodnie bezradny. Spojrzałam na torbę z zapasami, która bynajmniej nie wyglądała na pełną i rozważałam na ile, przy największej oszczędności, wystarczą. Wycieczkę planowaliśmy na sześć dni. Teraz, gdy nie było ślizgacza po trwa ona raczej około sześciu tygodni – jeśli w ogóle przetrwamy.

Nadszedł poranek. Wstałam wraz ze słońcem, czując się trochę mniej rozbita niż wczoraj i już pogodzona z tym, co być musi. Casey spał nadal, wyglądając z zapadniętymi oczami i pociemniałymi powiekami na jeszcze bardziej wychudzonego. Ale jego rana! Rana zniknęła. Nie po prostu zmniejszyła się, lecz zniknęła, bez strupa, bez blizny, nawet bez zasinienia. Zrobiło mi się zimno.

Drżącymi rękami chwyciłam koc i ściągnęłam, odkrywając jego kościstą obecnie szyję i klatkę piersiową. Ona również wyglądała na zapadniętą, tam zaś, gdzie poprzednio zdobity ją silne muskuły, ostro sterczały żebra.

Spojrzałam na jego ręce, które leżały złożone na tułowiu ociekając, że ujrzę je w strzępach, może zgangrenowane. Spalona skóra złuszczyła się i odpadała płatami. Pecherze wyschły. Zamiast czarnej spalenizny patrzyłam na gładką, różową skórę bez śladu blizn.

Rozsądek mówił mi, że to niemożliwe, że to wszystko jest igraszką mej fantazji. Patrząc szeroko otwartymi oczami, nie wierząc w to, co widzę. Potem spojrzałam na jego dlonie, wczoraj spalone, popekane, ociekające płynem (kankowym). W ostatniej chwili słumiałam wyrywający mi się z gardła wrzask. Puls głośno łomotał mi w skroniach.

Dłonie były nietknięte, gładkie i różowe, brakowało im tylko paznokci, ale i one zaczynały już kiełkować na rżubkach palców. Wypuściłam koc z ręki i uklekałam obok tego dziwnego nowego Caseya myśląc o tym, co ujrzałam. Byłam przekonana, że to nie może być prawda. Nagle przyszło mi na myśl pytanie: jeśli to jest halucynacja, to czy prócz wzroku obejmuje też dotyk? Jakaś obłąkana ciekawość zmusiła mnie do wyciągnięcia ręki. Dotknęłam – ale nie spalonych na węgiel resztek, lecz ciepłego, jedynego ciała, w którym bił puls, słaby, ale regularny. Tym razem nie opanowałam ostrego, przenikliwego krzyku. Wyrwał mi się z gardła, napełniając echem dolinę.

Casey poruszył się. Otworzył oczy i uśmiechnął się słabo, zupełnie zacierając demoniczny obraz, który już zaczęłam tworzyć w wyobraźni. Stał się znowu człowiekiem. Mój lek się rozwił. Przykryłam go przy nim, trzymając go za rękę i czekając aż zbierze dość sił, by przemówić. Czy to, co widziałam, było cudem czy nie, byłam temu wdzięczna.

Poruszył wargami. Najpierw bezgłośnie, ale gdy pochylałam się nad nim i wysiliłam słuch, odezwał się zrozumiale.

– Panuje nad tym – powiedział. – Odbudowałam się, zastąpiłam zniszczoną tkankę nową. Ale zużyłam przy tym wszystkie rezerwy mojego ciała. Trzeba je odnowić. Pomóż mi.

Oczywiście miał na myśli swoje wychudzenie. W jakiś sposób umiał przemieszczać zdrowe tkanki na miejsce zranionych, być może z wielkim niebezpieczeństwem dla całości organizmu i teraz musiał go ochronić. Ale co ja miałam dla niego zrobić?

– Jak, Casey? Powiedz mi, jak?

– Potrzebuje białka i to dużo. Muszę jeść mięso.

Chciałam wstać. – Przyniosę ci, Casey.

Mocnym uściskiem przytrzymał mnie za rękę.

– Nie – powiedział – nie z zapasów. Te są dla ciebie. Potrzebujesz ich.

– Wtedy skąd je wziąć?

– Ze strumienia. Tam pływa żywność.

Joseph H. DELANEY

W 1953 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1954 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1955 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1956 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1957 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1958 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1959 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1960 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1961 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1962 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1963 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1964 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1965 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1966 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1967 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1968 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1969 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1970 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1971 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1972 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1973 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1974 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1975 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1976 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1977 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1978 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1979 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1980 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1981 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1982 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1983 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1984 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1985 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1986 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1987 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1988 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1989 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1990 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1991 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1992 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1993 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1994 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1995 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1996 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1997 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1998 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 1999 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2000 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2001 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2002 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2003 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2004 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2005 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2006 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2007 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2008 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2009 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2010 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2011 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2012 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2013 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2014 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2015 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2016 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2017 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2018 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2019 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2020 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2021 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2022 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2023 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2024 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2025 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2026 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2027 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2028 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2029 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2030 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2031 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2032 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2033 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2034 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2035 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2036 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2037 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2038 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2039 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2040 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2041 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2042 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2043 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2044 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2045 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2046 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2047 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2048 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2049 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2050 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2051 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2052 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2053 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2054 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2055 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2056 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2057 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2058 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2059 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2060 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2061 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2062 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2063 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2064 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2065 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2066 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2067 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2068 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2069 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2070 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2071 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2072 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2073 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2074 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2075 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2076 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2077 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2078 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2079 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2080 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2081 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2082 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2083 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2084 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2085 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2086 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2087 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2088 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2089 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2090 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2091 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2092 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2093 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2094 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2095 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2096 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2097 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2098 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2099 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2100 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2101 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2102 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2103 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2104 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2105 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2106 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2107 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2108 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2109 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2110 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2111 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2112 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2113 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2114 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2115 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2116 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2117 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2118 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2119 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2120 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2121 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2122 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2123 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2124 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2125 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2126 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2127 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2128 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2129 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2130 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2131 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2132 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2133 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2134 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2135 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2136 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2137 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2138 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2139 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2140 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2141 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2142 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2143 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2144 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2145 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2146 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2147 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2148 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2149 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2150 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2151 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2152 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2153 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2154 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2155 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2156 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2157 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2158 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2159 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2160 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2161 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2162 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2163 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2164 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2165 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2166 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2167 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2168 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2169 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2170 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2171 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2172 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2173 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2174 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2175 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2176 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2177 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2178 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2179 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2180 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2181 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2182 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2183 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2184 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2185 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2186 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2187 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2188 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2189 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2190 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2191 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2192 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2193 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2194 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2195 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2196 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2197 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2198 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2199 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2200 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2201 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2202 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2203 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2204 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2205 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2206 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2207 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2208 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2209 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2210 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2211 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2212 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2213 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2214 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2215 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2216 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2217 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2218 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2219 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2220 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2221 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2222 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2223 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2224 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2225 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2226 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2227 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2228 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2229 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2230 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2231 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2232 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2233 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2234 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2235 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2236 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2237 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2238 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2239 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2240 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2241 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2242 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2243 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2244 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2245 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2246 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2247 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2248 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2249 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2250 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2251 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2252 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2253 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2254 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2255 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2256 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2257 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2258 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2259 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2260 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2261 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2262 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2263 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2264 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2265 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2266 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2267 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2268 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2269 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2270 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2271 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2272 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2273 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2274 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2275 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2276 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2277 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2278 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2279 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2280 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2281 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2282 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2283 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2284 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2285 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2286 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2287 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2288 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2289 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2290 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2291 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2292 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2293 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2294 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2295 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2296 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2297 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2298 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2299 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2300 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2301 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2302 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2303 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2304 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2305 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2306 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2307 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2308 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2309 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2310 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2311 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2312 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2313 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2314 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2315 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2316 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2317 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2318 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2319 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2320 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2321 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2322 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2323 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2324 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2325 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2326 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2327 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2328 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2329 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2330 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2331 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2332 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2333 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2334 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2335 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2336 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2337 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2338 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2339 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2340 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2341 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2342 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2343 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2344 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2345 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2346 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2347 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2348 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2349 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2350 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2351 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2352 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2353 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2354 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2355 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2356 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2357 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2358 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2359 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2360 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2361 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2362 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2363 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2364 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2365 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2366 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2367 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2368 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2369 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2370 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2371 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2372 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2373 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2374 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2375 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2376 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2377 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2378 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2379 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2380 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2381 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2382 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2383 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2384 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2385 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2386 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2387 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2388 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 2389 roku opublikował powieść „On bredzi”. W 239

- Ryby? Przecież powiedziałeś, że są trujące.
Ciagle kłeczalam, trzymając go za reke.
- Dla ciebie tak, ale nie dla mnie. Ja moge je strawić, a trucizne zneutralizować. Ty nie. Posłuchaj mnie, widziałeś, że jestem inny. A teraz rób, o co proszę.

Jego głos, choć słaby, był rozkazujący. Zeszłam do strumienia, by nalapać rybowych stworzeń, uwieczonych w zakolu. Z zapasowej garderoby i sprężystego korzenia zmaistrowałam siatkę, którą wyrzucałam bezradne zwierzęta na brzeg, aż wyłapałam wszystkie. Wtedy rękami wykopałam w piasku i miękkim mule kanał do głównego nurtu, by ze strumienia napłynęło ich więcej.

Śmierdziały straszliwie, płacząc się na różnie. Nie wiedziałam, jak je oczyścić. Na Casey'u nie zrobiło to żadnego wrażenia, pożarł do ostatniego kęsa wszystko, co mu podałam. Przez cały dzień jadł wszystko, co udawało mi się złapać, przeplatając te obrzydliwe posiłki krótkimi drzemkami.

Do zachodu słońca odzyskał już siły na tyle, że mógł siedzieć.

- Jutro - powiedział - będę polował.

Wstałam późno, słońce stało już wysoko na niebie: Casey'a nie było. Znalazłam go przed namiotem, zupełnie odmienionego. Nadal szczupły i wychudzony, ale już zdrowy i bez śladów uszkodzeń ciała, stał przede mną w irchowych mokasynach i z irchową przepaską na smukłych biodrach. Włosy, teraz zbyt krótkie, by je spleść w warkocz, związałam wstażką materiału. Wszystko to, wraz z niezwykle naszyjnikiem, zwisającym na piersi, bez wątpienia wyciągnął z głębin swej starej torby wojskowej.

- Żeby węzowe - powiedział wskazując naszyjnik - na szczęście. Jeden z moich talizmanów. Przydałoby się nam trochę szczęścia, przynajmniej dla odmiany.

- Też tak sądzę - odrzekłam.

Z zaostrożnego kolka namiotowego i kija Casey majstrował coś w rodzaju oszczepu.

- Szczęście, czy jego brak - powiedział - nie miało nic wspólnego z naszymi wypadkami. To był sabotaż.

Długo wlepiłam w niego oczy, zanim udało mi się przemówić.

- Ale jak i kto?

- Nie mam pewności w stosunku do instrumentów pokładowych. Niewiele z nich zostało. Ale w łóżyskach śmigiel znalazłem pełno szmerglu. To dlatego zawiódł napęd.

- Ale kto? Kto mógłby chcieć nas zabić?

- Nie nas, ciebie. Kłopotliwiec to był, ja jestem dla niego niczym. A ty zagrasz komuś w bazie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ten ktoś obawia się, że możesz znaleźć tutaj coś, co uniemożliwi im eksploatację tej planety.

- Ale co? Z całą pewnością nie znalazłam dotychczas niczego, co by taki zakaz usprawiedliwiała, chyba że... - Przyszło mi coś do głowy. - Casey, jak długo jesteś na Campbellu?

- Około trzech lat, przybyłem z pierwszą załogą bazy.

- A robiłeś wycieczki po planecie?

- Oczywiście, choć nigdy tak daleko od morza.

- Widziałeś może... albo przynajmniej słyszałeś o jakichś wyższych gatunkach na tym terenie?

- Nie, nigdy. Czemu pytasz?

- Ponieważ - odpowiedziałam, ciągle niepewna, czy to była prawda, czy tylko złudzenie - zdaje mi się, że zeszłej nocy widziałam ogień, daleko na skarpie.

- Może widziałeś poszukującą nas wyprawę ratunkową?

- Ale oni przecież nie wiedzą, co się z nami stało. Jeszcze nie przekroczyliśmy terminu powrotu. A jeśli to byli ludzie, to czemu do nas nie przyszli? A może to nie byli ludzie. To wielka planeta. I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę niski stopień rozwoju form życia na Campbellu, nie można jednak wykluczyć pojawienia się tutaj rozumu. Umiejętność rozpoznania, czy bodaj korzystania z ognia, wymaga już dość wysokiego poziomu inteligencji. Znacznie wyższego, niż u wszytkiego, na co dotychczas się nakłoniśmy. Zaś - dodałam - istnienie miejscowych form życia rozumnego stanowi aż nadto dostateczną przyczynę, by mnie zabić. Wtedy planeta byłaby własnością tuziemców, a Solar Minerals wywalono by stąd na zbyty leć.

- Powiedz mi, gdzie widziałeś ogień, Kim.

Wskazałam to miejsce na skarpie, jak mi się zdawało dość dokładnie. Czy Casey zwrócił się do mnie po imieniu?

- To tam - powiedziałam. - Tam, gdzie ta ciemniejsza plama.

- Wobec tego pójdziemy w tamtym kierunku. Teraz jedź, a ja przygotuję pakunki. Obawiam się, że musimy zostawić namiot i mieć potrzebne rzeczy, by багаж był lżejszy.

Przez cały dzień wędrowaliśmy przez zarośla, ciągnące się od podnóża gór aż do skarpy. Chcieliśmy osiągnąć jej podstawę, lecz leżała dalej niż się początkowo wydawało. Droga była trudna, marsz utrudniały nam zwarte gąszcze i kamieniste wąwozy. Gdy na koniec zatrzymaliśmy się na biwak przy strumyczku, Casey nie pozwolił rozpałać ognia. Zjedliśmy zimny posiłek, a potem Casey wziął się do pracy, splatając z olinowania namiotu i rozstawiając nad wodą siatki na zwierzyne.

Gdy słońce zaszło, leżeliśmy w ciemnościach, przytuleni pod kocami. Choć byłam wyczerpana, nie mogłam zasnąć, gdyż trapiły mnie wątpliwości, czy nawet przy cudownej sprawności Casey'a jako leśnego człowieka, dostrzeżemy kiedykolwiek do brzegu

morza. A poza tym doszedł do wniosku, że już potrafię zdobyć się na odwagę i postawić pytanie, które nurlowało mnie od chwili katastrofy, pytanie, którego bałam się postawić, nie wiedząc, czy potrafię znieść odpowiedź - jeśli ją otrzymam.

Dłatego więc, działając pod wpływem impulsu, bez namysłu wyrzuciłam je z siebie tak szybko, bym nie mogła się już pohamować:

- Czym ty jesteś, Casey?

No więc stało się. Nie odpowiedział od razu. Milczał dłuższą chwilę, potem westchnął.

- Jestem Kah-sih-omah, w języku moich ojców - Ten-Kłóry-Czeka.

Podniosłam się, oparłam na lewym łokciu i spojrzałam mu w twarz.

- Nie - powiedziałam. - Nie kim, lecz czym jesteś, Casey. Wiesz, o co pytam. I jesteś mi winien prawdę.

Znow milczał przez chwilę, jakby się namyslał, czy w ogóle coś powiedzieć. Znowu westchnął.

- Masz rację, Kim. Rzeczywiście jestem ci ja winien. Ale obawiam się, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. Sam już nie pamiętam, ile razy je sobie stawiałem.

Rozzłościłam się na niego, czerpiąc odwagę ze zniecierpliwienia.

- Nie mów zagadkami, Casey. Nie jesteś ani nigdy nie byłeś typym Indianinem, którego udajesz, choć grasz tę rolę celująco. Przypnij, że jesteś więcej niż człowiekiem. A teraz powiedz prawdę - czym jesteś?

Nie przyjął do wiadomości, że się gniewam. Niemniej jego odpowiedź była pełna smutku, głos mu się dziwnie zalaamywał.

- Mówię prawdę, Kim. Nie wiem, czym jestem, a nawet nie wiem dokładnie, w jaki sposób się takim stałem. Powiem ci tyle: nie jestem już człowiekiem, którym kiedyś, dawno temu, byłem. Żyje już bardzo długo. Może nigdy nie będę mógł umrzeć, jakkolwiek bym tego pragnął.

Uderzyła mnie straszna myśl.

- Ryby, Casey! Czy jadłeś je po to, by się otruć i znaleźć śmierć?

W wyobraźni ujrzałam samą siebie kolo jego rozkładającego się trupa.

- Nie, Kim. Jadłem, by nabrać sił, wiedząc, że nie przyniesie mi to szkody. Desperacko chciałem żyć, bo wiem, że jestem ci potrzebny.

Zawstydzilo mnie to tak, że zamilkłam. Ale Casey, raz zacząwszy, kontynuował, jakby bardzo zależało mu na wyjaśnieniu, na podzieleniu się z kimś tą sprawą.

- Już to dawniej opowiadałem - powiedział. - Niektórzy mi uwierzyli, inni nie. Dzieliłem się tą zaskoną opowieścią z przyjaciółmi i osiągnąłem tylko tyle, że widziałem, jak się starzeją i wiedną i opuszczają mnie. Zostawiali mnie samotnego, oddzielnego od wszystkich najokrutniejszą zaporą - czasem. Jestem uwieczony w wiecznej terażniejszości.

Jego głos przybrał odcień skargi. Był w nim wielki smutek, rozczarowanie, które starał się z wielkim wysiłkiem opanować.

- Wielokroć zaczynałem życie na nowo i byłem wielu ludzi w czasie, który już przeżyłem. Na początku byłem z pewnością zwykłym człowiekiem, ze wszystkimi ludzkimi niedomaganiem. Zestarzałem się jako człowiek, ale potem nagle znowu byłem młody i takim już pozostałem, chociaż moge wyglądać na tyle lat, albo na takiego człowieka, jak mi wygodnie.

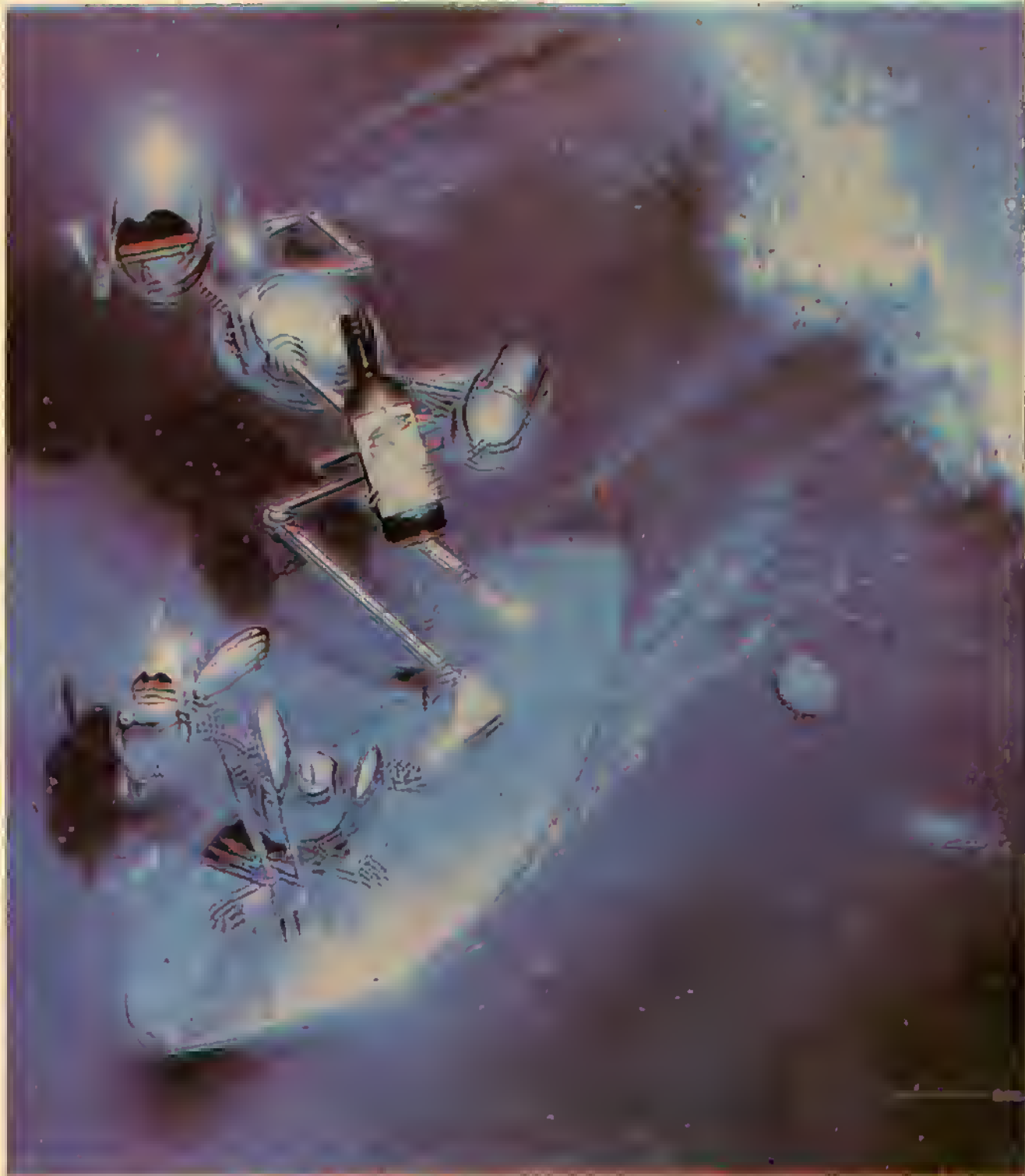
Byłem szamanem mego plemienia, jego znachorem. To pamiętam, tak samo jak pamiętam wszystko, co zdarzyło się przed wizją i wszystko, co nastąpiło po wizji, która mnie przemieniła. Poszedłem na szczyt góry, by pościć w nadziei, że duchy do mnie przemówią. Czekalem przez wiele dni i nocy, ale milczały. Wypiłem więc kubek wody z rozpuszczonym w niej duchem świętego grzyba. Sprowadza on halucynacje, co czyni sprawę mego przemienienia jeszcze bardziej złożoną, gdyż nie wiem, co z tego zdarzyło się naprawdę, a co było złudzeniem. Pamiętam przerażający płomień i straszliwy, palący ból, a po nim zadowolenie, płynące z tak wielkiego wewnętrznego spokoju, jakiego nigdy nie znalazłem. Wierzyłem wówczas, że znalazłem się w obliczu Boga.

Gdy wizja się zaczęła, byłem człowiekiem, może sześćdziesięcioletnim, a może jeszcze starszym. Moje plemię nie znało dokładnej rachuby czasu, lecz u ludzi mego pokolenia podeszły wiek był bardzo szanowany. Gdy się obudziłem, wyglądałem prawie tak, jak teraz i plemię mnie nie poznało, choć im powiedziałem, że jestem Kah-sih-omah. Moja żona i dzieci wyrzekły się mnie. Byłem dla nich obcym, który magicznym sposobem posiadał bezcenne tajemnice rodzinne i pokonał Kah-sih-omaha. Miałem przy sobie jego woreczek z lekami, byłem więc pożytejszy niż on. I z przesadnym strachem wypędzono mnie, grożąc śmiercią.

Nie wiedziałem wówczas, że jestem nieśmiertelny, więc jeszcze bałem się śmierci.

Błądziłem po kraju jako wyrzutek, może przez tysiąclecia, na pewno przez wieki. Przekonałem się, że moge w dość szerokim zakresie przybierać różne sylwetki i rysy twarzy, choć gruntowne zmiany były uciążliwe i wymagały olbrzymiego wysiłku, by je utrzymywać. Mniejsze zmiany stały się moim nawykiem i dokonywałem ich prawie bez trudu, dlatego mogłem się dostosować do wyglądu każdego plemienia, nauce się jego języka i obyczajów i żyć jak oni. Do czasu aż zauważyli, że się nie starzeję. Razdał jednak znowu stać tak długo w jednym miejscu, więc z bie-

HAJIME SORAYAMA



giem lat, nie miałem już własnego imienia. A czas, który zmienia ludzi, zmienia też kultury. Nawet moje plemię straciło swą tożsamość.

Gdy byłem młody, mamuty wędrowały po obu Amerykach. Z czasem odeszły i one, a ja dobrze już znałem oba kontynenty i wszystkich, co na nich żyli. Z każdym rozmawiałem w jego języku i wterzyłem wówczas, że znam już cały świat.

Wtedy dowiedziałem się o wielkich, dzikich cudzoziemcach, którzy pojawili się na dalekiej północy. Ogromni, połączni zbudowani Wikingowie z białą skórą i włosami na twarzy, którzy używali żelaznej broni i narzędzi, przywiezionych z krajów za wschodnim morzem. Poszedłem na północ, przybrałem ich wygląd i żyłem wśród nich. Ale kraj okazał się dla nich zbyt surowy, a odległość zbyt wielka. Gdy odpływali, popytnałem z nimi.

Dopiero w Europie zacząłem naprawdę rozumieć, jak cieżkie jest moje brzemię, gdyż Europejczycy mieli rzeczywiste pojęcie o upływie czasu. Tutaj też po raz pierwszy zetknąłem się z mesjanistycznymi, odkupicielskimi religiami Bliskiego Wschodu. Była

to epoka wrzenia. Islam i chrześcijaństwo zwalczały się na polach bitew, powołując się przy tym na posiadanie prawdziwej nauki o losie człowieka.

Musiałem poznać sens mego istnienia. Przez pewien czas sądziłem, że znajdę odpowiedź na Wschodzie i poszedłem tam, poszukując celu, któremu służy moje istnienie. Ale nikt nie chciał ani nie mógł mi tego powiedzieć. Zacząłem dostrzegać, że te odpowiedzi, jakie potrafili dać, były bardzo płytkie. Istnieli prorocy, lacy, jakim ja kiedyś byłem, których działania przyjęły formy kuliów i ugrzeżyły w bagnie bezrozumnych dogmatów. Znałem dobrze sposoby magów. Rozumiałem zarówno motywacje ich działania jak i sposoby, w jakie chytry, leniwi ludzie fałszują szlachetne idee, używając ich dla zdobycia bogactw i potęgi.

Nie pragnąłem ani jednego, ani drugiego, porzuciłem ich więc i podążyłem w dalszą podróż do Indii. Tam, choć góry przesadnych głupstw były jeszcze wyższe, pozostałem przez sto czy dwieście lat, badając je dokładnie i znajdując wiele dobrego. Nie znalazłem wprawdzie odpowiedzi, ale jednak natknąłem się na

cos pomocniczego; naprawdę realistyczne pojęcie ogromu czasu, obejmujące zarówno jego początek, jak koniec.

I wtedy pojąłem, że nie jestem prawdziwie nieśmiertelny, że któregoś dnia znajdę koniec, jeśli nie z końcem Ziemi, to ze śmiercią Wszechświata. Pojąłem też, że choć życie mimo wszystko jest czymś skończonym, mnie będzie się ono wydawało nieskończone. A przecież gdzieś w tej nieskończoności – gdzieś, gdzie nie sięga wzrok ani rozum – objawi mi się cel mego istnienia.

Tak więc czekam na znak i czekać będę przez wieki, przygotowując się najlepiej jak umiem do tego, co musi nailejść. Teraz już wiem, że moje przeznaczenie się zbliża, ale w oczekiwaniu na nie jestem samotny.

Casey zamilkł. Przytuliłam się do niego, by go pocieszyć. Choć byłam nieskończenie małym ułamkiem tego, czym był on, przyjął to pocieszenie i na chwilę samotność, którą odczuwaliśmy oboje, odpłynęła i na chwilę została zapomniana.

W świetle dnia mogłymi zaryzykować rozpalenie ogniska. Casey wrócił z obchodu, siadł z jednym z orzechów i ostrzem oszczepu splamionym krwią.

Wbił oszczep w ziemię, by był pod ręką i za pomocą noża z kompletu wycieczkowego zaczął obdzierać zwierzę ze skóry. Choć ubiegłej nocy mówił tak wiele, teraz był dziwnie milczący. Skończył oprawiać zwierzę, wbił ją na rożen nad ogniem, a jejita umył w strumieniu. Pomyslałam, że może żałuje, iż otworzył przede mną serce.

Wrócił, niosąc w rękach szklistą masę, którą wepchnął do plastikowego słoika i obficie posolił. Potem wziął ode mnie rożen i obracał go z wolna, aż mięso nabrało jednolicie brązowej barwy i zaczęło trzeszczeć, kąpiąc tłuszczem.

Palrzyłam, jak oderwał kawałeczek i przeżuł go starannie, potem pojął.

– Możesz to bezpiecznie jeść – powiedział. – Nie zaszkodzi ci, a musimy teraz korzystać ze wszystkiego, ro uda się zdobyć, jeśli mamy jakdykolwiek dotrzeć do bazy.

Dziwne słowa. Ton jego głosu zapowiadał coś złego, ale nie wypytывала go. Wiedziałam już, że jeśli Casey chce coś ujawnić, robi to we właściwym czasie i według własnego uznania. Zjadłam, ro mi dał i było to smaczne.

Następnie, gdy zwiłżalam obozowisko, Casey oskrobał i nasolił skórę zwierzęcia. Zwiłżnął ją i zwiłżnął rzemieniem.

– Chłdź – powiedział, biorąc swój pakunek i oszczep. Poszedł w stronę rozbitego ślizgacza.

– Casey – powiedziałam zdumiona – to nie ten kierunek.

– Wiem, ale chłdź ze mną. Muszę ci coś pokazać.

Poszłam za nim, czując jego zaniepokojenie, aż do strumienia, gdzie był kawał ubitego piasku. Zatrzymał się i pokazał na ziemię.

– Popatrz – powiedział, wskazując na ślady na piasku. – Coś nas tropi.

Ogarnął mnie lek.

– Co... kto?

– Nie wiem. To nie człowiek, ale i nie zwierzę. Zastawiłem cztery sidła. Zwierzyna złapała się we wszystkie, ale trzy okradziono. Tylko najbliższe naszego ogniska pozostało nietknięte.

– Może jakies zwierzę...

– Nie. Zwierzeta przegrzają albo zrywają sznury. Nie rozplątuja węzłów. Zahijają zębami albo pazurami, nie palcami. Złodziej miał kamienną siekiere. Położył ją na ziemi, gdy podbierał naszą zdobycz. Stąpił na nią, zostawiając jej odbicie na piasku. To są rzemienie, wiążące ostrze z trzonkiem. Zauważ odciski jego stóp, nie były białe, lecz brązowe. Gdy stworzenie przykłękało na jedno kolano, nie zostawiło na piasku odbicia palców u nóg.

– Wiem na Campbellu są istoty rozumne. A Solar Minerals wie o tym. Miałeś rację mówiąc, że chcą mnie zabić.

– Tak się wydaje. Ale teraz grozi nam nowe niebezpieczeństwo, jeszcze więcej wrogów. Dlatego muszę sporządzić broń i może będę musiał zabić, choć się tym brzydzę. Ale chłdź już, trzeba wyruszać w drogę. Tu już się niczego więcej nie dowiem.

Przez cały dzień maszerowaliśmy wytrwale.

– Jutro – powiedział Casey – będziemy już uzbrojeni i przygotowujemy się do wspinaczki.

Tej nocy, gdy zapadły ciemności, zasnąłam w jego ramionach, z przekonaniem, że jestem bezpieczna mając obrońcę o wiele lepiej uzbrojonego niż jakikolwiek wróg, który się ku nam podkradał.

A później, w ciemności wewnątrz jaskini, spotkaliśmy się z wrogiem. Coś mnie nagle odrzuciło na bok, wyrwaną ze snu wrzaskiem, którego nie mogło wydać ludzkie gardło. Odpelzłam z zasięgu młocących wokół nóg i schwytałam latarkę z mego pakunku, oświetlając nią wnętrze jaskini.

Casey walczył z niezdanym olbrzymem, sięgającym niemal stropu jaskini. W jednej ręce miał kamienną siekiere, drugą trzymał Casey'a za gardło.

Casey odpychał siekiere jedną dłonią, drugą tłukł napastnika. Jego wróg był potężny i zdecydowany i pchał Casey'a plecami na ścianę, choć ten z napiętymi jak węzły muskulami stawiał opór. Spychany wstecz ryl stopami głębokie ślady w piasku dna groty.

Odskokczyłam na bok, oni zaś walczyli obok mnie. Omiotłam

grote światłem latarki w obawie, że inni wrogowie mogą próbować się wdrzeć. Starałam się wymyślić, jak pomóc Caseyowi. Nie był przecież słabeuszem, ale nie odzyskał jeszcze pełni sił.

W kącie stał huk i kolczan, ale nie umiałam ich używać. Lecz obok tkwił ostrzem w piasku oszczep. Podbiegłam i wyciągnęłam go właśnie w chwili, gdy dziwny dźwięk dobiegał do moich uszu. Poświeciłam w stronę ściany. Przeciwnik Casey'a podciął moją nogę i dźwięk był uderzeniem jego głowy o skałę.

Światło na chwilę oszłolowało stworzenie. Odwróciło się, by spojrzeć na mnie. Na chwilę sparaliżowało mnie przerażenie na widok jego twarzy, ale gdy znów zwrócił się do Casey'a, wiedziałam już, co robić. Podniosłam oszczep i wbiłam jego ostrze głęboko w środek pleców napastnika.

Znowu rozległ się mroźny krwaw w żyłach wrzask, ale trwał tylko chwile. Z rany pociekł na ziemię potok różowopomarańczowego płynu. Stworzenie zapadło się odcinkami, jak gumowa zabawka z wypuszczonym powietrzem. Siekiere upadła z łoskotem na ziemię.

Casey podniósł się z trudem. Chwycił moją latarkę i skierował ją na umierającego obcego, dziwnie rozpalzonego na dnie groty i z każdą chwilą bardziej płaskiego. Moje nerwy nie wytrzymały. Padłam na kolana i wybuchnęłam płaczem. Casey podszedł i zaczął mnie uspokajać. Przez dłuższy czas starałam się coś wykrztusić, ale słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Gdy wreszcie mi się udało, były to wyrzucane bez tchu urywki.

– Casey – aaa – co to jest?

– To istota, która okradła nasze sidła, jak sądzę. Tropił nas, prawdopodobnie tym – wskazał na jego długi ryj. – Takie nosy mają wszystkie ziemskie stworzenia o ostrym węchu. Wolałbym, żebyś go nie zabila.

Nagle poczułam się dotknięta.

– Przecież byłeś blisko przegranej, Casey. Musiałam coś zrobić.

– Jego budowa jest mi obca. Potrzebowałam czasu, by wykryć jego słabe strony, dlatego rofałem się do ściany. Pomimo wzrostu jest znacznie słabszy od człowieka. Zauważ, że jest pozbawiony kości.

– Nie ma kości?! – krzyknęłam z niedowierzaniem.

– Nie ma sztywnego szkieletu, na którym zarzepione są mięśnie, dlatego ma wielką elastyczność. I dlatego umarł tak szybko po przebiegu głęboką raną. Płyn w jego ciele jest pod wysokim ciśnieniem, cała postać się zapada. Prawdopodobnie udusił się. Dowiem się tego rano, gdy będzie dość światła na sekcję. To będzie fascynujące.

Byłam przerażona.

– Sekcje! Nawet teraz nie mogę znieść jego widoku. Skąd u ciebie ta chorobliwa ciekawość?

Położył mi rękę na ramieniu i pomógł wstać.

– Byłem wielu różnymi ludźmi w mojej długiej przeszłości. Kim, w tym przy wielu okazjach lekarzem. Na przykład byłem pod Waterloo, pod Gettysburgiem i na twoim jima. Byłem tam dlatego, że choć nie mogę nikomu przekazać mojej niewrażliwości na rany, mogę ulżyć bólowi. Uczylem się na tych doświadczeniach tak, jak będę uczył się na tym. Może nawet dowiem się, jak uniknąć zabijania tych stworzeń, jeśli znów nas zaatakują.

– Nie chce ich więcej spotykać – powiedziałam z drżeniem. Odpowiedź Casey'a była jasna i zdecydowana.

– Ja też nie chce. Ale jeśli je spotkamy, nie chęć więcej odbierać życia. Moje własne jest bezpieczne, ale inni mają życie tak krótkie, że w porównaniu z moim uważam je za świętość.

Tej nocy już nie zasnąłam, ale przesiedziałam skulona pod kocem dół świtu. Gdy nadszedł dzień, unikałam Casey'a. Wiedziałam, że jest to nielogiczne. To, co powiedział, było słuszne, a jego okropne zadanie konieczne. Ale gdy je wykonywał, czekałam na zewnątrz jaskini.

Gdy wreszcie wyszedł, był ponury, ale wyglądał też na zdziwionego, choć nie wyjaśnił przyczyny. Spakowałam nasze rzeczy, on zaś pochował stworzenie w lesie pod stertą kamieni, postawiwszy na grobie kamienną siekiere.

Wyruszyliśmy milcząc w drogę, idąc wzdłuż podnóża skarpy i szukając przejścia na górę. Szybko dotarliśmy do obiecującego wąwozu, po którego dnie saczał się potorzek. Po śliskich kamieniach wspieliliśmy się prawie na szczyt, gdzie był mały wodospad. Tu odpoczeliliśmy i napiiliśmy się wody. Wymorzyłam bólałe stopy w chłodnej wodzie zagłębienia pod wodospadem, Casey zaś trzymał łuk w pogotowiu i nie spuszczał oka z krawędzi skarpy.

Wreszcie nie mogłam wytrzymać milczenia i spytałam go wprost:

– Co cie niepokoi, Casey? Co wykryłeś?

– Wykryłem wiele rzeczy, Kim. Wszystkie dziwne, niemal niezrozumiałe. Kończyny stworzenia miały odciski tam, gdzie u człowieka byłyby przeguby rąk i kostki u nóg. Widywałem takie odciski dawniej, na ciałach niewolników. Pochodzą od recznych i nożnych kajdan. Te hyl święte.

Zastanowiłam się nad tym, co powiedział. Wydawał się zupełnie pewien swojego zdania.

– Niewolnictwo – powiedziałam – nie jest czymś nowym w kulturze człowieka. Na Ziemi istniało jeszcze w zeszłym wieku. Jestem oburzona, że znaleźliśmy jego dowody na Campbellu, gdzie jakoby nie istnieją wyższe formy życia, ale jeszcze bardziej niepokoi mnie możliwość, że Solar Minerals...

– Nie, – Casey nigdy mi dotychczas nie przerywał. Zrobił to

teraz. - Solar Minerals nie ma niewolników. Może wiedzieć o istnieniu tych stworzeń, ale niczego więcej. To wiem z całą pewnością. Obcy, którego zabiłaś, nie reprezentował miejscowej formy życia. Nie wyewoluował tutaj. Nie ma w nim żadnych anatomicznych odpowiedników budowy innych istot na Campbellu. Jest z nimi zupełnie nie spokrewniony. Jest tutaj, tak jak i my, obcym.

Przerwał na chwilę, bym mogła to wszystko przerwać, po czym kontynuował:

- To nie wszystko. Przynajmniej ten osobnik był tu od bardzo niedawna. Zbadałem jego uzębienie. W przeszłości chorował na próchnicę i została ona wyleczona z fachowością, jaką posiada niewiele ziemskich dentystów. Miał mostek z nierdzewnej stali, co dowodzi bardzo wysokiego stopnia rozwoju technologicznego, a przecież osobnik ten był uzbrojony w kamienną siekiere tak prymitywną, że Homo erectus wstydziłby się jej używać. Dlaczego?

Nie wiedziałam dlaczego, ale wynikające z tego wnioski wywalały we mnie dreszcze. Nagle zrobiło mi się bardzo zimno i wyciągnęłam nogi z wody. Ale przyczyną zimna nie był strumień, lecz moje myśli. Poczulałam się nieswojo w tym wąwozie.

- Casey, czy możemy iść dalej?

Zgodził się chętnie, więc wyruszyliśmy.

Tego wieczoru zatrzymaliśmy się na długo przed zachodem słońca, by móc rozpaść ogień i upiec zwierzyne przed nastaniem ciemności.

Casey wybrał na nocleg kepe kolczastych zarośli i zatkał wszystkie przejścia do niej galeziami.

- Jeśli w nocy będziemy mieli gości - powiedział - przeciśnięcie się przez to zabierze im dużo czasu. Mam tylko nadzieję, że drewno jest zbyt świeże, by nas mogli wykurzyć ogniem. Tropy, które widziałem w okolicy, były stare, ale lepiej zachować ostrożność.

Tropy, pomyślałam. Wiec w okolicy było więcej obcych. Wiedział o tym, ale mi nie powiedział. Znowu spędziłam niespokojną noc, budząc się o świcie, zapowiadającym nowe niebezpieczeństwa.

Wytrzymaliśmy w kierunku wschodzącego słońca. Długie cienie kurczyły się, rosa zniknęła, a słońce oświetlało wierzchołki drzew i teren pod nimi, ujawniając nową zagadkę.

Oczywiście, Casey dostrzegł ją wcześniej. Pierwszym zaś jego odruchem było ominąć ją szerokim łukiem, bym jej nie zauważyła. Zauważyłam.

- Co to jest, Casey?

Przylapany na podstępie przyznał się do niego otwarcie.

- Budowla, jak sądzę. Nie widzę jej w całości, po części zasłaniają ją drzewa. Jestem prawie pewien, że nie wzniesił jej człowiek. Jako jedyna możliwość pozostają obcy, których śladów jest tu masa. - Po czym, jakby chcąc uprzedzić mój strach, dodał: - Ale to są stare ślady. W ostatnich dniach nikt tu nie przechodził.

Leżała na linii naszego marszu, a że nie było już powodów, by do niej nie podejść, zrobiliśmy to ostrożnie, zatrzymując się o jakieś 500 jardów. Z tej odległości była dobrze widoczna. Połyskiwała białawo, wysoka mniej więcej na trzykrotny wzrost człowieka i tyleż szeroka u podstawy. Stanowiła piramidę z koncentrycznie ułożonych warstwami kregów, grubych chyba na stopę. Wierzchni był tak mały, że człowiek ledwo by się na nim pomieszczył. Z odległości nie mogliśmy ustalić, czy tarce zostały razem odłane, czy ułożone jedna na drugiej. Jeśli ułożone, szpary między nimi były niedostrzegalne.

Zbliżyliśmy się, obchodząc budowlę wokół. Casey przyjrzał się ziemi u podnóża, nie znalazł żadnych niepokojących śladów i dał ręką znak, bym podeszła.

- To tylko stos z kamiennych stopni. I wziął się tu znikąd. W jakim celu?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest jeszcze więcej obcych, może nawet nie jednego gatunku. Są ślady trzech różnych kształtów i wielkości stóp. Jedne takie, jak u naszego nieżyjącego obcego, jedne podobne do kopyt i jedne ludzkie. Wszystkie stare i słabe.

- Ludzkie! To znaczy, że Solar wie.

- Wiedza o budowli. - Schylił się i obszedł piramidę, przypatrując się podstawie, po czym podniósł coś z ziemi. - Kawałki papieru, opalone i zetłale. Bardzo stare.

Znow się zatrzymał. Tym razem przedmiot, który podniósł, był większy. Podniósł go do nosa i powąchał.

- Co znalazłeś, Casey?

- Byli tu ludzie. Jeden z nich palił cygara. To liść tytoniu. Kawałki papieru pochodzą z opakowań półfuntowych kostek nitrokskrobi, materiału wybuchowego, którego używano do wysadzania. Próbowali zbadać wytrzymałość tej budowli, może odłamać z niej próbkę. Wybuch zostawił na niej plamę i nic więcej. Trawa i gleba zostały zniszczone, choć kamień nie. - Pokazał miejsce paleniska. - Nowo zarosnięte miejsce, chociaż ma już parę tygodni, może parę miesięcy. Wiedzieli więc o tym przed twoim przybyciem. Myślę, że warto tu jeszcze zrobić dalsze badania.

Odwrocił się i ruszył przed siebie z oczami wlepionymi w ziemię, ostrożnie stawiając stopy. Poszłam za nim czekając, aż wyllumaczy mi, co widzę. Nic mi to nie mówiło, choć wiedziałam, że Casey idzie za jakimiś śladami. Prowadzili z jednej kepy drzew do drugiej. Przyspieszył kroku.

Wszedłszy do lasu schylił się znowu, zaczął zbierać kości,

suche i zbieżne, które wydawały mi się podobne do kości zwierząt, któreśmy jedli. Trochę dalej znajdowało się palenisko obudowane kamieniami. Jeszcze więcej kości rozsypane było wokół.

- Resztki uczt, Kim. Niektóre stare, niektóre względnie nowe. Czasem w większym towarzystwie. Ostatnia składała się z dziesięciu do dwunastu osobników.

- Ludzi czy obcych? - zapytałam.

- Obcych. Wśród tych liści nie mogę dostrzec wyraźnych śladów, ale znaki pobytu człowieka byłyby oczywiste. Ludzie mają narzędzia technologiczne. Ci tutaj nie mieli nawet krzemienianych noży, tylko prymitywnie wykonane kamienne siekiery. Przyjrzyj się tym odłomkom w popiele: suche drzewo było łamane, tylko świeże rąbane, bo kamienne ostrza na to wystarczą. Kości były miażdżone w stawach, a po tym wyciągane z mies, dość brudzący i mało zreczny sposób w porównaniu z okrawaniem. I jeszcze coś tu zobaczyłem. Nie wchodziłem na piramidę, więc do tych czas tego nie dostrzegłem, ale spojrz na to.

Zaprowadził mnie do dużego, płaskiego, podłużnego kamienia wcisniętego w ziemię i zasłoniętego trawą. Za nim, w prostej linii prowadzącej do piramidy, leżały dalsze.

- Wytyczona ścieżka, widzialna ze szczytu budowli, ale niemal nie do zauważenia z ziemi. Zwróć uwagę, że kamienie są surowe, nie obrobione, choć starannie dobrane. To nie budowniczo wie piramidy je ułożyli, to ci drudzy. Ale ani jedno, ani drugie nie jest bardzo stare.

- Skąd wiesz?

- Krzaki to mówią. Jeśli zakreślisz krąg prawie pięćdziesięciostopowy, na zewnątrz rośnie dużo i dużych, ale wewnątrz tylko małe. Wyrastają z gleby bardzo głęboko przekopanej, więc ubogiej w składniki odżywcze. Ale idźmy dalej.

Poszłam za nim, on zaś szukał tajemniczych rzeczy, o których nawet nie miałam pojęcia, że mogą być źródłem informacji. Ślady zaprowadziły go do jeszcze jednego kamienia. Też był płaski i bardzo duży, mocno zagłębiony w grunt i częściowo przykryty liśćmi. Na jego powierzchni były jak wydłubano w miękkim wapniaku wiele różnych symboli, każdy był natarty jakąś gliną dla kontrastu z tłem kamienia.

- Pismo - rzekł Casey. - Powiedziałbym też, że w kilku różnych językach. I bynajmniej nie prymitywnych.

- Czy możesz je odczytać? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Oczywiście nie. Ale nawet w takiej sytuacji ono wiele mówi. Znam większość ludzkich sposobów zapisu. Pismo zaczyna się od piktogramów. Później przychodzą stylizowane symbole, na koniec prawdziwe alfabety. Alfabety są już czymś skomplikowanym. Ich użycie wymaga najwyższego stopnia myślenia abstrakcyjnego. Ponieważ są tak ważne, mają oszczędne, powtarzalne znaki. Nie było w dziejach ludzkości pisma, wyprzedzającego obróbkę metali.

- Jaki z tego wniosek? - zapytałam, wątpiąc, czy potrafi go wyciągnąć.

- Istoty, które wyrzeźbiły ten napis używają prymitywnych narzędzi. Nie umieją nawet przyzwycięć zaostrzyć krzemienia.

- Może nie przybyli tu celowo, Casey, lecz są rozbitekami. Może ta budowla służy sygnalizacji?

Nie zgodził się ze mną.

- Nie przypuszczam, by tak było, choć nie mam lepszego wytłumaczenia. Ale napis wyraźnie zawiera wiadomość, intencje jego autorów leżą jasne: jest przeznaczony dla kogoś, kto stoi na szczycie piramidy. Autor chce, by czytelnik najpierw na nią wszedł. Intryguje mnie, czemu.

- Może ta budowla jest pomnikiem?

- Jeśli tak, to źle umieszczonym, ukrytym w lesie.

Przez resztę poranka badaliśmy otoczenie budowli. Casey znalazł wiele śladów dawnego ożywionego ruchu w lesie, ale nic, co by mówiło o jego przyczynach. Ze śladów wynikało, że istoty przychodziły i odchodziły do jakiegoś miejsca na wschód stąd. W kierunku tym wiodły dość wyraźnie wydeptane ścieżki.

My również poszliśmy na wschód, ale chcąc uniknąć niepożądanych spotkań, trzymaliśmy się pobliskiego grzbietu, który biegł równolegle do kierunku naszego marszu. Trudny teren i konieczność posuwania się chyłkiem, opóźniały nasz marsz. Przeszliśmy ledwie ćwierć mili, gdy Casey nagle się zatrzymał. Nie wiedziałam, z jakiego powodu.

- Co się stało, Casey? - zapytałam.

- Osobliwe uczucie. Czuję się dziwnie.

Obejrzał swoje ramie. Rzadko rozsiane na nim włoski drgały. Potem zaś ujrzałam, jak włosy na jego głowie poniżej opaski poruszają się i stają dęba. Poczulałam, że i moje stają wieńcem wokół głowy.

- Jakies pole elektrostatyczne - powiedział Casey. - Zejdźmy z tego grzbietu.

Spojrzałam na niebo. Było bezchmurne, więc nie był to skutek burzy elektrycznej. Niemniej jednak zeszedłam za Caseyem niżej. Rozległ się dźwięk - najpierw syk, potem trzask. Dochodził z naszych pleców, z kierunku budowli. Widzieliśmy tylko jej szczyt. Pałał blaskiem.

Wkrótce był jaśniejszy niż słońce. Powietrze wokół niego drgało, a dźwięk falował zarówno pod względem wysokości, jak i natężenia. Na szczycie coś się pojawiło, było ciemniejsze od otoczenia, najpierw niewyraźne, ale szybko pocybiarające określony kształt. Był to wielki krzyż, po czym zobaczyliśmy, jak obraz się zmienia i staje postaciami z rozkrzyżowanymi ramionami. Syk u-

rwał się nagle, a postać opuściła rece. Potem zbiegła ze stopni i znikła z pola widzenia.

Znowu usłyszeliśmy syk, a szczyt piramidy zapłonął. W ten sam sposób jak poprzednio pojawiła się nowa istota, po czym zbiegła ze schodów. Powtórzyło się to sześć razy, i światło zgasło.

Przerwaliśmy długie milczenie.

- No cóż - powiedziałam - teraz już wiemy, jak oni się tu dostają. Jest to jakiś przekaznik materii. Następne pytanie brzmi: po co? I jak to pogodzić z kamiennymi siekierami?

- To niemożliwe, Kim - odrzekł poważnie. - Niemożliwe bez całkowitej rewizji naszych poprzednich domysłów. Mam początki pewnej hipotezy, ale zanim ją przedstawię, chcę zobaczyć, co się teraz stanie. Wejdźmy na grzbiet, stamtąd widać ścieżkę. Bądź zupełnie cicho.

Weszedłem za nim na szczyt, skąd w obie strony mieliśmy widok na prawie pięćset jardów. Sprawdził, z której strony wieje wiatr i nalażył strzałę na cieciewe.

- Wiał wieje do nas - powiedział - więc mogą nas nie zauważyć.

Po jakichś dziesięciu minutach ukazały się postacie, zdążające na zachód. Było ich cztery, wszystkie z siekierami. Dwie z przodu należały do wysokiego, bezkostnego gatunku, dwie za nimi, z trudnością zachowujące pionową postawę, były niskie, krepie i silnie umięśnione, z kopytami na stopach. Przeszły nie zauważwszy nas.

Prawie w dwadzieścia minut później przeszło sześć istot w przeciwnym kierunku, ale nowo przybyli nie mieli żadnej broni.

Casey poczekał, by nas wyprzedzić, po czym dał znak, bym poszła za nim wzdłuż grzbietu.

- Teraz już wiem, gdzie jesteśmy - powiedział.

- Znowu zagadka, Casey? Wiesz, gdzie jesteśmy?

- To jest Diabelska Wyspa, kolonia karna podobna do tej, jaką Francuzi mieli kiedyś w Południowej Ameryce. Sądze, że to są właśnie te stworzenia. Ci, co ich wysyłają, nie wiedzą, że przybyli tu ludzie. Zapewne nigdy tu nie bywają. Nie ma takiej potrzeby.

Powiedziałam mu, że nie rozumiem. Casey wyjaśnił mi swoją teorię.

- To się zgadza ze znanymi nam faktami. Pomyśl: te istoty nie posiadają nic, co by nie pochodziło stąd, nawet ultiar, jeśli ich używają. To jest nie do pogodzenia ani z wyprawą kolonizacyjną, ani handlową, a tym bardziej z oddziałem inwazyjnym - biorąc pod uwagę posiadane przez nich środki przesyłania przedmiotów materialnych znacznej wielkości. Zauważ także sposób, w jaki przybywają. Osobnicy są przywiązani do krzyży. Uwolnieni uciekają i znikają. To wszystko może być koniecznym warunkiem transmisji, ale za prawdopodobniejsze uważam co innego: są przywiązani, by nie mogli stawiać oporu. Uwalnia się ich dopiero, gdy już znajdują się na planecie bez możliwości powrotu. I nie są to, jak poprzednio myślałem, niewolnicy, gdyż niewolnicy są pożyteczni tylko wtedy, gdy można ich użyć do pracy. Ale najsilniejszą poszlakę, że to są skazańcy, znalazłem na nieżyjących. Miał zadowalającą opiekę dentystyczną, ale przy użyciu tanich środków - stał nierdzewna zamiast złota, porcelany czy stopu srebra. To wygląda na publiczną służbę zdrowia, a może taką opiekę lekarską, jaką mógł mu zapewnić drugi wiezień, dysponujący znacznym czasem, doskonałą znajomością fachu i wielką cierpliwością, ale który nie miał dostępu do naprawde pierwszorzędnych surowców. To tak, jak ze zrecenzowaną wczesnoamerykańskich jubilerów, która ujawniała się w życiu cyny, która się czasem posługiwali, gdy złoto było zbyt rzadkie i zbyt drogie. Poza tym przy budowlach znalazłem stare ślady hojki. Pierwsi przybywający zapewne walczyli między sobą, później zaś stopniowo zrozumieli głupotę takiego postępowania i zaczęli współpracować. A jeszcze później stworzyli jakiś luźna formę władzy, ułożyli ścieżkę-drogowskaz i posłali kamień z napisem. Sądze, że uczyli się od siebie, gdyż przylizsze pozostawali blisko budowli. Później, gdy ich było więcej, okazało się, że wybili całą zwierzyńnię w okolicy i musieli się przenieść. Prawdopodobnie wtedy ułożyli kamień z napisem.

- Chyba masz rację, Casey - powiedziałam. - Prawdę powiedziałeś - jak we wszystkim. Jestem zdumiona, jak wiele potrafisz wycisnąć z paru prostych śladów, których ja nawet nie zauważam. Powiedz mi: jak sądzisz, jakie to wszystko ma dla nas znaczenie?

Casey spojrział na mnie i uśmiechnął się. Oczywiście był dumny ze swej zdolności obserwowania i wyciągania wniosków.

- Niektórzy palną - powiedział - inni widzą. Gdybym miał snuć domysły - a o to mnie prosiłaś - powłóczyłbym, że twórcy tego urządzenia nie wiedzą o obecności człowieka na Campbellu. Może dawno temu przylizali tu statek, by złudować stację odbiorczą, a może i parę, gdzieś indziej na planecie, choć nie uważam tego za bardzo prawdopodobne. Być może przylizali tu tylko paru skazańców naraz, w takim razie ta budowla jest bardzo słaba. Tymczasem jednak przybyli tu ludzie, a skazańcy ich nie napastowali, choć jak sądzę wiedzą o naszej obecności. Być może przed przypadkowym napadem chroni nas względnie duża liczebność oraz świadomość obcych, że mamy lepszą od nich broń oraz materiały wybuchowe. Choć Solar wie o budowli, uważa ją prawdopodobnie za zabytek. Wśród ludzi plotek o obecności obcych w każdym razie nie słyszałem.

Tętnosiłki zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Wynikała z nich, że teraz obie strony będą na nas polować. Casey mnie uspokoił.

Myślałem, że obcy, którego zabiłaś, był zwiadowcą, który nie wrócił z zadania. Może zauważył pożar lasu i domyslił się, że to katastrofa ślizgacza. Ogień musiał być z dużą widocznością, szczególnie ze szczytu skarpy, a wrak ma wielką wartość jako źródło metali do wyrobu narzędzi i broni. Może nadszedł w dniu, w którym opuściliśmy łamto miejsce, ale wówczas nie śmiał nas zaatakować. Zamiast tego siedzi za nami aż do groty, przyjmując, że łatwiej sobie z nami poradzi, gdy będziemy spać. Wobec tego był sam jeden, chociaż inni mogli iść w ślad za nim. Ale to mało prawdopodobne, bo zostawiliśmy wiele rzeczy dla niego cennych, a żadnej nie zabrał. Gdyby należał do grupy zwiadowczej, wybrałby i wziął ze sobą co najwartościowsze. Ponieważ tego nie zrobił, musiał liczyć, że wrzuci je w drodze powrotnej. Wobec tego musiał być sam.

- To i tak jest fałalnie - odrzekłam - nawet jeśli tylko połowa ludności planety jest przeciw nam. Mam prawdziwy talent popadania w tarapaty, prawda? Co mam teraz robić?

- Wydaje się, że sytuacja wymaga dużego talentu dyplomatycznego, Kim. Właśnie o to chciałem cię zapytać.

- No cóż, to zmienia wszystko, co dotyczy Camphella. Będę musiała przy pierwszej okazji złożyć raport o sytuacji, choćby się to nie podobowało Solar Minerals i niech ONZ dalej się martwi, co robić.

To niezwykle jest właściwy kierunek. Natomiast proponowana metoda wydaje mi się wątpliwa. Nie ma sytuacji wymagającej decyzji, że krajowcy mają prawo pierwszeństwa do planety, lecz rozstrzygnięcie, który z odkrywców ma bardziej do niej uzasadnione prawa. Solar, jeśli wszystko wyjdzie na jaw, przyjmie taką linię. Sam bym tak zrobił, bo w ciągu mego życia bywałem wielokrotnie prawnikiem. Natomiast dłużej niż prawnikiem byłem człowiekiem i to, mam nadzieję, rozsądnym. Wiec nie wydaje mi się rozsądne, byś cokolwiek o tym wspominała lokalnemu zarządowi Solar. Pamiętaj, że jesteśmy o 114 lat świetlnych od Ziemi. Jedynym naszym sposobem kontaktu jest „Wilmington”, który jest w ich czarterze. Musisz czekać jeszcze cztery miesiące do powrotu statku, a pó tym pięćdziesiąt dwa dni w podróży.

- Nie sądzę, bym mogła tak długo utrzymać lajemnicę, Casey.

- Musisz. Meyers, jeśli nawet nie wydał takiego rozkazu, to przynajmniej zgodził się na zamach na twoje życie. Gdy odkryją, że się nie powiodł, spróbują drugi raz. Chyba że tymczasem dowiedzą się, że jesteś zupełnie nieszkodliwa.

- A czemu nie mieliśmy się ukryć w lesie do powrotu statku?

- Umiesz z głodu. Ja mogę żyć na miejscowej żywności, ty nie. Potrzebujesz ziemskiego pożywienia, a to, co mamy ze sobą, nie wystarczy.

- Muszę więc ułożyć sobie historię pomijającą istnienie tych stworzeń?

- To jedyne wyjście. Może nie przekonasz Meyersa, że nie jesteś dla niego niebezpieczna, ale mniej jest prawdopodobne, że będzie starał się zrobić ci krzywdę na oczach wszystkich w osiedlu. I w żaden sposób nie będzie mógł się upewnić, że wiesz o obcych.

Wahalam się. Casey mówił dalej.

- Na pewno widziałas już dość, by ocenić sytuację i napisać raport. Po to nie musisz już wyjeżdżać z bazy.

Tu ma rację, pomyślałam. Ale zapytałam:

- A co z tobą, Casey? Ty też jesteś w to zamieszany, a nie możesz tak sobie wyjechać, jak ja.

- Nie martw się - odpowiedział. - Jestem po prostu głupim Indianinem, co ma więcej szczęścia niż rozumu. Wiedzą, że jestem zbyt tępym, by im zagrażać. Poza tym widziałas, co potrafi moje ciało. W przeszłości zabijano mnie mnóstwo razy. Jak długo z mego ciała żyje jedna komórka, żyje Ten-Klory-Czeka i choć dla regeneracji może być potrzebne i sto lat, moje ciało się odbuduje.

To, pomyślałam sobie, jest jeszcze jeden problem, z którym mam sobie poradzić.

Do morza dotarliśmy po dwudziestu siedmiu dniach. Nabrałam mięsuków, choć straciłam na wadze i chociaż w mojej diecie brakło niektórych składników, czułam się w pełni sił. Gdyby nie rude włosy i jasne oczy, mogłabym być kobietą z plemienia Caseya - spalona słońcem na brąz i ubrana w stroje, który on zrobił dla mnie ze skór upolowanych zwierząt. Śmierdziały trochę, ale służyły lepiej niż odzież, w jakiej wyruszyłam.

Odpoczywaliśmy przez cały dzień, bawiąc się w wodzie i piasku na plaży. Czułam, że ogarnia mnie smutek. Porzucić tryb życia, którego zakosztowałam, znowu stać się cywilizowaną istotą nie będzie łatwe. Prawda, że życie w puszczy też nie było łatwe, ale było pełne. Zadowolono moją potrzebę wypróbowania, do czego jestem zdolna. I byłam zadowolona z tego, co się okazało. Miałam w sobie żyłkę pionierów. W minionych czasach byłabym jednym z nich, szukając szczęścia i majątku na amerykańskim Dzikim Zachodzie albo wśród surowego piękna planet, takich jak Herschel.

Z tego po części powodu wstąpiłam do Służby Ekologicznej - by przekonać się, na co mnie stać, nie ryzykując wszystkim. Obrócić ta praca wydawała mi się indła. ONZ była nieruchawą, biurokratyczną maszyną. Ziemia zaś, choć już uboga w surowce i straszliwie przełudniona, była ciągle domem człowieka. I była

też przekonana, że przestrzeń kosmiczna należy do niej i podlega jej władzy, szczególnie, że człowiek nie odkrył jeszcze istot zdolnych rzucić mu wyzwanie. Mudron się nie liczył. Był to wyjątkowy wypadek, który zdaniem ekspertów nie wynika z lokalnej ewolucji gwiazdnej. Miał zapóźnionych w rozwoju mieszkańców, którzy nigdy nie stanowili i nie będą stanowić zagrożenia dla ziemskiej supremacji.

Ale istoty, które zbudowały przekaznik materii – będą. Balam się ich. Technologia niesłychanie nas przewyższała. Nasze odkrycie może wywołać u nich wrogość, może decyzję, by nas zniszczyć, kto wie?

Casey powiedział, że mogą zrobić coś jeszcze gorszego: zlekceważyć nasze istnienie tak, jak to swego czasu zrobiono z jego narodem; zamknąć nas w rezerwach, pozwalając nam zagłodzić się i utonąć w marazmie. A Casey wiedział, jak to wygląda.

I do tego zaczęłam się go trochę obawiać. Nie jego samego jako człowieka, lecz tego, co reprezentował. Gdy byliśmy w drodze, wydawało mi się naturalne, że z nim jestem, ale co będzie na końcu podróży?

Dla Caseya wszyscy inni ludzie byli jak dzieci. On, który już przeżył niemal wieczność, będzie nadal żywy i pełen życia, gdy ja będę prochem. Traktował mnie jak kogoś równego, wiedząc, że tak nie jest. Powierzył mi swą tajemnicę, opowiadając bez skrupowania o swej przeszłości, nic nie skrywając. Może na tym polegała jego największa mądrość. Wierzyłam w to, co mówił, ale komu ja to mogłam opowiedzieć? Kto by uwierzył w tak fantastyczną historię? Mogłoby wszystko zaprzeczyć, nie wypowiadając nawet jednego słowa. Wystarczy samo milczenie, a reszta świata będzie przekonana, że jestem niespełna rozumu.

Miałam nadzieję, że nigdy by tego nie zrobił, że znajdzie jakiś sposób, by tu wśród gwiazd dzielić jego przeznaczenie, choćby przez krótką chwilę. Meczylł mnie rojenia. Byliśmy w nich ze sobą. Wiedziałam, że robił przed tym to samo z innymi partnerkami, od dawna nie istniejącymi, ale za każdym razem pozostawał samotnym człowiekiem, bez celu w życiu i bez pociechy posiadania pokrewnej duszy, która dzieliłaby jego meke. Ze wszystkich istot we wszechświecie tylko on był inny, nie mając ani rodzeństwa, ani potomstwa.

– Mój stwórca dał mi cudowne zdolności – powiedział kiedyś – i posiadam wiele darów. Ale odebrał mi to, co było we mnie prawdziwie ludzkie.

To jest bez znaczenia – zdecydowałam ostatniej nocy na brzegu morza. Reszta mego snu była warta tej ceny.

Jeszcze jedną noc spędziłam pod gwiazdami, na piaszczystej nizinie. Próbowałam wrócić do rzeczywistości, porządkując w myśli informacje o tym, co widziałam. Oczywiście nie miałam notatek ani fotografii, ale byłam zadowolona z tego, czego się dowiedziałam – że, nie biorąc pod uwagę obecności obcych, mogłam zakwalifikować tę planetę dla kolonizacji ziemskiej. I to zamierzałam zrobić.

I nadal zamierzam! – Przypalałam się w tym momencie, że ze wspomnień powróciłam do rzeczywistości i że krzyczę na szefa.

Carmody obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Przez całą opowieść o mej wędrówce uprzejmie słuchał. Nie przerywał. Zrobił to teraz, choć jego ton złagodził.

– Decyzja należy do mnie, po to tu przybyłem. Niemniej, miss Ryan, weźmę pani zalecenia pod uwagę. Obecnie, w świetle odkrycia obcych, sprawa stała się raczej polityczna, niż techniczna. Czy zdziwi panią wiadomość, że prawdopodobnie postąpimy zgodnie z pani wnioskiem?

Byłam zdziwiona i nie ukrywałam tego. Carmody się uśmiechnął.

– To właśnie może być okazja, jakiej potrzebował gatunek ludzki: dostać coś za darmo, otrzymać nauki od chętnych pedagogów. Rząd zapewne przyzna pani order, a także Caseyowi, jeśli go odnajdą.

– Nie sądzę, by na Casey'ego zrobiło to wrażenie – odpowiedziałam. – Natomiast gdyby zamiast tego dali mu naszyjnik z pierwszorzędnymi wozowymi zębami...

– Chcę usłyszeć resztę tej historii, miss Ryan, włącznie ze wszystkim, co może pani powiedzieć o Casey'cu. Może łatwiej go wówczas odnajdziemy.

– Okay. Gdzie to ja skończyłam? Nie ma co opisywać, jaki raban podniósł się w obozie, gdyśmy się zjawili. Wyszliśmy z puszczy wyglądając jak Tarzan i Jane, a typom, które objęły się za palowanie na placu budowy, portki trzęsy się ze strachu. Do osiedla wróciliśmy ich ciężarówką, siedząc z tyłu, bośmy oboje śmierdzeli...

Powitał nas osobiście Meyers.

– Myśleliśmy, żeście zginęli – powiedział, prawdopodobnie zastanawiając się, w jakim punkcie jego plan załodził. – Gdy nie pojawiliście się na czas, wysłałem ekipy ratunkowe. Znalazły spalony ślizgacz i oczywiście byliśmy przekonani, że zginęliście w nim.

Rozmowę z naszej stolicy prowadziłam ja. Casey znów stał się głupim Indianinem.

– No cóż, jak pan widzi, nic nam się nie stało. Potrzebuje tylko wykopać się i zjeść coś z prawdziwej żywności. Jedliśmy tylko to, co Casey upolował z łuku.

Meyers przyjrzał się Casey'owi z respektem.

– Ach, więc to do tego służy. – Obejrzał jedną ze strzał. – Maja morderczy wygląd. – Zwrócił się do Caseya: – Myślę, że powinienes wrócić do swej zwykłej pracy.

Nie, nie powinienes. Nie miałam zamiaru dopuścić, by usunięto mnie spod opieki i zasięgu wzroku Caseya.

– Mmmm... jeśli to panu nie przeszkadza, mister Meyers, chciałabym go jeszcze na chwilę zatrzymać. Potrzebuje jego pomocy przy sprawozdaniu.

– Jego? A coż on potrafi?

– Chcę od niego ściągać. Utraciłam wszystkie próbki i zdjęcia, podczas wędrówki nie mogłam robić notatek, muszę więc napisać sprawozdanie z pamięci – mojej i jego. A jak pan widzi, to leśny człowiek. Musiał zauważyć tysiąc rzeczy, które mnie umknęły.

Meyers nie miał dobrego pretekstu, by odmówić, choć wątpię, czy nabrał się na moje wyjaśnienia. Casey został więc ze mną i razem wróciliśmy na moją dawną kwatere.

– Nie powinnaś była tego robić, Kim.

– Dlaczego? Potrzebuje skorzystać z twoich obserwacji. I potrzebuje twojej opieki. Czy widziałeś, jak patrzył na twój łuk?

– Zauważyłem. Ale taki człowiek, jak Meyers, nie będzie się bał dzikusa a trudno grać rolę głupiego Indianina, gdy zrobisz ze mnie uczestnika badań naukowych. Lepiej by to było zrobić w terenie, gdzie miałbym oko na wszystko.

– Nie przejmuj się, Casey. Tym problemem zajmie się natura ludzka. Możesz mieć zaufanie do lubieżności umysłu Meyersa. Dojdzie do wniosku, że uczepiłam się mego ogiera. Zażę się, że całe osiedle już się trzęsie od plotek na ten temat.

– Casey nic nie odpowiedział. Sądzę, że ciągle jeszcze nie rozumiał kobiet. Zamieszkał ze mną i wziął się do pracy nad raportem.

Ciągle jeszcze potrzebowaliśmy dodatkowych informacji, głównie o morskich formach życia na Campbellu. To dało nam pretekst do krótkich wypadów w teren i okazji do załopienia się we wspomnieniach. Spędziłam wiele dni na szerokich plażach Campbella i na rejsach motorówką. Pokochałam łagodny klimat tej planety i jej przyjazne słońce.

– Myślę – powiedziałam Casey'owi – że mogłabym tu zostać na zawsze. Naprawdę lubię tę planetę.

– Czy zapomniałaś tę noc w grocie? – odpowiedział. – Oraz to, co widzieliśmy na płaskowyżu?

– Nie, Casey, ale mogę sobie pomarzyć, prawda? I tak to się skończy, gdy mój raport trafi, gdzie trzeba. Rząd orzeknie, że ludzie nie mogą zostać na Campbellu.

Przez współczucie pozwolił mi marzyć dalej, lecz nadszedł dzień, gdy i to się skończyło. Wrócił z pobytu w bazie, gdzie zasypano go aluzjami na temat jego squaw, ale dowiedział się przy tym pożytecznych rzeczy.

– Zaczęło się, Kim. Teraz trzeba bardzo uważać.

Casey miał skłonność do mówienia zagadkami. Ze wszystkiego co robił, to mnie najbardziej irytowało. Cbyba to zauważył.

– Co się zaczęło? – spytałam.

– Ludzie zaczęli znikać. Rozpływają się w buszu wokół placu budowy doku.

Przeraziłam się.

– Jeśli obcych jest już wielu, to może oznaczać początek ataku.

– Nie zauważono ani jednego – rzekł ponuro Casey. – Kierownictwo zaś znalazło oficjalne wyjaśnienie, więc robotnicy się nie orientują. Powiedziano im, że wobec zbliżającego się ukończenia sieci, znikający ludzie po prostu poszli sobie, by wyprzedać kolonistów, którzy później nadlecą. Ale Meyers zna prawdziwą przyczynę.

– Skąd wiesz?

– Warsztaty zaczęły produkować broń. Na tokarkach robi się lufy, kowal kuje ostrza pik i krótkie miecze. Wokół budowy patrolują uzbrojone ślizgacze.

– Wojna z obcymi?

Wyobraziłam sobie, że zostanę tu zatrzymana, może nawet wsadzona do więzienia lub zabita, aby uniemożliwić przekazanie wiadomości na Ziemię.

– Może tak, może nie – Casey zastanawiał się nad każdym wypowiedzianym zdaniem. – Meyers może przypuszczać, że uda mu się po cichu wybić obcych albo odpędzić ich głębiej w puszcze, gdzie ich nikt nie odkryje. Może sprowadzi tu najemników, by na nich polowali. Na pewno postawi wokół przekaznika snajperów, by ostrzeliwać nowo przybyłych.

– Co robimy, Casey?

– W tej chwili nic. Wszystko zależy od tego, czy będziesz się stąd mogła bez podejrzenia wydostać, gdy wróci „Wilmington”. Teraz jestem już przekonany, że trzeba powiadomić rząd, nawet jeśli przez to stracimy Campbella. To lepsze niż wojna gwiazdna, którą człowiek na pewno by przegrał.

Czekaliśmy z nadzieją na pomysłne rozwiązanie.

Dowiedziałam się później, że Meyers i Bigelow rzeczywiście próbowali zniszczyć obcych, umieścili uzbrojoną grupę przy ich przekazniku. Na pewien czas udało im się uniemożliwić utworzenie większej koncentracji obcych, ale nie na długo. Ludzie nadal znikali, a co nader śmieszne, niektórzy sami uciekali, wierząc wyjaśnieniu Meyersa o przyczynach znikania innych i zdecydowali zrobić w niedalekiej przyszłości dobry interes.

larna przyjęcia delegacji nadal nie uzgodniona. Chironczycy obsługujący środki łączności twierdzą, że nie ma u nich władz, które by ich reprezentowały i wobec tego nie ma nikogo, kto odpowiadałby żadnym kwalifikacjom. Siły obronne „Mayflower II” postawione w stan alarmu bojowego.

★

10 stycznia 2081 roku.

Główny komputer sterujący systemów napędowych skontrolował ostatnie stadia hamowania działania głównego napędu i wyłączył reaktory. Gdy zaczęła stygnąć ogromna misa odrzutowa, w której przez sześć miesięcy co sekunde dwie tony materii ulegały przemianie anihilacyjnej w energię, statek, za pomocą rakietowych silników korekcyjnych, łagodnie wprowadzono na orbitę parkingową na wysokości 25 000 mil i przystosowano w całości jego układ do warunków stanu nieważkości. Stał się nową gwiazdą, przemierzającą nocne niebo nad Chironem.

★

Podróż „Mayflowera II” dobiegała końca.

Koniec części pierwszej

JAMES P. HOGAN

Najazd z przeszłości

(Voyage from Yesteryear)

Przełożył Juliusz Garzdecki

JAMES P. HOGAN

urodził się w 1941 r. w Londynie. Studiował inżynierię ogólną, a następnie specjalizował się w zakresie elektroniki. Kilka lat pracował w przemyśle komputerowym, zanim zadebiutował w 1977 r. jako autor powieścią „*Inherit the Stars*”. W tym samym roku przeniósł się z W. Brytanii do Stanów Zjednoczonych. Pracował jako konsultant w firmie komputerowej DEC (Digital Equipment Corporation) zajmując się problemami zastosowania minikomputerów do prac naukowych i badawczych. W roku 1978 wydał dwie kolejne powieści „*The Genesis Machine*” i „*The Gentle Giants of Ganymede*”. Ich sukces na rynku czytelnictwa skłonił Hogana do porzucenia pracy zawodowej i poświęcenia się w całości pisarstwu.

W 1979 r. opublikował powieść „*The two Faces of Tomorrow*”, w 1980 – „*Thrice upon a Time*”, a w 1982 r. prezentowaną tu czytelnikom powieść „*Voyage from Yesteryear*”.

(W.M.)

Prolog

– Panie i panowie, oto nasz dzisiejszy gość honorowy – Henry B. Congreve. – Mistrz ceremonii zakończył słowo wstępne i odsunął się na bok, dając przejście na podium krepemu, białowłosemu człowiekowi w smokingu i czarnym krawacie. Rozległy się entuzjastyczne oklaski trzystu gości, zebranych w zespole hotelowym Hillona na zachodnich przedmieściach Waszyngtonu. Światła na sali przygasły, widownia ściemniała. Tłum zebranych zmienił się w zbiorowisko białych gorsów, potyskujących szyi i palców oraz podobnych do masek twarzy. Dwa reflektory punktowe wyłowiły z mroku mówcę, czekającego, aż ucichnie owacja. Mistrz ceremonii powrócił w ciemności na sąsiedni fotele.

Pomimo sześćdziesięciu ośmiu lat szarpaniny z życiem, Congreve stał prosto, z krótko ostrzyżoną głową nad kwadratowymi ramionami i tułowiem mocnym jak u buldoga. Jego surowa, jakby wyciosana toporem twarz zachowała twarde i zdecydowane rysy, oczy zaś, gdy rozglądał się po sali, błyszczały dobrodusznymi. Wielu z zebranych zdawało się dziwnie, że człowiek tak żywotny, tak nadal pełen wewnętrznej siły, ma teraz wygłosić przemówienie z okazji odejścia w stan spoczynku.

Niewielu młodszych wiekiem astronautów, naukowców, inżynierów czy urzędników mogło sobie przypomnieć innego niż Congreve prezesa na czele Północnoamerykańskiej Organizacji Eksploatacji Kosmosu. Dla wszystkich zaś taka zmiłana sytuacja będzie czymś nieodwracalnym.

– Dziękuję ci, Matt – zagrzniął z rozmieszczonych wokół głośników szorstki baryton Congreve'a. Rozejrzał się, jakby chciał zapamiętać wszystkich tu zebranych. – Ja... ach, tedwie udało mi się tu trafić. – Przerwał, a ostatnie szepty na sali umilkły. – W holu na dole jest napis, że pokaz wykopalisk odbywa się na górze, w pokoju dwanaście-zero-trzy. – W tym tygodniu odbywało się doroczne zebranie u Hiltona Amerykańskie Towarzystwo Archeologiczne. Congreve wzruszył ramionami. – Doszedłem do wniosku, że to właśnie tam powinienem się udać. Na szczęście wpadłem w przejściu na Matta i lo, on skierował mnie na właściwą drogę.

Na sali rozległy się śmiechy, przerywane paru okrzykami protestu przy niektórych stolikach. Congreve odczekał, aż znów zapadła cisza i mówił dalej, już mniej żartobliwym tonem. – Przede wszystkim muszę podziękować wszystkim tu obecnym, a także wszystkim pracownikom POEK, którzy dziś nie mogli przybyć na zaproszenie. Chcę oczywiście powiedzieć także, jak bardzo sobie cenię to spotkanie, a jeszcze wyżej je cenię jako wyraz uczuć. Dziękuję wam... wam wszystkim. – Z tymi słowami wskazał gestem na zrobiony ze srebra i brązu, stojący na podstawie z tekowego drewna osiemnasłocalowej wysokości model jeszcze nie wypróbowanej i bezimiennej sondy kosmicznej SP3, usławiony naprzeciw jego miejsca przy stole przedkładnym.

Kontynuował przemówienie jeszcze poważniej. – Nie chce się zagłębiać w historyjki i wspomnienia osobiste. Istnieje zwyczaj opowiadania takich blachostek przy podobnych jak dzisiejsza okazjach. Ale nie chcę, by moje ostatnie przemówienie jako prezesa POEK było blahe. Czas, w którym żyjemy nie pozwala na taki luksus. Chcę więc zamiast tego pomówić o sprawach, które dotyczą całej naszej planety i odbijają się na życiu każdej żyjącej na Ziemi istoty, a nawet na pokoleniach jeszcze nie narodzonych – zakładając, że w ogóle nasłapią po nas przyszłe pokolenia. – Przerwał na chwilę. – Chcę mówić o przetrwaniu... przetrwaniu rodzaju ludzkiego.

Choć w sali panowała cisza, wydawało się, że po tych słowach zapadła jeszcze głębsza. Tu i ówdzie zebrani wymieniali zaciekawione spojrzenia. Było już jasne, że Congreve nie wygłasza zwykłego przemówienia z okazji odejścia na emeryturę. Mówił dalej. – Już raz doszliśmy do krawędzi trzeciej wojny światowej, balansując ryzykownie na jej skraju. Dziś, w roku 2015 istnieją nadal, jak istniały, zawiści, nieufności i podejrzenia, które zaprowadziły nas na brzeg wojny i były plagą ludzkości przez całą jej historię. Dzisiaj znowu krótkofalowe względy polityczne stwarzają klimat takiego napięcia i rywalizacji, jak w końcu ubiegłego wieku. Tłymi słowy stwierdzenie, że przyszłość rodzaju ludzkiego nigdy nie była bardziej zagrożona, niż jest obecnie, nie jest przesada.

Ciągnęło się to przez całą historię i znowu zaczynało na nowo. Najnowsze nowiny sprzed czterech lat z Ziemi donosiły o szybkiej eskalacji najnowszej wojny przeciw Nowemu Izraelowi Południowej Afryki. Tym razem jednak wmieszała się FWA. Stratedzy Zachodu zinterpretowali to jako plan FWA sprowokowania powszechnej wojny w Afryce w tym celu, by Federacja mogła nasłepnie wkroczyć i oskrzydląć Europę od południa. Wynikał z tego zamiar owdładnięcia całym blokiem kontynentalnym Afryki, Azji i Europy. Po co zaś opanować Azję, Afrykę i Europę? Colman nie wiedział. Był całkiem pewien, że większość ludzi, którzy zabijali się tam na Ziemi, ani nie chciała tych obszarów, ani nie przejmowała się aż do tego stopnia, kto będzie nimi władał. To Howardowie Kalensowie chcieli mieć je na własność, bo chcieli mieć wszystko. Być może, gdyby zdolali się nauczyć takiego postępowania z ludźmi, by się nie bać odwracać do nich plecami, a także chodzenia do łóżka z własnymi żonami, nie potrzebowaliby podbojów terytorialnych. A przecież potrafili wmówić wszystkim, że to właśnie uczyniło ich lepszymi niż inni, zaś inni ludzie w to uwierzyli.

Przypominał sobie opowiadanie Jaya o fizyku z laboratoriów w segmencie Princeton, który uważał, że społeczeństwa ludzkie były ostatnią fazą ewolucji zapoczątkowanej miliardy lat temu, gdy wszechświat zaczął się kondensować z promieniowania. Ewolucja to problem przetrwania. Kto w ogóle przetrwa na dłuższą metę? Colman nie był taki pewny. Czy kukiełki, które myślały to, co im się każe i zabijają się wzajem z przyczyn, które ich nie powinny obchodzić, czy kapral Swyley, który trzymał się z daleka od wszystkiego i nie mieszał się do niczego-lak długo, póki mu dawano spokój?

Być może, pomyślał, w końcu krótkowzroczni posiadają Ziemię.

Rozdział IX

W dniu oficjalnie określanym jako 28 grudnia 2080 roku, według systemu rachuby czasu, który będzie obowiązywał tak długo, dopóki ślalek nie przestawi się na kalendarz chironski, „Mayflower II” wśreń do układu planetarnego Alfry Centaura z szybkością 2837 mil na sekundę, stale opóźnianą czynnym z maksymalną siłą głównym napędem. Okres opóźnienia wymiany depesz z Chironem zmniejszył się znacznie poniżej czterech godzin. Telegram z planety potwierdził, że kwatery dla przybywających zostały przygotowane, zgodnie z ich żądaniem, na peryferiach Franklina.

★

31 grudnia 2080 roku.

Odległość od Chirona 1,9 miliarda mil; szybkość obniżona do 1100 mil na sekundę. Rozpoczęło stopniowo wzrastające hamowanie działania głównego napędu. Dla skompensowania zmniejszenia liniowej, wynikającego z deceleracji, ruchome segmenty Pierścienia zaczęły się z wolna obracać. Chironcyków nie nadeszła żadna odpowiedź na depeszę z żądaniem podania nazwisk, stopni słuch i tytułów dygnitarzy planety, wyznaczonych dla przyjęcia oficjalnej delegacji „Mayflower II” chwili jego przybycia.

★

5 stycznia 2081 roku.

Szybkość 300 mil na sekundę, odległość od celu 493 miliony mil. Dokonano korekty kursu dla wprowadzenia statku na orbitę zbliżenia.

★

8 stycznia 2081 roku.

W odległości 8 milionów mil od celu; siły obronne postawiono w stan pełnej gotowości; wysunęły zasłone zdalnie sterowanych przechwytywaczy, rozwinęły na 50 000 mil przed statkiem dla przykrycia jego końcowego zbliżenia. Ze strony Chirona zupełna obojętność.

★

9 stycznia 2081 roku.

Okres opóźnienia łączności dwustronnej z Chironem dwadzieścia dwie sekundy. Procedura pro-

Rozdział VIII

– Na dzień dzisiejszy, dzień ostatniej wspólnej wigilii Bożego Narodzenia przed osiągnięciem celu naszej podróży, jako temat mego okolicznościowego postania do was wybrałem fragment, który brzmi: „Pozwólcie dzieckom przyjść do mnie” – Głos naczelnego biskupa Misji dostojnie spływał z głośników rozmieszczonych wokół Teksaskiej Czaszy do uszu dziesięciu tysięcy zgromadzonych wiernych, z nabożeństwem przysłuchujących się z miejsc na jej zboczach. Pośrodku zielony prostokąt boiska był wypełniony oddziałami załogi i wojska, bez ruchu stojących u jednego jego końca w paradnych mundurach. Środek zajmowały równe prostokąty dzieci szkolnych, odzianych w świeżo wyprane i odprasowane białe i niebieskie kurtki. Na drugim końcu stadionu, naprzeciw podwyższenia, z którego przemawiał biskup, wznosiły się amfiteatralnie ławki, na których zasiadał Bardzo Ważne Osobistości w ciemnych garniturach, pastelowych sukniach i obwieszonych odznaczeniami mundurach. Głos kontynuował: – Stosowne to słowa, bo zaiste niebawem spotkamy istoty, które musimy uznać i przyjąć jako dzieci pod względem duchowym, choć nie zawsze może cielesnym i umysłowym...

Colman stał obok Hanlona na czele trzeciego i drugiego plutonu kompanii „D”, bezpośrednio za Sirocco, dość daleko na skrzydle oddziałów wojska. Bardzo niewiele z kompanii było nieobecnych z takich czy innych przyczyn. Wśród tych zaś wyróżniał się nieobecnością kapral Swyley, przebywający w izbie chorych Brygady z nadzieją na świąteczny obiad z indykami; stały rozkaz trzymania kaprala na diecie szpinakowo-rybnej w tajemniczy sposób wymazał się z pamięci komputerowej. Dietetyk był pewien, że poprzednio coś w tym rodzaju musiało istnieć; ale zgodził się w końcu, że może myli Swyleya z kimś innym. Swyley zgodził się, że coś takiego znajdowało się w zapisach, mówiąc, że się nie zgadza; dietetyk nie zrozumiał tego i zdecydował zapomnieć o wszystkim.

– ...Na różne sposoby zesłali z właściwej ścieżki, my zaś musimy wspomnieć na nasz zarówno chrześcijański, jak patriotyczny obowiązek wprowadzenia tej zbłąkanej trzódki na powrót do owczarni. Nierzadko jest to niełatwym zadaniem, wymagającym zarówno stanowczości, jak poświęcenia, zarówno współczucia, jak rozumu...

Colman pomyślał o odprawach dotrzymujących ofensywnej taktyki dla uchycenia kluczowych pozycji na powierzchni Chirona, w których uczestniczyli niedawno, oraz o intensywnym ćwiczeniu działań antyterrorystycznych i przeciwpartyzanckich, które się właśnie rozpoczęło. Kazanie przypomniło mu o starych statkach niewolniczych, które przybływały ze słowami braterstwa i miłości, a pod pokładem trzymały w gotowości magazyny pełne prochu. Czy można było do tego stopnia uwarunkować ludzi, by byli przekonani, że robią jedno, gdy robili coś dokładnie przeciwnego i by nie dostrzegali sprzeczności? Zastanawiał się, co takiego Dyrektoriat dowiedział się o Chironie, a utrzymuje w tajemnicy?

– Bedzie więc z naszymi przyjaciółmi, gdy pamiętać będziemy o tych rzeczach w chwili, gdy zwracamy się, z wiarą w naszą misję i z zaufaniem, płynącym z wiedzy, iż nasza sprawa wynika z Jego woli, ku zadowoleniu, które przed...

Po przeciwległej stronie stadionu, na najwyższej kondygnacji miejsc siedzących, Colman mógł dostrzec wysoką, wyprostowaną figurę srebrnowłosego Howarda Kalensa, obok niego zaś Celie w jasno-niebieskiej sukni i odpowiednio dobranym płaszczu. Powiedziała mu, że Kalens ma wewnętrzny przymus posiadania: posiadania rzeczy i posiadania ludzi. Uważał, że zagraża mu wszystko i każdy, komu nie rozkazywał. Colman uważał za dziwne, że tak wielu ludzi może uważać za swego przywódcę kogoś obciążonego takimi cechami. Aby stać na czele, trzeba umieć się obchodzić z ludźmi tak, by można się do nich obrócić plecami i mieć pewność, że to niczym nie grozi. Celia nie zgodziła się, by być jedną z pozycji w inwentarzu własności Kalensa i dowiodła tego samej sobie w taki sam sposób, jak Colman potrafił dać samemu sobie dowody, że nikt mu nie będzie dyktował, jak ma myśleć. Takie były następstwa działań ludzi, którzy postępowali tak, że nie śmieli zwrócić się do innych plecami. Colman nie zardrościł Kalensowi ani jego pozycji, ani wielkiego domu w Dystrykcie Kolumbia; wiedział, że sam może stanąć plecami do ludzi ze swego plutonu bez obawy, że zostanie zastrzelony. Powinno się wszystkim Bardzo Ważnym Osobistościom tam w ławkach wydać działa szturmowe M32, pomyślał Colman. Wtedy oni wszyscy się pozabijają, strzelając sobie nawzajem w plecy, by myśleć tak, jak będą mieli ochotę.

Jak więc ludzie łacy, jak Howard Kalens, myśleli o Chironie? Czy wyobrażali sobie, że będą w stanie posiadać całą planetę? Czy z tego powodu poddawali dzieci praniu mózgu, by je zmienić w kukielki z Sfori, które myślały to, co im się każe oraz w cywilów, którzy będą mówić, że tak być powinno? Ale dlaczego ludzie na to pozwalają? Większość z nich nie pragnie posiadać planety; po prostu chcą, by dać im spokój i pozwolić być inżynierami albo uprawiać fermę. Pozwalają zaś dlatego, że zgadzają się z zasadami, które mówią, że będą należeli do lepszych, jeśli będą myśleć tak, jak zasady nakazują, do gorszych zaś, gdy tego nie uczynią.

Dongreve odepchnął się rękami od mównicy i wyprosiował. Gdy znów zabrał głos, zaczął mówić nieco mniej uroczystym tonem. – W zakresie, który na co dzień dotyczy wszystkich nas tutaj zgromadzonych, wzrastające tempo rozwoju programu kosmicznego w ciągu dwóch ubiegłych dziesięcioleci dostarczało nam wielu wzruszeń. Niektóre budzące nadzieję osiągnięcia mogły równoważyć mniej przyjemne nowiny, nadchodzące z innych stron. Zbudowaliśmy stałe bazy na Księżycu i na Marsie; budują się osiedla ludzkie w przestrzeni kosmicznej; do księżyców Jowisza dotarła wyprawa załogowa; prowadzi się za pomocą robotów badania na najdalszych granicach Systemu Słonecznego i poza nim. Ale – tu z westchnieniem wyciągnął ramiona – działania te dokonywane były na skale narodową, a nie międzynarodową. Pomimo nadziei i słów wypowiedzianych w ubiegłych latach, wszędzie bezpośrednim następstwem odkryć było ich wykorzystanie militarne. Prowadzi to nas do nieuchronnego wniosku, że wojna, – wybuchnie, szybko rozprzestrzeni się poza powierzchnię Ziemi i zagrozi naszemu gatunkowi w całym miejscu. Musimy mieć odwagę spojrzeć w oczy prawdzie, że taki jest zasięg niebezpieczeństwa, które grozi nam w najbliższych latach.

Odwrocił się na chwilę, spojrzawszy na model SP3 błyszczący obok na stole, a potem wskazał go gestem. – Za pięć lat ta automatyczna sonda opuści System Słoneczny i odbędzie podróż do najbliższych gwiazd, w poszukiwaniu planet nadających się do zamieszkania... daleko od Ziemi i z dala od wszystkich ziemskich problemów, niepokojów i zagrożeń. Na koniec, jeśli wszystko dobrze pójdzie, osiągnie miejsce izolowane przez niewyobrażalną odległość od problemów, które spowodowały, że walka stała się nieodłączną i nieusuwalną częścią smutnej historii istnienia rodzaju ludzkiego na tej planecie.

Congreve spojrzawszy zamyślony na model sondy kosmicznej, jakby jego myśli ulatywały wraz z nią daleko i coraz dalej. – Bedzie to nowy dom – dodał nieobecnym głosem. – Nowy, świeży, pulsujący świat, nie napiętnowany walka człowieka o wywyższenie się ponad zwierzęta, miejsce, które może stać się dla naszej rasy jedyną szansą zachowania swej odnogi tam, gdzie będzie ona mogła przeżyć, a jeśli trzeba, zacząć od nowa. Lecz tym razem świadoma lekcji przeszłości, które posłuży jej na naukę.

Szmer zmieszanych szeptów szybko przebiegł przez salę. Congreve skinął głową, dając do zrozumienia, że jest gotów spotkać sprzeciwy. Podniesieniem reki poprosił o uwagę i głosy z wolna ucichły.

– Nie, nie chce przez to powiedzieć, że SP3 można przebudować ze statku-roboty na załogowy. Projektu w jego obecnym zaawansowanym stadium nie da się już zmienić. Zbyt wiele rzeczy trzeba by przemyśleć od początku, a tego rodzaju zadanie wymagałoby dziesięcioleci. A przecież nigdzie nie projektuje się żadnej konstrukcji tak zaawansowanej, jak SP3, coż dopiero mówić o jej zbudowaniu. Sposobność jest wyjątkowa i za żadną cenę nie można pozwolić, by nam się wymknęła. Ale równocześnie na opóźnienia pozwolić też sobie nie możemy, choćby były konieczne, by skorzystać z okazji. Jakież więc jest wyjście z sytuacji? – Rozejrzawszy się dokoła w oczekiwaniu odpowiedzi. Żadna nie nadeszła.

– Badamy ten problem od pewnego czasu i sądzimy, że rozwiązanie można znaleźć. Wysłanie grupy ludzi dorosłych ani jako działającego zespołu, ani w stanie hibernacji nie jest na pokładzie statku możliwe; etap jego budowy jest już zbyt zaawansowany, by można zmieniać wyjściowe parametry konstrukcyjne statku. Ale w takim razie po co w ogóle wysłać do r o s t y c h? – Congreve wyciągnął ręce błagalnie. – Przecież naszym celem jest po prostu tam stworzyć przedłużenie naszej rasy, gdzie będzie ona wolna od nieszczęść, które mogą nas dotknąć tutaj. A miejsce na to można znaleźć tylko u kresu podróży. Ludzie nie będą potrzebni ani podczas drogi, ani w fazie badań wstępnych, gdyż maszyny zdolne są w sposób doskonały wypełnić wszystko w zakresie tych działań. Dopiero, gdy fazy te zostaną pomyślnie ukończone, istotną staje się obecność człowieka. W ten sposób, odrzucając konwencjonalne koncepcje podróży międzygwiazdowych i znajdując zupełnie nowe podejście do problemu, możemy uniknąć wszystkich trudności związanych z ideą wysyłania ludzi w przestrzeń międzygwiazdową; niech statek s t r o r z y ludzi, gdy przybędzie na miejsce!

Przerwał, lecz tym razem najmniejszy szept nie zakłócił ciszy.

Zaczął przemawiać coraz głośniejszym, przekonującym, z naciskiem. – Postępy inżynierii genetycznej i embriologii pozwalają na elektoniczne zapisanie w komputerach statku ludzkiej informacji genetycznej. Kosztem niewielkiej masy i przestrzeni wyposażenie statku może zostać uzupełnione o wszystko, co niezbędne dla stworzenia i wyhodowania pierwszej generacji, liczącej nawet kilkaset ludzkich zarodków, gdy tylko zostanie znaleziona planeta, na której wstępne badania atmosfery i powierzchni wykazą właściwe warunki. Embryony następnie mogą być oddane pod opiekę i wreszcie wychowywane przez wyspecjalizowane roboty, które prześlą im tyle z naszej kultury i historii, ile pomieści pamięć komputerów. Wszystkich środków koniecznych do zbudowania i utrzymania rozwiniętego społeczeństwa, dostarczy sama planeta. W tym celu, gdy na orbicie pierwsze pokolenie będzie przechodziło okres niemowlactwa, inne maszyny wybudują na powierzchni zakłady przetwórstwa metali i innych materiałów, fabryki, fermy, systemy transportu i ośrodki mieszkalne. Można się spodziewać, że w ciągu paru

pokoleń powstanie kwitnąca kolonia i niezależnie od tego, co stanie się tutaj, rodzaj ludzki ocala. Takie podejście do sprawy ma tę zaletę, że jeśli zaangażujemy się w ten natychmiast, konieczne zmiany zmieszczą się w istniejącym harmonogramie budowy SP3 i zgodnie z poprzednimi planami start może nastąpić za pięć lat.

Sluchacze Congreve'a zwolna wracali do życia. Choć wielu z nich było ciągle zbyt zdumionych, by zdobyć się na wyraźną reakcję, głowy zaczęły skłaniać się twierdząc, a szepty przebiegające przez salę brzmiały pozytywnie. Prezes skinął głową i z lekką się uśmiechnął, jakby ciesząc się myślą, że najlepsze zachował na koniec.

– Drugą rzeczą, którą chciałbym oznajmić dzisiaj jest, że tego rodzaju decyzja właśnie została podjęta. Jak wspominałem przed chwilą, temat ten był już przedmiotem studiów przez dłuższy czas. Dziś mogę was poinformować, że trzy dni temu prezydent Stanów Zjednoczonych i przewodniczący Wschodniej Strefy Wspólnego Rozkwitu podpisali porozumienie, wchodzące w życie natychmiast, o wspólnym urzeczywistnieniu projektu, który wam pokrótce zarysowałem. Działalność różnych państwowych i prywatnych Instytutów badawczych i innych organizacji, które zostały zaangażowane w przedsięwzięcie, będzie koordynowana przez przedstawicieli Północnoamerykańskiej Organizacji Eksploatacji Kosmosu i reprezentantów naszych chińskich i japońskich partnerów pod nazwą kodową „Gwiezdna Przestrzeń”.

Twarz Congreve'a rozjaśniła się szerokim uśmiechem. – Trzecia informacja, jaką mam przekazać, brzmi, że mimo wszystko ten wieczór nie oznacza mego wycofania się z pracy zawodowej. Prezydent zaproponował mi kierownictwo projektu „Gwiezdna Przestrzeń” z ramienia Stanów Zjednoczonych jako starszego partnera porozumienia. Przyjąłem. Rezygnuję z funkcji w POEK wyłącznie dlatego, by móc w całości poświęcić się moim nowym zadaniom. Tych, którzy mogą mniemać, iż w przeszłości mieli ze mną ciężkie życie, mogę z nieszczerym ubolewaniem zawiadomić, że będę się tu jeszcze przez dłuższy czas krecił, zanim zaś nasz projekt zostanie urzeczywistniony, czasy staną się o wiele cięższe.

Kilka osób w końcu sali wstało i zaczęło klaskać. Aplauz wzmagal się, aż przekształcił w zbiorową owację. Congreve uśmiechnął się nie zmieszany w podziękowaniu za ten wybuch entuzjazmu, przez chwilę stał pozwalając trwać owacji, w końcu znów oparł się o mównicę.

– Pierwsze oficjalne spotkanie z Chińczykami odbyło się wczoraj i już podjęliśmy pierwszą wspólną oficjalną decyzję. – Znów rzucił okiem na model sondy gwiazdnej. – SP3 ma już imię. Została nazwana Imieniem bogini z mitologii chińskiej, która wydała nam się odpowiednią patronką dla statku: Kuan-yin – bogini przynosząca dzieci. Miejmy nadzieję, że dobrze potrafi strzec swych dzieci w nadchodzących latach.

wszystko pójdzie pomyślnie, ale byli też zadowoleni, że jest pod ręką wojsko, by usuwać trudności. Nie zależało im na pokoju po to, by Colman i jemu podobni nie zostali zabici ani by Chironeńczycy podobni do Jaya zostali inżynierami, zaś podobni do czarnego chłopca kolo Zeerusa uprawiali farmy, nie ginąc pod dywanowym nalotem. Chcieli pokoju po to, by móc najać Chironeńczyków za połowę płacy Ziemiaków i by zbudować dla swych dzieci dobre, ekskluzywne szkoły. Chironeńczykom nie można pozwolić chodzić do szkół, bo wtedy zażądają równych płac z Ziemiakami. A zresztą na takie szkoły nigdy nie będzie ich stać – przecież to w końcu nie są ludzie.

– Jaki wydruk daje chironski kompuler, gdy ktoś go chce użyć bez upoważnienia? – zapytał jeden z biznesmenów, gdy sytuacja dojrzała do opowiadania dowcipów.

– Jaki?

– RATUNKU! GWALCA! Ha-ha, ha-ha-ha!

Colman zdecydował przejść się do Rockefellera i sprawdzić, czy nie został tam kłós z jego plulonem. Po drodze nagle zwolnił kroku. Nie tak dawno temu natknął się przypadkiem na bardzo osobistą i zadowalający sposób tworzenia sobie samopoczucia, że wyrównuje swe rachunki z systemem, choć nie bardzo wiedział, dlaczego tak się dzieje. Nikt prócz niego nie wiedział o tym, nawet Hanlon, ale to nie sprawiło różnicy. Nie spotykał się z nią od pewnego czasu, ale właśnie dziś był w odpowiednim nastroju.

By uniknąć posługiwania się komblokiem w niezbyt prywatnym otoczeniu, wszedł do kabiny w hotelu u Rockefellera i wywołał numer tak zaprogramowany, że odpowiadał tylko, gdy była sama. Czekając na sygnał, Colman błyskawicznie przebiegł myślą wydarzenia sprzed sześciu miesięcy. Stał wyciągnięty na baczność w paradnym mundurze obok modelu stanowiska zdalnego kierowania ogniem artyleryjskim – eksponatu, należącego do części wysławy zorganizowanej przez armię z okazji święta Czwartego Lipca – gdy ona niedbale krokiem oddaliła się od grupy sączących koktajle Bardzo Ważnych Osobistości i stanęła kolo niego, podziwiając ekrany z pozorowanymi obrazami pola bitwy. Powolnym, sugestywnym ruchem przesunęła długim, lakierowanym paznokciem po klawiaturze skomplikowanego pulpitu kontrolnego podsystemu śledzenia satelitalnego. – A ile jeszcze tak przysojnych mężczyzn jak ty, sierżancie, jest w armii? – szepnęła do ekranów przed sobą.

– Nie mogę odpowiedzieć, Madame – odrzekł Colman armacie laserowej, stojącej o dwadzieścia stóp przed nim. – Nie jestem specjalistą od przystojnych mężczyzn.

– Włec może specjalistą od pań, poszukujących podniecającej rozrywki?

– To zależy, Madame. Mogę sprawić masę kłopotów.

– Bardzo mądrze, sierżancie. Niemniej niekiedy z nich umięją być bardzo dyskretne. Teoretycznie biorąc, zaliczyłyby się wówczas do innej kategorii, nie sądzisz?

– Teoretycznie, jak sądzę, ma pani słuszność – zgodził się Colman.

Miała przyjaciółkę imieniem Weronika, która mieszkała samotnie w pracowni artystycznej w segmencie Baltimore i była bardzo wyrozumiała. Można było polegać, że Weronika opuści dom na cały wieczór, i to w każdej chwili; Colman niekiedy zaslanawiał się, czy ona rzeczywiście istnieje. Posiadanie pracowni na wyłączny użytek nie stanowiłoby trudności dla żony Bardzo Ważnej Osobistości, nawet przy ograniczonej powierzchni mieszkalnej „Mayflower II”. Nigdy mu nie powiedziała, czy był jej jedynym mężczyzną, on zaś nigdy nie pytał. To należało do zasad ich związku.

Ekran naprzeciw niego nagle rozjaśnił się, ukazując jej twarz. Przez maleńki ułamek sekundy w jej oczach zabłysło zdziwienie, ustępując ciepłemu płomykowi oczekiwania, pomieszanego z odrobiną rozbawienia.

– Hej, witaj, sierżancie – powiedziała niskim głosem. – Zaczynałam się zastanawiać, czy nie nasłąpiła dezercja. Teraz zaś zaslanawiam się, co możesz mieć myśli o tej nocnej godzinie,

– To zależy, jaka jest sytuacja pod względem towarzyskim?

– Och, jak na sobotni wieczór, bardzo nudna.

– Nie ma go...

– Pię, opycha się i spiskuje. Z pewnością do białego rana.

Colman zawahał się przez chwilę, by pytanie ślać się zrozumięło samo przez się. – Włec...?

– No cóż, jestem pewna, że Weronika da się przekonać, jeśli zadzwonie do niej i ładnie poproszę.

– Powiedzmy, za pół godziny.

– Pół godziny. – Uśmiechnęła się obiecująco i mrugnęła. W chwili, gdy ekran gasł, Colman na moment ujrzał w zbliżeniu jej sięgające ramion kaszlanowate włosy i piękne rysy twarzy, pochylającej się do ekranu by przerwać połączenie.

Półetatową kochanką Colmana z najwyższego towarzystwa była Celia Kalens.

akcentem od drzwi wejściowych. Bret Hanlon stał oparty niedbale o framugę, z zimnym błyskiem w niebieskich oczach. Jego potężne ramiona zdawały się zasłaniać wejście na całą szerokość. Wyglądał na zupełnie spokojnego i odpalonego, ale Colman zauważył, że Hanlon pochylił się lekko do przodu, dłoń zaś nieznacznie opuszczał na wysokość ud. Obaj kaprale wymienili przestraszone spojrzenia, obecność Hanlona odwracała szansę. Padawski patrzył niepewnie, ale równocześnie nie chciał się niestawnie wycofać. Przez parę sekund ciagnących się jak minuty atmosfera na sali nalaadowała się do granic wybuchu. Nikt nie drgnął.

W tym momencie trzech żołnierzy Służby Specjalnej, wychodzących z Bowery zatrzymało się, by sprawdzić kawiarnię. Dalo to Padawskiemu poszukiwany pretekst. – Wychodzimy stąd – powiedział. Trio z buńczuczными minami podążyło do drzwi, Hanlon zaś wszedł do środka i stanął z boku. U wyjścia Padawski zatrzymał się, by rzucić Colmanowi nienawistne spojrzenie. – Innym razem. A wtedy nie będzie miał tyle szczęścia. – Wyszli. Na zewnątrz trzech „S”-manów zrobiło w tył zwrot i powoli odszło.

Hanlon zbliżył się, usiadł w łóżu. W sali wszystko wróciło do normy. – Wiedzieli, że tu jesteś, Steve. Podśuchałem ich rozmowę u Rockefellera. Pomyślałem sobie, że wrócę i powłóczę się gdzieś tutaj.

– Zawsze mówiłem, że masz dobre poczucie czasu, Bret.
– Czy ten fajny chłopak to Jay, o którym mi opowiadałeś? – spytał Hanlon.
– To Jay. Jay, to jest Bret, Bret Hanlon. Dowodzi jednym z plutonów i uczy walki wręcz. Nie zadzieraj z nim.

– Czy to dlatego te typy się wyniosły? – spytał Jay, powoli odzyskując naturalny kolor.
– Prawdopodobnie jedno z drugim miało coś wspólnego – odpowiedział z uśmiechem Colman. – Z takimi szumowinami ma się do czynienia w wojsku. Nadal cie to interesuje?
– Sądzę, że będę musiał to przemyśleć – zgodził się Jay.

Hanlon zamówił trzy hamburgery z garniturem i najbliższe pół godziny dwaj sierżanci spędzili na rozmowie z Jayem o życiu wojskowym, o tubotu i o tym, jak Stanisław przelamuje zastrzeżone kody publicznego banku pamięci. W końcu Jay oświadczył, że czas mu do domu, więc odprowadzili go przez kilka poziomów, aż do centralnego dworca kapsuł na Manhattanie.

– Czy wracamy do towarzystwa? – zapytał Hanlon, gdy po odjeździe Jaya do segmentu Maryland schodzili szerokimi schodami na forum na środkowym pokładzie.

Colman zwolnił kroku i podrapał się w brode. Nie miał na to ochoty. – Tdż sam, Bret – powiedział. Myśle, że się trochę powłóczę. Wolałbym zostać na chwilę sam.

Rozmowa z Jayem przypomniła Colmanowi masę rzeczy, o których na co dzień nie miał ochoty myśleć. Życie było jak wojsko: brało ludzi, łamało ich na drobne kawałki i składało z powrotem tak, jak chciało. Tyle, że nie robiło tego z ciałami, lecz z umysłami. Brało umysły dziecięce w okresie ich plastyczności i paraliżowało je, mówiąc, że są głupie; dezorientowało je przy pomocy ludzi, którzy z założenia wszystko mieli wiedzieć lepiej, ale nic z tego im nie przekazywali; na koniec terroryzowało je przy pomocy Boga, który kochał wszystkich. A wtedy musztrowało je i ćwiczyło, dopóki słusznym nie stało się tylko to, co kazano im myśleć. Ten system zmienił Anitę w lalkę i próbował zrobić kukiełkę z Jaya, tak jak już ją zrobił z Bernarda. Zmieniał ludzi w magnetofony, które nagrywały i odgrywały słowa i wyrażał w nich przekonanie, że wiedzą wszystko o ludności planety, której nigdy nie oglądali na oczy. I rozwałkał czaszki czarnych chłopców, ponieważ chcieli oni uprawiać swe farmy, a nie chcieli, by ich dzieci przybijano gwoździem do ścian, następnie zaś mówił cywilom w Cape Town, że tak jest w porządku. A co zrobił z Colmanem? Nie miał na to odpowiedzi, ponieważ nie wiedział, jak mogłoby być, gdyby było inaczej.

– Doigrają się szybko tego, co im się należy – oświadczył tłusciuch siedzący na stołku barowym obok Colmana. – Rozwydrzone dzieci, mnożą się jak króliki... Obrzydliwie. I do tego robią bomby! Dzikusy, nie tylko dzikusy, nie lepsze, niż Chironczycy. Kalens ma rację. On ich nauczył trochę szacunku i przyzwoitości. – Colman przeklnął drinka i wyszedł.

„Jezu” – pomyślał. „Ten ustrój przyprawia mnie o mdłości”. A ciagnęło się to dawniej, niż od dwudziestu lat, bo czymże był „Mayflower II”, jak nie przedłużeniem systemu, od którego próbował uciekać przez całe życie? Jay zaczynał pojmywać, że pułapka w jaką wpadł, już się zamyka. I nic się nie zmieni. Nigdy. Chiron też nie będzie wyjściem, na które Colman miał nadzieję zgłaszając się na ochotnika, gdy miał dziewiętnaście lat. Wiozą system wraz z sobą, a Chiron stanie się jego częścią. Wrócił do Bowery, gdzie paru biznesmenów na przechadzkę po mieście postawiło mu drinka. Byli zaniepokojeni plotkami o możliwości kłopotów, bo mieli wielkie plany ekspansji na Chironie i chcieli wyciągnąć z Colmana, co się o tym szepcze w armii. Colman powiedział, że nic się nie szepcze. Biznesmeni mieli nadzieję, że

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYPRAWA STATKU „MAYFLOWER II”

Rozdział I

Trzeci pluton kompanii „D” zajął taktyczną pozycję bojową około dwustu stóp poniżej linii grzbietowej, w zagłębieniu otoczonym stykającymi się splachetkami dzikiej szalwii i niskich zarośli. Z dwóch stron osłaniały ją występy niskiej ściany skalnej, potężny głaz zamykał trzecią, z przodu zaś chroniła półka z mniejszych, płaskich kamieni. Tarcza termiczna rozciągnięta w górę skrywała ciepło ciał żołnierzy przed wykryciem przez zawsze czujne sensory nieprzyjacielskich satelitów obserwacyjnych.

Gdy Colman uniósł skraj siatki maskującej, trzymając nadal głowę głęboko cofniętą, ujrzał widok pełen zwoźniczego spokoju. Zbocze pagórka poniżej pozycji stromo opadało. Słabe światło gwiazd ledwie pozwalało dostrzec jego zarysy, które dalej rozplywały się w ciemnościach wąwozu leżącego u stóp wzgórza. Noc była bezkłęskowa, niebo bezchmurne jak kryształ. Wzrok Colmana powoli przystosował się do panującego zmroku, spojrzenie przeniosło dalej. Systematycznie badał obszar, na którym dwudziestu pięciu ludzi plutonu od trzech godzin trwało nieruchomo w ukryciu. Jeśli wykopaliby dotryśle i stanowiska sprzętu tak, jak im pokazał, a także należycie wykorzystali roślinność i kamienie, była duża szansa, że nie zostaną wykryci. Aby jeszcze bardziej zmylić przeciwnika, kompania „D” rozłożyła pozorujące atrapy termiczne o pół mili dalej, blisko grzbietu wzgórza, w miejscu, gdzie wedle wszelkich zasad pluton powinien zająć pozycję bojową. Samoprogramujące się promienniki włączały się i wyłączały losowo, pozorując przesuwanie się ludzi. Dzięki temu przez większą część nocy ścigały na siebie sporadyczny ogień nieprzyjaciela. Pluton w ogóle nie był ostrzeliwany, co dobrze świadczyło o przestrzeganiu regulaminu, w jego wersji przerobionej na własną rękę przez sierżanta sztabowego Colmana. „Istnieją dwa sposoby robienia czegośkolwiek” – mawiał rekrutom. „Sposób wojskowy i sposób biedny. Innych sposobów nie ma. Jeśli więc mówię wam, abyście coś zrobili po wojskowemu, co to oznacza?”

– Aby robić tak, jak pan to mówi, sierżancie.

– Doskonale.

O pięćdziesiąt stóp dalej zabłysł na sekundę pomarańczowy punktik w miejscu, gdzie Stanisław i Carson trzymali ścieżkę do wąwozu w polu ostrza submegadżulowego lasera. Colman zachmurzył się. Prawie niedostrzeżenie odwróciwszy głowę szepnął do Driscolla: – Widać papierosa przy SDL. Skończyć z tym.

Driscoll zapukał palcem w płytkę kompaku i z wbitego w ziemię ostrza pobiegły przez glebę drgania nadzwyczajowe, niosąc sygnał wywoławczy Stanowiska Działu Laserowego. – Tu SDL, słucham – rozległ się przyciszony głos z kompaku.

Driscoll szepnął do mikrofonu umocowanego do swego hełmu: – Czerwony Trzy, sprawdzenie linii. – Ten tekst, automatycznie zapisany w elektronicznym dzienniku łączności bojowej, brzmiał zupełnie niewinnie. W ciemności Driscoll włączył na chwilę blokadę zapisu. – Światło u was, gówniarze. Zgasic albo ukryć. – Zdał palec z wyłącznika. – Melduj sytuację, SDL.

– W stanie gotowości i dozoru – odpowiedział obojętny głos. – Nic do zameldowania. – Na stanowisku działu ogień znikł w mgnieniu oka.

– Utrzymywaj gotowość. Koniec.

Colman odchrząknął cicho, raz jeszcze rozejrzał się po terenie, opuścił skraj siatki maskującej i spojrzał do środka. Obok Driscolla Maddock przyglądał się łożysku wąwozu przez wzmacniacz obrazu. W ciemności obok niego kapral Swiley wpatrywał się z napięciem w ekran wideoskopu przedpola. W przyćmionym świetle ekranu rysy jego twarzy nabrały ostrości.

Obraz, który przykuł jego uwagę był przekazywany przez osiemnastocalowy szybujący automat zwiadowczy piechoty, który udało im się skrycie umieścić na wysokości tysiąca stóp nad dnem wąwozu, niemal dokładnie nad przednim skrajem pozycji nieprzyjacielskiej. Jego odczyt był uzupełniany przez dodatkowe dane z satelitów i innych źródeł sieci wywiadu elektronicznego. Na ekranie było widać bункier dowodzenia w głębi wąwozu, ujawnione stanowiska broni nieprzyjaciela, obliczone przez komputerową analizę punktów początkowych śledzonych radarowo trajektorii wystrzelonych pocisków, oraz położenie punktów obserwacyjnych i ogniowych na podstawie analizy triangulacyjnej rozproszenia

odbić światła laserów kontrolnych. Chłodne wody strumienia i jego dopływów wyglądały na ekranie jak czarne gałązki, skały i glazy świeciły odcieniami błękitu, żywa roślinność przechodziła od rdzawego brązu na wzgórzach do głębokiej czerwieni w gestych zaroślach u podnóża wąwozu; ślady po odlamkach bomb i pocisków świeciły odcieniami od małego oranżu do żółci, zależnie od tego, ile czasu upłynęło od wybuchu.

Tym jednak, co tak przykuwało uwagę kaprała Swyleya, były małe plamki jaśniejszej czerwieni, które mogły być, ale mogły i nie być, śladami niewystarczająco zamaskowanej pozycji obronnej, a także ledwie widoczne, cienkie jak włos linie, które mogły być śladami termicznymi niedawnego ruchu pojazdów.

W jaki sposób Swyleyowi udawało się czytać obraz tak precyzyjnie jak to robił, nikt dokładnie nie wiedział, a już najmniej on sam. Niezależnie od przyczyn, zdolność Swyleya wyławiania znaczących szczegółów z beznadziejnej gmatwaniny zaśmieconego tła obrazu i nieomyślnego odróżniania wartości informacji od atrap pozorujących i pułapek była z całkowitą siusznoscia głośna – i niesamowita. Ponieważ jednak sam Swyley nie wiedział, jak to robi, nie był więc w stanie wytłumaczyć tego programistom systemów elektronicznych, którzy mieli nadzieję powielić jego osiągnięcia w programach analizy obrazów. W rezultacie wszyscy „iści” oraz „ologowie” zaczęli go malitrewać, poddając nieskończenie długim i bezplodnym badaniom testowym. Na koniec Swyley wymyślił dla nich dość wiarygodnie brzmiące wytłumaczenie, które miało tylko jeden słaby punkt: programy napisane zgodnie z nim – nie działały. Wtedy Swyley oświadczył, że jego tajemnicza zdolność nagle znikła.

Major Thorpe, oficer wywiadu elektronicznego w sztabie brygady, przeczytał kiedyś, że szpinak i ryby są znakomitym lekarstwem przeciw osłabieniu wzroku, przepisał je więc Swyleyowi w formie diety intensywnej. Ale Swyley nienawidził ryb i szpinaku jeszcze bardziej, niż testów, którym był poddawany i w przeciągu tygodnia został dotknięty ostrym daltonizmem, co udowodnił nie dostrzegając niczego w ogóle nawet na najprostszyszych displejach treningowych.

W rezultacie Swyley został uznany za „nieprzystosowanego społecznie” i przeniesiony do kompanii „D”, gdzie zsyłano wszystkich nieprzystosowanych i niezadowolonych. Tam jego zdolność cudownie powracała, pod warunkiem, że nie było w pobliżu żadnego oficera, z wyjątkiem kapitana Sirocco, który dowodził kompanią „D” i zupełnie nie interesował się, w jaki sposób Swyley uzyskuje wyniki, pod warunkiem, że były one prawidłowe. Nie obchodziło też kapitana, że Swyley był nieprzystosowany, szczególnie biorąc pod uwagę, że tak czy inaczej z samego założenia cała kompania „D” składała się wyłącznie z takich ludzi.

Oznacza to, że nie ma łatwego sposobu wydostania się z kompanii „D”, a co dopiero ze służby wojkowej w ogóle – rozmyślał Colman, oczekując w ciemności aż Swyley wyda swe orzeczenie. Wynikało z tego, że przeniesienie Colmana z armii do Inżynierii, o co prosił, było mało prawdopodobne.

Według przekonania Colmana rozumiało się samo przez się, że nikt pozostający przy zdrowych zmysłach nie chce zostać zabity albo wysłany do miejsca, o którym nigdy nie słyszał, przez ludzi, których nigdy nie spotkał, w celu zabijania innych ludzi, których nie znał. Dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie służył w wojsku. Ponieważ jednak armia była pełna ludzi, których uważał za dostatecznie normalnych i zdrowych na umyśle, prawdopodobnie wynikał z tego wniosek, że wojskowe pojęcie normalności musiało być nader dziwne. Z drugiej strony przeniesienie się do czegoś takiego, jak Inżynieria, wyglądało na pierwszy rzut oka na sprawę całkowicie naturalną, rozsądną, konstruktywną i pożądaną. A to, jak się zdaje, było dostateczną gwarancją, że armia uzna taką prośbę za nierozsądną i dla Colmana niewłaściwą.

Z jeszcze innej strony, do ważnych elementów oceny należało badanie i rekomendacja psychiatryczna. Colman zaś podczas kilku seansów, spędzonych z przydzielonym do brygady psychiatrą Pendreyem, stopniowo doszedł do wniosku, że Pendrey był zdeklarowanym wariatem. Zastanawiał się więc, czy zwariowany psychiatra, wychodząc ze zwariowanych założeń, może w końcu dojść do wniosków, zgodnych ze zdrowym rozsądkiem; podobnie, jak dwie równoważne inwersje logiczne w dowodzeniu nie naruszają prawdziwości wniosku. Ale znów, jeśli zgodnie ze standardami armii Pendrey był normalny, analogia nie chwylała.

Prawda, że Sirocco poparł wniosek; ale Colman nie był pewien czy zda się to na wiele, biorąc pod uwagę, że Sirocco dowodził kompanią „D” i wszystko co proponował, było w sposób oczywisty gdzieś na drodze służbowej rozumiało odwrotnie. Może powinien był przekonać kapitana, by nie popierał wniosku. Z drugiej jednak strony, jeśli wszystko co popierał Sirocco, od razu podlegało odwróceniu i jeśli Pendrey był wariatem, ale zgodnie z normami wojskowymi normalnym, i jeśli założenia, z których Pendrey wychodził były równie wariackie, to mimo wszystko mogła z tego wynikać decyzja dla Col-

- Nawet ty?
- Oczywiście. Co może być bardziej idiotycznego, niż wojsko?
- Ale ty nie jesteś głupi – powiedział Jay. – Więc czemu wstąpiłeś?
- Bo to była grupa, dokładnie jak ci opisałem; coś, do czego się należy. Zawsze działałem na własną rękę i rozbraiałem dokola, tylko po to, by mnie zauważono. Tak postępują ludzie. Nie idzie o to, co robisz, coś dobrego czy złego, jeśli tylko robisz coś, dzięki czemu inni zauważają twoje istnienie. Nie ma nic gorszego, jak nie zosłać zauważonym przez kogokolwiek. – Colman wzruszył ramionami. – Słuktem typunia, który sam się o to napraszał, ale przypadkiem miał bogatego tatusia i zaproponowano mi służbę wojskową zamiast ciupy, ponieważ doszli do wniosku, że to będzie nie mniejsza kara. Zgodziłem się natychmiast.

Jay wypił tyk kawy, przyglądając się filiżance przez chwilę dłuższą niż w nieskończoność, aż wreszcie nie podnosząc oczu powiedział: – Myślałem o tym w te i w tamtą stronę... wiesz, mam wrażenie, że chciałbym dostać się do wojska. Jak to można najlepiej załatwić?

Colman rzucił mu surowe spojrzenie. – Jak ci się zdaje – co na tym zyskasz? – zapytał.

- Och, kto wie... może coś z tego, o czym opowiadałeś?

- Wyrwać się z klatki domowej, być naprawdę sobą, zerwać z siebie kaftan bezpieczeństwa i tak dalej, he?

- Może.

Colman, starając się sformułować właściwą odpowiedź, wytarł usta serwetką z zasobnika stojącego na stole i pokiwał głową. Ugrzązł w armii, ale chciałby zostać zawodowym inżynierem; Jay śpiewając mógł stać się inżynierem, ale zdawało mu się, że wolałby być w armii. Odpowiedź, wyliczająca w lekceważący sposób przyczyny, dla których to nie był tak dobry pomysł, dla Jaya się nie nadawała – znał je na pamięć i nie chciałby ich słuchać.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hałasem i kilka mocnych gardeł zagłuszyło rozmowy w kawiarni. Colman poznał trzy twarze z kompanii „B” – wysokiego, zylastego sierżanta Padawskiego o cienkich, brzydkich wargach i twardych czarnych oczach, osadzonych w wąskiej, śniadej twarzy, i dwóch kaprałów, których nazwisk nie mógł sobie przypomnieć. Byli już po alkoholu, a Padawski potrafił być wredny nawet na trzeźwo. Dawna przyjaźń Colmana z Anitą zawiązała się wówczas, gdy dziewczyna zaczęła szukać w jego i Halona towarzystwie obrony przed prześladowaniem Padawskiego. Colman umiał sobie poradzić w potrzebie. Hanlon zaś, poza tym że dowodził jako sierżant drugim plutonem, był instruktorem walki wręcz dla całej kompanii „D” i to dobrym instruktorem. To zestawienie skutecznie odstraszyło Padawskiego, lecz od tej chwili darzył on Colmana skrytą nienawiścią.

- Co to za jedni? – spytał Jay, zauważywszy napięcie Colmana.

- Złe wieści – syknął Colman przez ściśnięte zęby. – Mów spokojnie dalej. Nie rozglądaj się.

- Mam to w dupie – ryczał Padawski, gdy trójka toczyła się w stronę kontuaru. – Mam to głęboko w dupie, mówię wam. Jeśli ten zasraniec chce, żeby... – Przerwał nagle. – Popatrz, kogoś tu mamy? Złotowłosy chłopczyk z kompanii „D”, z tych kretyńców na tyle cwanych, by spieprzyć całe ćwiczenia pierwszego dnia. – Colman czuł drżenie podłogi, gdy ciężkie kroki zbliżały się do łóż. Nieznacznie zmienił pozycję nóg pod stołem i położenie ciała w taki sposób, by być gotowym do poderwania się w każdej chwili. Wygodnie ujął w dłoń filiżankę do połowy wypełnioną gorącą kawą. Spojrzał na złośliwie uśmiechniętego o trzy stopy od stolika Padawskiego.

- Spokojnie prywatnie – mruknął cichym, ale groźnym głosem. – Spływał.

- Hej, chłopcy, złotowłosy ma nową dziewczynkę! Popatrzcie! Chcesz nam coś powiedzieć, Colman? Zawsze ci podejrzewałem. – Obaj kaprale głośno zarechotali, jeden z nich zatoczył się na stolik w drugim rzędzie. Siedzący tam człowiek przeprosił i wyniósł się. W głębi lokalu zza kontuaru wyszedł zaniepokojony właściciel.

Jay zbladł i siedział nieruchomo. Colman wlepił w Padawskiego płonący wzrok. Padawski wyszczerzył zęby jeszcze bardziej. Przy trzech na jednego i Jayem obok, wiedział, że ma Colmana w reku. Padawski przysunął ławę do Jaya i chuchnął oddechem przesyconym zapachem piwa.

- Hej, chłopczyku, czy chciałbyś...

- Dosyć – warknął Colman. – Odwał się od niego. Sprawę macie ze mną. Pójdę na was trzech, ale nie tutaj. On z tym nie ma nic wspólnego.

Zaatakowany właściciel podsunął się bliżej, nerwowo gniotąc ścierkę w dłoniach. – Stuchajcie, nie chcę tu żadnych awantur. Ja po prostu podaję klientom co zamówione, w porządku? Goście też nie chcą awantury. Czemu byście wobec tego...

- Ach, to te chłopczyki, co szukają awantury, tak? – rozległ się przyciszony głos z lekkim irlandzkim

wykorzystaniu nadarzającej się okazji, wynagrodzi sobie tym swoją przeszłość. Dlaczego - nie wiedział; na pewno rękawiczki uczyli teraz, nie robił to żadnej różnicy Colmanom, ale czuł, że jest im to winien. Tak działały umysły ludzkie. Umysły mogły być nader osobliwe.

Postawił kawę na stole i wsunął się na miejsce naprzeciw Jaya. - Miałeś kiedy pragnienie? - zapytał, mieszając cukier w filiżance.

Jay był zdumiony. - Jakże... oczywiście. Tak sądzę. Czy to nie każdemu się zdarza?

- Naprawdę spragniony - tak bardzo, że twój język jest jak kłębek waty stalowej, puchnie ci w ustach, a skóra zaczyna pękać.

- No... nie. A bo co?

- Ja byłem. Kiedyś odcieło mnie z paru chłopakami na prawie cały tydzień na pustyni w Południowej Afryce. Nie możesz wtedy myśleć o niczym, prócz wody. Pragnienie jest nie do opisania. Za kubek wody dałbyś sobie odebrać rękę. - Przerwał. Jay czekał zaintrygowany. - Gdy zaś masz picia ile trzeba - kontynuował Colman - zaczynasz się martwić o jedzenie. To idzie wolniej, ale w końcu jest równie złe. Było masę wypadków ludożerstwa trupów przez ludzi, którzy chcieli zostać przy życiu. Wystarczy być dostatecznie głodnym. Inni walczyli na śmierć i życie o garść obierzyn kartoflanych.

- No i...?

- Gdy masz co jeść i pić, zaczynasz się martwić, by ci było ciepło. A gdy ci już dość ciepło, zaczynasz myśleć o własnym bezpieczeństwie. - Colman na chwilę rozłożył ręce. - Kiedy ludzie żyją w gromadzie, przez większość czasu tym, żeś z nich ma ro jeść i pić i udaje im się zapewnić sobie ciepło i bezpieczeństwo. Jak sądzisz, co wówczas przychodzi im na myśl?

Jay był zakłopotany, zmarszczył brwi. - Seks? - zaryzykował.

Colman wyszczerzył zęby. - Oczywiście masz rację, istnieje jednak przyjęte założenie, że udawać będziesz, iż nie masz o tym pojęcia. Jednak ro innego miałem na myśli: uznanie. Ta właściwość natury ludzkiej ujawnia się, gdy zostają zaspokojone większe potrzeby. A gdy już się ujawni, staje się równie potężna, jak cała reszta. Człowiek potrzebuje przekonania, że nie jest gorszy w porównaniu z innymi facetami wokół niego. Potrzebuje uznania za to, co w nim jest dobre i potrzebuje być wyróżniany. Tak jak mówiłeś, prawdopodobnie za tym wszystkim tkwi seks, bo człowiek myśli, że wtedy dziewczyny zwracają na niego uwagę. Ale niezależnie od przyczyn, ta potrzeba naprawdę istnieje.

Jay zaczął już wyciągać wnioski. - Pod jakim względem w porównaniu z innymi? - zapytał. - Jaka jest skala?

- To nie ma znaczenia - odpowiedział Colman. - Jest różna w różnych miejscach. Być najlepszym myślimy w wiosce, albo tym, który zabił najwięcej lwów. Może zależeć od sposobu, w jaki pomalujesz twarz. Przez większą część historii skale stanowiły pieniądze. Nieważne, co za nie kupujesz. Ważne jest to, że rzeczy, które kupiłeś, mówią do innych: „Żeby zarobić tyle, by to wszystko kupić, miałem takie same możliwości jak ty. Ale ja zarobiłem, a ty nie. Wobec czego jestem lepszy od ciebie”. O to chodzi w całej sprawie.

- Czemu jest ważne, by być lepszym, niż ktoś inny?

- Już ci powiedziałem, to jest instynktowne. Nie da się tego zwalczyć. To jest jak pragnienie.

- A ja też powinienem tak odczuwać?

- Odczuwasz. Czy nie jest ci przyjemnie, gdy twoja drużyna zwycięża w Czaszy? Czemu tyle pracujesz w szkole? Oczywiście lubisz naukę, ale czy przy tym nie starasz się usilnie wszystkim udowodnić, że jesteś bystrzejszy niż te wszystkie dupki głupsze od ciebie? To ci nie emocjonuje? Bądź szczery. A jako dziecko, czy nie należałeś do bandy z łajnymi hasłami i znakami rozpoznawczymi, składającej się z samych najlepszych kumpi? Załóżę się, że tak.

Jay kiwnął głową z uśmiechem. - Masz rację. Tak było.

- Tak było ze wszystkimi. A gdy robisz się starszy, to się nie zmienia. Nawet zastrza. Facet łączy się w bandy i ustanawiają zasady niedopuszczenia do nich innych typków, ponieważ typkom, którzy należą, jest z tym lepiej niż tym, którzy nie należą.

- Przecież to głupie zasady - zaoponował Jay. - Są bez sensu. Dlaczego ktoś miałby być lepszy przez to, co gada poza miejscem pracy? Przecież liczy się tylko to, ro robi w pracy.

- Zasady nie muszą być sensowne. Służą tylko do tego, by głosić, że jesteś inny. Chwytasz? Twój tata należy do grupy, która ustanowiła mnóstwo zasad, na które nie miał żadnego wpływu. Ale że jest na sznurku w taki sam sposób jak wszyscy, musi odczuwać, że jest akceptowany. Aby zaś być akceptowanym, trzeba okazywać, że się przestrzega zasad. Gdyby tego nie robił, stałby się groźny dla grupy i usunięto by go. Rozejrzyj się wokół, a zobaczysz, w ile idiotyzmów ludzie się wplątują tylko po to, aby być przekonani, że należą do liczącej się grupy.

mana pomysła. Ale czy rzeczywiście? Jego próby wmyślenia się w pokretną logikę sytuacji zostały znów przerwane przez Swyleya, który wreszcie odwrócił się od ekranu i oparł wygodnie.

- Praktycznie całość ich sił została zgrupowana na flankach po obu stronach wąwozu - obwieścił Swyley. - Jest kilka pododdziałów, które posuwają się w dół po przeciwnym zboczach, ale nie zajmą pozycji jeszcze przez około trzydzieści minut. W tej chwili i wprost naprzeciw nas są na dole niczym nie osłonięci.

- Niczego tam nie mają? - upewnił się Colman, dotykając ekranu palcem w miejscu, gdzie dolna część ścieżki wynurzała się z zagajnika na skraju trawistej piaszczystej od kilkaset stóp od nieprzyjacielskiego bunkra. Na ekranie widniał tedwie dostrzegalny układ kłęsków po obu stronach drogi, dokładnie w miejscach, w których można było spodziewać się pozycji obronnej.

Swyley potrząsnął głową. - To są atrapy. Jak mówiłem, przesuneli praktycznie wszystkich facetów na zewnętrzne skrzydła - tknął palcem w ekran - tu, tu i tu.

- Starają się okrażyć kompanię „B” i dostać wyżej, na grzbiet cztery-dziewięć-trzy - orzekł Colman, studiując obraz.

- Być może - odparł Swyley wymijająco.

- Tam na dole wygląda mi martwo, jak na pustyni - wmieszał się Maddock, nie odrywając ani na chwilę wzroku od wizjera wzmacniacza.

- Co mówią sejsmometry i wachacze o tych atakach Swyleya? - spytał Colman, zwracając się do Driscolla.

Driscoll przetłumaczył zapytanie na język komputera i spojrzał na sumator danych na jednym z ekranów kompaku. - Nieznaczne drżenie nadprogowe w odległości ośmiuset jardów. Współczynnik wzrostu w kierunku wiatru poniżej pięciu punktów w odległości czterystu. Potwierdzenie negatywne ze zwiadu akustycznego - znaczny wzrost tła. Komputery nie wykazały układów drgań wywołanych przez działania człowieka wśród danych nadchodzących od czujników, skrycie zrzuconych wokół wąwozu z lecących na niskim pułapie, zdalnie sterowanych „pszczoł” krających nocą; sensory chemiczne rozmieszczone na zawietrznej mniemanych atrap pozorujących wykryły tylko niewiele molekuł związków zapachowych, charakterystycznych dla ciała ludzkiego; przez mikrofony nie nadeszły żadne spójne sygnały dźwiękowe, ale to niewątpliwie było spowodowane wysokim poziomem białych szumów, generowanych w pobliżu strumienia. Chociaż więc dowody były tylko cząstkowe i do tego negatywne, podtrzymywały niewiarygodnie skądinąd twierdzenie Swyleya, że główna droga na dół, prowadząca do przedmiotu działania, była w tym momencie faktycznie niebroniona.

Colman zmarszczył się i błyskawicznie przeanalizował sens zebranych danych. Żadna jednostka wojskowa, składająca się z ludzi przy zdrowych zmysłach, nie brałaby pod uwagę możliwości zdobywania tego rodzaju przedmiotu frontalnym natarciem w centrum - najniższy odcinek kierunku natarcia był zbyt dobrze osłonięty przez panujące nad nim zbocza, a jeśli atak by utknął, nie było drogi odwrotu. Nieprzyjacielski dowódca pomyślał więc sobie, że każdy będzie tak myślał. Po róż więc wiązać masę ludzi dla obrony punktu, który nie będzie wcale atakowany? Zgodnie z regulaminem, właściwym sposobem natarcia na bunkier byłby albo atak z góry, wzdłuż strumienia, albo też przez przekroczenie go poniżej bunkra i rozwinięcie natarcia ze szczytu po przeciwnym stronie. Dlatego nieprzyjacieli skoncentrował się w punktach górujących nad obniżonymi drogami natarcia, czekając w zasadzkach na któryś z wariantów ataku. Ale właśnie dlatego środek pozostał szeroko otwarty.

- Sian pogotowia po sieci dla dowódców drużyn - powiedział Colman do Driscolla. - I daj licznosc z Niebieskim Jeden.

Sirocco odezwał się przez kompak w parę chwil później. Colman streścił sytuację. Śmiałość pomysłu przekonała kapitana natychmiast. - Musimy to zrobić na własną rękę. Nie ma czasu, by wciągać w to brygadę, ale możemy związać facetów po przeciwnej stronie, gdy będziesz szedł naprzód i przetoczyć przed tobą zapórę ogniową dla oczyszczenia terenu z przeszkód. - Sirocco miał na myśli zrobotyzowane kompanijne baterie artyleryjne, rozmieszczone w głębi, za linią grzbietową pasa wzgórz. - Ale to oznacza, że jak tam wleczesz, będziesz szedł do przodu bez żadnego ognia przeciwartyleryjskiego. Co sądzisz?

- Jeśli pójdziemy szybko, damy sobie radę bez tego - odparł Colman.

- Bez ognia przeciwartyleryjskiego nie będzie czasu na podciągnięcie żadnego innego plutonu dla wsparcia twoich działań. Będziesz zdany tylko na siebie - odparł Sirocco.

- Możemy użyć robotów dla położenia osłony bliskiego działania na skrzydłach. Jeśli dasz nam przykrycie optyczne i podczerwone na tysiąc dwieście stóp, damy sobie radę.

Sirocco zawałał się na ulamek sekundy. - Okay - powiedział na koniec. - Do roboty.

W dziesięć minut później Sirocco ukończył pośpiesznie nakreślony z pomocą oficera operacyjnego plan ognia i przekazał szczegóły do pierwszego, drugiego i czwartego plutonu. Colman zaś zakończył odprawę swego plutonu za pośrednictwem dowódców drużyn. Sierżant sprawdził i zabezpieczył wyposażenie osobiste; rozładował, załadował i ponownie sprawdził swe działko szturmowe M32; sprawdził i przeliczył amunicję.

Gdy tylko pierwsza salwa bomb dymowych rozerwała się w odległości tysiąca dwustu stóp, kryjąc teren przed obserwacją nieprzyjacielską, trzeci pluton rzucił się naprzód wzdłuż ścieżki, w kierunku gęściejszych zarośli poniżej. W parę chwil później granaty przesłaniania optycznego zaczęły wybuchać dokładnie poniżej zasłony dymnej, rzygając chmurami pyłu aluminiowego, rozkładającymi nieprzyjacielski system kontroli i komunikacji laserowej. Skoncentrowany ogień zaporowy artylerii przed nacierającym oddziałem i wysokoenergetyczne promienie pulsujące, wystrzeliwane przez plutony flankujące natarcie, łczyły się naprzód wzdłuż ścieżki, oczyszczając ją z min i innych urządzeń przeciwpiechotnych. Za zapórą ogniową drużyny trzeciego plutonu posuwały się skokami, osłaniając się wzajemnie ogniem dla uzupełnienia działań artylerii. Oporu nie było. Artyleria obrońców otworzyła ogień w dziesięć sekund od pojawienia się zasłony dymnej, ale nieprzyjaciel strzelał na ślepo i po większej części nieskutecznie.

Po trzynastu minutach walka była skończona. Colman stał na żwirowym brzegu strumienia, przyglądając się, jak jego ludzie wyprowadzają z nieprzyjacielskiego bunkra zdumionego majora i jego ogłupiałego sztab. Dołączono ich do stada rozbrojonych obrońców, zgonionych do kupy pod czujnym spojrzeniem uśmiechniętych wartowników z trzeciego plutonu. Najważniejszym zadaniem było wzięcie jeńców i uzyskanie informacji, plon zaś stanowiło, na dodatek do majora: dwóch kapitanów, porucznik, podporucznik, starszy chorąży sztabowy, sierżant szef, dwóch sierżantów i ponad tuzin szeregowych. Ponadto zdobyto nienaruszone wykazy sygnałów wywoławczych i mapy wraz z bezcennym sprzętem łączności i sterowania bronią. Całkiem niezły polów, pomyślał Colman z satysfakcją.

Komputery uznały dwóch ludzi z trzeciego plutonu za zabitych i pięciu za ciężko rannych. Colman myślał sobie, jakby to było pięknie, gdyby prawdziwe wojny można było prowadzić w taki sposób. W tym momencie jaskrawe światła wysoko w górze w mgnieniu oka zmieniły na scenie wydarzeń noc w słoteczny dzień. Przez parę sekund mrużył oślepienie oczy, po czym zsunął hełm na tył głowy i się rozejrzał. Zabici i ciężko ranni, trafieni na zboczu wyżej, schodzili grupką po ścieżce, pozostawiając trzy plutony kompanii „D” wychodzący z ukrycia. Wzdłuż wawozu było widać większy ruch po obu stronach, w miarę, jak jednostki obrońców i napastników pojawiały się na otwartej przestrzeni. Wozy szlabowe, transportery piechoty i różne inne pojazdy latające zaczęły brzęczeć z daleka, zza odleglejszych łańcuchów wzgórz, gdzie kończyło się niebo. Colman nie miał pojęcia, że aż tyle wojska brało udział w manewrach. Nieprzyjemne uczucie wślizgnęło się do jego mózgu: właśnie doprowadził do przedwczesnego końca skomplikowaną zabawę, na którą sztabowcy cieszyli się od dłuższego czasu; prawdopodobnie nie będą z tego powodu zbyt szczęśliwi. Może nawet dojdą do wniosku, że nie chcą go dłużej w armii – pomyślał filozoficznie.

Jeden z wozów sztabowych zbliżył się z narastającym wyciem, przez sekundy zawisł nieruchomo prawie dokładnie nad bunkrem, by wreszcie gładko wylądować. Jego tylne wejście oisunęło się, ukazując szczipię, śniadego kapitana Sirocco w hełmie i battledressie, ubranego jeszcze w kamizelkę przeciwołamkową. Gdy pojazd hyl sześć stóp nad ziemią, wyskoczył zwinnie i podszedł spokojnie do Colmana. Niefrasolliwe rysy jego twarzy, ocienionej obfitym czarnym wąsem, jak zwykle nim, wyrażały niczego, ale w oczach tańczyły ogniki. – Niezła robota, Steve – powiedział bez wstępu. Z rękami na biodrach odwrócił się i przyjrzał grymasom oburzenia wziętych do niewoli „nieprzyjacielskich” oficerów, stojących z ponurymi minami koło bunkra. – Nie sądzę jednak, abyśmy za to musieli odznaki sprawności zuchowych. Właśnie złamałmy prawie wszystkie punkty regulaminu walki piechoty. – Colman chrząknął. Nie spodziewał się, wiele więcej. Sirocco podniósł brwi i wieloznacznie skłonił głowę.

– Czołowy atak na umocnioną pozycję, odsłonięte skrzydła, praktycznie żadnej możliwości odwrotu, żadnego planu postępowania w nieprzewidzianych wypadkach, niedostateczne wsparcie z powietrza, chłpi i żadnego ognia przeciwartyleryjkiego – wyrecytował rzeczowo, a równocześnie bez cienia niepokoju.

- A co na lemał stania z otwartą gębą? – spytał Colman. – Nic o tym nie ma w regulaminie?
- Zależy od tego, kim jesteś. W kompanii „D” wszystko jest względne.
- Nie myślałeś kiedy, by podszyc spodnie na siedzeniu kawalkiem kamizelki przeciwołamkowej? – spytał Colman po chwili. – Być może będzie ci to potrzebne.
- Ach, gówno mnie to obchodzi. – Sirocco spojrzał w górę. – w każdym razie za chwilę się przekonamy.

– Słuchaj, ja...ja nie miałem zamiaru przeszkadzać – wyjąkał Jay. – To znaczy, jeśli ty i ona jesteście...

Anita zatrzymała się u wejścia do klubu klubowego, oparty o ścianę żołnierz coś do niej mówił. Wzięła go pod rękę i zaśmiała się głośno w odpowiedzi. – W takim stopniu – odpowiedział Colman, pokazując tamtych ruchem głowy. – Nie ma sprawy. Może nawet wyrządził mi przysługę. – Żołnierz rzucił nerwowe spojrzenie na potężną, sześciostopową sylwetkę Colmana i szybko się oddalił, z Anita uwieszoną jego ramienia.

Colman popatrzył za odchodzącymi, po czym przesłał o nich myśleć i przez kilka chwil spoglądał na Jaya. – Nie wykombinowałeś jeszcze, jak bywa w życiu, he? – hurknął. Oszczędziło to wielu niepotrzebnych pytań.

Jay się trochę uspokoił, oczy zabłyśły mu z ulgą, bo odpała potrzeba zupełnie zbędnych wyjaśnień. – To cholernie skomplikowane – odpowiedział po prostu.

– Czy coś ci ułatwi, jeśli powiem, że i ja też jeszcze nie wykombinowałem do końca, jak to bywa w życiu?

Jay potrząsnął głową. – To by tylko oznaczało, że mamy takie same problemy. Ale niczego by nie rozwiązało.

– Ja też tak myślę. No to nie powiem tego.

– Czy to oznacza, że już wykombinowałeś?

– A czy dla twoich problemów robiłoby jakąkolwiek różnicę, gdybym potwierdził?

– Nie. Bo to byłoby rozwiązanie dla ciebie, ale nie dla mnie.

– No to masz odpowiedź.

Jay skinął twierdząco, wyprosił rękę łkwiącą dłońmi w kieszeniach, aż mu ramiona podeszły na wysokość uszu, pozostawiając w tej pozycji przez parę chwil, po czym odprężył się nagle z westchnieniem.

– Czy mogę o coś zapytać? – powiedział zadarłszy głowę.

– Czy hede musiał na to odpowiedzieć?

– Jeśli nie zechcesz, to myślę, że nie.

– No to wał.

– Czemu jest tak jak jest? Dlaczego to, co ty i ja robimy w Jersey, ma jakiś związek z posadą mego lata? To się kupy nie łączy.

– Czy pyłałeś go o to?

– Mhm.

– I?

Jay spojrzał w dół mrużąc oczy i podrapał się po głowie. – Mniej więcej to, czego się spodziewałem. Nic osobistego; jesteś facetem w porządku; gdyby to od niego zależało, to by inaczej wyglądało, ale nie zależy – takie gailanie. Ale czuło się, że mówi to dlatego, żeby nie wyglądać na świnię. To poważniejsze, niżby się zdawało. Nie o to chodzi, czy to zależy od niego, czy nie. On naprawdę wirrzy, że tak być powinno. Jak ludzie mogą stać się takimi?

Colman rozejrzał się i zrobił gest w kierunku kawiarni koło Bovery. – Nie będziemy tu wystawiali przez całą noc – powiedział. – Wejdzmy. Napijesz się kawy?

– Oczywiście... dziękuję. – Poszli w kierunku wejścia. – I dziękuję ci za zawory – powiedział Jay. – Pasują znakomicie.

– Jak ci idzie?

– Całkiem nieźle. Zestaw kotłowy skończony. Będiesz musiał przyjąć i rzucić okiem.

– Oczywiście.

Jay usiadł w wolnej łóżce, Colman zaś wziął z kontuaru dwie kawy i wsunął do szczyłiny swoją wojkową karle żółdu. Często i na różne sposoby Jay przypominał Colmanowi jego saniego z czasów młodości. Nazwisko zawdzięczał sierżantowi inteligentnemu małżeństwu, które go adoptowało, gdy miał lat jedenastu, by zapewnić towarzystwo dla ich syna Dona, starszego o dwa lata. Nie chcieli sobie utrudniać karier zawodowych przez drugie własne dziecko. Przyhrany ojciec Colmana był inżynierem termodynamiki, zaangażowanym w sprawę wymienników ciepła w systemach magnetydynamicznych; tłumaczyło to wczesne zainteresowanie chłopca sprawami techniki. Choć Colmanowie robili co mogli, by obu chłopców traktować jednakowo, Steve miał za złe Donowi, że skończył szkołę średnią, a zazdrościł, gdy ten poszedł na studia inżynierskie, chociaż sam Steve był na to za młody. Buntowniczy charakter, który znacznie przyczynił się do umieszczenia chłopca w domu dla kradnącej młodzieży, z którego został wybrany do adopcji, objawił się znowu. W rezultacie małżeństwo Colmanów przeżyło sporo przykrych chwil, o co Steve, ochłonawszy, nieważał żal do siebie. Z jakichś niejasnych dla niego samego przyczyn ezul, że jeśli uda mu się dopomóc Jayowi w realizacji jego potencjalnych możliwości i

przed wielu miesiącami i zachował przyjemne wspomnienia. Ale chociaż czuł, że jej trwające przez cały wieczór załoty zarzący go podniecać, rozmowa o możliwości dobrania się jako para i zbliżającym się lądowaniu wprowadziła element nie istniejącego przedtem ryzyka. Mogło przecież być i tak, że Anita w głębi duszy miała zamiar stworzenia w przyszłości na Chironie solidnego, trwałego domu rodzinnego. Zdecydował, że przy pierwszej sposobności szepnie słówko Hanlonowi, by pomógł mu się urwać pod koniec wieczoru.

Gdy Colman z Anitą wyszli z Bowery i skierowali się za resztą towarzystwa, które już się oddaliło, teren dla pieszych pełen był ludzi marnujących czas na zastanawianie się, co by zrobić z resztą wieczoru. Anita przystała szukać rzęsoś w tórce. Colman zatrzymał się czekając na nią. Gdy siedzieli w barze dotknięcie jej ręki na ramieniu było podniecające, lekki aromat perfum, dolatujący gdy pochylała się, by ująć szklankę, działał drażniaco. Co u diabła? – pomyślał. – Anita nie jest dzieckiem. Po dwudziestu latach zamknięcia w statku kosmicznym człowiek potrzebuje od czasu do czasu rozrywki.

Odwrociwszy się ujrzał, że trzyma w dłoni fiolkę pigulek. Wrzuciła jedną do ust i uśmiechając się szelmowsko podsunęła fiolkę Colmanowi. – Dziś sobota, może trochę urozmaicenia? – Zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Anita odeła wargi. – Dobre są. Psychiatrizy mówią, że zmniejszają zahamowania i wzmagają świadomość. A powinniśmy znać sami siebie.

– Rozmawiałem z psychami. Wszyscy mają kota. Stąd mogą wiedzieć, czy znam siebie, czy nie? Czy wiesz jak twoja głowa funkcjonuje w środku? – Anita potrząsnęła nią w sposób oznaczający, że nic ją to nie obchodzi. Colman ściągnął brwi jeszcze mocniej, raczej wskutek rozczarowania, że mile perspektywy zaczęły się rozwiewać, niż z dezaprobaty dla spraw, które go nie dotyczyły. – No to w jaki sposób ma ci o tym powiedzieć pigułka?

– Powinieneś sam siebie odnaleźć, Steve. To dobrze robi.
– Nigdy się nie zgubiłem.
– Zangredi używa stymulatorów dla katalizowania swych prądów psychicznych. Dzięki temu może przewidywać przyszłość.

– Na litość boską, przecież to wymysł telewizyjny. Ona nie istnieje. To nie jest prawdziwe życie. W prawdziwym życiu nic takiego nie ma.

– Kogo to obchodzi? Tym zabawniej. Czemu nudzisz?
Rozdarażniony Colman odwrócił wzrok. Mogła być świetnym myślącym człowiekiem. Wolala zamiast tego być laika, poruszaną i kształtowaną przez wszystko, co widziała i słyszała dokoła. Wokół niego wszędzie to samo, połowa ludzi jakich spotykał śpiewała w chórze w głębi sceny, na której Stormbel dawał przedstawienie kukielkowe. Nagle przypomniały mu się wszystkie przyczyny jego ochłodzenia wobec Anity, wiele miesięcy temu, gdy jeszcze poważnie przemysliwał nad prawnym uregulowaniem ich stosunku i ustatkowaniem się na wzór Hanlona. Próbował wówczas się dostroić do jej fali, ale napotkał tylko biały szum. Najbardziej zaś złościło go, że nie musiała tak się zachowywać; miała głowę na karku, ale odmawiała jej używania.

Chudy, jasnowłosy wyrostek, oparty o kolumnę i leniwie kopiący lam i z powrotem pusty karton, wyprostował się na widok Colmana i podszedł do niego. Zatrzymał się z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie i uśmiechnął się z zażenowaniem. Colman spojrzał zdumiony na chłopca. Był to Jay Fallows. – Co u diabła ty tu robisz?

– Och, wykombinowałem sobie, że będziesz gdzieś w tej okolicy.
– Czy to ten chłopak, który robi lokomotywy? – spytała Anita.
– Tak. To jest Jay. Jest do rzeczy... i bystry.
– Bysłry... umysł. – Orzy Anity zaczęły się robić z lekka nieprzytomne. – Lokomotywy, umysł chwytliwy. To mi się podoba. Rymuje się. Nie uważasz, że się dobrze rymuje? – Uśmiechnęła się do Jaya i mrugnęła łobuzersko. – Cześć, Jay. – Pigulka w połączeniu z alkoholem uderzyła jej do głowy. Jay uśmiechnął się, ale był zażenowany.

– Słuchaj, mam wrażenie, że Jay chce pomówić o sprawach, które by cię nie interesowały – powiedział Colman do Anity. – Może dołączysz do tamtych? Dogonię was później.

– Nie chcesz, żebym z tobą została?
Colman westchnął. – Nic podobnego. Po prostu...

Anita pomachała ręką na wysokości twarzy. – W porządku. Nie chcesz, żebym z tobą została... Nie chcesz mnie, bym została. W porządku. – Zaczęła recytować śpiewnym głosem: – Kto twierdzi, że potrzebuje kogokolwiek, by się zabawić jakkolwiek? Popatrz, świetnie się czuje. W porządku... Ty i Jay możecie sobie pogadzać o lokomotywach i umysłach chwytliwych. – Ruszyła przed siebie wymachując trzymaną za pasek torebką.

Colman poszedł za jego wzrokiem. Pancerny transporter dla Bardzo Ważnych Osobistości, z odznakami generalskimi na masce, zdażał w ich kierunku. Colman przerzucił swe M32 na drugie ramie i wyprostował się w oczekiwaniu. – Podciągnąć się tam! – zawołał do ludzi z trzeciego plutonu, którzy włożyli się grupami nad strumieniem i kolo bunkra, pałac i rozmawiając. Papierosy rozduszono grubymi podeszwami butów bojowych, rozmowy umilkły, grupki stanęły w większym porządku.

– Na czym opierał pan swoją analizę rozkładu sytuacji, sierżancie? – zapytał Sirocco ostrym, wysokim głosem, malując urzędowy sposób mówienia pułkownika Wessermanna, adiutanta generała Portneya. Nadal swemu głosowi ton podejrzliwy i oskarżycielski. – Czy kapral Swiley odegrał istotną rolę w sformułowaniu pańskiej oceny taktycznej? – Takie pytanie musiało się pojawić; regulaminowa procedura analizy obrazowej, prowadzonej w brygadzie, nie ujawniaby żadnych danych, usprawiedliwiających decyzje natarcia.

– Nie, sir – odpowiedział sztywno Colman, patrząc nieruchomo wprost przed siebie. – Kapral Swiley obsługiwał kompak. Nie można mu powierzać analizy danych wywiadu elektronicznego. Jest daltonista.

– W takim razie jak wyjaśnicie wasze niezwykle wnioski?
– Myślę sir, że był to przypadek trafnego domysłu.

Sirocco westchnął. – Zdaje mi się, że będę musiał złożyć raport, że zezwoliłem na natarcie z własnej inicjatywy, bez żadnych danych na jej poparcie. – Lypnął na Colmana. – Nie masz przypadkiem pod ręką kogoś, kto umiałby uszyć dobrą parę spodni?

Drzwi transportera Bardzo Ważnych Osób otwarły się tuż przed nimi, ukazując korpulentną sylwetkę pułkownika Wessermanna. Jego rumiana twarz była jeszcze bardziej rumiana niż zwykle, przybrałszy w okolicy szyi kolor fioletowy. Wyglądał, jakby dusiła go tłumiona wściekłość.

– Mam wrażenie, że on zupełnie nie czuje słodkiej woni sukcesu – szepnął Colman obserwując pułkownika.

Sirocco przez chwilę kręcił węża. – Sukces jest jak pierdnięcie – orzekł. – Tylko własny ładnie pachnie.

Rozdział II

Dyżurujący w sali monitorów Subcentrum Sterowania Napędem Bernard Fallows dostrzegł nagłą zmianę kolorów i linii na jednym z rozmieszczonych wokół ekranów. W mgnieniu oka wszystko inne uleciało z jego umysłu. Ekran był jednym z kilku podłączonych do Piątego Zespołu Głównego Systemu Dostawy Paliwa i obrazował pracę jednej z baterii potężnych pomp zasilania wodorowego, rozmieszczonych w rufowej części statku, o pięć mil od miejsca, w którym Fallows się znajdował.

– Co się dzieje z Piątą-E, Horacy? – zwrócił się do pustego pokoju, w którym siedział.

– Projekcja tendencji niskopozycyjnej – odpowiedział komputer wykonawczy Subcentrum przez małą siatkę, umieszczoną na jednym z boków pulpitu sterowniczego przed Fallowsem. Wygląda, jakby zasilacz trzy łamane przez pięć mil się znowu zaczął grzać. Korelacja całkowita sześćdziesiąt siedem, kontrola działania pozytywna, wskaźnik rozprężania osiem-zero.

– Odczyt na wskaźniku sześć?
– Znikomy.

Dalsze informacje otrzymał Fallows z ekranu. Zmiany wysledzone przez komputer były minimalne: maleńkie otwarcie tendencji, która, jeśli się nawet utrzyma, nie będzie sprawiać kłopotów przez miesiąc albo i dłużej. Biorąc pod uwagę, że do osiągnięcia Chirona były jeszcze trzy miesiące podróży, powodów do niepokoju nie było. Szczególnie, że pozostałe pompy tej samej grupy miały zaprojektowany dostateczny margines mocy, by dać sobie radę bez wsparcia. Ale, nawet biorąc to pod uwagę, nie ulegało wątpliwości, że Merrick będzie się upierał przy rozmontowaniu Głównego Systemu, by przesłifować łożyska, wyregulować usławienie i ponownie wyważyć wirniki. Od czasu, gdy włączono główny napęd, już dwa razy w ciągu trzech miesięcy przeszedł przez tę procedurę. Oznaczało to jeszcze jeden tydzień pracy w stanie niemal nieważkości, niezdarnego gramolenia się w ciężkich skafandrach po niedobrej stronie rafowej osłony przeciwpromiennej.

– Durna pompa – kwaśnym tonem mruknął Fallows.
– Ponieważ pompa nie należy do istot organicznych, zakładam, że wypowiedź ta należy do gramatycznej kategorii wykrzykników – zaszczebotał Horacy.

– Och, udław się. – Komputer posłusznie powrócił do swych medytacji.
Fallows znowu usiadł na krześle i regulaminowo obiegł wzrokiem salę monitorów. Za szklaną przegrodą naprzeciw jego pulpitu, na stanowiskach załogi, wszystko wydawało się przebiegać normalnie;



byli ich znawcami. Jedynym co widzieli, były ocenzone transmisje z planety, z nagraniem na statku komentarzem. Czemu ludzie nie pojmują, że wmawia się im, co mają myśleć? Przypomniał sobie zastyszane w Cape Town historyjki o tym, jak czarni w buszu gwałcili białe kobiety, a następnie rabali je siekierami na kawałki. Czarnuch, którego ich patrol przesłuchiwał w wiosce koło Zeerusi, nie wyglądał na typa zdolnego do podobnych rzeczy. Był prostym chłopem, który chce, by mu dano spokojnie uprawiać jego farmę, mimo że niewiele już wówczas z niej zostało. Błagał Amerykanów, by nie przybijali jego dzieci gwoździami do ściany – bo wśród jego ludu opowiadano, że Amerykanie to robią. Wyjaśnił, że z tego właśnie powodu strzelili do patrolu i zranili chudego Teksaszczyka, inaszerując go pięć kroków przed Colmanem. I dlatego też biały porucznik armii Południowej Afryki strzelił mu w leń. Ale cywile w Cape Town i tak wiedzieli lepiej, bo telewizja powiedziała im, co mają myśleć.

Kapral Swiley nie odzywał się w ogóle, co było znaczące, gdyż Swiley zawsze wykazywał wiele zdrowego rozsądku. Jeśli milczał, znaczyło to, że się nie zgadza z tym, co słyszał. Jeśli zaś się zgadzał, mówił, że się nie zgadza. Nigdy zaś nie powiedział, że się z czymkolwiek zgadza. Gdy dietetyk wykrył, że rozkaz co do diety szpinakowo-rybnej nadal obowiązuje, a Swiley zdecydował, że jest całkiem zdrowy, lekarz wojskowy nie był w stanie oskarżyć go o symulację, ponieważ Swiley nigdy się nie zgadzał, gdy mówiono, że jest chory. Sam zaś powiedział jedynie, że ma skurcze żołądka. Lekarz orzekł, że każdy, kto ma kurcze żołądka w czasie wolnym od służby musi być chory. Swiley tego nie powiedział. Co więcej, Swiley się z tym nie zgadzał, co dla każdego powinno być jasne, ponieważ milczał.

– Ja uważam, że jednak mamy się czego bać – rzekła Paula. – A jeśli oni okażą się naprawdę wredni i nie zadadzą sobie trudu by porozmawiać? Przypuśćmy, że wystrzeliła w nas rakietę bez ostrzeżenia i w ogóle... Mam na myśli, że jesteśmy tu w kosmosie wystawieni na strzał jak zające, nieprawdaż? I co wtedy będzie?

Sirocco parsknął śmiechem. – Powinnaś coś wiedzieć o tym statku, nim zaczniesz mieć takież niaurtwienia. Prawdy podobnie postawimy zasłone przechwytywaczy i podejdziemy za nimi do lądowania. Zatrzymają nas tylko na dziesięć tysięcy mil. Musisz mieć trochę zaufania do naszej firmy.

Hanlon machnął ręką w powietrzu. – Jak na sobotni wieczór, wszystko to robi się zbyt poważne. Po co my o tym gadamy? Mamy się przejmować głupimi plotkami? – Spojrzał na Sirocca. – Szklanki są prawie puste, Wasza Wysokość. Kolejka była częścią zakładu.

Sirocco już miał odpowiedzieć, ale szybko odstawił szklankę, złapał czapkę ze stołu i wstał. – Muszę zniknąć – szepnął. – Będę u Rockefellera, jeśli ktoś chce do mnie dołączyć. – Przemknął między stolikami i znikł w salce w głębi, skąd było wyjście na zewnątrz obok toalety.

– Co u diabła go ugryzło? – spytał zdumiony Hanlon. – Czy kapitanom już tak marnie płacą? – „S”-mani – mruknął Swiley, nie poruszając wargami. Pare razy poruszył oczami w kierunku swego prawego ramienia, wskazując na coś. W barze trochę przycichło, atmosfera zrobiła się nieco napięta.

Colman sledził z nad szklanki wejście do baru trzech żołnierzy Służby Specjalnej. Stancji groźni i sztywno wyprostowani w ciemnozielonych mundurach, z daszkami czapek nisko opuszczonymi na twarze o twardych, wystających podbródkach, przyglądając się uważnie otoczeniu. Nikt długo nie wytrzymał ich wzroku nie odwracając spojrzenia. Jeden z nich mruknął rozkazująco do barmana, który skłonił się, szybko postawił szklanki i chwycił bulełkę z półki za sobą. „S”-mani stanowili elitę wojsk regularnych, wybraną z najgorszych drani w armii i kompletnie pozbawioną poczucia humoru. Przypominali Colmanowi komandosów, których widywał w Transwaalu. Przy uroczystych okazjach stanowili ochronę Bardzo Ważnych Osobistości – prócz tradycji nie było na to innych uzasadnień na pokładzie „Mayflowera II” – i zostali sformowani przez Borfonteina jako oddział szlurmowy, zwiazany specjalną przysięgą lojalności. Dowodził nimi generał nazwiskiem Stormbel. W kompanii „D” żartowano z ich mechanicznej precyzji ruchów na paradach i niewidzialnych nitkach, za które pociągał Stormbel. Ale nie opowiadano takich dowcipów nigdy, gdy którykolwiek z nich znajdował się w zasięgu głosu. Nazywano też Służbę Specjalną – Sforą Szakali.

– Mam wrażenie, że sami zapłacimy za drinki – orzekł Hanlon, dopijając piwo i stawiając szklankę na stole.

– Tak to wygląda – zgodził się Stanisław.
– Ja płaciłem ostatni – zastrzegł się Colman. Towarzystwo jakby ostygło z zapalą.
– No to czemu nie zwinąć się stąd i nie wypić kolejki u Rockefellera? – zaproponował Hanlon. – Sirocco powiedział, że tam właśnie idzie.

– Wspaniały pomysł – orzekł Colman i wstał z miejsca. Dion Anity ześliznęła się z jego ramienia i chwyciła lekko za mały palec. Reszta towarzystwa dopiła piwo, wstała po kolei, żegnając się skinieniem głowy właściciela lokalu Sama i zaczęła posuwać się ku drzwiom tuzina grup.

Anita nadal trzymała Colmana za palec, co zrozumiał jako milczące zaproszenie. Spał z nią kilka razy

- Ktoś musi zapewniać funkcjonowanie armii. Dziś właśnie jego kolejka. Umie to równie dobrze, jak inni.

- No cóż, jakby to powiedzieć... Miałam się zabawić dziś wieczorem - powiedziała Paula, rzucając Hanlonowi ciepłe spojrzenie.

Brel Hanlon podniósł reke obronnym gestem. Miał różową, miesistą dłoń, porośniętą na grzbiecie rzadkimi złotymi włoskami. Wyglądała, jakby mógł nią roznosić orzechy kokosowe i pasowała do jego mocnej, krepkiej budowy, rumianej twarzy i przenikliwych niebieskich oczu, odziedziczonych po irlandzkich przodkach. - Na mnie nie licz - powiedział. - Jestem już zaangażowany, grzecznie i poważnie. To do tamtego faceta powinnaś rościć sobie nadzieję. - Pokazał głową na Colmana, uśmiechając się złośliwie.

- Dobrze hy mu to zrobiło - orzekł Sirocco. - Może wtedy zrobią go inżynierem. Ale nie pójdzie ci to łatwo. On czeka, póki nie sprawdzi, co one tam umieją na Chironie.

- Nie wiedziałam, że masz skłonności do małych dziewczynek, Steve - przekomarzała się Anita. - Nie wyglądasz na takiego. - Hanlon ryknął śmiechem i poklepał się po udach.

- Mam dwie siostry, które nie są w stanie sprawić kłopotów - zaferował Stanisław.

- Nie nie rozumiecie - oświadczył Colman. - Wcale nie idzie o te male. - Wytrzeszczył oczy w parodię lubięcego oczekiwania. - Pomyślcie o tych wszystkich babcicach. - Terry i Paula roześmiali się.

Choć Colman dostosował się do ogólnego nastroju i obrócił wszystko w żart, poczuł w głębi duszy ukłucie irytacji. Nie był pewien, z jakiego powodu. Drwiny Anity były echem potocznych wyobrażeń, ale zawarty w nich obraz planety zaludnionej przez dzieci, był oczywistą bzdurą; pierwsze pokolenie Chironczyków musiało się już zbliżyć do pięćdziesiątki. Nie podobało mu się, że głupie formuły wchodziły ludziom do głów, a potem znowu z nich wychodzą, bez cienia myśli poświęconej po drodze ich znaczeniu. Anita była ponętną i niegłupią dziewczyną. Nie musiała się tak zachowywać. Ale w tej chwili przyszło mu do głowy, że może traktuje to zbyt poważnie. Czy on sam nie zachował się podobnie przed chwilą?

- Niezłe babacie! - wykrzyknął Terry. - Czy ktoś oglądał dzisiejszy dziennik? Kłórys tam naukowiec przypiszcza, że Chironczycy być może produkują bomby. Był też wywiad z Kalensem. Powiedział, że nie można z góry zakładać, że oni tam na planecie są w pełni rozumni.

- Nie chcesz przez to powiedzieć, że przyjdzie do walki, prawda? - spytała Paula.

- Tego nie powiedziałam. Ale to dziwni ludzie... nad wyraz ostrożni. Nie dają całkowicie uczciwych odpowiedzi na nasze wszystkie pytania.

- Ale nie możesz uważać za oczywiste, że oni będą całą tę sytuację oceniać podobnie, jak inni ludzie - podsunęła Anita. - To naprawdę nie ich wina; nie mieli stosownego wychowania i tak dalej; niemniej byłoby głupio ryzykować.

- Myślę, że to hy się zgadzało - przyznała Paula z rozlęgnięciem.

- Czy sądzisz, szefie, że oni mogą nam napytać biedy? - zwrócił się Stanisław do Sirocca.

Sirocco wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Nie marwiłbym się o to zbyt. Trzymaj się Steve'a i Brela, rób co ci się powiedza, a wyjdiesz z tego cało.

Colman i Hanlon, choć nie weterani wojenni, należeli do nielicznych żołnierzy wojsk liniowych Misji, którzy brali udział w hitwach, służąc jako rekruci w amerykańskiej jednostce ekspedycyjnej, walczącej u hoku Południowych Afrykanów w Transwaalu w 2059 roku; w rok później zgłosili się jako ochotnicy na „Mayflower II”. Doświadczenia wojenne przydały im aury pewnej niezwykłości, szczególnie wśród młodszych żołnierzy, którzy osiągnęli pełnoletność - niektórzy nawet urodzili się i wstąpili do wojska - już w czasie wyprawy.

- Jestem zdania, że Kalens powinien zostać wybrany - oświadczył Terry. - Powiedział trochę wcześniej w dzisiejszym wywiadzie, że byłoby całkiem niezłe gdyby się okazało, że Chironczycy zaczęli tworzyć armie, ponieważ oszczędziłoby to nam czasu i wysiłku na ich szkolenie. Musimy tylko im pokazać, że jesteśmy po ich stronie i działać wspólnie, gdy pokaże się „Pagoda”.

Statek kosmiczny FWA był zbudowany inaczej niż „Mayflower II”. Dla skompensowania sił występujących podczas przyspieszenia, miał formę dwóch kłębów smukłych ostrosłupów, zawieszonych przegubowo wokół osi centralnej. Dzięki temu mogły się wokół niej obracać lub odchylić. To podobieństwo do wiotkiego, dwupiętrowego parasola, zyskało statkowi przydomek „Latającej Pagody”. Terry po ciągnął mały tyk ze szklanki i rozejrzała się po zebranych. - Facet myśli całkiem doradczynie. Wcale nie musimy z nimi walczyć. Wystarczy, że przerobimy ich na nasz sposób i naprostujemy ich myślenie.

- Ale to nie znaczy, że mamy ryzykować - podkreśliła Anita.

- No, oczywiście... Po prostu chcę powiedzieć, że nie ma się czego bać.

Colman znow zaczął się irytować. Do tej pory nikt ze statku nie spotkał Chironczyka, ale wszyscy już

pozostałe ekrany potwierdzały, że wszystko jest tak, jak powinno. Rezerwowego zbiornika paliwa rakietyowego silnika korekcyjnego numer 2 został, po uprzedniej nieznacznej korekcie kursu, dopełniony i znow sygnalizował: „Gotów”. Wszystkie podzespoły paliwa, chłodziwa, mocy głównej i pomocniczej, hydrauliczne, pneumatyczne, benzynowe, olejowe, regeneracji powietrza oraz oprzyrządowania, obsługujące Sekcję Napędu, działały należycie w założonych granicach. Daleko, w okolicach rufy, zespoły gigantycznych reaktorów termojądrowych pożerały 55 milionów ton wodoru, wybuchowego magnetycznie z przestrzeni kosmicznej podczas dwudziestoletniej podróży. Co sekundę dwie jego lony przekształcały się w energię w postaci straszliwego, półtoramilowej średnicy strumienia promieniowania i produktów reakcji. Aby wyhamować prędkość podróżną 140 milionów ton masy „Mayflower II”, strumień musiał palić się przez sześć miesięcy.

Statek opuścił Ziemię, niosąc na pokładzie tyle tylko paliwa, ile potrzeba było dla osiągnięcia szybkosci podróży i wziął kurs przez gęste chmury wodoru, aby zebrać go tyle, ile potrzeba będzie do hamowania.

Fallows spojrział na zegar pośrodku pulpitu. Mniej niż godzina do przejęcia wachty przez Waltersa. Będzie więc miał przed ponownym objęciem służby dwa dni wolne. Przez chwilę smakował tę myśl, przymknąwszy oczy.

Jeszcze tylko trzy miesiące lotu! Jego dzieci często pytały, czemu jako młody człowiek w kwiecie wieku odrzucił się plecami do wszystkiego co znał i zapłacił (dwudziestoma latami życia za prawo do jedno-kierunkowej podróży do Alfę Centauri. Pytały nie bez racji, bo przecież jego decyzja w znacznej mierze wpływała również na ich przyszłość. Większość z trzydziestu tysięcy mieszkańców „Mayflower II” już się przyzwyczaiła do wysłuchiwanie podobnych pytań. Fallows zwykle odpowiadał, że ogarniało go coraz większe rozczarowanie na widok świata nieustannych zbrojeń, zhlizających się do poziomu szaleństwa, które poprzedziło zniszczenie większej części Ameryki Północnej, Europy i północnej Azji podczas krótkiej masakry roku 2021, i że zostawił to za sobą, by zacząć od nowa gdziekolwiek indziej. To była powszechnie przyjęta odpowiedź, która miała także przywracać spokój sumienia odpowiadającemu. Ale Fallows zdawał sobie doskonale sprawę, że sam w to nie wierzy. Starał się udawać przed sobą, że nie pamięta rzeczywistej przyczyny.

Urodził się niemal pod koniec Chudych Lat, które nastąpiły po wojnie. Nie pamiętał ich więc, ale ojciec opowiadał mu o czasach, gdy pięćdziesiąt milionów ludzi żyło w nędznych budach, skleconych wokół szczytnych i pokreconych szkieletów tego, co niegdyś było miastami, i tłoczyło się na śniegu w kolejkach po przydzieloną żupę i chleb z rządowych kuchni polowych. Opowiadał też o jego malce, harującą po piętnaście godzin dziennie przy cieciu płyt na prefabrykowane domy, co pozwalało jej dwa razy dziennie posłać na stołe rodzinnym skąpy posiłek; rosół wotowy z ryżem, dostarczany przez chińskie stalki żywnościowe, a także co pół roku kupić po jednej parze obuwiu jednorazowego użytku z prasowanego papieru. Opowiadał o starszym bracie, zahłym w walce z bandami rabunkowymi, które przybyły z Karaibów i z południa.

Fallows pamiętał lata, gdy smukłe palce budynków błyszczących nowych miast znow zaczęły, wśród pustyni gruzi, wskazywać niebo; gdy huczały i łomotały nowe hule stali i aluminium, podczas gdy na drugiej półkuli Chiny i Indo-Japonia zmagaly się w zapasach o kontrolę nad przemysłową i handlową połęą Wschodu. To były podniecające lata, pulsujące lata, lata natchnione. Fallows pamiętał zalane światłem reflektorów waszyngtońskie parady Czwartego Lipca - barwę i wspaniałość zmasowanych orkiestr, kolumny maszerujących pod powiewającymi sztandarami żołnierzy w błyszczących mundurach, hymny narodowe i pieśni wznoszące się z gardeł dziesiątków tysięcy zgromadzonych na Capitol Square, tam, gdzie niegdyś stały słynne budowle. Pamiętał, jak dumnie wkroczył na bal w szkole wyższej w nowiutkim mundurze Korpusu Młodzieży Amerykańskiego Nowego Porządku, idąc z wyniosłą miną, że nie dostrzega towarzyszących mu wszędzie pełnych podziwu spojrzeń. Jak chęłpił się przed zazdrośnymi przyjaciółmi po pierwszym weekendzie, spędzonym na manewrach wojskowych na pustyni Nowego Meksyku... Pamiętał wybuch radości, gdy Ameryka znow otworzyła stałą hazę załogową na Księżyca.

Rozpalała go, jak większość rówieśników, wizja Ameryki Nowego Porządku, którą pomagali wykuwać z ruin i zgłiszcz starej. Jeszcze silniejsza niż poprzednio, czystsza moralnie i duchowo, ufna świadomością misji powierzanej jej przez Boga, powstanie na nowo jako nienaruszalne sanktuarium, chroniące dziedzictwo kultury Zachodu przed rozkładającym potopem pogańskiej dekadencji i aroganckiego bogactwa, zalewającego przeciwną stronę kuli ziemskiej. A gdy Wschód wreszcie rozpadnie się na skutek wewnętrznego rozkładu, gdy ostatecznie zostanie zdemaskowany fałsz jedności, którą Arabowie próbują narzucić w Azji Środkowej i gdy afrykańska wojowniczość na koniec wyczerpie się w orgii

morderczych sporów, Amerykański Nowy Porządek wchłonie zblaknącą chwilowo Europę i zwycięży. Oto był cel.

„Mayflower II”, który rósł z roku na rok i nabierał kształtów na orbicie księżycowej, stał się widomym symbolem tych dążeń.

Choć Fallows w roku 2040 miał tylko osiem lat, wyraźnie pamiętał podniecenie wywołane wiadomością, że nadzszedł sygnał ze statku kosmicznego zwanego „Kuan-yin”, wystrzelonego w roku 2020, bezpośrednio przed wybuchem wojny. Sygnał zawierał wiadomość, że „Kuan-yin” wykryła na orbicie Alfę Centaura odpowiednią planetę i rozpoczyna eksperyment. Planeta nazwana Chironem, jak jednego z mitycznych centaurów. Trzy inne, większe planety, odkryte przez „Kuan-yin” w systemie Alfę Centaura, otrzymały nazwy: Folos, Nessus i Eurytion.

Wśród rówieśników Fallowsa niewiele było takich, którzy nie pamiętaliby upojenia tamtych czasów, czasów krucjaty, wyzwania, celu i zamyślenia – odbudowy imperium poza Ziemią i podboju jej samej. Gdy zaś, jako symbol tych spraw, rozrastał się na księżycowym niebie „Mayflower II”, dla wielu marzenie o udziale w łocie statku i krucjacie dla uchronienia Chirona przed Niewiernymi stało się ambicją życia. Lekcje dyscypliny i poświęcenia z czasów Chudych Lat pomogły w ukończeniu „Mayflowera II” na dwa lata wcześniej od najszybszego rywalu. Dzięki temu dwudziestoosmioletni Bernard Fallows po mesku uściśnął dłoń ojca i ucałował na pożegnanie zapłakaną matkę. Wkrótce potem, na pokładzie promu wystrzelonego z bazy w Arizonie, dotarli do transportera księżycowego, który miał go zanieść na start do pierwszego etapu jego osobistej krucjaty: niesienia Amerykańskiego Nowego Porządku ku gwiazdom.

Teraz nieczęsto o tym myślał. Marzenie, by stać się wielkim przywódcą i zdobywcą, który zanieś Słowo na Chirona, z biegiem lat zblakło. Zamiasł tego... co? Dziś, gdy statek był niemal u celu, okazało się, że Fallows nie miał jasnego wyobrażenia, co robić... poza kontynuowaniem trybu życia, do którego przywykł od dawna. Tyle, że w innym otoczeniu.

Tok jego myśli został przerwany widokiem Cliffa Waltersa, zdążającego po tamtej stronie szklanej przegrody do pokoju monitorów. W chwili później boczne drzwi otworzyły się z cichym wizgiem i wkroczył Walters, Fallows odwrócił się na obrotowym krześle i spojrzał zdziwiony. – Cześć. Wcześniej przyszedłeś. Miałeś jeszcze czterdzieści minut.

Walters ściągnął marynarkę i powiesił ją w szafie przy drzwiach, wyjmując równocześnie książkę z wewnętrznej kieszeni. Fallows zmarszczył się, ale milczał.

– Wcześniej przejmuję służbę – odpowiedział Walters. – Merrick chciałby chwilę z tobą porozmawiać. Mam ci też powiedzieć, żebyś przyszedł na PDI. Możesz zakończyć dyżur i iść z nim rozmowę, w czasie wliczonym do pracy. – Podszedł do pulpitu i skinął głową w stronę ekranów. – Jak nam leci? Masa burzliwych i emocjonujących wydarzeń?

– Ucieszysz się, jak ci powiem, że główna trza łamane przez pięć znowu zaczyna swoje kawały. Na niskim poziomie, ale bez żadnych wątpliwości. O godzinie siedemnastej zero zero odpalenie korekcyjnego dwa przez jedną pletnąstą sekundy, bez zakłóceń. Główne spalanie sprawuje się pięknie i wyrównuje zgodnie z programem... – Wzruszył ramionami. – To by było tyle.

Walters chrząknął, obiegł szybkim spojrzeniem ekrany i na wolnym wywołał dziennik za osłalnicę cztery godziny. – Wygląda, że czeka nas znowu demoniaż lej cholerny potipy – mruknął nie odwracając głowy.

– Tak wygląda – odpowiedział Fallows z westchnieniem. – Nie warto się z nią pieprzyć – oświadczył Walters. – Za trzy miesiące możemy doskonale przejść na zapasową i do diabła z tym wszystkim. Zalatwi się ja, jak dolecimy, gdy będzie zgaszony główny napęd. Po co się pocić i ochudzać w malpich kostiumach?

– Powiedz to Merrickowi – odrzekł Fallows, z wysiłkiem ukrywając swą dezaprobatę. Takie gadanie zdradzało niedbały stosunek do spraw techniki. Nawet, gdyby podróż miała trwać tylko trzy tygodnie, nie byłoby usprawiedliwienia, pozwalającego pozostawić bez naprawy wymagające tego części maszyn. Ryzyko katastrofalnej awarii mogło być mikroskopijne, ale było. A dobry zwyczaj wymagał zmniejszania możliwości takiego ryzyka do zera. Fallows uważał się za wykwalifikowanego inżyniera, miał więc obowiązek być drobiazgowym. Do przyzwyczajenia zaś Waltersa należał brak obowiązkowości w pewnych sprawach – na pewno w mało ważnych. Ale niedbalstwo pozostawało niedbalstwem. Fallowsa drażniło, że obaj mieli równy stopień służbowy. – Wpis do dziennika służby o zmianie wachty, Horacy – zwrócił się do siatki na pulpicie sterującym. – Dyżurny Fallows zdaje, dyżurny Walters przejmuję.

– Odnotowano – odpowiedział Horacy. Fallows wstał z krzesła i odsunął się na bok. Walters rozważył się na miejscu kierownika Subcentrum. – Odchodzisz na czterdziestoosmiodziesiąt, prawda? – spytał Walters.

restauracji; trzy bary, jeden z nich z parkietem tanecznym w głębi; biuro lokalizatora, przyjmującego zakłady na wyniki zawodów w Czaszy oraz spóźnione o cztery lata wyniki z Ziemi; teatr klubowy, w którym, jak wszyscy udawali, nie odbywały się przedstawienia striptizowe, oraz całe masy neonów. Bar Bowery, popularne miejsce spotkań wolnych od służby żołnierzy oddziałów liniowych, gnięździł się w zakątku tego obszaru, obok kawiarni, za nabijanymi gwoździemi drzwiami z imitacji debiu i wysokim oknem z matych, barwnych szybek, przez które światło wewnątrz wydawało się czerwone.

Wnętrze Bowery było tłoczne i zadymione. Wśród tłumy, wzdłuż długiego baru po lewej stronie sali, było widać mnóstwo kobiet i mundurów; w mniejszej salce w głębi grał czteroosobowy zespół muzyczny. Colman i paru innych z kompanii „D” siedzieli przy jednym ze stolików, ustawionych w podwójnym szeregu wzdłuż ściany naprzeciw baru. Był z nim Sirocco, pomimo regulaminowego zakazu brania się oficerów z szeregowymi. Pojawił się też kapral Swiley na skutek decyzji dieletyka z izby chorych, który wykonał rozkaz brania go zawsze na dietę, złożoną wyłącznie z ryb i szpinaku, kiedykolwiek zgłosił się do izby. Brel Hanlon, sierżant dowodzący drugim plutonem i stary kumpel Colmana, siedział po drugiej stronie Sirocca wraz ze Stanisławem, artylerzystą działą laserowego trzeciego plutonu i paru cywilnymi dziewczynami. Anita, zatrudniona jako siła fachowa w dziale łączności Brygady, tuliła się do Colmana, krzymając go miękko pod rękę.

Stanisław wpatrywał się w skupieniu w oparty o brzeg stołu komblok, z miniaturowym ekranem pełnym wijących się krzywych mikro kodu pamięci komputerowej. Zreczenie wystukał szereg cyfr na klawiaturze pod ekranikiem, przestudiował to, co się ukazało w odpowiedzi i następnie wysłukał polecenie. W lewym dolnym rogu ekranu pojawiły się cyfry. Stanisław spojrzał triumfalnie na Sirocca. – 3,141592653 – ogłosił. – Dziesięć pierwszych cyfr liczby pi. – Sirocco prychnął, wyciągnął banknot pięciodolarowy z kieszeni i oddał go. Złożyli się, czy Stanisław może złamać system bezpieczeństwa banku pamięci i wydobyć z niego informacje, wprowadzoną pół godziny temu przez Sirocca do działu dostępnego dla publiczności, lecz pod zabezpieczeniem osobistego klucza kodowego.

– No i jak? – wrzeszczał uradowany Hanlon. – Chłop dal mu radę! – Nie zapomnij lakże o kolejce piwa dla wszystkich – zwrócił Colman uwagę Sirocca. Dziewczyny zapiaty z radością.

– Gdzie się tego nauczyłeś, Stan? – spytała Paula, jedna z cywilnych dziewczyn. Młoda szczupła, ale przyjemną twarz, niepotrzebnie pokrytą grubą warstwą wyzywającego makijażu. Nosila bardzo obcisłą, prowokacyjną sukienkę.

Stanisław wsunął komblok do kieszeni. – Lepiej się nie dowiadujcie – powiedział. – Niezbyt budująca historia.

– Dalej, Stan. Nawiaj – nalegała Terry, koleżanka Pauli. Colman rzucił Stanisławowi nie pozwalające na wykrety, rozkazujące spojrzenie.

Stanisław pociągnął duży łyk ze szklanki i machnął ręką z rezygnacją. – Mój dziadek przeżył Chude Lata wiając się do składów i sprzedając, co tam było zmagazynowane. Nikt nie wymyślił zabezpieczeń, których on nie potrafiłby rozpruć. Ojciec pracował w Ratunkowym Biurze Pomocy. Porozumeli się i wpisał do kartoteki dwie siostry i brata, których nigdy nie miałem, dzieląc się zyskami. Więc dało się żyć. – Wzruszył ramionami niemal przepraszając. – Myśle, że stało się to jakby tradycja... dziedziczna w naszej rodzinie.

– Prawdziwy zawodowy włamywacz! – wykrzyknęła Terry.

– Ty sukinsynu – rzekł z podziwem Hanlon.

– Czegoś tam synu, w każdym razie – dodała Anita. Wszyscy wybuchli śmiechem.

Sirocco znalazł już le historie, ale nie wypadło mu jej komentować. Stanisław został przeniesiony do kompanii „D” w wyniku dochodzenia w sprawie tajemniczego zniknięcia ze składnic Brygady narzędzi i elektrycznych części zamiennych, które nasłownie pojawiły się w sprzedaży w dziale materiałów dla majsterkowiczów jednego z domów lowarowych.

Swiley, ukryty za grubymi okularami, nadającymi jego oczom wygląd gotowanych jajek, co jasno wykazywało absurdalność wszelkich pomysłów badania go na wyjątkowe zdolności wizualne, siedział zamysłony i nieobecny. Rozwazał właśnie, czy nie dałoby się wykorzystać przestępczych umiejętności Stanisława do celów policzenia kilku punktów dodatnich w jego własnych aktach personalnych w wojskowym komputerze administracyjnym. Ale w obecności Sirocca nie mógł przecież wysłepować z takim pomysłem, byłoby to już zbyt bezcelne. Zdecydował, że porozmawia ze Stanisławem w cztery oczy.

– Gdzie się dziś podział Tony Driscoll? – zapytała Paula, rozglądając się po barze. – Nigdzie go tu nie widzę.

– I nie staraj się zobaczyć – odpowiedział Colman. – Ma nocną służbę.

– Czy wy nie macie litości nad tymi chłopakami? – zwróciła się Terry do Sirocca.

kasztanowała włosy wiązała w koński ogon; ubrana była w brązowe spodnie i pomarańczową jedwabną bluzkę, opinającą pełne, jędrne piersi.

Podnosząc wzrok na wychodzącego z domu Howarda nie zmieniła wyrazu twarzy. Ich wzajemne stosunki były zarówno teraz, jak i poprzednio formą lowarzystkiego współżycia, opartego na łożysku uznaniu realiów życia i ich wymagań, bez komplikowania go nadmiarem romantycznych złudzeń, panujących wśród niższych warstw społecznych i podtrzymywanych w imię równowagi, bezpieczeństwa i potrzeby kontrolowanej rozrodczości. Niesieły, masy były niezbędne dla podtrzymywania obrony układu. Maszyny miały więcej cech pożądanych, ponieważ pilnie przykładały się do swoich zadań, nie stawiając zań, ale zabiłkami idealistów mieli niefortunny zwyczaj używania technologii do zastępowania pracy ludzkiej, niezbędnej, by ludzie mieli zajęcie i nie myśleli o głupstwach. Idealisci byli również gotowi uczyć ich myślenia. Były to dwudziestowieczne złudzenia, a rok 2021 ich skutkiem.

– Sądze, że powinniśmy wydać ten obiad, o którym wczoraj mówiłem – rzekł Howard. – Czy możesz ułożyć listę gości i rozesłać zaproszenia? Na koniec przyszłego tygodnia, powiedzmy w piątek lub sobotę...

– Jeśli mamy znowu wziąć salę u Françoise, lepiej zarezerwuję ją teraz – odpowiedziała Celia. – Czy wiesz już, ile ma tam być osób?

– Och, niewiele, niech to sprawia prywatne i przytulne wrażenie. Lepiej będzie lufaj. Z tuzin osób, myślę. Wciąż oczywiście Lewis i Gerrard. I czas już, abyśmy bardziej zbliżyli się do Borfonteinem.

– Z tym człowiekiem?

– Tak, wiem, że jest w nim coś z barbarzyńcy, ale niestety potrzebuje jego poparcia. A jeśli pojawią się kłopoty, wiedza o tym, czy możemy liczyć, że wykona swe zadanie nim ktoś go zastąpi, ma zasadnicze znaczenie.

W okresie czasowego upadku północnego obszaru cywilizacji Zachodu, Afryka Południowa przeszła przez serię wojen wyzwoleniczych, toczonych przez graniczące z nią od północy czarne narody i przekształciła się w kraj o represyjnym, totalitarnym ustroju, sprzymierzony z Australią i Nową Zelandią, które w walce z przytłumieniem azjatyckiego liberalizmu, pochłaniając już Indonezję, również stały się państwami autorytarnymi. Były to melodie nie pozbawione zalet, ale jako produkt uboczny pojawiali się Borfonteinowie.

– I być może także Gaulitz – Celia wymieniła nazwisko jednego z czołowych naukowców Misji.

– O tak, Gaulitz na pewno. Mam plany w związku z Herr Gaulitzem.

– Posada rządowa?

– Szamana. – Kalens uśmiechnął się na widok zmarszczonych brwi Celii. – Jedną z przyczyn upadku Ameryki było to, że pozwoliliśmy nauce ślać się zbyt powszechną i zbyt dostępną. Dlatego zaczęło ją gardzić. Nauka jest zbyt połączona, by ją powierzać masom. Musi być kontrolowana przez tych, którzy są, dość inteligentni, by się nią posługiwać kompetentnie i dobroczynnie. Gaulitz jest człowiekiem odpowiednim, by go upoznać na... arcykapłana, dla przywrócenia jej tajemniczości i wzbudzenia zdrowego leku, nie sądzisz? – Pokiwał głową z chytrym wyrazem twarzy. – Słarożytni Egipcjanie mieli do tego słuszne podejście. – W tym momencie przyszło mu do głowy, że piramidy można uważać za symbole hierarchicznej formy idealnego, stabilnego społeczeństwa – geometrycznej góry lodowej. Interesująca analogia. Dobrze będzie podnieść ten temat podczas obiadu. Może przyjmie piramidy za godło ustroju, który zostanie wprowadzony na Chironie.

– Czy zdecydowałeś coś na temat Sierma? – zapytała Celia.

Howard uniósł rękę i przez parę chwil z wahaniem pocierał podbródek. – Hmmm... Sierma. Nie mogę go rozgryźć. Mam przeczucie, że może on być sila, z którą trzeba się będzie liczyć, zanim wszystko rozejdzie się do końca, ale nie wiem, po czyjej stronie stoi. – Rozmyślał jeszcze przez chwilę i w końcu potrząsnął głową. – Będzie chciał poruszyć kilka spraw poufnych. Jest za wcześnie, by zbyt otwarcie ujawniać nasze zamiary. Lepiej go skreślić. Później może się to zmienić... ale tymczasem musimy go na dystans.

Rozdział VII

Na „Mayflowerze II” nie rozdawano za darmo towarów ani usług, lecz tak jak wszędzie sprzedawano je za pieniądze. Tym sposobem trudność nie łączyła kontaktu z mechanizmem popytu i podaży oraz zachowywała świadomość realiów handlowych, mających zasadnicze znaczenie dla prawidłowego rozwoju przyszłej kolonii na Chironie.

Jak w każdą sobotę wieczorem, teren przeznaczony dla pieszych na pokładzie pod centrum handlowym i jego biurami w segmencie Manhattan był pełen ożywionych tłumów. Mieściło się tam wiele

– Mhm.

– Masz plany?

– Właściwie nie. Jay gra jutro w jednej z drużyn w Czaszy. Chyba pójdę i popatrzę. Może nawet przejadę się na Manhattan, już dość dawno tam nie hylem.

– Weź dzieci na spacer wokół segmentu Wielkiego Kanionu – poradził Walters. – Przebudowano go – dużo drzew i skal, masa wody. Powinien być ładny.

Fallows zdziwił się. – Myślałem, że będzie jeszcze przez dwa dni nieczynny. Podobno armia miała tam manewry czy coś w tym rodzaju.

– Wcześniej się skończyły. W każdym razie Bud powiedział mi, że jutro Kanion będzie otwarty. Sprawdź to i spróbuj.

– Chyba tak zrobię – powiedział Fallows, kiwając powoli głową. – Taaak... Mogę się powłóczyć parę godzin na świeżym powietrzu. Dzięki za wiadomość.

Fallows wyszedł z sali monitorów, przeciął Subcentrum Sterowania Napędem i przez podwójne, zasuwane drzwi wyszedł na jasno oświetlony korytarz. Winda przeniosła go o dwa piętra wyżej do innego korytarza i w parę minut później został wprowadzony do biura na Pokładzie Dowodzenia Inżynierii. Siedział tam Leighton Merrick, Pomocnik Zastępcy Dyrektora Inżynierii i coś kontemlował na ekranach informacyjnych panelu zamontowanego w lewym rogu jego biurka.

Fallows miał zawsze wrażenie, że Merrick przypomina mu ludową średniowieczną gotycką katedrę. Długie, wąskie ciało, sztywno wyprosowane, przypominało z daleka kolumnę z surowego, szarego kamienia; spadziste ramiona, pionowe zmarszczki na ławach, skośne brwi i czołowa łysina z ostrym, skierowanym ku górze środkiem podkreślającym spiczastość jego głowy; składały się na kompozycję osłoluków, pobożnie wspinających się ku niebom, precz od doczesnego świata spraw ziemskich. Twarz zaś, niby kamienna fasada, spoglądająca w dół przez osłaniające wewnętrzne sanctuarium, obojętne okna, była podobna do skorupy odrzucającej na należyty dystans profanów od tego, kto zamieszkiwał jej wnętrze. Czy w tym wnętrzu rzeczywiście kłokolwiek przebywał? – zastanawiał się niekiedy Fallows. Czy leż raczej z biegiem lat skorupa zyskała samodzielny byt i kontynuowała swe funkcje, len zaś natomiasł, kto ją niegdyś zamieszkiwał, zwiłdł niezauważenie lub zszedł z tego świata?

Fallows nigdy nie oponował sztuki swobodnego samopoczucia w obliczu Merricka, choć tyle już lat był jego podwładnym. Okazywanie nienależytej poufności było oczywiście nie do pomyslenia między funkcjonariuszami czwartego i szóstego stopnia. Ale nawet biorąc poprawkę na te różnice, Fallows zawsze odczuwał ostry niepokój w parę sekund po wejściu do pomieszczenia, gdzie znajdował się Merrick. Szczególnie zaś, gdy było to spotkanie w cztery oczy. Tym razem na to nie pozwoli – po raz następny zdecydował jeszcze na korytarzu. Tym razem racjonalnie pomyśli, że zachowywał się irracjonalnie i nie da się zasłuszyć przez własną wyobraźnię. Przecież Merrick nie obrał go sobie na przedmiot szczególnego lekceważenia. W ten sposób zachowywał się wobec każdego. Wciąż było to bez znaczenia.

Merrick milcząco wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka i nadal wpatrywał się w ekran, nie spojrzawszy nawet na podwładnego. Fallows usiadł. Po dziesięciu mniej więcej sekundach poczuł się niewyraźnie. Co niewłaściwego popełnił w ostatnich paru dniach? Może o czymś zapomniał... a może nie zameldował na czas... albo coś odłożył nie podejmując decyzji? Wysłał pamięć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Na koniec, w zdenerwowaniu, udało mu się wyjąkać: „Mmmm... pan mnie wzywał, sir”.

Pomocnik Zastępcy Dyrektora Inżynierii zszedł na koniec z wyższych regionów myśli i podniósł głowę. – Ach, tak, Fallows. – Wskazał na ekran, który przed chwilą studiował. – Co wiecie o niejakim Colmanie, który stara się wydostać z Armii i przejść do Inżynierii? Zastępca otrzymał kopię wniosku o przeniesienie i przekazał mi do zaopiniowania. Wynika z niego, że ten Colman powołuje się na was. Co o nim wiecie?

Spiczasty podbródek i zsunięte gotyckie brwi Merricka zmieniły się w znak milczącego zapytania, jak szanujący się funkcjonariusz Inżynierii w czwartym stopniu służbowym mógłby się pospoliłować z sierżantem piechoty.

Dopiero po paru chwilach Fallows zrozumiał, o co chodzi. Gdy zaś pojął sytuację, jęknął bezgłośnie.

– Ja, eee... On był instruktorem mego syna w przysposobieniu wojskowym – wyjąkał Fallows w odpowiedzi na badawcze spojrzenie Merricka. – Spółkałem go na paradzie z okazji zakończenia kursu... rozmawiałem z nim przez chwilę. Wydało mi się, że bardzo mu zależy na dostaniu się do szkoły inżynierii. A ja prawdopodobnie powiedziałem: „Czemu nie spróbować?”, czy coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że mógł on zapamiętać moje nazwisko.

– Mmmm. A więc w rzeczywistości nie wiecie niczego, ani o jego doświadczeniu, ani o zdolnościach.

Jest! Ito kłóś, kogo spotkaliście przypadkowo i kio nadał zbyt wiele wagi waszej wypowiedzi. Tak?

Fallows nie był w stanie przelknąć w całości słów, które Merrick wkładał mu w usta. W rzeczywistości bowiem zapraszał tego człowieka wiele razy do domu, by pogadać o sprawach techniki. Colman miał kilka fascynujących pomysłów. Fallows nie umiał się powstrzymać od przeczącego poirząsnienia głową.

– Wydawało mi się, że zadziwiająco orientuje się w szerokim zakresie istotnych zagadnień. Jeszcze do zeszłego roku służył w Korpusie Inżynieryjnym Armii, ma więc mocne podstawy praktyczne. I dużo uczył się od chwili, gdy wyruszyliśmy z Ziemi. Mam... miałem wrażenie, że może warto zwrócić na niego uwagę. Ale to oczywiście tylko wrażenie.

– Zwrócić uwagę w jakim celu? Na pewno nie chcecie przez to powiedzieć, że nadaje się on na pracownika inżynieryjnego.

– Oczywiście, nie! Ale może jako technik drugiej czy trzeciej grupy. Albo na kursie przygotowawczym na wyższą uczelnię.

– Hmm... – Merrick machnął ręką w kierunku ekranu. – Brak wyższego wykształcenia. Musiałby być przynajmniej rok z chłopcami o połowę młodszymi od siebie. Nie jesteśmy punktem rehabilitacji społecznej, jak wiecie.

– Z powodzeniem przerobił samodzielnie kurs politechniki od pierwszego do piątego semestru – zwrócił uwagę Fallows. Denierowało go, że sprawia wrażenie, jakby się wykiwał. Ale nie miał wielkiego wyboru. – Myślałem, że może po kursie doskonalącym byłby w stanie uzyskać drugi...

Merrick spojrzał podejrzliwie zza biurka. Wyraźnie nie takiej odpowiedzi oczekiwał. – Jego stan służby w Armii pozostawia, jak wiecie, wiele do życzenia. Sierżant sztabowy w wieku lat dwudziestu dwóch, a od czasu startu z Księżyca lata w górę i w dół, jak fo-jo. Wstąpił do wojska tylko po to, aby uniknąć dwóch lat służby poprawczej, a już o wiele wcześniej był w tarapalach po uszy.

– Nic o tym dotychczas nie wiedziałem, sir.

– Teraz już wiecie – Merrick złożył dłonie czulkami palców przed sobą. – Czy jesteście zdania, że przesłępsłwa i skłonności kryminalne, są, czy też nie są w zgodzie z wyobrażeniem, jakie powinniśmy się starać utrzymać o naszej Służbie?

W obliczu tak postawionego pytania Fallows mógł tylko odpowiedzieć: – Cóż... nie, mam wrażenie, że nie są.

– Aha! – Merrick wydawał się nieco bardziej zadowolony. – Ja bym z pewnością nie chciał, aby moje nazwisko występowało w dokumentach w połączeniu z nazwiskiem kogoś takiego. – Jego wypowiedź świadczyła jak najjaśniej, że Fallows stworzyłby sobie najmniej korzystne perspektywy na przyszłość, gdyby pozwolił sobie na to, by i jego nazwisko pojawiło się w takich dokumentach. Merrick skrzywił się, jakby gryzł cytrynę. – Motłoch z dolów społecznych przepchnął się wyżej. Musimy, jak wiecie Fallows, mieć trzymać ich tam, gdzie ich miejsce. Właśnie z takich powodów upadł Stary Porządek. Pozwolił im wspiąć się za wysoko, a oni wzięli górę. I co się stało? Schylneli w dół – cywilizacje. Czy chcecie być świadkiem tego raz jeszcze?

– Nie, na pewno nie – odpowiedział niezbyt uszczęśliwionym tonem Fallows.

– Tymi słowy pozytywna odpowiedź na ten wniosek nie może być traktowana ani jako służąca najniższemu interesowi Służby, ani Państwa, nieprawdaż?

Fallows nie był w stanie rozwinąć logiki tego wywodu w dostatecznym stopniu, by zakwestionować wniosek. Potrząsnął więc głową twierdząco. – Rzeczywiście: nie wygląda na to, jak sądzić.

Merrick skinął z powagą. – Funkcjonariusz, który jest uczestnikiem działania sprzecznego z najważniejszymi interesami Służby Państwa powinien być uważany za wywrotowca. Zgadza się z tym?

– Tak, to prawda, ale...

Czy więc chcielibyście być odnotowani w aktach jako popierający działania nielegalne i wywrotowe? – zaatakował Merrick.

– Zdecydowanie nie. Ale znów...

– Dziękuję wam – powiedział Merrick, chwytając okazję zakłócenia rozmowy. – Zgadzam się z wami i aprobuje waszą ocenę. Bardzo dziękuję, Fallows. Korzystajcie z wolnego czasu. – Merrick odwrócił się bokiem i zaczął coś wystukiwać na klawiaturze pod ekranami.

Fallows wstał niezgrabnie i zaczął iść ku drzwiom. W pół drogi zawahał się, zatrzymał i jeszcze raz zwrócił do Merricka. – Sir, jest jeszcze coś, co chciałbym...

– To wszystko, Fallows – mruknął Merrick, nie podnosząc wzroku. – Możecie odejść.

*

W kwadrans później, pedząc w stronę domu kapsułą tranzytową wzdłuż liczącej sześć mil średnicy

na pokładach zbytkownych jachtów u wybrzeży Australii? Kalens wątpił w taką możliwość. Cóż więc dało światu ich tak zwane wyzwolenie, poza sprostytuowaniem jego skarbów, zdeprecjonowaniem wartości kulturalnych i zatopieniem plodów jego najwspanialszych umysłów w polowie płaskiego egalityzmu i powszechnej utracie smaku? Takie samo niszczące pasożytnictwo mas, rozrzucające się w tkance społecznej jak złośliwa choroba, o pół wieku wcześniej rzuciło Zachód na kolana.

Spółeczeństwo w warunkach naturalnych jest jak lodowiec. Ośiem dziewiątych pogrążonych w grubej ignorancji i służących jedynie temu, by wynieść i podtrzymać wartościową mniejszość, która wciągałaby wszystko co najbardziej wysublimowane, co najdoskonalsze w swej rasie, nabywała przez to prawa do przywilejów obok obowiązku władzy. Klęska 2021 roku tym była wywołana, że równowagę naruszyło zbyt wiele balastu ludzkiego, którego miejsce było na dole, usiłującego wspiąć się powyżej środka ciężkości i lodowiec przewrócił się do góry dnem. Wojna była ceną, która przyszło zapłacić za to, że kupcykowie zaczęli pozować na meżów stanu, brygadziści fabryczni na fabrykantów, zaś wymachujący dyplomami wyższych uczelni lumpowie na myślicieli. Ceną za pomieszenie elementarnego wykształcenia z wiedzą i uznania prosoduszego marzycielstwa za dowód wartości duchowych. Ale dziś, gdy doktryna Nowego Porządku zaczęła leczyć Zachód z choroby, na drugiej półkuli wybuchała nowa epidemia – ślalek niekontrolowanego rozrosłu azjatyckiego dobrobytu w następstwie wojny. Wszystko to dowodziło, że gatunek ludzki jako całość nigdy się niczego nie nauczy.

– Przeciłności posiadzie Ziemi – powiedział Kalens któregoś dnia 2055 roku do żony Celii, wracając do ich rezydencji w stanie Delaware z serii rozmów z europejskimi ministrami spraw zagranicznych. – Albo wreszcie dojdzie do nowej wojny. – Dlatego właśnie Kalensowie wyruszyli na „Mayflower II”, by na dalekich przestrzeniach stać się świadkami budowy nowego społeczeństwa, które oprze się na lekcjach płynących z przeszłości, lecz nie będzie obciążone jej fatalnym dziedzictwem. Nie trzeba będzie walczyć z tradycjami płonnych nadziei, uślepować wobec zagranicznej rywalizacji, nie będzie rozdanych w miliardowe rzesze wrzaskliwych, bezużytecznych mas; dla których trzeba wyniszczyć jakieś zające. Chiron stanie się czystym, nienaruszonym, niepokalanym płótnem, które czeka, by Kalens pierwszy nakreślił na nim swoje plany.

Trzy przeszkody stały między Kalensem i latami kształtowaną przezeń wizją przewrżenia jego własnej odmianie ustroju neofeudalnego, która będzie wcieleniem idealnego modelu społeczeństwa. Po pierwsze, trzeła nadziei zapewnić sobie zwycięstwo w wyborach po ustąpieniu Wellesleya. O to mógł liczyć niemal spokojnie: Lewis skutecznie koordynował kampanie środków masowego przekazu, sondaże opinii dawały doskonałe wyniki. Drugi był problemem Chironczyków. Chociaż wolały proste i bez cudów rozwiązanie Borfonteina, Kalens musiał przyznać, że po sześciu latach umiarkowanego kursu Wellesleya, opinia publiczna „Mayflowera II” będzie się domagać bardziej dyplomatycznego podejścia. Jeśli dyplomacja odniesie sukces i Chironczycy gładko się zintegrują z przybyszami, tym lepiej. Jeśli nie, możliwości miliardne Misji zapewnią ostateczne rozwiązanie czy to groźbą, czy przez eskalację demonstacji siły; oceny dla się tak ukształtować, by wynikało z nich uzasadnienie jakiegoś potrzeby. Kalens nie wierzył, by na Chironie istniały jakiegokolwiek warte uwagi urządzenia ochronne, ale takie sugestie miały potencjalną przydatność propagandową. Chociaż więc aż do tej pory nie było jasne dla Kalensa jakich użyje środków, był pewien, że z Chironczykami da sobie radę. Trzecie zaginięcie stanowiła misja Federacji Wschodnio-Azjatyckiej, która powinna przybyć za kilka lat. Ale rozwiązawszy dwa pierwsze problemy, mając do dyspozycji zasoby surowcowe i przemysłowe całej planety oraz pięćdziesiąt tysięcy dorosłej ludności, przewidzianej jako poborowych, Kalens był pewien, że poradzi sobie również z Azjatami, a także z wyprawą europejską, która przybędzie w rok po nich. A to mu rozwiązało ręce, pozwalając na zerwanie wszelkich więzi Chirona z Ziemią. Z tej części swoich marzeń nie zwierzał się nikomu, nawet Celii.

Ale zaczynać trzeba od najważniejszego. Już czas na mobilizację potencjalnych sił uszczęśliwionych, których ustroju sondażował i przyskiwał sobie od czasu poprzednich wyborów, trzy lata temu. Starannie posłał koreański flakim w przeznaczoną do tego niszę między regalami i przeszedłszy przez salon, dostał się na jatin, gdzie wyciągnięta na leżaku, z przymusnym komblokiem na kolanach, Celia układała list do jednej z przyjaciółek.

Młoda, noworoczna żona, którą Howard Kalens zabrał ze sobą na Lunę i zaślubił (in „Mayflowera II”, obecnie przekroczyła już czterdziestkę, lecz iwarz jej nabrała charakteru i dojrzałości. Z ładnej, młodej dziewczyny rozwinęła się kobieta o ciele pełnym zmysłowego powabu. W porównaniu z recharakteryzującym modelki typem nietrwałej urody nie była, ściśle rzecz biorąc, piękna. Ale mocny, zdecydowany, zarys jej podbródka i kształtne ust wraz ze spokojnym, oceniającym spojrzeniem oczu, badających świat z dystansu zdradzały lubieżną, nie wygasającą z upływem czasu pobudliwość. Sługające ramion

ludzi – powiedział na koniec, podnosząc wzrok na zebranych. – Obecnie, gdy jesteśmy niemal na miejscu, morale jest wysokie i nie chce go niszczyć. Posłaliśmy się wpoić masom taki wizerunek Chironczyków, by nasi ludzie przyjęli wobec nich stanowczą postawę. Nieustannie podkreślaliśmy, że przeważa wśród nich młodzież. Metody Iwardej reki nie są właściwym sposobem postępowania z tymi, których powszechnie uważa się za rasę dzieci. Po prosłu wewnątrz naszego własnego obozu wywołaliśmy niechęć i sprzeciw, a tego sobie absolutnie nie życzymy. Tak, musimy pokierować sytuacją w sposób stanowczy, ale elastyczny i umiarkowany, póki się nie umocnimy. Nasze siły muszą być w stanie gotowości na wszelkie niespodzianki, ale bez osłabienia, chyba że okoliczności zmuszą nas do zmiany postępowania. Oto moja recepta, panowie – stanowczo, cicho i elastycznie.

Jeszcze przez pewien czas trwała dyskusja, ale Wellesley ciągle jeszcze był Dyrektorem Misji i władzą najwyższą, jego więc punkt widzenia ostatecznie przeważał. – Zrobie, jak zechcesz, ale nie powiem, że z przyjemnością – oświadczył Borfontein. – Może wiele z nich to jeszcze dzieci, ale jest także prawie dziesięć tysięcy pierwszego pokolenia i około trzydziestu tysięcy, kończących albo przekraczających wiek nastolatów. Czyli aż nazbyt wielu dorosłych, zdolnych sprawić nam kłopoty. Musimy więc mieć plan działania w nieprzewidywanych wypadkach, z założeniem, że będziemy zmuszeni do aktywnego podjęcia inicjatywy.

– Czy to jest wniosek? – zapytał Wellesley. – Proponujesz skierowanie na wypadek nieprzewidywanych okoliczności planu zakładającego, że użyjemy siły jako pierwsz?

– Musimy brać pod uwagę i taką ewentualność i być na nią przygotowani – odpowiedział Borfontein. – Tak, to jest wniosek.

– Popieram – mruknął Howard Kalens.

Wellesley spojrzał na Slessera, który, chociaż ciągle jeszcze miał obawy, wyglądał równocześnie, jakby mu z jakichś niejasnych przyczyn ulżyło. Wellesley odcisnął skądś głowę. – Dobrze. Działaj na tej podstawie, John. Ale traktuj te plany i sam fakt ich istnienia jako ściśle tajny. O ile tylko się da, ogranicz je do oddziałów „S”, wojska w to nie wciągaj jeśli nie będziesz zmuszony.

– Powinniśmy też podpowiedzieć środkom przekazu, by od tej chwili udoskonalili sposoby oddziaływania – rzekł Kalens. – Może mocniejsze podkreślenie takich cech, jak upór i nieodpowiedzialność Chironczyków uszłyby opinii publicznej... na wszelki wypadek. Mogą też dać jedną czy parę wiadomości, że istnieją oznaki, iż Chironczycy mogli się uzbroić i przebrać na to być przygotowanym. Zawsze można to będzie w razie potrzeby zdementować jako informacje przesadzone. Czy mam szepnąć słowo Lewisowi na ten temat?

Wellesley dumiał przez parę chwil nad tą propozycją, ale w końcu skinął głową. – Myślę, że powinienś to zrobić.

Stern przyglądał się, słuchał i milczał.

Rozdział VI

Howard Kalens siedział przy biurku w gabinecie swego willowego domu, położonego wśród wypielęgnowanych krzaków i roślin, w sektorze mieszkalnym dla szczytów hierarchii władzy w Dystrykcie Kolonii. Kontenijując porcelanowy flakon, który z wolna obracał w dłoń. Pochłonięty z Kory, z czasów trzynastowiecznej dynastii Kory. Miał około czterdziestu lat, był wysoki, długą szyję płynnie przebiegała w gruszkowaty hruszek, pokryty seledynową polewą z delikatnie wtopionymi mishiama, przedstawiającymi wierzby wśród symetrycznych rysunków kwiatowych, nietych w dekoracyjne szlaki o powtarzającym się motywie tici. Biurko z masywnego orzechu było w stylu dziewiętnastowiecznego nawrotu francuskiego rokoka, z dobrze dolinramy foteleni rnhoty tego samego artysty. Wśród książek, ustawionych na półkach za siedzącym w fotelu Kalensem, znajdowały się pierwsze wydania Henry'ego Jamesa, Scilla Fitzgeralda i Normana Mailera; Malisse na przeciwległej ścianie był reprodukcją oryginalu, przechowywanego w skarbcu „Mayflower II”; obok niego wisiały litografie Riro Lebruna. Oczy Kalensa rozkoszowały się delikatną równowagą szczegółów i kontrastami barw; jego palec gładził powierzchnię flakonu; on sam zaś napawał się uczuciem, że powrócił małeńki ułamek sekundy i miejsca z odległych miejsc i czasów, by przez krótką, cichą chwilę być tylko jego własnością.

„Koreański rzemieślnik, który wymodelował ten przedmiot, zapewne żył prostym życiem, nie narzekał na swój los i mógł zejść ze świata z pełną satysfakcją świadomością, że stworzył piękno z niczego i przez swój krótki pobyt na tym świecie pozostawił go bogalszym” – myślał Kalens. „Czy jego zająłby potomkowie po osiemu wiekach będą w stanie to samo powiedzieć lub mieć to samo poczucie doświadczenia celu, rozdrapując między siebie masowo produkowane dobra konsumpcyjne, afiszując z arogancją nowobogackich w domach mody i salach licytacyjnych Londynu, Paryża i Nowego Jorku, czy wylegując

linii obwodowej „Mayflower II”, Fallows był ciągle jeszcze pogrążony w myślach. Merrick miał rację – zdecydował. On sam zaś był głupcem. Nie miał żadnego powodu, by dla zachcianek Colmana znosić taki magiel, jak przed chwilą, lubi pozwalać, by kwestionowano jego uczciwość. Nie ma obowiązku, by któremukolwiek z tych ludzi pomagać w prośbawani powikłanych ścieżek ich życia.

Cliff Walters nigdy by się nie wplątał w tak głupią sytuację. Czy można więc mieć pretensje, gdy czasem przynurzy oko na drobniacz bez znaczenia? I to by już było wszystko, jeśli idzie o Fallowsa – durnego chłopaczka, który przyleciał z Arizony, by zbawiać świat, a nie wie, że nie trzeba pchać palca między seans snobizowania, on sam zaś nie zasługiwał na nic więcej, jak pozostanie zerem przez wszystkie przyszłe lata na Chironie. Może kiedyś nauczy się słuchać Jean.

Rozdział III

„Mayflower II” przypominał kolo, nasadzone na cieńszy koniec prawie słózkowej osi, zwanej Wrzecionem. Od podławy leża zbieraka magnetycznego na dziobie do olbrzymiej paraholichnej masy odrzułowej, tworzącej jego ogon, Wrzeciono mierzyło ponad sześć mil.

Kolo, czyli Pierścień, miało ponad osiemnastęć mil obwodu i dzieliło się na szesnastę oddzielnych segmentów, połączonych przegubami kulowymi. Dwa segmenty wiązały Pierścień z Wrzecionem, z którymi były sztywno połączone, pozostałe czternastę mogło obracać się na sprzęgach międzysegmentowych, co zmieniało kąt nachylenia podłóg poszczególnych segmentów wobec osi podłużnej Wrzeciona. Ta konstrukcja o zmiennej geometrii pozwalała na taką wypadkową składowej porządkowej sił obrotowych ze składową osiową siły napędu, że w Pierścieniu panował przez cały czas normalny poziom pseudogravitacji, niezależnie od tego, czy statek szedł z przyspieszeniem, czy też, jak przez większą część podróży, bez ciągu.

W segmentach Pierścienia były rozmieszczone wszelkiego rodzaju urządzenia wynalezione w okresie hudoży osiedli orbitalnych, umożliwiające mieszkanie, pracę, wypoczynek, produkcję przemysłową i rolną. W chwili, gdy statek zbliżał się do Alfę Centaura, służył trzydziestu tysiącom ludzi. Ponieważ okres opóźnienia przy rozmowie z Ziemią wynosił obecnie dziewięć lat, te trzydzieści tysięcy składały się na społeczeństwo całkowicie niezależne, samorządne i samowystarczalne. Posiadało własne siły zbrojne, a że planiści wyprawy musieli brać pod uwagę wszelkie możliwe okoliczności i scenariusze, wojsko było przygotowane na wszystko, bowiem nie mogło być mowy o żądaniu posiłków, gdyby pojawiły się trudności. Celem militarnym służył milowej długości Moduł Bojowy, przystosowany do ostrza Wrzeciona, który mógł się odczepiać od statku i w polrzebie działać samodzielnie jako okręt wojenny o sile ognia wystarczającej, by unicestwić każdą ze stron, które brały udział w II wojnie światowej. Mogł wyrzucić samonaprowadzające się pociski dalekiego zasięgu, umiennie wybierać cele w odległości pięćdziesięciu tysięcy mil; pociski orbitujące dla rażenia powierzchni planety zarówno bombami dla celów pojedynczych, jak bronią promienistą; rzucić do atmosfery statki bombardujące i lecące już nad ziemią manewrujące rakietami oraz wysadzać desanty. Ponadto niósł wielkie zapasy materiałów rozszerzalnych.

Wojsko dysponowało też warsztatami dla regeneracji głowic bojowych i produkcji wyposażenia wojennego. Dla zabezpieczenia przed wypadkami i by zaoszczędzić na ciężarze, projektanci umieścili je na drugim końcu Wrzeciona, za olbrzymią osłoną przeciwpromienną, która oddzielała resztę statku od pionikna głównego napędu. Warsztaty nazywały się oficjalnie Składnicą i Zakładem Regeneracji Głowic, nieoficjalnie zaś Fabryką Bomb. Nikt w niej nie pracował. Bieżące operacje wykonywały niaszyny; inżynierowie rzadko tam zaglądali, tylko z okazji przeglądów lub naprawy nadzwyczajnej. Niemniej był to zakład wojskowy, składowano w nim amunicję, a zgodnie z przepisami oznaczało to, że musi być strzeżony. Nie robił najmniejszej różnicy fakt, że był on prawdziwą fortecą, tak skutecznie bronią elektroniczną, że mucha nie przedostawała się bez zezwolenia – regulamin mniwił, że składnice amunicyjne muszą być strzeżone przez wartowników. A warta w tym miejscu – myślał Colman – była najparkszywszą, najbardziej zasraną służbą w całej służbie wojskowej.

Tak właśnie myślał siedząc wraz z Sirocco kolo okna wartowni, wychodzącego na pancerne wrota warsztatów i gapiąc się na korytarz, którym od dwudziestu lat nie przeszedł nikt, jeśli naprawienie nie usiał. Obaj siedzieli zamknięci w ciężkich skafandrach ochronnych. Za nim starszy szeregowiec Driscoll wcisnięty w krzesło oglądał film na jednym z ekranów komandacyjnych, z fonią przekazującą na radiostację własnego skafandra. Driscoll powinien był patrolować korytarz, ale nie stosowano tego rytuału, gdy Sirocco dowodził oddziałem wartowniczym przed Fabryką Bomb. Coś z rok temu ktoś z kompanii „D”

wykorzystał fakt, że w ciężkich skafandrach wszyscy wyglądali jednakowo i podłączył wideotaśmę z jakimś dawno zapomnianym obowiązkowym wartownikiem do obwodu telewizji przewodowej, przez który przełożeni mieli zwyczaj od czasu do czasu podglądać. Od tej pory nikt z kompanii nie trudił się patrolowaniem. Natomiast kamery przestawiono na wcześnie uprzedzanie o niezapowiedzianych inspekcjach.

- Nigdy nie wiadomo. Może będziesz miał większe szanse, gdy dolecimy do Chirona - powiedział Sirocco. Wniosek Colmana o przeniesienie został odrzucony przez Inżynierie. - Przyrost ludności będzie ogromny, a to otworzy różne możliwości. No i masz.

- No i co mam?
- No i masz za to, że jesteś dobrym żołnierzem i parszywym obywatелеm.
- Czy ten, który nie lubi zabijać innych, jest dobrym żołnierzem?
- Oczywiście - Sirocco podniósł dłoń w pancerniej rękawicy, jakby odpowiedź była oczywista. - Chłopaki, które tego nie lubią, a muszą, robią się wściekli. Jeśli nie mogą wyładować wściekłości na tych, którzy im rozkazują, przenoszą ją zastępczo na nieprzyjaciela. W ten sposób stają się ryzykantami i giną. Wobec tego nie są tak dobrzy. To logiczne.
- Wojskowa logika - mruknął Colman.
- Nigdy nie twierdziłem, że jest sensowna. - Sirocco rozkrzyżował ręce, przeciągnął się łokcie i westchnął. Po chwili milczenia spojrzał ciekawie na Colmana. - Wiesz... co nowego z tym kociakiem z Brygady?

- Nie ma sprawy.
- Nie leciała?
- Glupia.
- Fatalnie. W jaki sposób?
- Astrologia i siły kosmiczne. Chciała się dowiedzieć, pod jakim znakiem jestem urodzony. Powiedziałem jej, że pod znakiem z napisem: Sala Porodowa. - Colman skrzywił się kwaśno. - Do diabła, dlaczego muszę bez przerwy dostosowywać się do wszystkich?

Sirocco uśmiechnął się pod wąsem. - Nie nabierzesz mnie, Steve. Po prostu nie chcesz się angażować, póki nie zbadasz szans na Chirone. No, przynajmniej się - aż cie korci, by się dorwać do chironskich dziewczyn.

Załadkiem kolonii była dziesięcioletnia grupa, powołana z zarodków do życia „Kuan - yin” w pierwszym dziesięcioleciu od przylotu. Najstarsi z nich mieliby obecnie ponad czterdzieści lat. Według wskazówek zapisanych w komputerach rodzicielskich, pierwsze pokolenie powinno zacząć doświadczenia w zakresie ograniczonej reprodukcji jako dwudziestoletki. To samo miało dotyczyć drugiego pokolenia i w rezultacie podnieść liczbę ludności do około dwunastu tysięcy. Ale Chironczycy mieli widocznie na ten temat własne poglądy, gdyż ludność liczyła już ponad sto tysięcy i wzrastała błyskawicznie, obecnie już w czwartym pokoleniu. Wynikały z tego zastanawiające wnioski.

- Nie liczę na to tak bardzo - powiedział Colman. - Może jest tak, jak niektórzy chłopcy myślą, a może nie. W każdym razie, statystycznie rzecz biorąc, każda dziewczyna w naszym wieku jest tam już prababcią.

- A kóż o nich myśli? Czy obliczyłeś sobie, ile słodkich lalczków tam na dole biega luzem? - zachichotał lubieżnie Sirocco przez intercom. - Założę się, że zanim wejdziemy na orbitę, Swyley zostanie cudownie uleczony. - Niezależnie od tego, czy był daltonistą czy nie, kapral Swyley doskonale orientował się w sytuacji. Dowodem tego było choćby to, że dokładnie na dwadzieścia cztery godziny przed wyznaczeniem kompanii „D” do dwutygodniowej służby wartowniczej przed Fabryką Bomb, akurat zdążył zameldować, że jest chory na kurcze żołądka. Ponieważ zameldował o tym w czasie wolnym od zajęć, został uznany za „chorego”; gdyby zgłosił się z kurczami żołądka podczas zajęć, Armia uznałaby go za symulanta.

Rozległ się sygnał wywoławczy od sztabu brygady i Sirocco włączył się do kanału fonii, by przyjąć wiadomość. Colman usiadł wygodniej i rozejrzał się. Wskaźniki i sygnalizatory alarmowe na stojącym przed nim pulpicie kontrolnym nic nie wskazywały. W okolicy nikt nie czołgał się pod podłogą, by się przecisnąć między zewnętrzną i wewnętrzną powłoką statku; nikt nie majsterkował przy żadnych drzwiach ani włazach; nie wycinał dziury z przedziału silnikowego, pełną z pokładu akreleratorów o pietro wyżej, ani nie wspinał się ukradkiem w przestrzeń kosmiczną po poszyściu statku. Jednym słowem nikomu dziś nie były potrzebne głowice termojądrowe. Colman wstał i obszedł kczesło. - Muszę rozprostować nogi - odpowiedział na rzucone zza szyby hełmu spojrzenie Sirocca. - Zresztą i tak czas na obchód. - Sirocco skinął głową i dalej mówił do mikrofonu w hełmie. Colman wziął na ramię swoje M32 i wyszedł z wartowni.

nie tyle było zaprowadzenie tam i wówczas funkcjonującego systemu decyzyjnego - komputery mogły sobie doskonale dać radę z istotnymi problemami - ile wpojenie Chironczynom w młodym już wieku idei rządów reprezentacyjnych i zasady elity rządzącej. Miało to stanowić psychologiczne podstawy działania systemu społecznego, nadającego się w przyszłości do wcielenia w dotychczas przyjęte na Ziemi wzorce. Ze skąpych wypowiedzi na ten temat wydawało się wynikać, że pierwsze pokolenia zignorowały zupełnie te wskazówki i w ogóle nie miały godnego uwagi systemu rządów. Było to absurdem, gdyż jak wynikało z innych odpowiedzi, żyli oni w kwitnącym i technicznie zaawansowanym społeczeństwie, kierując nim, jeśli mówili prawdę, całkiem sprawnie. Innymi słowy całą masę spraw ukrywali.

Choć w swych transmisjach laserowych wydawali się grzeczni i szczerzy, wiało od nich chłodem, wystarczającym, by obudzić podejrzenia. Nie wyglądało na to, by poządlwie wycekiwali przybycia swych zbawców z oddali. I jak dotychczas nie odpowiedzieli na żądanie ze strony Misji uznania jej suwerenności nad kolonią w imieniu Stanów Zjednoczonych Nowego Porządku.

★

- Mydła nam oczy - oświadczył generał Johannes Borfontein, Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych Ekspedycji Chiron - oddziałów regularnych na pokładzie „Mayflowera II” - małej grupie zwolanej przez siebie na prywatną dyskusję polityczną z Garfieldem Wellesleyem w osobistej sali konferencyjnej Dyrektora Misji, położonej na wyższym poziomie Centrum Rządowego w segmencie, znanym pod nazwą Dystryktu Kolumbia. Generał miał twarz ziemistą i poorly zmarszczkami, włosy czarne z siwymi pasmami, głos zaś pobczmiewający reszkami gardłowego akcentu, odziedziczonego wraz z pochodzeniem z Afryki Południowej. - Na zorganizowanie tego przedstawienia mamy dwa lata, a oni grają z nami w ciuciubabkę. Na to czasu nie mamy. Nie mamy też dowodów istnienia na planecie jakiegokolwiek planu obrony. Twierdzą, że powinniśmy wyładować z demonstracją siły i natychmiastowym ogłoszeniem stanu wojennego. To najlepsze rozwiązanie.

Admiral Mark Slessor, który dowodził załogą „Mayflowera II”, nie wyglądał na przekonanego. - Nie wiem, czy to takie proste. Mają zakłady termojądrowe, mają promy orbitalne, transkontynentalne odczułowe i system komunikacyjny, obejmujący całą planetę. Skąd możemy wiedzieć, czy nie pracują nad obroną? Mają ku temu środki i umiejętności. Rozumlem punkt widzenia Johna, ale jego podejście do sprawy jest zbyt ryzykancie.

- Nigdy nie widzieliśmy niczego związanego z obroną, oni zaś nigdy o tym nie wspominali - nalegał Borfontein. - Trzymajmy się rzeczywistości i znanych faktów. Po co komplikować rozwiązanie spekulacjami?

- A co ty sądzisz, Howard? - zapytał Garfield Wellesley Howarda Kalensa, siedzącego obok, milczącego jak dotąd, z ponurym wyrazem twarzy. Zastępcy Dyrektora Misji, Matthewa Sterna.

Jako Dyrektor Łączności, Kalens stał na czele zespołu dyplomatycznego do spraw nawiązania stosunków z przywódcami chironskimi i był odpowiedzialny za zaplanowanie polityki, która miała, stopniowo, w miesiącach następujących po lądowaniu, doprowadzić do utworzenia rzekomo wspólnego, a w rzeczywistości zdominowanego przez Ziemiaków rządu kolonii. Problem dotyczył go więc w większym stopniu, niż kogokolwiek z obecnych. Kalens nadał najpierw odpowiednią pozycję swemu długiemu, starannie wypielegnowanemu i odzianemu ciału. Następnie odpowiedział. - Zgadza się, Johnem, że surowe rządy należy wprowadzić wcześniej... być może będzie można je łagodzić nieco później, gdy Chironczycy się z nimi pogodzą. Niemniej Mark też jest nie bez racji. Jeśli możemy, powinniśmy unikać ryzyka działań wojennych i myśleć o nich tylko jako o ostateczności. Bedziemy potrzebowali, by te siły i środki pracowały dla nas, nie przeciw nam. A mamy nader skąpe. Nie możemy sobie pozwolić na ich roztrwonienie albo zniszczenie. Być może sama groźba użycia siły wystarczy do osiągnięcia naszych celów - bez potrzeby pójścia aż tak daleko, by robić otwartą demonstrację siły czy jako pierwszy krok ogłaszać stan wojenny.

Wellesley opuścił wzrok na swe dłonie i długo się im przyglądał. Rozmyślał nad tym, co usłyszał. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, miał za sobą dwadzieścia lat odpowiedzialności na pozaziemskich stanowiskach kierowniczych i dwie kadencje jako Dyrektor Misji. Choć w jego bladych, spoglądających spod pczerezdzonej rudawej czupryny oczach jeszcze pojawiały się metaliczne błyski, a rysy jastrzębiej twarzy nadal były ostre i wyraźne, widać już na nim było pierwsze oznaki wyczerpania psychicznego: zapadnięte policzki, wiedziona szyja, ledwie widoczne pod marynarką opadnięcie ramion. Wszystko to zdawało się zapowiadać, że Garfield Wellesley, gdy ostatecznie doprowadzi „Mayflowera II” do celu podróży, z zadowoleniem zaczeka na swych funkcji.

- Sądzę, że nie bierzecie dostatecznie pod uwagę efektów psychologicznych u naszych własnych

nie doszukuj się w tym niczego więcej. – Spojrzał na pudełko w ręce Jaya. – A ja nic nie widziałem. Chodź Jay, obejrzymy sobie tę twoją lokomotywę.

Rozdział V

Chiron miał prawie dziewięć tysięcy mil średnicy, ale jego żelazoniklowe jądro było nieco mniejsze od ziemskiego. W rezultacie grawitacja na powierzchni była zbliżona. Jego okres obrotu wokół osi wynosił trzydzieści jeden godzin, sama zaś os była bardziej nachylona wobec płaszczyzny orbity, niż ziemska. W połączeniu z bardziej wydłużoną elipsą orbity – skutkiem perturbacji, wynikających z bliskości Bety Centaura – dawało to w wyniku większą rozpiętość klimatyczną między szerokościami geograficznymi i większą różnorodność pór roku. W towarzystwie dwóch, podziobanych kraterami księżyców – Romulusa i Remusa – Chiron obiegał Afe Centaura w ciągu 419,66 dni.

Okolo 55 procent jego powierzchni zajmowały lądy, przede wszystkim trzy główne kontynenty. Największym z nich była Terranova, obszerny, wydłużony ze wschodu na zachód konglomerat wszelkich możliwych regionów geograficznych, panujący nad półkula południową i rozciągający się z ząbkiem aż po równik na swym północnym skraju. Selene, o poszarpanej linii brzegowej i z mnogością przylegających wysp, była połączona z zachodnią częścią Terranovy międzymorzem, zwyżającym się do przesmyka poniżej równika. Artemia leżała bardziej na wschód, oddzielona przez oceany.

Chor na pierwszy rzut oka Terranova wydawała się zwarta i masywna, rozciągała ją prawie na dwoje rozciągnięte południkowo morze wewnętrzne, zwane Śródchironskim, łączące się na północy wąską cieśniną z oceanem. Wysoki łańcuch górski na wschód od morza Śródchironskiego dopełniał podziału Terranovy na dwa subkontynenty – Oriene na wschodzie i Occidene na zachodzie.

Na planecie rozwinęły się różnorodne formy życia. Niektóre z nich zbliżały się wyglądem i zachowaniem do przedstawicieli ziemskiej flory i fauny, niektóre zaś nie. Chociaż kilka gatunków dążyło po omacku ku ścieżce, na którą na Ziemi przed dwoma milionami lat wkroczyli hominidzi, nie pojawiła się jeszcze wśród nich kultura oparta na autentycznej inteligencji, języku i używaniu narzędzi.

Morze Śródchironskie rozciągało się od chłodnej południowej strefy klimatycznej aż do gorących, subtropikalnych szerokości u jego ujścia. Wzdłuż wschodniego brzegu ciągnął się wąski pas nizin nadbrzeżnych, po części otwartych, po części zaś lesistych, stromo przechodzący w podnoże łańcucha Wielkiej Bariery, za którym rozłożyły się szeroko równiny i pustynie centralnej Orieny. Occidene na przeciwnym brzegu była na znacznej długości bardziej dostępna z morza, ale nizin na zachodzie dzielił na dwie kotliny biegnące na wschód łańcuch górski. Przedłużenie łańcucha sięgało morza jak kamienny kregosłup pofalowanych dolin, otoczonych malowniczymi zielonymi równinami, piaszczystymi zatokami i poszarpanymi przylądkami. Nosiło nazwę Półwyspu Mandela na cześć znanego meża stanu z lat 2010-tych. U podstawy półwyspu, na północnym brzegu, roboty z „Kuan-yin” obrały miejsce dla Franklina – pierwszego osiedla mieszkalnego na powierzchni planety, zbudowanego w czasie, gdy pierwsi Chironczycy przebywali jako niemowlęta na pokładzie swego statku-matki.

W ciągu czterdziestu dziewięciu lat Franklin wyrósł na pokaźne miasto. W nim i wokół niego mieszkała większość ludności Chirona. Pojawili się też inne osiedla, przede wszystkim na wybrzeżach morza Śródchironskiego lub w ich pobliżu.

Łączność między Ziemią i „Kuan-yin” była podtrzymywana od chwili startu statku automatycznego w 2020 roku, chociaż nie przebiegała w czasie rzeczywistym wobec rosnącej odległości i progresywnie wzrastającego okresu opóźnienia w przekazywaniu depesz. Pierwsza wiadomość do Chironian nadeszła, gdy najstarsi z nich mieli po dziewięć lat. Była to odpowiedź z Ziemi na otrzymaną z „Kuan-yin” pierwszy sygnał o osiągnięciu celu podróży. Odład kontakt był stale podtrzymywany, ale pojedyncza wymiana depesz trwała dziewięć lat. Natomiast „Mayflower II” był obecnie zaledwie o dziesięć dni świetlnych od Chirona i coraz się doń zbliżał, korzystał więc z informacji o warunkach na planecie, jakie do Ziemi dotarłyby po latach.

Chironczycy odpowiadali dość chętnie na pytania o przyrost i rozmieszczenie ich ludności, o rozwój i zdolność produkcyjną przemysłu wydobywczego i zasilanych energią jądrową zakładów przetwórczych i wytwórczych, o programy szkolne, programy badawcze w laboratoriach, dzieła artystów i kompozytorów, osiągnięcia inżynierów i architektów oraz o wyniki badań geologicznych takich okolic, jak upalne lasy deszczowej południowej Selene, czy daleki północny mroźny subkontynent Lodowy.

Natomiast bardziej powściągliwi byli co do szczegółów swego systemu administracyjnego, który w oczywisty sposób daleko odbiegał od uporządkowanego wzorca, zawartego we wskazówkach, do których, jak zakładano, mieli się zastosować. Wskazówki zawierały plan systemu wyborczego, który miał zostać wprowadzony w życie z chwilą, gdy pierwsze pokolenie osiągnie wiek pokwitania. Ich intencja

Z korytarza skreślił w boczne, nigdy nie używane drzwi i poszedł galerią między zewnętrzną ścianą Fabryki i kurtyną z kabli, rur i przewodów, poruszając się w grawitacji wynoszącej 15 procent normalnej powolnymi, niedbałymi susami, które od dawna stały się jego drugą naturą. Chociaż przeniesienie do kompanii „D” było uważane za równoznaczne z degradacją, Colman doznał wielkiej ulgi, że na koniec dosłał się pod rozkazy kogoś takiego jak Sirocco. Był to jedyny znany mu dowódca, który z chęcią brał ludzi takimi, jakimi byli, nie uważając za swój obowiązek przerabiania ich na coś innego. Nie mieszał się i nie wytykał nieusłannemu nosa. Jak długo robiono to, czego żądał, nie przejmował się specjalnie tym, w jaki sposób to robiono, i pozwalał ludziom postępować tak, jak im odpowiadało. Raz wreszcie być traktowanym jak ktoś odpowiedzialny, szanowany jako istota obdarzona rozumem i umiejąca go używać – było to nowe i krępujące przeżycie. Większość ludzi w kompanii odczuwało to samo. Nie należeli do gatunku skwapliwie wyrażającego takie uczucie słowami... ale okazywali je.

Nie nazbyt wpływało to na utwierdzenie tego typu posłuszeństwa, jaki Armia chciałaby wprowadzić, ale Sirocco na to, co trzeba robić, miał własne poglądy najczęściej znacznie różniące się od przyjętych w Armii. Dobrzy oficerowie bardzo przejmowali się robieniem kariery i awansami, lecz Sirocco nie mógł się zmusić, by Armie traktować jako coś poważnego. Oczywiście wielomiliardowej wartości przemysł, stworzony dla zabijania ludzi, był sprawą nader poważną, lecz Colman był przekonany, że Sirocco w głębi duszy nigdy nie dostrzegł wzajemnego powiązania tych spraw. Wojsko było po prostu grą, w którą lubił się bawić. A że przy tym Sirocco ani nie miał zamiaru przejmować się nimi, ani ich gry brać na serio, dali mu kompanie „D”. Okazało się jednak, że bardzo mu to odpowiadało.

Colman dotarł do mostku, łączącego galerię z drzwiami w grodzi, prowadzącymi do jednej z pompowni. Tryt produkowany na rufie w reaktorach pomocniczych był tu sprężony, by wzbogacić plazmę jądrową głównego napeđu przed wyrzuceniem jej w przestrzeń. Trudno było sobie wyobrazić skałę gigantycznych sił, wywołanych niedaleko stąd w misie odrzutowej, gdy do uszu dochodził tylko ciągły, daleki grzmot. Ale Colman raczej czuł niż słyszał ten natarczywy, ryczący łoskot, przenikający z taśm stalowych podłogi przez podeszwy butów skafandra i przez rekawice na dłoniach opartych na barierze mostku, wysoko nad halą maszyn. I jak zawsze coś w nim w środku drgnęło, gdy przez system nerwowy ciało odebrało wrażenie rozpetanej wokół siły – dzikiej, brutalnej, drażliwej energii, okiełznanej i posłusznej lekkim dotknięciu palca do przełącznika. Spojrzał na linie nadprzewodzących szyn zbiorczych, chłodzonych do temperatury ledwie o parę dziesiątków stopni wyższej od zera absolutnego, biegnących o parę stóp od plazmy rozpalonej do setek milionów stopni; na obudowie akceleratora nad głową, gdzie cząstki atomów pędziły z przyswiałną szybkością ścieżkami, wytyczonymi z dokładnością do milionowej części cala; na zwoje kabli systemu informacyjnego, przekazującego z mikrosekundy na mikrosekundy wiecznie czuwającym komputerom wiadomości o wszystkich, co się tu działo. I pomyślał, że to wszystko zbudowali ludzie. Musiał to sobie przypominać, bo niekiedy wszystko wyglądało tak, jakby cały ten świat zaprojektowany i stworzony przez maszyny był królestwem maszyn, w którym człowiek był kimś obcym i niepotrzebnym.

Colman uważał jednak, że on sam nie był wśród maszyn obcy. Rozumiał je, przemawiał ich językiem, one zaś mówiły do niego. W tej chwili mówiły językiem drgań przenikających jego skafander. Mowa ich była jasna i bezpośrednia. Nie znała sofizmów i dwuznaczności. Maszyny nigdy nie mówiły czegoś innego, niż myślały, nie dawały mniej, niż obiecywały i nie żądały niczego ponad to, o co już prosiły. Nie kłamały, nie oszukiwały, nie kradły i były uczciwe wobec tych, którzy je uczciwie traktowali. Podobnie jak Sirocco brały go takim, jakim był, a same też nie udawały, że są czymś innym. Nie domagały się, by się zmienił ze względu na nie i same nie obiecywały, że się zmienią dla niego. Maszyny nie znały pojęć wyższości czy niższości i akceptowały istniejące między nimi różnice – jedne były lepsze od tego, a drugie do czegoś innego. Potrafiły to zrozumieć. Czemu – rozmyślał Colman – ludzie tego nie potrafili?

Za mostkiem drzwi w grodzi były otwarte. Koło odemkniętej skrzynki rozdzielczej leżały narzędzia. Colman wszedł przez drzwi do pompowni. Znalazł się na otoczonej barierą platformie, powyżej poziomu podłogi wysokiej hali, ciągnącej się w górę i w dół, podzielonej na piętra systemem dźwigarów i wsporników. Na każdym piętrze mieściła się jedna z wielkich pomp i jej urządzenia pomocnicze. Na poziomie bezpośrednio pod Colmanem pracowała przy pompie grupa inżynierów i monterów. Zdjęli część obudowy na jednym końcu maszyny, rozmontowali łożysko i właśnie podczepiali liny suwnicy bramowej nad głowami, na których miał się unieść wirnik. Oparty o barierę Colman śledził ich przez chwilę, kiwając do siebie głową w milczącej aprobacie: liny główne i ubezpieczające były napięte naleyście, pod kątem prostym; wirnik podparto klinami, by nie przysięgnął monterom dłoń; części wymontowane leżały w porządku z dala od maszyny, obnażone zaś powierzchnie łożyska zabezpieczono wys-



zamy, że znaczy. – Pernak pochylił się do przodu i zwiłzył wargi. – Dam ci luźną analogię. Wyobraź sobie płomień. Załóżmy, że istnieje rasa istot płomiennych, które żyją wewnątrz niego i mogą opisywać procesy zachodzące wokół nich terminami fizyki płomienia, które sobie wyliczyli. Okay? – Jay zmarszczył brwi, ale skinął twierdząco. – Załóżmy teraz, że dysponując tymi prawami, mogą prześledzić wstecz całą swoją historię do momentu, gdy płomień zapalił się po raz pierwszy na główce zapalki czy gdziekolwiek. Dla nich będzie to początek ich wszechświata, nieprawdaż?

– Och, zgoda – oświadczył Jay. – Ich prawa nie mogą im nic powiedzieć o zimnym wszechświecie przed tym momentem. Fizyka płomienia mogła się pojawić dopiero wtedy, gdy już powstał płomień.

– Zmiana fazowa, wytwarzająca swe własne prawa – potwierdził, kiwając głową, Pernak.

– I mówi pan, że Wielki Wybuch to było coś podobnego?

– Mówię, że to bardzo prawdopodobne. Zmiana fazowa inicjuje koncentrację energii – gęstość energii – tak, jak na główce zapalki. Dlatego może się okazać, że Wybuch i wszystko, co po nim nastąpiło, było wynikiem koncentracji energii, która nastąpiła z jakichkolwiek przyczyn w systemie rządzonego przez prawa odmienne jakościowo, których istnienie dopiero zaczynamy podejrzewać. Właśnie w tym kierunku prowadzi badanie.

Znowu błysnęły gwiazdy i już byli w Idaho, w jednym z dwóch segmentów konstrukcyjnie sztywno połączonych z Wrzecionem. Wnętrze jego było gmatwaną przestrzenią otwartych i zamkniętych, metalowych ścian i kratownic, cystern, rur, tuneli i maszyn. Zatrzymali się na chwilę, by przyjąć nowych pasażerów, zapewne przybywających z Wrzeciona liną średnicową. Kapsuła znów ruszyła.

– To stworzyłoby możliwości, od których mózg się może zagotować – podjął temat Pernak. – Przypuśćmy na przykład, że byłibyśmy w stanie zrozumieć te prawa i na miniaturową skalę stworzyć nasze własne koncentracje, przenoszące energię z... nazwijmy to hiperkosmosem, do naszego własnego wszechświata – jednym słowem wytwarzać „Małe Wybuchy” – białe minidziury. Pomyśl, co by to było za źródło energii! Reakcja termojądrowa wyglądałaby przy tym, jak wystrzał z kapiszonu. – Pernak zamachał rękami. – Albo jeszcze coś innego, Jay. Może się okazać, że otoczenie w którym żyjemy leży na gradientie pomiędzy jakimś hiperźródłem, które wlewa masę energii do naszego świata i jakimś hiperodpływem, który je odbiera – może w rodzaju czarnych dziur. Gdyby tak było, to wszechświat nie byłby wcale zamkniętym układem termodynamicznym. A wtedy proroctwa zagłady wszechświata przez zamarznięcie, które ma kiedyś nastąpić, mogą być bzdurą, bo Drugie Prawo Termodynamiki odnosi się tylko do układów zamkniętych. Innymi słowy: może odkryjemy, że jesteśmy istotami płomiennymi, zamieszkującymi fabrykę zapalek.

Kapsuła dojechała do segmentu Jersey i zaczęła zwalniać, zbliżając się do miejsca przeznaczenia zaprogramowanego przez Jaya. Warsztaty i inne publicznie dostępne urządzenia dla majsterkowiczów były rozłożone na bliższym skraju głównych terenów fabrycznych. Jay prowadził drogą obok budynków administracyjnych i wzdłuż galerii, przez halaśliwą okolicę woniącą olejem i rozgrzanym metalem, do obłych blach stalowych wrót. Przez małe boczne drzwi weszli do portierni, gdzie za szklaną ścianką dozorca grał w karty ze strażnikiem na starym, porysowanym metalowym stole. Na widok Jaya i Pernaka portier wstał i powłócząc nogami podszedł. Jay pokazał zaświadczenie szkolne, pozwalające mu na bezpłatne korzystanie z warsztatów. Portier wsunął kartę do terminalu komputerowego, po czym zwrócił ją wraz z żetonem na pobieranie narzędzi od magazyniera warsztatów.

Gdy Jay już się zbierał, by pójść dalej, portier zatrzymał go uwagą: – Jest tu coś dla ciebie. – Siegnął pod stół i wyjął kartonowe pudełeczko z nabazgranym nazwiskiem Jaya.

Zdumiony Jay przeciął opakowanie i otworzył pudełko. Wewnątrz leżał kawałek wykładziny piankowej i złożona kartka papieru. Pod wykładziną, wtulony w gniazdo z gąbki gumowej, leżał zapakowany w natuszczony papier komplet części do zaworu suwakowego cylindra wysokoprężnego, wykończonych, wypolerowanych i błyszczących. Na kartce było napisane:

Jay,

Pomyślałem sobie, że będziesz potrzebował pomocy z tym tutaj, więc zrobiłem to zeszłej nocy. Jeśli mnie przeczuć nie myli, masz drobne trudności. Nie ma sensu niepokoić ludzi, którzy chcieliby dobrze. Wierzę mi, to nie taki zły facet.

STEVE.

Jay zamrugał powiekami i spojrzał na Pernaka, który przyglądał się mu ciekawie. Poczuił się jak winowajca, nie umiejąc znaleźć koniecznego, jak się zdawało, wyjaśnienia. – Bernard opowiedział mi wszystko – rzekł Pernak, zanim Jay znalazł odpowiedź. – Myślę, że ma w tej chwili duże trudności, więc

chwili Pernak zaczął opowiadać o zmianach fazowych w prawach fizyki i ich przejawianiu się w procesach ewolucji. Jedną z zalet Pernaka było, zdaniem Jaya, to że trzymał się zawsze tematu i nie obciążał go moralizowaniem ani nieproszonymi radami dorosłego człowieka. Chłopiec nie był pewien, czy taka postawa wynikała ze skrywanej niewiary w skuteczność moralizatorstwa, czy też Pernak był po prostu zdania, że należy pilnować własnego nosa? Nigdy nie zdobył się jednak na postawienie fizykowi takiego pytania.

Doszli do stacji kapsuł pasażerskich i staneli na peronie, gdzie już czekało cztery czy pięć osób. Paru z nich było sąsiadami, pozdrowili Jaya skinieniem głowy. Najbliższa kapsuła okólna wzdłuż Piersienia miała nadjechać za minuty z sekundami. Jay i Pernak zatrzymali się przed plakatami wyborczym, ukazującym surowe i arystokratyczne rysy Howarda Kalensa, obejmującego planetę Chiron opiekuńczym spojrzeniem łaskawego, choć powściągliwego hóstwa. Hasło było krótkie: POKÓJ I JEDNOŚĆ.

Traktuj to jak zmiany fazowe, które opisują przejścia między stanem stałym, ciekłym i gazowym – rzekł Pernak. – Prawa dla gazów sprawdzają się tylko w pewnym ograniczonym zakresie. Jesteś bedziesz próbował ekstrapolować je zbyt daleko, otrzymasz zwariowane wyniki, w rodzaju objętości osiagającej wartość zerową i tak dalej. W rzeczywistości nie może to nastąpić, ponieważ gaz przechodzi w ciecz zanim osiągnie się te granice. A wtedy występują zachowania inne jakościowo, z nowymi, własnymi prawami.

Mówi pan, że ewolucja jest serią zmian tego typu?

Tak, Jay. Ewolucja jest nieustannym procesem wynurzania się układów bardziej uporządkowanych i komplikowanych z prostszych, na zasadzie serii faz następujących po sobie. Najpierw była fizyczna, następnie atomowa, później chemiczna, później biologiczna, jeszcze później zwierzęca, a koniec ludzka, a teraz mamy do czynienia z ewolucją społeczeństw ludzkich. – Przy wymienianiu każdej fazy ruchliwe rysy twarzy Pernaka przybierały coraz to inny wyraz. – Podczas każdej fazy pojawiają się nowe stanki i właściwości, które można wyrazić tylko w kontekście tego wyższego poziomu. Nie można zaś – wyrażeniami, dotyczącymi procesów działających na niższych szczeblach ewolucji.

Jay myślał przez kilka sekund i powoli skinął głową. – Sądze, że zrozumiałem. Chce pan powiedzieć, że sposoby działania ludzi i ich uczucia nie mogą być opisane wyrażeniami dotyczącymi związków chemicznych, z jakich są zbudowani. Molekuła DNA to o wiele więcej, niż wiązka nieorganizowanych ludzkich i wiązań walencyjnych. Sposób w jaki jest zorganizowana stwarza jej własne prawa.

Dokładnie tak, Jay. Masz do czynienia ze wstępującą hierarchią rosnących poziomów komplikacji. Na każdym poziomie pojawiają się nowe powiązania i znaczenia, które są funkcją samego poziomu i w ogóle nie istnieją na poziomach niższych. Na przykład w alfabecie jest dwadzieścia sześć liter. Jedna litera zawiera mało informacji, ale jeśli uporządkować litery w słowa, liczba rzeczy, które można nimi opisać, wypełni cały słownik. Jeśli zaś ułożysz słowa w zdania, zdania w akapity i tak dalej, aż do całej książki, osiąga się różnorodność praktycznie nieskończoną i można przekazać każdą treść, jakiej się zapragnie. A przecież wszystkie książki, napisane kiedykolwiek po angielsku, zawierają tylko te same dwadzieścia sześć liter.

Nadjechała kapsuła. Jay milcząco przetrwał słowa Pernaka. Gdy wsiedli, Jay wprowadził do tablicy przy drzwiach kod stacji w segmencie Jersey. Usiedli na wolnych miejscach naprzeciw siebie, kapsuła ruszyła. Po krótkim rozbiegu wjechała w rurę wyjściową z Marylandu i przeszła przez jeden z kulistych łączników przegubowych, które zarówno sprzęgały poszczególne segmenty Piersienia w całość, jak i stanowiły obudowę łożysk i mechanizmów obrotowych, regulujących położenie segmentów zależnie od ruchu statku. Przez krótką chwilę oglądali przez przezroczysty pancerz zewnętrzny ogromne Wrzeciono, które zdawało się podtrzymywać o trzy mile ponad ich głowami siatkę belek i trawersów, z ogromem kosmosu otwierającym się po obu jego stronach. Zaraz potem wjechali do segmentu Kansas, a widok za oknem zmienił się; ogrodzone pastwiska zwierząt i spiętrzone poziomy osiedli rolnych, gospodarstw rybnych i basenów hydroponicznych.

– Okay, w ten sposób można cofać się aż do Big Bangu – Wielkiego Wybuchu – powiedział na koniec Jay. – A stamtąd jak jeszcze daleko?

– Z klasycznego punktu widzenia – nigdzie. Ale jestem całkiem pewien, że jeśli napotykasz teorie zawierającą osobiowości, nieskończoności i nonsensowne wyniki, jest to pewna wskazówka, że starasz się przepchnąć znane ci prawa poza zmianę fazową, na obszar, na którym już nie działają. Myślę, że tak jest w tym właśnie wypadku.

– No to jak daleko można pójść? – nie ustępował Jay.

– Ze znanymi nam prawami fizyki – nigdzie, co jest tylko inną formą powtarzania dobrze znanych wniosków. Ale uważam za błąd podtrzymywanie przekonania, że przedtem nie było niczego w sensie przyczynowym – oczywiście jeżeli „przedtem” oznacza cokolwiek podobnego do tego, co zwykle uwa-

ciółką od uszkodzenia przez przypadkowo upuszczone narzędzie. Lublił przyglądać się dobrej robocie.

Stał tak prawie pięć minut, gdy otworzyły się drugie drzwi o pare kroków dalej i na platformę wyszedł człowiek ubrany tak samo, jak inżynierowie pracujący poniżej. Podszedł do drabinki niedaleko Colmana, zatrzymał się na chwilę obrzucając go dziwnym spojrzeniem i zaczął schodzić na dół. Identyfikator na kieszeni jego kombinezonu nosił napis: B. FALLOWS. Colman podniósł dłoń w pozdrowieniu i przełączył swe radio na częstotliwość lokalną. – Hej, Bernard, to ja. Steve Colman. Nie wiem, czy już słyszałeś, ale nie wyszło z przeniesieniem. Niemniej dzięki za poparcie.

Na twarzy zagadniętego za szybą hełmu nie było uśmiechu. – Pan Fallows dta was, sierżancie. – Głos był lodowaty. – Przepraszam, ale jestem zajęty. Mniemam, że i wy macie robotę. Czy mogę zaproponować, aby każdy z nas zajął się tym, co do niego należy? – Chwycił za poręcz drabinki, zszedł tyłem z platformy, lekko ześliznął się na poziom niżej i odwrócił, by dołączyć do grupy pracujących.

Colman patrzył za nim przez chwilę, wreszcie powoli zrobił w tył zwrot i skierował się do drzwi w grodzi. Nie czuł się ani urażony, ani szczególnie zdziwiony. Zbyt wiele razy widywał podobne sceny. Fallows był niezłym facetem, ktoś tam, gdzieś tam natarł mu uszu i wszystko. – Może on wie wszystko o tym, jak maszyny działają. – Mruknął do siebie półgłosem Colman, idąc galerią koło ściany Fabryki Bomb. – Ale nie wie, jak one myślą.

Rozdział IV

Na ekranie ściennym w jadalni Fallowsów, w jednostce mieszkalnej dla funkcjonariuszy wyższych stopni średniego szczebla w segmencie Maryland, wyświetlano film o wojnie 2021 roku. Jay Fallows nie posiadał się z radości, gdy projekcja się zakończyła. Film pokazywał Amerykanów jako wysokich, muskularnych, smukłych ludzi o statowych oczach, falujących czuprynach, ubranych w mundury kroju marynarkowego z krawatami, co dowodziło, że nasza je ludzkie przyswoici i dobrze wychowani. Natomiast wrogowie mieli pyski buldogów, byli fałszywi i bezwzględni, nosili włosy krótko ostrzyżone, a mundury zapinane pod szyją, co oznaczało, że chcą zawojować świat. Amerykanie dysponowali lepszą techniką, ponieważ byli lepiej ogoleni.

– Olbrzym nie został zabity – obwieścił wysoki, muskularny, stalowooki bohater swemu wiernemu adiutantowi o falujących włosach, gdy tak stali przed samolotem pionowego startu Amerykańskich Sił Powietrznych, na szczycie wzgórza San Gabriel nad popieliskiem Los Angeles. – Teraz, gdy jego zadanie zostało wypełnione, będzie spał przez chwilę, by zaleczyć rany. Lecz powstanie na nowo, twardszy i zahartowany w płomieniach. To nie pójdzie na marne. – Z odjazdem kamery postacie i pagórek zmniejszyły się szybko, a panorama rozpostarła, obejmując zachodzące słońce, które jednak będzie świadkiem powracającego świtu; zagrzmiła muzyka w porywającym finale trąb i bębnow na tle chóru, który brzmiał jak niebiański.

Jay Fallows myślał przez chwilę, że się wyrzyga i próbował wyłączyć dźwięk, skubiąc równocześnie resztki lunchu. Na stole przed nim stał podparty podręcznik astronomii. Za nim matka z jego dwunastoletnią siostrą Marie, z milczącą cziłą syciły się końcowym przesłaniem filmu. Książka była otwarta na strony ukazujące konstelacje półkuli północnej, widziane z Ziemi. Wyglądały podobnie jak z „Mayflowera II”, z tym wyjątkiem, że w Kasjopei brakowało jednej gwiazdy – Słońca. Na stronie obok, w jednym z ramion Krzyża Południa, widniała Alfa Centaura, ze statku zaś wyglądała jak jaskrawy krąg, błyszczący osobno, na pierwszym planie. Zaś Proxima Centauri na ziemskiej mapie nie była w ogóle ukazana. Był to słaby czerwony karzeł o blasku poniżej jednej dziesięciotysięcznej jasności Słońca, teraz jednak całkiem bliski i dobrze widzialny z „Mayflowera II”. Zmiany w obrazie gwiazd, niemal niezauważalne z dnia na dzień, a nawet z miesiąca na miesiąc, stały się jeszcze powolniejsze od chwili, gdy główny napęd zaczął stale działać, systematycznie wyhamowując szybkość, z jaką statek przebył cztery lata świetlne kosmosu.

Większość znanych Jayowi dorosłych – to znaczy tych ponad dwadzieścia pięć lat i tak dalej – uważała się za obowiązanych do okazywania sympatii takim jak on, którzy nigdy nie doświadczyli życia na Ziemi. Z tego co mu pokazywano, nie uzyskał pewności, czy rzeczywiście tak wiele stracił. Życie na „Mayflowerze II” było wygodne i bezpieczne, z mnóstwem interesujących zajęć, a w niedalekiej przyszłości czekało podniecające wyzwanie, jakie rzuciła nowa, nieznana planeta. Na pewno nikt na Ziemi nie mógł się spodziewać czegoś podobnego.

Na lekcjach Nauki Politycznej w szkole, podstawowe zadanie „Mayflowera II” zostało określone jako „profilaktyczne wyzwolenie”. Oznaczało to, że ponieważ Azjaci i Europejczycy są tacy jacy są, będą chcieli owdładać Chironem i przerobić go na swoją zgnilą modłę, jeśli tylko nadarzy im się okazja.

Wobec tego „Mayflower II” musiał w ciągu dwóch lat nauczyć Chironeńczyków, jak się mają bronić. Były też inne, bardziej abstrakcyjne przyczyny, żeby Chironeńczyk zostali wychowani i oświeceni, jednak Jay nie rozumiał ich w pełni, gdyż należały do zakresu wielu tajemnic, które niewątpliwie odkrywają się same we właściwym czasie, w ramach rozwiązywania skomplikowanego problemu stawiania się człowiekiem dorosłym.

Niezależnie od tego, jakich objawień wówczas dostąpi, Jay nie był w stanie zgłębić, jaki związek łączy je z hutowaniem modeli lokomotyw parowych i uroczystym oświadczeniem ojca, że kontynuowanie przyjaźni ze Slev'em Colmanem nie byłoby dobrym pomysłem. Ale robienie wielkiego szumu z tego powodu nie miało by sensu, Jay skłamał więc na temat swoich zamiarów, nie czując przy tym żadnej winy, jako że ludzie, którzy uczyli go, by był uczciwy, nie dali mu innego wyboru. To znaczy formalnie mu dali, ale to się nie liczyło, bo przecież były sprawy, których i tak nie rozumieli... albo może zapomnieli. Ale Steve zrozumiał.

- Cieszę się, że się w o w c z a s jeszcze nie urodziłam - powiedziała Marieza jego plecami. - Nie mogę sobie wyobrazić płonących całych miast. To musiało być okropne.

- Było - potwierdziła Jean. - To lekcja, którą wszyscy musimy pamiętać. A zdarzyło się tak dlatego, bo ludzie zapomnieli, że wszyscy mamy słowne miasteczko w porządku rzeczy i stosownie zadania do wykonania. Zbyt wielu niekompetentnym i niegodnym ludziom pozwolono wznosić się na stanowiska, na które nie zasłużyli.

- Odbierz co twoje, zapłać coś winien
I rób z ochotą to, coś powinien -
wyrecytowała Marie.

- Doskonale - oświadczyła matka.

- Gówniara - pomyślał Jay i odwrócił stronicę. Następny rozdział książki zaczynał się od diagramu układu Centaura, uwidaczniając jego centralny układ podwójny z orbitą osiemdziesięcioletniego obiegu wzajemnego. Diagram miał też wlane wizerunki planet, ziljowane najpierw przez instrumenty z „Kuan-yin”, a następnie potwierdzone przy Chironeńczyków. Poniżej głównego diagramu pokazano spektrogramy podobne do Słońca Alfę G2v z licznymi prążkami metalu; chłodniejszej pomarańczowej Bety Centaura typu K1 z osłabionym błękitnym skrajem widma i słabymi pasmami absorpcyjnymi wolnych rodników, oraz M3e, czerwono-pomarańczowej Proxymy, z silnymi strefami absorpcji we fioletcie i wyraźnymi prążkami CO, CH i TiO.

- Nie będzie wojny na Chirone, prawda? - zapytała Marie.

- Oczywiście nie, kochanie. Po prostu Chironeńczyk nie zwrócił tyle uwagi, ile powinni, na to, czego komputery próbowały ich nauczyć. Mieli zawsze maszyny, które dawały im wszystko, czego zapragnęli i dlatego oni myśla, że życie to jedne wielkie wakacje. Ale to nie ich wina, bo przecież to nie są tacy sami ludzie jak my. - Tęgo rodzaju opinia była szeroko rozpowszechniona na „Mayflowerze II”, nawet mimo tego, że naczelny biskup wyprawy wioził z sobą z Ziemi specjalne rozporządzenie, dekretujące, że Chironeńczyk mają dusze. Jean ziała sobie sprawę, że wyraziła się w sposób wysoce niejasny i pośpiesznie dodała: - No cóż, oczywiście to są ludzie. Ale nie z u p e l n i e tacy, jak ty, bo urodzili się bez ojców i matek. Nie powinnyś ich nienawidzić ani nie w tym rodzaju. Po prostu pamiętaj, że jesteś trochę lepsza, bo miałaś trochę więcej szczęścia i wiesz o rzeczach, których oni nie mieli okazji się nauczyć. Tak więc, nawet jeśli będziesz musiała okazać im odrębne stanowczości, będzie to w końcu dla ich własnego dobra.

To znaczy wtedy, gdy dostaną się tu Chironeńczyk i Europejczyk?

- Właśnie. Musimy pokazać Chironeńczykom, jak stać się silnymi w taki sam sposób. Jak myśmy się tego nauczyli, a gdy to zrobimy, nie będzie w ogóle żadnej wojny.

Jay zdecydował, że ma tego dość, wymamrotał usprawiedliwienie i przeniósł się z książką do hotelu. Ojciec siedział rozwalony w fotelu, dyskutując o polityce z Jerryem Pernakiem, zaprzyjaźnionym fizykiem, który wpadł do nich godzinę wcześniej. Polityka była jeszcze jedną tajemnicą, która, jak zakładał Jay, któregoś dnia stanie się dla niego zrozumiała.

By zachować istotne cechy systemu amerykańskiego, życie na pokładzie „Mayflowera II” łączyło się pod kierownictwem administracji cywilnej, której podlegało zarówno dowództwo wojsk regularnych, jak organizowana na wzór wojskowy organizacja załogi statku. Głównym ciałem ustawodawczym tej administracji był Najwyższy Dyrektoriat pod przewodnictwem Dyrektora Misji, wybieranego na to stanowisko w trzyletnich kadencjach i odpowiedzialnego za nominację dziesięciu członków Dyrektoriatu. Ostatnia kadencja obecnego Dyrektora Misji, Garfielda Weltosleya, miała upłynąć z chwilą ukończenia podróży. Miały wówczas odbyć się wybory członków rządu, zrekonstruowanego w sposób odpowiedniejszy dla warunków planetarnych.

- Howard Kalens, bez wątpienia - mówił Bernard Fallows. - Jeśli mamy tylko dwa lata na doprowadzenie tego miejsca do porządku, on jest właśnie człowiekiem, jakiego nam trzeba. Wie czego chce i mówi o tym, nie bacząc na fanaberie sondaży opinii publicznej. I ma odpowiednie pochodzenie dla takiej funkcji. Nie można stanowiska gubernatora oddać komuś z molochu, sam rozumiesz.

- Pernakowi nie nazbyt się spieszyło do wyrażenia zgody, na którą Fallows wyraźnie oczekiwał. Zaczął mówić roś nieobowiazujące, przerwał i spojrzał na wchodzącego Jaya. - Cześć, Jay. Jaki był film?

- Ech, nie przyglądałem się. - Jay zrobił niejasny gest książką i odłożył ją na półkę. - Taki, jak inne.

- O czym tam dziewczyny rozmawiają? - spytał Bernard.

- Nie jestem pewien. Nie przysłuchiwałem się specjalnie.

- Popalrz - on już przygotowuje się do życia małżeńskiego - zwrócił się ze śmiechem Bernard do Pernaka. Pernak na chwilę wyszczerzył zęby. Bernard spojrzał na syna. - Ano, jeśli jeszcze dość wcześnie. Już wiesz, co będziesz robił po południu?

- Chciałbym pojechać na parę godzin do Jersey, popracować nad lokomotywą.

- Świetnie, - Bernard skinął twierdząco głową, ale palczyl Jayowi w oczy sekundę dłużej, niż było trzeba, i z większą powagą, niż tego wymagał ton jego głosu.

- Jak ci z nią idzie? - spytał Pernak.

- Nieźle. Kocioł mam już wypróbowany i zamontowany, a zestawy kołowe gotowe do montażu. W tej chwili staram się dopasować zawory suwakowe do cylindrów wyskokoprężnych. Trudna sprawa.

- Jak ci poszło? - spytał Pernak.

- Jeden komplet musiałem złomować - westchnął Jay. - Myślę, że muszę dopasować je na nowo. Chyba od tego dziś zaczne.

- No to kiedy mi ją pokażesz?

Jay wzruszył ramionami. - Kiedy pan chce.

- Zaraz jedziesz do Jersey?

- Wybieram się. Nie muszę jechać w tej chwili.

Pernak spojrzał na Bernarda i oparł dlonie na poręczach fotela, jakby miał wstawać. - Mam jeszcze pojechać po południu do Princeton, a Jersey leży na krolskiej trasie. Mogę wziąć woz razem z Jayem.

Bernard wstał. - Oczywiście... Nie zatrzymujcie się, jeśli macie coś do roboty. Dziękuję za zwrot przynaka. - Odwrócił się w stronę jadalni i zawołał głośno: - Hej tam, chcecie się pożegnać z Jerryem? Wychodźcie.

- Pernak i Jay czekali przy drzwiach na Jean i Marie.

- Idziesz? - spytała Jean Pernaka.

- Robota nie robi się sama. Po drodze zatrzymuje się w Jersey, obejrzeć jak tam jego lokomotywa.

- Ach, ta lokomotywa! - Jean spojrzała na syna. - Znowu nad nią pracujesz?

- Może jeszcze przez parę godzin.

- No to nie siedź tym razem przez pół nocy, dobrzy? - A do Pernaka: - Uważaj, Jerry. Dziękuję za wizytę. Kłaniaj się Eve i przypomnij jej, że już znowu czas na wspólny obiad. W zeszłą niedzielę po kościele mówiła, że zadzwoniła do mnie w tej sprawie, ale nie zadzwoniła.

- Przypomnę jej - obiecał Pernak. - Gutów, Jay? No to w drogę.

Pernak nosił krótkie, czarne jak smoła włosy, był mocno zhudowany i miał ruchliwą twarz, która zawsze fascynowała Jaya nieograniczoną możliwością przybierania różnych wyrazów. W szkole Jaya miał wykłady z fizyki i zdobył popularność, zarówno przez umiejętność zabawienia słuchaczy, jak i przez doskonałą znajomość tematów. Umiał je przekazywać pasjonująco, wtracając zaskakujące uwagi o tym, co się dzieje wewnątrz czarnych dziur; o lamigłówkach związanych z pierwszymi minutami istnienia Wszechświata, czy fantastycznych domysłów na temat życia w skreślonych czasoprzestrzeniach o niezwyklej geometrii. Kiedyś pokazał grafy Feynmana, ukazujące cząstki elementarne jako linie przerzucenia n-wymiarowego wszechświata z continuum dwuwymiarowym, którego jedna oś reprezentowała przestrzeń, a druga czas. Matematycznie i teoretycznie cząstka poruszająca się w przód po osi czasu była nieodróżnialna od swej antycząstki, poruszającej się wstecznie. Pernak zaś postawił słucha czy wobec oszałamiającego przypuszczenia, że w całym wszechświecie być może istnieje jeden tylko elektron - powielający się nieustannie - biegnąc w czasie w przód jako elektron i powracając w przeciwnym czasie jako pozyton. Po przynajmniej, podkreślił Pernak, wyjaśniałoby faki, że wszystkie one mają taki sam ładunek i masę, czego dotychczas nikt nie potrafił w bardziej zadowalający sposób wytłuma czyć.

Pernak szedł zadziwiająco długimi, jak na swój wzrost, krokami i Jay musiał się spieszyć, by nie zostawać w tyle. Podążali wzdłuż bloków mieszkalnych segmentu Maryland, gesto zamierzających, ale sprawiających wrażenie izolowanych, dzięki ponysłowemu układowi krzyżujących się tarasów. Już po

w obliczu wroga

c.d. ze str 22

Mniej zahawne były ich dyskusje na temat Caseya i mnie, do których Bigelow później się przyznał. Na jego dobro można powiedzieć, że sprzeciwił się planom morderstwa. Ale Meyers sądził, że jeśli to nawet się wykryje, wine będzie można złożyć na obcych.

Właśnie pakowałam się przed odlotem, gdy to wszystko się działo i nic nie podejrzewałam, nawet w dniu lądowania statku. W jaki sposób Meyers namówił Corsettiego, nie mam pojęcia. Dyskutowaliśmy to później z Caseyem i zgodziliśmy się, że nawet kretyń powinieliśmy zrozumieć, że nic z tego nie wyjdzie. Ale pewne rzeczy muszą się zdarzyć i sądzę, że ta właśnie do nich należała.

Staliśmy w tylnych drzwiach domu, przyglądając się, jak zniża się ogromna masa statku. Przy pierwszym przelecie był ledwie palającym punktem świetlnym, szybko przesuwał się nad bazą. Drugi powinien sprowadzić statek na ziemię, czekaliśmy więc, aż się pojawi na zachodzie. Ale to nie nastąpiło.

- Coś nie tak, Kim - powiedział Casey.

Wskazał ręką na zachód. Powietrze drgnęło, a z ziemi podniosła się ogromna chmura pyłu. Poculiśmy wstrząsy całej planety, a potem szereg szoków dźwiękowych, po nich zaś zerwał się straszny wicher. W chmurze pyłu zajaśniały ogniste aureole.

Oboje widywaliśmy już takie rzeczy. Taki straszliwy zamęt towarzyszy lądowaniu na napedzie Aschenbrennera, ale jego centrum powinno być nad wyspą, a nie nad puszcza na zachodzie.

Caseyowi zapłonęły oczy. Chwycił mnie za ramię i wepchnął w drzwi.

- Do środka, szykuj! - ostrzegł. - Ci idioci skierowali naped „Wilmingtona” na piramidę.

Leżałam na twardej podłodze pod Caseyem i zaczęłam protestować przeciw takiemu traktowaniu. Przestałam, ujrawszy błysk jaśniejszy niż tysiąc słońc. Kula ognia osmolila całe osiedle pomimo ogromnej odległości, po czym zbladła. Przez górne szyby okien widziałam, jak wznosi się w górę, w przestrzeń kosmiczną.

Nadbiegły nowe fale uderzeniowe i znowu wyjący wicher. Budynek zatrzęsł się, zatrzeszczał, ale wytrzymał.

Piramida i statek - albo jedno wybuchło, albo oboje. Albo naped statku przekroczył wytrzymałość krytyczną, albo przekaznik. Z jednego i drugiego mogło nic nie zostać. Casey podniósł mnie z ziemi.

- Co teraz, Casey? Co robimy?

Tym razem nie znalazł odpowiedzi.

Słychać było, jak na zewnątrz ludzie krzyczą i wrzeszczą przez rażliwe, pojazdy przelatują ulicami z rykiem silników i piskiem opon. Wiedzieliśmy, że musieli być straty w ludziach.

W parę minut później wkroczył Meyers w towarzyszywie dwóch ludzi, uzbrojonych w prymitywne, ale groźnie wyglądające strzelby.

- Koniec z panią, panno Wscibską - oświadczył.

Pognali nas do aresztu. Cela miała wygląd laki, jakby mogła zatrzymać nawet Caseya. Siedziałam na brzegu pryczy, płacząc; Casey chodził po celi.

- Mam doświadczenie również z więzieniami - powiedział. - Z każdego można się wydostać.

Mój pogląd na to był pesymistyczny. Nasza cela okazała się stalowym pudłem, z dziurkami w ścianach dla wentylacji. Była ze spawana z płyt, z zakratowanymi drzwiami zamykanymi z zewnątrz. Nie miała otworu nawet tej wielkości, by przesunąć dłoń. Pilnował jej jeden z rewolwerowców Meyersa, siedząc na krześle za drzwiami. Po chwili Casey podszedł i usiadł koło mnie.

- Kim - powiedział - skończ z tym, opanuj się.

Miałam czkawkę z płaczu, ale kiwnęłam głową.

- Dobrze - szepnął. - Potrzeba mi trzech do czterech godzin, a rezultat może być dość przerażający. Nie pozwól, by ci to napełniło stracha.

- Okay - odpowiedziałam.

- Przez ten czas uważaj, żebym był przykryty, ale równocześnie staraj się mi nie przeszkadzać. Jeśli ktokolwiek nadejdzie, musisz mnie ostrzec. Czy to jasne?

- Jasne.

- Muszę coś nieróż poprzestawiać.

Z tymi słowami odszedł i położył się na drugiej pryczy, przykrywając kocem.

Nastąpiła zmiana straży. Nowy podszedł do drzwi, by ze mną porozmawiać, ale odpowiedziałam, by dał Caseyowi spać. Wkrótce i ten usiadł na krześle przy drzwiach.

Był prawie zachód słońca, gdy Casey się poruszył. Patrząc, jak spod koca wypelza ręka i podnosi się, by ująć jego hrzeg. Ręka była różowa i pokryta jasnobrązowym puchem. Odwinęła koc ukazując twarz, którą znałam i nienawidziłam. Położył palec na ustach i z pryczy wstał Fritz Meyers.

- Rankin! - Nawet głos był identyczny. - Chodźcie no tutaj.

- Pan Meyers? W jaki sposób?...

- Nieważne, otwórzcie te drzwi.

- Tak jest, sir, ale... co pan tam rohi?

- Nie wasza sprawa, Rankin. Ta pani i ja doszliśmy do porozumienia. Otwórzcie drzwi.

Szczeknął zamek i odsunęła się zasława. Casey pchnął drzwi jak łaran w twarz Rankina, miażdżąc ciało i kości. Rankin padł na ziemię jak worek.

- Wychodź, Kim.

Wyszedł nie całkiem przekonana, że patrzę na Caseya. Wepchnął Rankina do celi, rzucił na moją pryczę i przykrył kocem. Ze swojej podniósł kłab czegoś czarnego.

- Moje włosy - wyjaśnił. - Nie potrafię przekształcać martwych tkanek. Muszę się ich pozbywać i tworzyć na nowo. Musimy to schować gdzieś na zewnątrz.

- Dokąd pojedziemy?

- Najpierw na twoją kwaterę zabrać nasze rzeczy i trochę żywności dla ciebie. A potem w puszcze. Bedziemy się tam ukrywać, póki nie nawiąże łączności z Ziemią. Jeśli zostaniemy, Meyers będzie musiał nas zabić, a ty nie potrafisz zmartwychwstawać.

Wyszliśmy na nlicę obozu. Był niezwykle pusty. Nagle usłyszałam słaby trzask i na południowym niebie pojawił się ogień. Wyglądało to jak pożar i zdawało mi się, że poczułam także dym. Przez chwilę obawiałam się, że pali się nasza kwalera, ale ogień był gdzieś dalej. Pobieśliśmy w le stronę.

Na ulicy pojawili się ludzie, biegnąc we wszystkie strony. Kilku ciągnęło sprzęt przeciwpożarowy w kierunku ognia. Casey zawołał jednego z nich. Człowiek zatrzymał się i podszedł do nas.

- Co tam się dzieje, Barker?

- Pan Meyers... Jak... Przecież przed chwilą rozmawiałem z panem przez telefon. Jak pan się tu dostał?

- Nieważne. Informujcie.

- Idzie o pożar? To le obce go podłożyły, jak myślimy. Ja żadnego nie widziałem, ale mówią, że ich tu wszędzie pełno. Bedzie bitka, tak sobie myślę.

- To co bedziemy robić?

Barker popatrzył na niego wzrokiem mówiącym: I pan mnie się pyta? Ale nie powiedział tego głośno.

- Na dachach mamy chłopców ze strzelbami i paru w ślizgach. Reszła ma siekiery i maczety. Ale z pożarem nie wyrobimy. Jeśli zechcą przegonić nas ogniem, to nie ma lekko.

- Róbcie co trzeba, Barker. Wracajcie do roboty.

Barker odszedł.

- Główny majser - wyjaśnił Casey. - Jeden z głupszych. Lepiej się pośpieszmy, zanim bitwa zacznie się na dobre. Barker powiedział prawdę: nie będą mogli ugasić pożaru, chociaż wątpię, czy obcy zamierzają spalić wszystko, co mogliby zdobyć. Ogień to raczej dywersja.

Dolarliśny do naszej kwatery, zabraliśmy co trzeba i znowu wyszliśmy. Zauważyłam, że postać Meyersa blaknie i powiedziałam o tym.

- Potrzeba wielkiej koncentracji, by utrzymać nową postać, Kim. Przynajmniej póki się do niej nie przyzwyczaje. Zdarzało się, że utrzymywałem ją przez całe lata, na przykład hrabiego de Rochambeau. Nie masz pojęcia, ile zamieszania wywołałem tą rolą.

Nie wiedziałam, że Casey ma skłonność do płatania figli. Ale tym razem dowiódł, że ją ma.

Wydostaliśmy się z osiedla, kierując się na zachód w stronę placu budowy doku. Parę razy zatrzymywaliśmy się i Casey nasłuchiwał, czy nie ma w buszu kogoś prócz nas, ale nie usłyszeliśmy ruchów ludzi ani obcych. Poprowadził nas przez niziny w stronę wyżej położonych okolic i o poranku byliśmy już wysoko na grzbiecie półwyspu, około dwudziestu mil na zachód od bazy. Wybrał na białak miejsce osłonięte i bliskie wody i tam odpoczelismy. To znaczy odpoczywałam ja, Casey zaś wspiał się na drzewo i badał okolice przez lornetkę. Po pewnym czasie obudziłam się i zjadłam śniadanie. Casey zaś objaśnił mi nasze położenie.

- Widziałem małe grupki obcych, idących z różnych stron ku bazie. Wszystkie słabo uzbrojone. W tej chwili zapewne nie ma ich dość, by zwyciężyć ludzi, ale co chwile przybywają nowi. Wkrótce mogą zacząć obleżenie, jeśli będą mieli dość żywności, by je utrzymać. Ale jeśli ludzie skrócą front i będą go dobrze bronić, mogą jeszcze wygrać. Myślę, że napad z ubiegłej nocy był tylko rozpoznaniem.

- Może nie wiedzą, ilu jest ludzi?

- Słusznie. Ale ludzie też nie wiedzą, jakie są siły obcych. Jeśli przekaznik przestanie działać, ich liczba się nie zwiększy, ale le możliwość uważam za wyjątkowo niebezpieczną.

- Dlaczego? Czy to dla nas nie lepiej?

- Może na krótką metę. Ale dla naszego gatunku to groźba zniszczenia. Jeśli obcy instają, że nie działają, to mogą wrócić tu, by zbadać przyczyny. I odkryją nas. Odkrycie zaś powinno nastąpić jak najpóźniej. Może tymczasem zostaniemy wyratowani i uda się usunąć ślady naszego pobytu na Campbellu.

- Czy uważasz, że musimy się posunąć aż do tego?

- Nie jestem jasnowidzem, Kim.

- Być może bedziemy musieli długo czekać. Prawie dwa miesiące upłyną, nim „Wilmington” będzie używany za późnoscze. Jeszcze więcej czasu uplynie, nim zdecydują co robić, a jeszcze więcej, zanim przyłeci tu drugi statek. Co się z nami stanie do tej pory?

- Mam nadzieję, że nie. Przeżyjemy to i zrobimy co się da, aby znaleźć wyjście. Kiedyś myślałem, że wystarczy, jak wrócisz na Ziemię, a rząd niech się dalej martwi. Ale teraz tak już się nie da. Za mało mamy czasu. Szkoda, że nie mam lepszej orientacji w tych sprawach.

Uważałam, że ma, ale widac coś go jeszcze niepokoiło. Zapytałam, co.

- Obcy nie umieją działać. To nie jest zachowanie typowe dla kryminalistów, przynajmniej nie dla ziemskich kryminalistów jakich znałem. Nie są nawet w przybliżeniu dość agresywni. Nawet biorąc pod uwagę różnice kulturowe, powinni wykazywać więcej pomysłowości, przynajmniej w zakresie uzbrojenia. Przez palek powinni mieć jeszcze piki, a także dokonywać zorganizowanych prób zdobycia na ludziach materiałów do wyrobu uzbrojenia. Tymczasem jedyną rzeczą, którą się posługują, jest ogień, poza tym zachowują się jak amatorzy.

Zurów zmieniliśmy miejsce posługu, podążając dalej od morza, by znaleźć miejsce, w którym, jak powiedział Casey: „Ty i ja będziemy mogli bronić się wystarczająco długo”.

Nie wyjaśnił mi, co chce przez to powiedzieć, ale wreszcie znalazł dla nas fortecę: grota w połowie wysokości urwiska nad szeroką rzeką. Mielśmy ze sobą dużo jedzenia, a krzaki na wąskiej ścieżce mogły służyć jako opał. W jaskini znajdował się basen zawierający więcej wody niż moglibyśmy wypić przez całe lato. Ale w dulinie poniżej znajdował się bród, przez który obcy czasem przechodzili, kierując się do hazy.

Casey urządził mnie tutaj, a następnie powiódł mnie dalej.

- Tej nocy - rzekł - nie zmrzysz oka, ale do mego powrotu będziesz tu bezpieczna. Nawet ty, sama jedna, utrzymasz to miejsce przeciw całej armii, mając tylko parę kamieni i nóż.

Gdy zapadła noc, wyruszył uzbrojony tylko w kij. Czekalam samotna w ciemności na jego powrót, i co chwila walczyłam z ulikimi isłotami, tworzonymi w mej wyobraźni. Parę razy dotknęłam łuku i zastanawiałam się, czy będę miała, jeśli zajdzie potrzeba, dość siły by go naciągnąć i dość zwinności, by trafić w cel.

O przedświecie usłyszałam hałas na ścieżce niżej jamy i poczułam lęk. Casey na pewno poruszałby się ciszej. I tak było. Ale zbieżny jeniec, którego prowadził, mocno związany i potykający się, nie chciał z Caseyem współpracować.

Stałam u wejścia do pieczary patrząc jak Casey wciąga go do środka i wydał mi się jeszcze brzydszy i groźniejszy, niż martwy stwór z tamtej jaskini, choć ten był znacznie mniejszy.

- Wybrałem go z powodu wzrostu - powiedział Casey. - Z czasem zrozumiesz, dlaczego. A teraz musisz wziąć się do roboty i nauczyć się jeszcze jednego języka, abym mógł z nim porozmawiać.

W następnych dniach starałam się uporać z nauką chrzankania, syków i pisków, które składały się na mowę obcych. Zwątpiałam w możliwość dorównania jego determinacji i zostawiłam ich samych, woląc rozmyślać, co mogło zdarzyć się z osiedłem.

Później, gdy wszystko się skończyło, dowiedziałam się, że dla Meyersa był to rozpaczliwy okres, co na koniec zmusiło go do samobójstwa. W tym czasie większość skrajnych budynków została zrównana z ziemią dla oczyszczenia pola ostrzału dla tych, co pozostali skuleni za zaporami z drutu kolczastego. W ciągu dwóch miesięcy stracił czterysta ludzi. Nie byli po prostu zabijani, lecz znikali, obcy odcinali ich ciała.

Piramida nie została zniszczona i „Wilmingtona” poświęcono tlaremnin. Obcy nadal przybywali, zabijani przez strzelców wychodzących na ślizgaczach. Wreszcie obcy skunęli z lym, podpalając garaże. Meyers siedział uderzonym na małym terenie wraz z pozostałymi pięćdziesięciu ludźmi i czekał końca. W tym czasie Casey był już głową.

Sekretarz raz jeszcze przerwał moje upowiadanie.

- Te czasy wydarzeń najmniej rozumiem - powiedział Carmody. Obecnie był już znacznie łagodniejszy, niemal ludzki. Jego wyniosłość znikła. - Może, gdybyśmy znaleźli Kah-sih-omaha...

- Casey nie chce, by go znalezione, Mc. Carmody. Czy pan nie rozumie - jeśli nie chce, to go nie znajdźmy. A jeśli się nie pojawi, to wszystko jest tylko opowiadaniem, legendą, zarówno dla nas, jak dla obcych.

„Dla mnie jest on czymś więcej” - pomyślałam. A myśl była bolesna.

- Chce usłyszeć, co było dalej, miss Ryan. Szczególnie o zakończeniu.

- Myśle, że to rzeczywiście najważniejsze - odpowiedziałam. - W większości tych spraw nie brałam udziału. Wszystko co wiem, poskładałam później z relacji ludzi, z którymi rozmawiałam. Dużo moich wiadomości pochodzi od Bigelow, a to jest mało wiarygodne źródło. I jestem pewna, że obcy nie nie podejrzewają. Zaczęło się wszystko tego ranka, gdy ohudziwszy się znalazłam wiadomość wyskrobaną na piasku u wejścia do jaskini. Casey i obcy zniknęli. Oczywiście Casey wówczas już płynnie władał językiem obcych i...

- Co to była za wiadomość? - przerwał Carmody.

- Nie miała sensu, Mr. Carmody. To były tylko trzy słowa. Nie mogłam jej zrozumieć - kłamałam. - W każdym razie Casey znikł, a po tym co się zaczęło dzieć w osiedlu. Jak długo obcy tylko prowadzili oblężenie, Meyersowi udało się utrzymać bazę i był zdolny do odparcia ich nocnych wypadów dzięki wyższości

taktyki i uzbrojenia. Obcy nie byli zdolni do ataku frontalnego. Aż nagle obcy przyprowadzili katapultę i użyli jej do niszczenia budynków. Meyers zastrzelił się i władzę przejął Bigelow. Ma charakter, to mu trzeba przyznać - poszedł na pertraktacje z obcymi. Resztę pan dofrze zna.

Carmody znalazł rzeczywiście, choć nie był pewien, co robić dalej. Ja też nie wiedziałam i powiedziałam o tym. Byłam w niezręcznej sytuacji, ale tego już mu nie powiedziałam.

- Miss Ryan, powierzam pani kierownictwo tym wszystkim, sam zaś wracam na Ziemię ze sprawozdaniem. Jakś jednak nie mogę sobie wyobrazić, by rząd w tej sytuacji rzekł się Campbella, w każdym razie nie teraz, gdy mamy wszystkie dane potrzebne do jego eksploatacji. Słyszę, że siódma lądowania ma być ukończona w rekordowym czasie. Bardzo różni ludzie zaczęli tu przybywać. Do tej pory będzie musiała pani utrzymywać tu spokój. Sądzi, że potrafi pani dogadać się z przywódcą krajowców.

- Tak - odpowiedziałam. - Rozumiemy się wzajemnie. Całkiem nieźle mówię po angielsku.

- Świetnie. Wiec nie mam się o co niepokoić.

Wstał z fotela i dał znak, bym poszła z nim do przysłani.

- Chyba pani się orientuje, że to oznacza dla pani awans. Może nawet do zespołu dalekiego zwiadu. Czy to ty pani odpowiadało?

Trzymał w dłoni moje sprawozdanie i poklepywał je z lubością.

- Tak, jeśli znajde odpowiedniego partnera. Tak, sądzę, że tak.

Wsiadł do wahadłowca, a ja długo jeszcze patrzyłam, jak odlatuje, aż wreszcie znikł za horyzontem.

Carmody nie miał czasu przeczytać raportu, to wiedziałam. Gdy to robi, nie znajdzie najmniejszej wzmianki o niezwykłych zdolnościach, jakie ujawnił Casey. Ta część historii pozostanie legendą.

Epilog

Obcy wszedł do pokoju i usiadł kolo mnie na fotelu, z niezdarnie zgietymi nogami i rękami złożonymi na podłokiu. Nie patrzyłam na jego twarz, ponieważ było to konieczne, bo nie miała dla mnie żadnego powabu, choć wiedziałam, co się za nią kryje. Odwróciłam więc głowę, nvtając:

- Kiedy, Casey? Jak długo jeszcze?

- Cśś. Nie tak głośno. - Wyciągnął rękę, ale się cofnął. Nie mogłam pozwolić, by to mnie dotykało.

- Istnieją - powiedział - poważne niemne strony mego obecnego wyglądu, ale zanim zadanie nie zostanie wykonane, jest on niezbędny. Przyzwyczajam się do niego, więc łatwiej go utrzymać. Powiedz mi, Kim, jak przebiega wasza rozmowa?

- Lepiej niż mogłam się spodziewać, Carmody jest, jak się zdaje, bardzo ostożnym człowiekiem. Ma mój raport i przeczyta go w drodze na Ziemię. Sądzi, że obcych będzie można wykorzystać.

- Ja też tak sądzę. I sądzę, że się chętnie na to zgodzą, w nadziei, że pewnego dnia będą mogli pomóc ich towarzyszom.

- O ile wieni, to rzeczywiście mogą być kryminaliści.

- Nie. Nie w tym sensie, jak myślisz. I wiem już ogólnie skąd pochodzą: z głębszej części spiralnego ramienia Galaktyki. Ich planety macierzyste są ogarnięte wrzeniem. Oni zaś są uchodźcami politycznymi. To są politycy, filozofowie, naukowcy, pisarze, artyści i tak dalej. Wszystko, tylko nie kryminaliści. I na pewno nie żołnierze. Dlatego musieli stanąć na ich czele i nauczyć, jak prowadzić wojnę. Nie mogli nawet zmusić się do zabijania, tylko łapali Indzi i odcinali na tyły, często z dużymi stratami ze swej strony. I nie zgłaszają pretensji do Campbella, przynajmniej nie w takim sensie, jak my. Ich rząd po prostu wysadził ich tu bez niczego, by sami sobie dawali radę na tym, co jak sądzono, jest wolną planetą. Ci Indzie sprawiali im kłopot. Dla nas zaś mogą być partnerami. Możemy wymieniać z nimi środki utrzymania za wiedzę. Sam przekaznik materii jest tego wart. Statki kosmiczne zawsze pozostaną niezbędne dla wypraw badawczych, ale handel, jeśli ma rzeczywiście przynosić korzyści, wymaga czegoś lepszego. Przekaznik spowoduje, że kolonizacja stanie się też praktycznie możliwa, a co to znaczy, wiesz sama. Będzie nam potrzeba bardzo wiele nowych planet.

Tym razem nie cofnął się przed jego dotknięciem. I, wiedziałam też, co znaczyła wiadomość wyskrobaną na piasku. Nuda! miałam ją w parcie.

Ten-Kłóty-Czeka znalazł towarzyszkę „Na-Pewien-Czas”.

Przełożył Jerzy Wilczyński

DIALOG PRZEZ RZĘKĘ

Edmund Wnuk-Lipiński

B yło to dokładnie trzysta dwadzieścia jeden dni po szczęśliwym zakończeniu światowego kryzysu. Od kiedy skończył mi się kalendarz, prowadziłem rachubę czasu w notatniku, ro przyszło mi z tym większą łatwością, iż od dziecka nawykłem do systematyczności. Trzysta dwadzieścia jeden dni temu zakończył się światowy kryzys, przynajmniej dla mnie. Opuściłem wówczas pokład okrętu wojennego, unieruchomionego w porcie zapasowym nie opodal Luandy.

Kryzys przetrwało wiele plemion, które nie zdążyły przekształcić swych wiosek w cele ataku odwołowego, czyli – jak mawiano przed kryzysem – w miasta. Wśród tych plemion, rozrzuconych po całym globie w miejscach pozbawionych surowców i szlaków komunikacyjnych znalazło się plemię, żyjące od niepamiętnych czasów w dorzeczu Konga.

Po trzystu dwudziestu jeden dniach wędrówki przybyłem w tę stronę. Według moich obliczeń była niedziela; szedłem zatem leniwiej niż zazwyczaj, chociaż w ogóle nie posuwałem się zbyt szybko. Na swoje usprawiedliwienie miałem nie tylko niedzielę, ale i przeświadczenie, że zbliża się kres mojej wędrówki. Postanowiłem już wcześniej osiąść w pierwszej napotkanej wiosce, choćbym miał w niej pełnić rolę pastucha. Trudno się było spodziewać, że mój zawód będzie przydatny wspólnocie, do której chciałem wstąpić. Ostatnio zajmowałem się nadzorem nad pracą komputera okrętowego.

Tego dnia, w porze południowej, natrafiłem na ślady ludzkiej obecności. Pierwszym, może nie najbardziej przekonującym jej dowodem, okazała się ścieżka, którą szczęśliwym trafem odnalazłem pośród gestwiny. Drugim i zarazem ostatnim była strzala, która zaświegowała mi koło ucha i utkwiła w najbliższym pniju. Z ulgą rzuciłem się do ucieczki; oto nareszcie uciekałem nie przed zwierzętami, z którymi żadną miarą porozumieć się nie można, ale przed ludźmi, z którymi zamierzam przepędzić resztę mego życia w spokoju i harmonii.

Stało się to, jak powiedziałem – trzysta dwadzieścia jeden dni po tym, gdy, podobnie zresztą jak pozostała część załogi, opuściłem nasz potężny okręt wojenny. Rozbiliśmy się na małe grupy, wierząc, że w ten sposób przynajmniej część z nas zdoła się ocalić.

Moja grupa liczyła jedenaście osób i topniała w tempie jednej osoby na miesiąc. Pierwszy opuścił nas kucharz okrętowy, który postradawszy w trakcie ewakuacji szkła kontaktowe, wziął boa dusiciela za lianę. Potem odpadło trzech majtków, którzy mieli dość wędrówki w nieznaną i przyłączyli się do karawany lotników, przypadkowo spotkanej na jednym z postojów. Lotnicy ci stanowili szereg czterech eskadr bojowych myśliwców przechwytyjących. Z braku paliwa i dalszych rozkazów porzucili swe maszyny na lotnisku zapasowym w okolicach Libreville, przekroczyli równik i ruszyli na południe, z mocnym postanowieniem założenia automatycznej białej osady w pierwszym nadającym się miejscu poniżej Zwrotnika Koziorożca. Pytali czy nie ma wśród nas kobiet, a ponieważ nie było, postanowili poszukać ich po drodze.

Reszta naszej grupy parła na wschód. Sądziłszy zgodnie, że w samym sercu Czarnej Łądy będzie najbezpieczniej, gdyż najdalej od cywilizacji, która zabrnęła w ślepy zaułek. Niedługo potem odpadł Główny Mechanik; któregoś ranka włożył koszulę razem z drzewianym w niej skorpionem. Wesoły był chłop i żałowaliśmy go bardziej niż kucharza, którego umiejętności już nie wzbudzały naszego entuzjazmu.

Pozostała piątka postanowiła trzymać się razem aż do końca, który wtedy jeszcze kojarzył się wszystkim z widokiem wioski murzyńskiej, zaszytej w macezniku.

Niestety, tygodniami szliśmy przez okolice zupełnie bezludne, tak że Intendent zalał się i postanowił wracać na okręt. Nie mogliśmy mu wyperswadować, że do wybrzeża jest co najmniej dwa tysiące kilometrów. Uparł się, że to drobnostka i że trafi z

powrotem po naszych śladach. Nie mieliśmy wyjścia; musieliśmy go zwięzać i tak przybył nam bagaż; trzeba przyznać – najcięższy, bo Intendent był chłopem na schwał. Rozwiązaliśmy go tylko na popasach, a i to nie całkiem. Jednak któregoś wieczora przeciał krepujące linki i słuch po nim zaginął.

Wkrótce po tym incydencie Radiotelegrafista i Lekarz Okrętowy mieli wypadek na polowaniu; nie trafili do szarżującego nosorożca. Zostało nas dwóch: Steward i ja. I on, i ja w trzysta dwunastym dniu trafiliśmy na wioskę. Przyjeżdżaliśmy z oznakami radości, co Steward wziął niestety za dobrą monetę. Poszedł pierwszy, a ja ubezpieczałem go z krzaków. Nim zdolał cokolwiek wyjaśnić na migi, spotkał go smutny los jeńca kanibalów. Nie próbując prosić o nieporozumienia, postanowiłem samotnie kontynuować wędrówkę.

Po tygodniu sypiania na galezi, w towarzystwie zlosliwych małp, które ogolociły mnie z części bagażu, swoje perspektywy widziałem w coraz gorszym świetle. Uszczuplenie bagażu miało tę dobrą stronę, że mogłem posuwać się szybciej, ale zarazem węższe było przekonanie, że mój marsz dokądkolwiek prowadzi. Toteż swist strzały odebrałem z radością. Małpy nie strzelają z łuku, a zalew moje szanse nie są marne – myślałem, przedzierając się w pośpiechu przez gestwinę. A jednocześnie przemyslałem, jak dać tubylcom do zrozumienia, że mogę być pożyteczniejszy jako żywy, niż jako umarły.

Nie miałem zbyt dużo czasu na obmyślenie sposobu wejścia we wspólnotę. W ślad za pierwszą strzałą posypały się następne i byłbym podzielił los współtowarzyszy, gdyby dzینگła w tych okolicach była rzadsza. Bieglem czas jakiś, pozbywając się resztek mojego dobytku. Niebawem jednak stanąłem, podrapany, z włosami zmierzwiionymi, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zaczęłem nasłuchiwać. Może tubylcy poniechali pościgu i zadowolili się tym, czego pozbyłem się w trakcie ucieczki? Nie było tego dużo, ale ufalem, że wystarczy, aby zainteresowania pościgu obróciły się w inną stronę.

Położenie moje pozostawało trudne, ale optymizmem napawał fakt, że mimo przeciwności losu, przeżyłem Stewarda, który w naszej załodze uchodził za wygę. Jeśli do tej pory żyje, dlaczego nie miałbym żyć dalej – pokrzepiony odkrywczą myślą, zacząłem rozglądać się za noclegiem, bo słońce chyliło się ku zachodowi, a po zachodzie – pomny na przygodę Kucharza – wolałem nie mieć się pracy w lesie. Po poszukiwaniach znalazłem jamę, w której – utrudzony wielce – zasnąłem, zakrywając uprzednio wejście kolczastym krzakiem, który tej nocy miał pełnić funkcję strażnika.

O budziło mnie światło poranka; a ściślej mówiąc – jego nadmiar. Natychmiast zerwałem się ze snu. Krzak został odsunięty, nad wylotem jamy stali tubylcy, z dzidami skierowanymi w moją stronę. Znów nie miałem czasu na poszukiwanie przyjaznych sposobów zażegnania incydentu. Wyszarpnąłem rewolwer i wystrzeliłem w powietrze przedostatnią kulę. Stary wysłużony kolt stanął na wysokości zadania, mimo że przez ostatnie miesiące nie dbałem o jego konserwację. Huk poraził tubylców na tyle, że padli na twarze, co umożliwiło mi opuszczenie jamy z godnością.

Zrozumiałem, że jest to obszar, gdzie odgłos wystrzału słyszano rzadko albo nigdy. To była szansa, z której nie oduczałem skorzystać. Nie udało mi się wprawdzie okazać przyjaźni, ale mogłem obecnie okazać wspaniałomyślność, co – jako strategia przetrwania – było nawet korzystniejsze. Na migi rozkazałem tubylcom, aby powstali i zaprowadzili mnie do wioski. Na wszelki wypadek rewolwer trzymałem w dłoni, aby nie poczytali mojej wspaniałomyślności za słabość. Ową gest znalazł zrozumiany należycie.

W trzysta dwudziestym drugim dniu wędrówki wioska przyjęła mnie z należnymi koltowi honorami. Dostałem chatkę i zacząłem z zapalem uczyć się miejscowego narzecza. Zapal mój był

tym większy, iż trudno było mi na migi wytłumaczyć, że od dzieciństwa jestem uczulony na fasolę, która stanowiła tutaj podstawę żywności. Już po tygodniu mogłem oświadczyć gospodarzom, że przepadam za mięsem przyprowadzonymi odrobina soli. Po dziesięciu dniach zrozumiałem, że tubylcy nie znają soli. Po dwóch tygodniach dowiedziałem się, iż w najbliższej okolicy soli nie było, nie ma i nie będzie.

Po miesiącu mogłem dość swobodnie porozumiewać się z naczelnikiem plemienia, poważnym Balungą, który swą powagę zawdzięczał okazałej tuszy. Ponadto przechrztywał w chacie największy talizman plemienia, wyznającego kult tajemniczego boga, którego dla uproszczenia nazwałem Akwawilem. Po czterdziestu dniach zostałem dopuszczony do największej tajemnicy, a mianowicie rytualnych zasłubin naczelnika Balungi z Akwawilem, co było – według wierzeń tubylców – warunkiem niezbędnym nastania pory deszczowej, a zatem i łobrych zbiorów fasoli. Owym talizmanem okazała się butelka z nalepką Aquavita, mocną już nadwreżoną przez coroczne zabiegi rytualne. Sama ceremonia nalewania wody do butelki, a później wypijania jej przez naczelnika w przytomności wszystkich członków plemienia, była wspaniała. Wziąłem w niej udział tym chętniej, że zostałem przez naczelnika mianowany szamanem, co umożliwiło mi spanie bez kolty w zasięgu ręki. Stanowił mi ze wszech miar mi odpowiadano: od niepamiętnych czasów żaden szaman nie doznał uszczerbku ze strony współplemięnców, a przeciwnie – był otaczany czcią i zaufaniem. Dokurzał mi tylko hrak soli.

Podjęte na mój rozkaz poszukiwania nie dały rezultatów; być może dlatego, że dzielni wojownicy Balungi nie wiedzieli, czego mają szukać.

Pewne nadzieje wiązałem z terenami na drugim brzegu rzeki, gdzie podobno było jezioro z „gorzką” wodą, jednak żadną miarą nie mogłem namówić wojowników do przeprawy. Żył tam ponoć drugie plemie, uprawiające kult ognia. Naczelnikiem owego plemienia miał być Amelunga. Początkowo kładłem niechęć do wyprawy na karb wzajemnej wrogości. Okazało się jednak, że oba plemiona nie łączyły ze sobą walk od niepamiętnych czasów, a przeciwnie – współpracowały pokojowo, co polegało głównie na wymianie kobiet i kózłat ku obojętnej korzyści. Wszakże przed niespełna rokiem w rzece tak obrodziły krokodyle, że nawet najważniejsi łowcy nie zbliżali się do brzegu na dystans bliższy niż cztery sirazy z łuku. Wojownicy lwierdzili, iż przed rękami góry rzeki popłynęły lawice martwych zwierząt, a między nimi trafiały się ludzkie zwłoki. W ślad za zwłokami przybyły krokodyle. Niebawem jednak zaczęły się kłopoty, a pożywieniem, co doprowadziło stada krokodyli do słusznego gniewu. A że było ich więcej niż kiedykolwiek, więc i gniew był – ilościowo przynajmniej – większy. Gdy skończyła się obfitość zapasów rzecznych, krokodyle rozpoczęły poszukiwania przetrzeźnienia życiowej na obu brzegach, o czym przekonali się mniej roztropni wojownicy, którzy – zapędziwszy się w tamte okolice – przepadali na zawsze.

Naprawdę nikt nie był w tamtych okolicach od ponad pół roku. Nic dziwnego, że wyjaśnienia nie trafiły im do przekonania. Sam nie miałem czasu pójść nad rzekę, ze względu na liczne szamańskie obowiązki. Oprócz rytualnych obrządków coraz więcej czasu pochłaniało mi leczenie, które – wobec braku lekarstw i jakichkolwiek narzędzi – polegało głównie na utrzymaniu higieny. Do mycia zachęcałem ludzi zakleciem z łodatką mydła, które własnym sposobem produkowałem z padliny. Nie przypomniało mi się Yardleya, ale spełniało swe funkcje dostatecznie dobrze. Słowem – nie mogłem osobiście sprawdzić owych legend. Coś w nich musiało być, skoro najważniejsi wojownicy pod różnymi pozorami wymigiwali się od rekonesansu nad rzeką. Oczywiście dalbym temu pokój, gdyby nie myśl, że prawdopodobnie tam, na drugim brzegu jest sol i pod dostatkiem i nikt z niej nie korzysta. Obmyślałem różne sposoby, by skłonić Balungę do skrzyżnienia wszystkich wojowników i wyruszenia przeciw krokodylom. Nic zaniedbywałem też niezbędnych przygotowań. Uzbrojenie naszej armii, liczącej około czterdziestu mężczyzn, wydawało mi się niewystarczające. Toteż bez zbyt wielkiego rozgłosu przygotowałem stos włóczni, dłuższych niż były w użyciu i zaopatrzonych w nitowane groty, bez trudu przebijające tarczę będącą w dotychczasowym wyposażeniu sił zbrojnych. Miałem nadzieję, że z tym większą łatwością poradzą sobie ze skórą krokodyla.

Któregoś dnia, kiedy wydawało mi się, że znalazłem sposób na przekonanie Balungi, udałem się do naczelnika i rzekłem:

– Szlachetny wodzu! Zechciej wysłuchać co ma do powiedzenia twój wierny szaman. Nasze wielkie plemię, którego miałem zaszczyt zostać członkiem, pod twoim panowaniem przeżywa i

szczęśliwie. Zaś jeśli deszcze nastaną o zwykłej porze, o co usilnie zaiegam u potężnego Akwawila i na co dostałem już pewne wsłupne obietnice, nasze plemię cieszyć się będzie wielkim dostatkiem. Fasoli starczy nie tylko dla wojowników, ale także dla ich najmłodszych żon. Piszę dla kóz będzie tyle, że będziesz mógł ich mlekiem obdzielać nie tylko swoją rodzinę i mnie, niegodnego twego sługę, ale także starszyznę plemienia. Wielki jesteś, o wodzu, a ja, twój skromny szaman, nie szczędzę wysiłku, aby wielkość twoją umocnić po wsze czasy.

Balunga, żując prażone ziarna fasoli, które usłużnie podawała mu jedna z żon, skinął łaskawie głową.

– Słyszałem od naszych dzielnych i nieustraszonych wojowników – ciągnąłem – że na drugim brzegu rzeki jest gorzkie jezioro. Tam znajdziemy sol, która umocni twoją potęgę. Musimy przeprawić się na drugi brzeg.

Balunga, wypływając łupinę, spojrzał na mnie leniwie i powiedział:

– Krokodyle. Tam są krokodyle. Nikt nie przejdzie, nawet ty szamanie, choćbyś użył swego miotacza piorunów.

Nie zamierzałem pozabawiać się ostatniego naboju w tak lekkomyślny sposób; ro więcej – w ogóle nie zamierzałem brać udziału w ryzykownej wyprawie. Miałem dość niepotrzebnego narażania karku. Chciałem tylko wyjaśnić Balungie mój plan, a ściślej – tę jego część, której miał być wykonawcą, ale Balunga dodał:

– Nie wiem, dlaczego zależy ci tak na dotarciu do gorzkiego jeziora. Ta woda nie nadaje się do picia, nie można nią poić kóz.

– Szlachetny wodzu! – odparłem. – Nie chodzi o gorzką wodę, ale o sol, która jest w tej wodzie rozpuszczona.

– A na ro nam ona sol?

– Jeśli doda się jej do jedzenia – mówiłem z zapalem – to tak, jakby się spożywało jadalne godne Akwawila.

Mnie tam nasze jedzenie smakuje – wzruszył ramionami, biorąc kolejną garść prażonej fasoli. – A jeśli tobie, szamanie, nie idzie ono w smak, to starszyzna uchwali ograniczenie twoich racji. Oni z chęcią podzielą się tym, co zostanie.

Sprawy przybierały zły obrót. Uświadomiłem sobie, że żeby nie wiem jak wynosił zalety soli, to nikt dla jej zdobycia nie zmierzy się z krokodylami, choćby ślepym i bezzębnym. Postanowiłem spróbować z innej beczki. Przygotowane przeze mnie włócznie czekały, ale do pełnego uzbrojenia brakowało idei, w imię której wojownicy Balungi mieliby jednak wyruszyć. Taką ideą miałem zamiar podsunąć wodzowi.

– Szlachetny Balungo! Czyż krokodyle są dostatecznym powodem do tego, aby nasze plemię ograniczało spożycie fasoli i nie mogło powiększyć ślady kóz? Nasze kobiety uprawiają mało urodzajne spłachetki ziemi, kozy szczypia reszki trawy, a tymczasem nad rzeką leży podobno urodzajny grunt, na którym wyrosłoby ro najmniej dwakroć tyle fasoli co dzisiaj, a soczystej trawy jest tam podobno tak dużo, że moglibyśmy liczbę kóz powiększyć trzykrotnie.

Balunga niedbałym skinieniem odprowadził żony. Na jego twarzy malował się wysiłek. Znaczyło to, że wodz rozważa w swym umyśle racje, które mu przedstawiłem. Trwało to dość długo i wreszcie przemówił:

– Też o tym myślałem, szamanie. Sam wiesz najlepiej, jak bardzo leży mi na sercu dobro naszego plemienia. Czasy i raz inne i młodzi wojownicy nie zadowalają się byle czym. Chcą żyć jak starszyzna, choć do pozycji starców brakuje im zasług i lat, chcieliby mieć to, co przeznaczone pod koniec żywota. Ale żeby tak było, nie wystarczy już praca kobiet. Musisz im, szamanie, wytłumaczyć, że będą żyli dostatniej, jeśli zajmą się pracą. Niech więc odłożą włócznie i tarcze, zwłaszcza, że wyniki polowań są gorsze i niech zajmą się karczowaniem dżungli. Bedziemy mieć więcej ziemi, więcej fasoli i kóz.

– Twoja przenikliwa mądrość, wielki Balungo, przyprowadza mnie do łowów. Przed lwym światłym umysłem nie się nie ukryje. Patrząc dalej, niż my wszyscy i widzisz więcej. Dlatego też raczyłeś poddać mnie próbie i sprawdzić, czy zgodzę się na rozwiązanie niegodne bohaterów trójki naszego plemienia. Czyż bowiem wojownicy mogą być posłani do karczowania dżungli? Czyż mamy czas, aby przeczeć kilka pór deszczowych, zanim wydarta dżungla ziemia zacznie rodzić na chwałę Akwawila i twoją, wielki wodzu? Wiem, wodzu, że o tym wszystkim myślałeś i chciałeś mnie, niegodnego, a zarazem najbliższego sługę, wystawić na próbę. Czuje to, mówią mi to lajemne siły, którym służę z równą gorliwością jak tobie, że bliski jesteś wydania rozkazu wyruszenia przeciwko krokodylom. Wiem, że myślałeś o tym przez wiele nocy i dni ofiarnej służby na rzecz naszego plemienia. I mówię ci wodzu – nadszedł czas, aby twe wielkie zamysły wprowadzić w czyn. Gdy przepedzisz stąd krokodyle, twoja potęga będzie niezmierzona. Nikt się tobie nie oprze, zaś Ame-

HAJIME SORAYAMA

lunga, jeśli do tej pory nie stał się pożywieniem tych żarłocznych zwierząt, odda się pod twoją opiekę. Będziesz panował na obu brzegach rzeki, zaś ja, twój wierny sługa, będę krzewić wiarę w naszego poleźnego Akwawila, który tym bardziej sprzyjać będzie twoim zamysłom. Nadszedł czas, wodzu, abyś okazał swą prawdziwą wielkość.

Moja przemowa musiała zrobić na nim wrażenie, bo zapomniał o żuciu fasoli. Twarz jego znów wyrażała wysilek: myślał. Po długiej chwili milczenia powiedział:

- Rozważę wszystko, coś rzekł, wierny szamanie. Rzeczywiście miałem taki zamiar; odczytujesz w lot moje myśli. Idź do swoich zajęć, a ja przez ten czas rozważę wszystko z właściwą mi roztropnością.

Byłem dobrej myśli. Na wszelki wypadek zająłem się segregowaniem tajnej broni, czyli wydłużonych włóczni o utwardzonych grotach. Nie zajęło mi to dużo czasu, resztę dnia przeznaczyłem na inspekcję sanitarną chat. Zauważyłem, że młodzi wojownicy ściślej przestrzegali moich zaleceń i chętniej oddawali się rozkoszom mycia. Gdybym miał choć odrobinę soli, z łatwością doprowadziłbym do tego, że przynajmniej oni przedkładaliby potrawy solone nad dotychczasową jałową strawę. W ich chatach byłem przyjmowany ochoczo, starzy wojownicy cłagie odnosili się do mnie z mieszaniną lęku i nieufności. Wiedziałem, że jeśli Balunga wyda rozkaz walki z krokodylami, młodzi pójdą ze śpiewem na ustach, zaś starzy przytaczają się, bo nie będą mieli wyboru.

Balunga wezwał mnie tego samego dnia. Już od progu zauważyłem, że sprawy przybrały zły obrót. Balunga nie patrzył mi w oczy, a na jego szyi błyszczały strużki potu. Balunga bał się mnie, ale jeszcze bardziej bał się ryzykownej wyprawy. Zrozumiałem to wszystko, zanim otworzył usta. Czekalem jednak. Zaprosił mnie gestem do zajęcia miejsca po swej prawej stronie, odprawił żony i przemówił:

- Mój zacny szamanie. Rozważałem wszystko roztropnie, jak to mam w zwyczaju, i doszedłem do wniosku, że jeśli wyprawimy się na krokodyle i ich nie przepędzimy, to stracę żony, te chaty, a nade wszystko - prażoną fasolę, bez której obejść się nie mogę. Porażkę wszyscy zrozumieją jako brak łaski ze strony Akwawila dla jego wiernego sługi, wodza Balungi. Powołają nowego wodza, a mnie przepędzą. Żyliśmy tak długo na tej ziemi, którą w swej łaskawości obdarzył nas Akwawil. Dlaczego mieliśmy chcieć więcej, niż jest nam przeznaczone? Czyż nie obrzilibyśmy tym naszego poleźnego Mzimu?

Chciałem mu przerwać, ale uciszył mnie gestem i mówił dalej:

- Rozważyłem wszystko, mój szamanie. Stwierdziłem, że nie możemy wysłać wojowników do karczowania dżungli, bo słusznie mogliby to poczytać za naruszenie świętych praw plemiennych. Ale nie chcę też wysłać ich na krokodyle. Jeśli bowiem wyprawa się powiedzie, to wojownicy zaczną domagać się większych racji fasoli w nagrodę za zasługi. I nawet jeśli nasze kobiety zaczęłyby produkować więcej fasoli i starczyłoby jej nie tylko dla starszyny, ale dla wszystkich wojowników, to przecież wtedy starszyna będzie ze mnie niezadowolona i zacznie domagać się większych przydziałów żon i mleka koziego, aby dalej wyróżniać się wśród plemienia. A skąd ja wezmę im więcej żon? Przecież nie oddam swoich, bo to nie licowałoby z godnością wodza. Tak więc nawet gdyby wyprawa się powiodła, to wzrosłoby niezadowolenie wśród członków plemienia i w rezultacie byłoby gorzej, niż jest teraz.

Balunga sapnął i nerwowo przełknął ziarno fasoli. Nie doceniałem go, okazał się nadszpiegowanie czujny w obronie swoich interesów.

- Szlachetny wodzu - zacząłem - pozwól, że...

Nie pozwolił. Machnął ręką i mówił dalej:

- Wszystko rozważyłem dokładnie, mój wierny szamanie. Obrzilibyśmy poleźnego Akwawila, sięgając po tereny, które sam nam odjął. Będziemy żyli, jak dotychczas. A ty szamanie wnieś modły, aby go przebłagać za bezbożne wyciąganie ręki po to, co nie nam przeznaczone. Gdyby Akwawil życzył sobie, abyśmy powrócili nad rzekę, to sam przepędziłby krokodyle. Nie powiesz mój szamanie, że nie byłby zdolny do takiego czynu?

Podrapałem się w brodę.

- Szlachetny wodzu - próbowałem przełamać jego upór. - Boleje nad tym, co powiedziałeś, bowiem nie dalej jak dziś rano Akwawil dał znak, że jest przychylny naszym zamiarom. Znalazłem olo koło chaty martwego krokodyla, którego z radością spałem na chwałę naszego Mzimu. Jeśli jednak, szlachetny wodzu, ten oczywisty znak łaski nie przekonuje cie, to muszę ci donieść, że wśród młodszych wojowników odzywają się szemrania. Narzekają na ciebie, wodzu. Mówią, że jak tak dalej pójdzie, to

przyjdzie im żenić się z własnymi ciotkami, a wócznie zamienić na kije pasterskie. Mówią też, że ich siostry zesłazęją się w panieństwie, bo nie masz już w pleminiu młodej kobiety, której posłubienie nie naruszyłoby tabu pierwszego tuł drugiego stopnia. Tymczasem tam, za rzeką, czekają ich przyszłe żony, nad rzeką zaś leży ziemia, której nam brakuje. Zresztą, od dawna nikt nie zapuszczał się nad rzekę. Może tam już nie ma krokodyli?

- Czy sądzisz, że nasze kozy nie poszłyby tam, gdyby to było bezpieczne? Wolą szczypać marną trawę tutaj, a nawet na skraju dżungli, gdzie mogą zostać porwane przez drapieżnika, niż iść nad rzekę, gdzie woda czysta, a trawa zielona.

- Wysłij kogoś wodzu, aby sprawdził, czy kozy mają rację.

- Dobrze. Wysylam ciebie, mój wierny szamanie. Weź swój miotacz piorunów i sprawdź, czy kozy żywią słuszną obawę.

- Szlachetny wodzu! - odparłem przedko. - Moje obowiązki są zbyt absorbujące, abym mógł sobie pozwolić na taką wyprawę. Ich zaniedbanie mogłoby spowodować słuszny gniew Akwawita na nasze plemię.

Balunga spodziewał się mojej odmowy, bo - odpędziwszy muchy krążące mu wokół oczu - pokreślił głową:

- Skoro tak, to sprawa jest jasna. Postanowiłem, że będziemy żyć jak dłużej, a ty prześlągasz Mzim za nasze, a właściwie twoje niuwcześnie zamiary. Taką jest moja wola, a twoim zadaniem jest jej uzasadnienie. Skończyłem.

Dał znak, abym się oddalił. Wstałem i wyszedłem z chaty naczelnika. Targała mią żość. Byłem głodny, ale myśl o jałowym jetzeniu przyprawiała mnie o mdłości. Skoro mogłem już żyć, chciałem żyć lepiej.

Przyszedłem do swojej chaty. Spojrzałem smutnie na stos przygotowanych włóczni. I wówczas zaczął mi świtać nowy pomysł. Postanowiłem zrobić zamach stanu.

Jesli kiedykolwiek robiliście zamach stanu, to doskonale wiecie, że jego sukces uzależniony jest od spełnienia przynajmniej dwóch warunków. Po pierwsze musicie znaleźć idee, która mogłaby pociągnąć niezadowolonych, zneutralizować niezdeterminowanych i pozbawić głosu opornych. Po drugie, trzeba znaleźć ludzi, którzy bez wahania wykonają wszelkie rozkazy; nawet te niekoniecznie zgodne z głoszoną ideą.

Kłopot polegał na tym, że w naszym pleminiu jedynym niezadowolonym byłem ja sam. Młodzi wojownicy, o których szemraniach wspominałem wodzowi, mogli to najwyżej zaliczać się do niezdecydowanych, żaden z nich nie położyłby ręki na świętą osobę Balungi. Był wprawdzie wśród nich pewien młody, ambitny, a więc obiecujący materiał na pomocnika rewolucji. Myślałem o Ogunie, moim asystencie w praktykach szamańskich, którego chowałem na swojego ucznia. Cała reszta zaliczała się bez wątpienia do przeciwników mojego zamysłu, gdyż nie doświadczając żadnych alternatyw życiowych, jest się naturalnym konserwatystą. A przecież cały ich świat, odkał sięgali pamięcią, był niuźmienny.

Nie stałem przed łatwym zadaniem. Należało jednak do tych, których przeszkody mobilizują, zamiast zniechęcać. Pewnie dlatego udało mi się przetrwać moją długą wędrówkę przez dżunglę. Pomysł zorganizowania powstania pochłonął więc moją uwagę tak dalece, że zapominałem o suli, a ściślej - o jej braku. Rzekowyści cel moich zabiegów przypominał mi się dopiero w porze kolacji, kiedy przyniesiono do chaty jałowu udko koźlecia, laskawie nadgryzione przez świętobliwz zęby Balungi. Gest ten miał oznaczać, że niewczesne pomysły o wyprawie na rzekę zostały mi wybaczone. Balunga był nieodrodnym synem swojego plemienia; lubił, gdy wszystko zostawało po staremu.

Był to o tyle sprzyjający zbieg okoliczności, że mogłem swoje zamysły wprowadzać w czyn bez specjalnych obaw, choć z naturalną przecznością. Balunga ufał mi ufał. A nie ma lepszej rekojmi sukcesu, niż zaufanie tyrana, którego zamierza się obalić. I tak powoli przedstawiałem się na terrauologie rewolucyjną, co przyszło mi z tym większą łatwością, że gryzienie niesolonego mięsa - nawet napoczętego przez wodza - doprowadzało mnie do pasji.

Nie skończyłem udka. Wyrzuciłem mięso przed chatę; według hierarchii, pozostałości po moich posiłkach przypadają Ogunie. Nie mogłem jeść, mimo iż nie czułem się do końca nasycony. Wypilem kwaśny płyn, który parzyłem z własnoręcznie palonych owoców dzięki kawy, a później wezwałem Ogune.

Asystent stał się bez zwołki, co nie było niczym nadzwyczajnym, jego podśladowym zajęciem było oczekiwanie na moje wezwanie. Wiedziałem, że jego pozycja jest lakomym keskiem dla kilku młodych zuchów, którzy woleliby pić sfermentowany sok kokosowy w cieniu mojej chaty niż uganiać się po dżungli za zwierzyną. Oguna też o tym wiedział, więc starał się swoje nie-liczne obowiązki wykonywać sumiennie, i nie ma tu nic do rze-

czy, że odebrałem od niego wcześniej przysięgę, iż wykonywać będzie moje rozkazy tak, jakby pochodziły od samego Akwawita. Gdy więc Oguna pojawił się w drzwiach, skinieniem przywołałem go bliżej i powiedziałem:

- Mój wierny poczcwiwce. Miałem dzisiaj widzenie z Akwawitem... - musiałem przerwać, gdyż Oguna padł na twarz, a nie lubie prowadzić rozmowy, jeśli nie widzę twarzy rozmówcy.

- Wstań, mój poczcwiwy Oguno, czeka cie wielka kariera. Akwawita w swojej laskawości dozwolił mi wejrzeć w przyszłość. Chyba rozumiesz, co mówię?

- Tak, wielki szamanie - sklonił się z największym uszanowaniem.

- No więc słuchaj, bo chce, żebyś pierwszy wiedział, co się słanie. Nasze plemię będzie potężne, jak nigdy przedtem. Czekaj nas wspaniałe życie - mówiłem głosem lak natchnionym, że sam poczułem powiew wielkich tajemniczych spraw. - Wspaniałe życie, pełne lasoli, udźców kózich pieczonych na wolnym ogniu, tłustych kobiet, chetnych do posługi. Najlepsi, a zarazem najwerniejsi synowie plemienia nabeą umiejętności, których nikt przedtem w pleminiu nie posiadał. Będą mogli zaklinać myśli w znaki na korze i kiedy zechcą, będą mogli te myśli odczytać.

- Nawet cudze myśli? - zapytał z bojaźnią.

- Tak, nawet cudze. Wszyscy będą równi, choć niektórzy będą musieli pilnować tej równości i dlatego będą równiejsi. Czy rozumiesz, Oguna?

- Nie, wielki szamanie, ale wierzę głęboko, że masz rację - odpowiedział z nabożną czcią i znów upadł twarzą na ziemię.

Podszedłem do niego:

- Wstań, albowiem nadszedł czas wielkich spraw. To dobrze, że wierzysz; na tej ufności zbuduje nową przyszłość naszego świętego plemienia. A Akwawit będzie nam sprzyjał.

Wróciłem na swoje miejsce przy ognisku, tymczasem Oguna wstał z kłeczek i zajął miejsce, które mu wskazałem. Zbliżał się najtrudniejszy moment rozmowy. Musiałem wyjawic przynajmniej część moich zamysłów.

- Jak widzisz, czeka nas wspaniała przyszłość - zacząłem ostrożnie, pilnie obserwując reakcje Oguny - jednak nie zięci się ona sama. - Twarz Oguny wydłużyla się, więc żeby podtrzymać jego entuzjazm, dodałem szybko: - Zięci się naszymi rękami. Sami ją sobie wyrabiamy maczetą w dżungli przyszłych zdarzeń.

- Podobala mi się ta metafora. Postanowiłem ją zapamiętać, bowiem wiedziałem, że będę potrzebował wielu metafor do przyszłych przemówień politycznych.

- Mój poczcwiwy pomocniku - ciągnąłem. - Umiesz posługiwać się maczetą?

- Ty wiesz najlepiej, wielki szamanie.

- Istotnie, wiem. Wszak to ty odrabujesz głowę bawołu jednym cięciem.

- Na chwałę Akwawita - potwierdził skromnie.

- I umiesz posługiwać się wydłużonymi dziłami, które przygotowałem przeciwko krokodylom?

- Sam kazałeś mi dzidy wypróbować, wielki szamanie; leca dalej, silniej przebijają... Tak, wiem, jak ich używać.

- To dobrze, to dobrze... Wiedziałem, że czeka cie chwala i zaszczyty. Czy zrobisz wszystko, aby nasze plemię mogło żyć lepiej? Czy zdobędziesz się na to, by wypełnić rozkazy Akwawita? - Wiedziałem, że przynajmniej w pierwszej fazie zamachu stanu rozkazy muszą być wydawane w imieniu kogoś o niekwestionowanym autorytecie. Nawet jeżeli ten ktoś nie istnieje. A laką rolę z powodzeniem mógł grać Akwawit, przynajmniej do czasu kiedy nie wykształci się nowy autorytet. I nie ma tu nic do rzeczy, że pomyślałem o sobie, bo lak pomyślałby każdy na moim miejscu.

Oguna nie odpowiedział na ostatnie pytanie, tylko pełnym uszanowania gestem wyraził zupełne oddanie. Czułem, że pierwszy krok zakończył się sukcesem. Dysponowałem ślepo oddanym człowiekiem. Na wszelki wypadek dodałem:

- Ci którzy pomyślnie przejdą czas próby, mogą liczyć na wdzięczność naszego ludu, który nareszcie zostanie wyzwolony z wielowiekowych peł niewoli.

- Jestem twoim sługą, wielki szamanie.

- Dobrze - powiedziałem. - Mogę ci zatem w największej tajemnicy wyznaczyć, że Akwawit postawił dwa warunki, które musimy spełnić, jeśli chcemy liczyć na jego przychylnność:

Edmund WNUK-LIPIŃSKI

(ur. 4.05.1944 r. w Suchej) - absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, doktor habilitowany, socjolog kultury i struktur społecznych, pracujący w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN - obecnie jako kierownik Zakładu Badań Nierówności Społecznych. Aktywny także jako pisarz SF preferuje tematykę socjalno-politczal fiction. Jego powieść „Wir pamięci” (Czytelnik, 1979) zwiastowała serię polskich dysopii pisanych przez Oranusa, Zwiłgawicza, Zapdła, Parowskiego, Wolskiego, które ukazały się z opóźnieniem w roku 1982. Kilka gotowych od dawna opowiadań E.W. czeka na druk w antologiach. Prezentujemy Parawu jedno z nich.

Jakie to warunki, wielki szamanie?

Wstałem, dorzuciłem kilka gałązek do ogniska i zacząłem chodzić po chacie. Oguna wodził za mną wiernym wzrokiem. Zaczynam o to wkraczać na drogę, z której nie ma odwrotu – pomyślałem. Jeśli o obaleniu tyraństwa myśli jedna osoba, można to nazwać marzeniem. Jeśli jednak rozmawiają na ten temat dwie osoby, to już początek zamachu stanu. Wahałem się więc przez chwilę, bo wiedziałem, że później będę musiał odrzucić wszelkie wahania. Przypomniała mi się jednak nie dokończona, jalowa kolacja i podjąłem decyzję.

– Mój pocziwy Oguno, muszę ci ostrzec, że jeśli bez mojego wyraźnego zezwolenia dowie się ktoś o naszej rozmowie, to możesz spodziewać się najsurowszej kary Akwawita.

Twarz Oguna spopieliała, a więc moje słowa osiągnęły zamierzony skutek. Grunt był przygotowany.

Teraz mogę wyznać ci owe dwa warunki, które postawił nasz potężny Akwawit. – Oguna patrzył na mnie z pokorą, a jego twarz z wolna przybierała normalną barwę. – A więc po pierwsze; po drugiej stronie rzeki jest gorzkie jezioro.

– Wiem, wielki szamanie. Woda w nim przekięta. Nawet kozy nie chcą jej pić.

– Mylisz się Oguno, ta woda jest święta. Nie jest ona przeznaczona dla zwykłych ludzi, a tym bardziej dla kóz. To woda naszego boga, to woda życia.

– Na Akwawita, wielki szamanie! – szepnął ze zdumieniem Oguna.

– Tak mi powiedział potężny Akwawit, który gniewa się, że do tej pory tego nie zrozumieliście. Powiedział mi też, że kto będzie jej umiejętnie używał, będzie wolny od wszelkich chorób, a zwłaszcza od wypadania zębów i paznokci. To woda, którą Akwawit przeznaczył dla naszego plemienia.

– Wielki szamanie, ta woda jest na drugim brzegu Wielkiej Rzeki. Tam żyje plemię Amelungi; to jego tereny. A w rzece – krokodyle.

– Wielka przyszłość jest niemożliwa bez wielkich czynów, mój pocziwy Oguno. To trudny warunek, wiem, ale Akwawit jest z nami. Drugi warunek jest jeszcze trudniejszy – znów dorzuciłem kilka gałązek do przyskającego ogniska i nalałem sobie trochę kawy. Oguna z nabożeństwem obserwował moje gesty.

– Drugi warunek – ciągnąłem, starając się nadać mojemu głosowi możliwie obojętne brzmienie – to usunięcie Balungi, na którego Akwawit bardzo się gniewa.

– Wielki szamanie! – jęknął Oguna i znów padł na twarz. – To niemożliwe! Wielki Balunga jest strzeżony przez trzy złe duchy, zaklęte w amulety, które wiszą u jego drzwi. Sam mówiłeś, szamanie, że te amulety lepiej strzeże Balungę niż zastęp wojowników, bo któśkolwiek podniósłby na niego reke, padnie rażony piorunem.

– Wstań, mój pocziwy Oguno.

Usiadł posłusznie, ale nie mógł upanować drżenia. Dalem mu kubek kawy, z którego pociągnął chciwie kilka łyków. Ja tymczasem wydobylem rewolwer, mocno już nadgryziony rdzą.

– Czy pamiętasz ten amulet?

– Tak, wielki szamanie.

– Czy pamiętasz, kiedy wyszedł z niego piorun?

– Tak – szepnął.

– To ja wysłałem ten piorun.

– Pamiętam.

– Kto więc ma władzę nad piorunami?

– Ty, wielki szamanie.

– Jeśli ja mam władzę nad piorunami, to jakże którykolwiek z nich mógłby porazić mojego wysłannika?

– Zaisie, wielki szamanie, to niemożliwe, chyba, żebyś sam tego chciał!

– Właśnie! A więc i drugi warunek, postawiony przez Akwawita, nie jest tak trudny, jak z pozoru wygląda.

– Jesteś wielki, szamanie.

Odetchnąłem z ulgą. Kolejny krok został zrobiony.

– A teraz do rzeczy. Słuchaj uważnie, mój pocziwy sługo.

– Słucham, wielki szamanie.

– Którzy z młodych wojowników są dzielni i zasługują na zaufanie Akwawita?

– Wszyscy.

– Tak, wiem – odparłem niecierpliwie. – Zastanów się jednak, którzy z nich gotowi byłiby na wykonanie warunków postawionych przez Akwawita, a także moich rozkazów?

Oguna zmarszczył czoło.

– Potrzebuję na początek nie więcej niż czterech-pięciu młodych zuchów, którzy unieszkodliwią straż przyboczną Balungi.

– Chyba mam takich – odparł po chwili namysłu.

Jeszcze tej samej nocy stawilo się w mojej chacie czterech zuchów, gotowych na wszystko, a zwłaszcza szwagier oraz syn ciociętnego brata szwagra matki pierwszej żony Balungi, którego nasz wódz od niejakiego czasu pomijał w rozdziale łupów myśliwskich. Ten ostatni chłopak o ponurym wyrazie twarzy był szczególnie cennym nabytkiem. Straż przyboczną Balungi przyzwyczajano była do jego obecności w pobliżu chaty wodza. Ponadto, chłopak ów znał doskonale plemię po drugiej stronie rzeki, bowiem przywędrował tu jako członek posagu pierwszej żony wodza, a jego – jeśli dobrze rozkwitła skomplikowane powiązania rodzinne – przyrodniej siostry ciociętniej w drugiej linii. Zaraz też wypytałem go, jak się nazywa i Seko, a tak, Seko, pamię-

tam chłopcze, pamiętam), jak się czuje i czy umie posługiwać się bronią. Zapewniłem go też, że od tej pory dostawać będzie należną mu część łupów, albowiem zamierzam wszystkich wynagradzać według zasad dla budownictwa nowej wspaniałej przyszłości naszego plemienia.

Egzamin wypadł pomyślnie dla całej czwórki. Postanowiłem więc, w obecności Oguna, którego mianowałem ich dowódcą, wydać im rozkazy, które powinni wykonać jeszcze tej nocy. Zgodziłem się chętnie, a nawet z pewną dozą entuzjazmu. Widocznie Oguna należycie przygotował ich apetyty na przyszłe gratyfikacje.

Gdy wyszli, położyłem się spać, aby w razie niepowodzenia być tak samo zaskoczonym i oburzonym, jak reszta starszyzny plemienia. Sen jednak nie nadchodził. Silniej niż zazwyczaj docierały do mnie odgłosy nocnego życia dżungli. Piski, skowytu, chrząkania, nagły łopot skrzydeł – wszystko to zlewało się w jedną kakofonię dźwięków, przy której normalnie zasypiałem. Lecz dzisiaj snulem trwożne myśli o możliwych skutkach niepowodzenia. Zapadłem w stan półjawy, półsnu; wydawało mi się, że idzie po mnie przyboczna straż, aby rzucić mnie na pożarcie hienom, których chichoty pobrzmiwały tu i ówdzie. Otrząsnąłem się z przywidzeń i znów zapadłem w półsen. Ognisko zupełnie przyszło. Ponownie usłyszałem jakieś kroki. Tym razem, po otrzeźwieniu, słyszałem je nadal. Grupa mężczyzn w milczeniu zbliżała się do chaty. Pod lewą łopatką, miast serca, czułem polny kamień, który z głuchym łomotem tłuki się o żebra. Powinienem zrobić EKG – pomyślałem, widąc niezupełnie otrząsnąłem się z majaków. Kroki zbliżały się. Mimo iż noc była chłodna, po plecach spływały mi strużki potu. Grupa milczących mężczyzn była bardzo blisko. Zaszłyłem się w kącie chaty, ścisnąc w ręku rewolwer i pilnie obserwowałem drzwi. Po chwili mata się uchyliła.

W drzwiach stanął Oguna, wspierając się na dzidzie mojego pomysłu.

– Wielki szamanie, stało się według twej woli.

– Balunga?

– Błaga ciebie, wielki szamanie, o łaskę i pragnie ze wszystkich sił, abys uczynił go swym osobistym służącym.

– Straż przyboczną?

– Jest gotowa wiecznie ci służyć, choć na razie leży powiązana i czeka swojego losu.

– Dobrze, mój zacny Oguno. Bardzo dobrze. Dzielnie się spisałeś i dlatego mianuję cię komendantem strażników nowego ładu, a zarazem głównym wykonawcą moich rozkazów – odożyłem dyskretnie rewolwer do schowka i wytarłem rdzawe plamy, które przylgnęły do spoconej dłoni.

Oguna skłonił się nisko i czekał. Nie przypuszczałem, że wszystko poloczy się aż tak szybko. Zmuszony byłem improwizować, aby nie stwarzać wrażenia, iż sam jestem zaskoczony tym, co się stało. Zamach stanu udał się i należało coś zrobić. Był to mój pierwszy zamach stanu, więc nie czułem się pewnie w roli dyktatora. Na wszelki wypadek przybrałem pozę, jaką miewają politycy na oficjalnych portretach, aby dać Ogunie jak zrozumienie, że nie tylko panuje nad wydarzeniami, ale nawet przewiduje ich przebieg.

– Dziś o wschodzie słońca zgromadzisz starszyznę plemienia, a także wszystkich wojowników. Na miejsce zbiórki wyznaczam plac przed chatą Balungi. Tam nastąpi uroczyste przekazanie mi władzy.

– Rozkaz, wielki szamanie. Przyniesiemy Batungę, kiedy dasz znak.

– Jak to, przyniesiecie? Czyżby nie mógł chodzić?

– Jest związany...

– Wiec go rozwiążcie – powiedziałem i zaraz dodałem szybko:

– Wystarczy, jeśli rozwiążecie go tuż przed ceremonią.

– Rozkaz, wielki szamanie.

– I dajcie mu do zrozumienia, że nie powinien psuć podniosłej chwili nieodpowiedzialnymi wybrykami. Jeśli nadal chce żyć.

– Słanie się, jak każesz, wielki szamanie – odparł i skierował się do wyjścia.

– Jeszcze jedno, mój pocziwy Oguno – zatrzymałem go. – Prywatnie, między nami, możesz nadal tytułować mnie wielkim szamanem. Jednak oficjalnie nie wolno się do mnie zwracać inaczej, jak Wielki Wódzu. Nasz nowy ład, w imię którego zrzuciliśmy tyraństwa, zasługuje chyba na Wielkiego Wodza, prawda?

– Tak jest, Wielki Wódzu – odparł Oguna bez drgnięcia powieki.

– Liczę na ciebie, mój komendancie – powiedziałem, aby zaakcentować również jego nową godność.

– Nie zawiodę zaufania – odparł z niezwykłą u niego pewnością siebie. Zaczynał już przyzwyczajać się do zaszczytnego stanowiska.

Ceremonia uroczystego przekazania władzy odbyła się w podniosłym nastroju. Nie było żadnych zakłóceń ze strony nieświadomych elementów. Dla dodania sobie powagi wystąpiłem z rewolwerem, a kiedy Balunga przekazał mi amulety wodzowskie, a nade wszystko – butelkę, z której rytualnie wypilem kilka łyków wody, zatknąłem rewolwer za pas i udałem się w kierunku chaty. Towarzyszyła mi moja przyboczna gwardia, a za nią ruszyła reszta. Jeden Balunga pozostał tego dnia samotny.

Kiedy powiesiłem insygnia władzy nad drzwiami swojej chaty, zaś butelkę umieściłem w tym samym schowku, co rewolwer,

starszyzna, a za nią cała ludność, wydała okrzyk zachwytu. Po tym punkcie programu, na mój znak, gwardia zaczęła rozdawać zapasy suszonego mięsa, które zgromadził dla siebie przezorny Balunga. Oficjalny zachwyt przemienił się w spontaniczne owacje i gwardia odczuli mnie, aby ochraniać moją osobę od natręczywych objawów radości wyzwolonego ludu. Stali ci wspaniali chłopcy, uzbrojeni w dzidy mojej konstrukcji. Twarze mieli marsowe, ale wiedziałem, że to maska, jaką przystoi wkładać prawdziwym wojownikom na podniosłe uroczystości, zaś pod nią kipi radość przemieszana z ulgą, że stanęli po właściwej stronie we właściwym czasie.

Zaraz po inauguracyjnym przemówieniu, w którym zapowiedziałem wyprawę nad rzukę, rozpoczęły się tańce. Świełowano do późnej nocy. Oguna nie tracił czasu na zabawy i od razu przystąpił do formowania oddziałów wojowników zgodnie z moimi wskazówkami.

Nie minęły trzy dni, gdy złudowane zostały zreby nowej spureczności. Przede wszystkim Oguna sformował niewielką, ale poręczną armię, wyposażoną w nowe, wydłużone dzidy. Po wtóre – Seko zorganizował specjalny oddział wojowników przeznaczony do ochrony ładu i porządku. Po trzecie, sami osobście zreformowałem – przy pomocy oddziału specjalnego – Radę Starszych, która od tej chwili nazywała się Radą Plemienia. Usunąłem siedemdziesiąt procent konserwatywnych słarców, a na to miejsce wprowadziłem żadnych działaniach zuchów, na których mogłem polegać, bo swój awans zawdzięczał mi.

Zgodnie z moją rekomendacją, przewodniczącym Rady został wybrany Oguna. Nie ma potrzeby dodawać, że wybór był jednomyślny. Stanowisko szamana zachowałem dla siebie. Zrobiłem tak na wyraźne życzenie mojego ludu i nieistotny jest fakt, iż życzenie to podsunął szepłem Ogunie. Chłopak nie miał doświadczenia w sprawach państwowych i inusiłem mu czasem pomagać.

Teraz już myślałem zupełnie serio, że zjedzenie dobrze posolonego ułzka kozłecia jest niezbyt odległe. By przybliżyć tę perspektywę zarządziłem ćwiczenia wojskowe. Wprawdzie sam byłem cywilem do szpiku kości i nigdy nie przeszedłem nawet szkolenia rekruckiego (ze względu na stan zdrowia i wuj w Sztacie Generalnym), ale panietałem telewizyjne reportaże z poligonów i defilad. Komendy wynalazłem naprędce; krótkie, dźwięczne, zapowiadające zupełnie nowy okres w dziejach wojownictwa naszego plemienia. Wygłosiłem także stosowną przemowę o przewadze nowoczesnej broni, w którą wyposażylem wojowników, co znakomicie podniosło morale mojej armii.

Przez tydzień prowadzone były ćwiczenia. Od czasu do czasu obserwowalemy je podczas uroczystych inspekcji. Wojownicy szybko doszli do wprawy w przebijaniu kukiel krokodyli na lądzie i pod wodą. Nadchodził czas wielkich zmagania z prawdziwymi krokodylami. Wojownicy Oguna, żądni sławy, z entuzjazmem czekali tej chwili. Nie było to wcale moje powierzchowne przypuszczenia. Nastroje te przeziierały również przez raporty, które codziennie rano składał mi Seko.

Dzień wyprawy nad Wielką Rzekę wybrałem starannie, zapowiadając w kolejnym uroczystym przemówieniu, że Akwawit jest z nami i z niecierpliwością czeka, aż rozpawimy się z bezbożnymi gadami, które beczeszczą święte wody Wielkiej Rzeki.

Wyruszyliśmy o świcie; w szyku, który nakazywała naturalna ostrożność. Najpierw mały oddział zwiadowczy, składający się z najlepszych biegaczy plemienia. Zwiadowcy prowadzili pluton kóz, a właściwie – kozłów ofiarnych, na które miał się skierować pierwszy impet krokodylię żarłoczości. Pół kilometra za nimi posuwały się główne siły armii, potem ja – w ścisłym otoczeniu przybocznej gwardii, a za mną reszta plemienia. W chatach pozostali tylko ci, którzy nie mogli chodzić, a więc niemowlęta i starcy złożeni chorobą, i, rzecz jasna, Balunga, którego kazalem zamknąć; bo chociaż wielokrotnie dał dowody lojalności, a nawet oddania, wolałem nie ryzykować jego nieodpowiedzialnych, wicherzycielskich wybryków w przypadku niepowodzenia wyprawy.

Kozły ofiarne opierały się, szarpaly, co należało złożyć na karb ich słabego uświadomienia politycznego. Nie rozumiały zaszczytnej funkcji, jaka została im powierzona i dlatego opóźniały nasz pochód.

W końcu jednak oddział zwiadowców zniknął w przybrzeżnych zaroślach, gdzie od dwóch już lat nie stanęła ludzka stopa. Główny rzut sił zbrojnych krok za krokiem zbliżał się do niebezpiecznej strefy. Serce zaczęło mi mocniej bić. Zbliżał się moment zasadniczych rozstrzygnięć.

Minęło kilka dobrych chwil, a z zarośli nie wyłonił się nik. Było niemal niemożliwe, aby wszyscy zwiadowcy zostali natychmiast pożarci. Ci młodzieńcy celowali przecież w szybkim oddalaniu się z niebezpiecznych miejsc. Poczulem się nieswojo. Kazałem Seko zacieśnić szyki, zaś Ogunie dałem znak rozpoczęcia ataku. Armia, wywijając dzidami, wpała z krzykiem w zarośla. Wkrótce krzyk ten zamarł i już nic nie słyszeliśmy.

Dostojni członkowie Rady Plemienia zaczęli spoglądać na mnie lekliwie, a kobiety, zamykające nasz pochód, na wszelki wypadek podniosły lament. Z minuty na minutę morale spadało. Już nawet członkowie przybocznej gwardii zaczęli spoglądać na siebie niespokojnie.

Gdy usłyszałem trwożne szepty, że żywy nie uszedł ani jeden, postanowiłem rzucić na szalę cały swój autorytet.

Krzyknąłem do Seko:

– Za mną!

Wpadłem w zarośla pierwszy. Nie miałem czasu na oglądanie się, ale z ulgą słyszałem za sobą trzask łamanych gałązek. Gwardia nie zawiodła.

Przebiegłem zarośla z dzidą gotową do ataku i znalazłem się na podmokłym brzegu Wielkiej Rzeki. Oczom moim ukazał się dziwny widok. Ludzie z oddziału zwiadowczego, przemieszani z głównymi siłami armii, krażyli tuż nad wodą pilnie czegoś wypatrując. Porzucone kozły ofiarne spokojnie szczypały trawę.

Wzwałem Ogune, który stawiał się natychmiast i służbiście zameldował:

– Wielki Wodzu! Nie ma krokodyli na lądzie. W wodzie znaleźliśmy tylko jednego, a i to ślepego. Nie ustajemy w poszukiwaniach.

– Tego się spodziewałem – powiedziałem na wszelki wypadek i dałem mu znak, aby odszedł do swych zajęć. Tymczasem sam przemysliwałem, jakby z tego zbiegu okoliczności uczynić sukces militarny.

Jeszcze tego samego dnia zwołałem wiec, którego głównym punktem było moje przemówienie, poprzedzone tryumfalnym pochodem zwycięskiej armii.

Przywijałem wielką wagę do ceremonialnej oprawy każdej plemiennych uroczystości. Wiedziałem bowiem, że nic nie zapada silniej w pamięć pospółstwa niż wielkie ceremonie; są one odbierane jako znak powagi, stabilizacji i dobrych perspektyw na przyszłość. Wszak przegrani, lub nawet tylko zagrożeni, nie organizują uroczystości.

Godzi się też dodać, iż uroczystości te pełniły zarazem dodatkową funkcję w podnoszeniu na wyższy poziom demokracji w naszym plemieniu. Zaprowadziłem obyczaj, który szybko się utrwalił, że w czasie uroczystości każdy członek plemienia mógł zadawać pytania i wyrażać swoje opinie o polityce Wielkiego Wodza. Zawsze byłem zwolennikiem demokracji bezpośredniej i w tym właśnie kierunku zacząłem prowadzić wychowanie mojego ludu.

Pewne, czysto techniczne szczegóły były przyczyną tego, że mechanizm zadawania pytań i wyrażania swoich opinii musiał być zorganizowany. Co by to było, gdyby nagle wszyscy zaczęli zadawać pytania i mówić, co myślą? Powstałby chaos, w konsekwencji naruszenie powagi urzędu, który dla dobra plemienia sprawowałem. Dlatego też Seko był odpowiedzialny za zachowanie porządku i dobrych obyczajów. Wyznaczył więc tych, którzy mieli zadawać pytania i wkrótce wyznaczenie do zadania pytania stało się jednym z najzaszczytniejszych wyróżnień w naszej społeczności. Ponieważ pytania mieli zadawać przedstawiciele wszystkich warstw, a nie wszyscy wiedzieli, o co pytać, została przygotowana przez Radę Plemienia lista standardowych pytań i opinii na ważniejsze uroczystości. Wszyscy wlec mogli brać udział w demokratycznym dialogu bez obawy, że ich wystąpienia okażą się niedojrzałe politycznie. Było to wielkie osiągnięcie na polu reform społecznych. Każda uroczystość utwierdzała mnie i wszystkich pozostałych, że iłżymy we właściwym kierunku. Poolejmowane inicjatywy cieszyły się jednomyślnym poparciem wszystkich członków plemienia. Nigdy nie spotkałem się z pojedynczą choćby opinią, która zawierałaby pogląd przeciwny.

Nie inaczej było i tym razem. Wygłosiłem przemówienie, w którym poddałem do publicznej wiadomości, że dzięki pomocy Akwawita przepędziłem wcześniej wszystkie krokodyle pewnym osobliwym zaklęciem, zaś dzisiejsza wyprawa udowodniła, że nawet gdybym nie uciekł się do pomocy tego zaklęcia, to i tak nasza dzielna armia zrobiłaby z nimi porządek. Zbyt jednak miluje swój lud – mówiłem – bym miał go narażać na niepotrzebne ryzyko. Przemówienie moje zostało przerwane niekłamany wybuchem entuzjazmu. Gdy się uciszyło, ogłosiłem oficjalnie, iż tereny przybrzeżne zostały ponownie włączone do prastarego terytorium naszego plemienia. Przyjęło to spontanicznymi wybuchami radości, jak zwykle w przypadku zysków terytorialnych. Postanowiłem, że kozły ofiarne zostaną zjedzone na uroczystej uczcie na cześć nowego porządku, który otworzył przed plemieniem nowe perspektywy. Seko z trudem uspokajał najbardziej rozentuzjasmowanych.

Mogłem spokojnie wypuścić Balunge; już nie był groźny.

Uczta trwała do późnej nocy. Śpiewom i tanecznym korowodom nie było końca. Lubilem patrzeć, jak mój lud się bawi. Tytko jedna rzecz nadal psuła mi humor; brak soli.

Następnego dnia, po jałowym śniadaniu, składającym się z prażonej fasolki i koziego mleka, kazałem nawiązać łączność z plemieniem po drugiej stronie rzeki. Zadanie to okazało się trudniejsze niż przypuszczałem. Wszystkie łam-tamy plemienne były niezdadne do użytku. Podobnie zresztą, jak pirogi, które zdążyły zgnieć w otoczeniu krokodyli.

Zaraz też po śniadaniu wyznaczyłem brygadę remontowo-budowlaną; część zajęła się konstrukcją nowych łam-tamów (bo czymże jest sprawowanie władzy bez środków łączności?), część została skierowana do remontu pirogów, zaś dla siebie kazałem zbudować specjalną jednostkę pływającą, większą i napędzaną nie

tylko wiosłami, lecz również żaglami mojego pomyślu. Moja piroga miała pełnić funkcję jednostki flagowej.

Prace le zajęły wojownikom cały dzień, mimo ponaglen Seko i jego dziarskich chłopców. Kiedy byliśmy gotowi do wyprawy, Oguna otrzymał polecenie nawiązania łączności i ostrzeżenia, że wybieramy się z wizytą do brzoły. Pamiętam ten przyjemny wieczór nad brzegiem Wielkiej Rzeki i nrywane dźwięki tam-tamu, które niosły na drugi brzeg wiadomości o naszej rychłej, przyjacielskiej wizycie.

Blisko godzinę Oguna bezskutecznie wywoływał drugi brzeg, gdy wreszcie usłyszeliśmy odpowiedź.

Spojrzałem niecierpliwie na stojącego obok mnie Seko, który natychmiast zaczął tłumaczyć:

CIE-SZY-MY-SIE-Z-NA-WIĄ-ZA-NIA-LACZ-NOŚ-CI-MY-TEŻ-PRZE-PŁ-DZI-LIS-MY-KRO-KO-DY-LI-CHCE-MY-ROZ-MA-WIĄC-Z-BA-LUN-GĄ-BRAT-AM-ELUN-GA.

Trzęś depeszę nieco mnie zdziwiła. Zwróciłem się więc do Oguny:

- Czy Amelunga jest rzeczywiście bratem Balungi?
- Oni są spokrewnieni przez matki ze strony ojców. Co odpowiedzieć?

- Odpowiedz, że macie nowego, wielkiego wodza, który też jest bratem Amelungi.

Znow zawarczał tam-tam pod wyprawnymi rekami Oguny. Po chwili ciszy nadleciała niesiona wiatrem odpowiedź:

CHCE-MY-ROZ-MA-WIĄC-Z-BA-LUN-GĄ.

Zezłościła mnie ta oparta odpowiedź, przywulała bowiem niepotrzebne wspomnienia z przeszłości. Kazałem zakończyć łączność. Wróciliśmy do wioski i zwołałem naradę najciszejszego szlachu, to znaczy - wezwałem do siebie Oguna i Seko.

Skoło tylko się zjawili, zrzuciłem w te słowa:

- Jeśli nie spełnimy drugiego warunku postawionego przez Akwawita, jego przychylność może się od nas odwrócić. Musimy zdobyć gorzkie jezioro, taki jest nakaz chwili. A poza tym, czy możemy pozwolić, aby nasi bracia za rzeką jęczeli pod jarzmem rządów Amelungi, skoro wyzwoliliśmy się spod tyranii Balungi?

- Nie możemy na to pozwolić - odparli zgodnie.
- No właśnie. Byłby to policzek dla naszego nowego ładu. Zapalałem się coraz bardziej. Byłoby największym egoizmem z naszej strony, gdybyśmy zdobyli nowego ładu i chowali tylko dla nas. Czyż nasi bracia za Wielką Rzeką nie zasługują na lepsze życie?

Krzyknąłem. Nic nie ma takiej siły przekonania, jak krzyk.
- Zasługują! - potwierdzili obaj, pełni gotowości.
- Mam plan - ciągnąłem dalej - jest prosty, a jego wykonanie nie powinno sprawiać kłopotów tak znakomitym wojownikom jak wy.

- Słuchamy cie, Wielki Wodzu - rzekł Seko z przejęciem.
- Musimy działać szybko, bo wieść o nieroztropnej odpowiedzi Amelungi roznieśli się po naszym plemieniu i zamąci w głowach umiłowanego ludu.

- Tak jest!
- Będziemy więc działać w następujący sposób - zniżyłem głos, aby moje dyrektywy nie dostały się do niepowołanych uszu.
- Ty Seko, znasz swoje plemie doskonale. Masz tam krewniaków, przy których pomocy pokażesz naszym braciom zza rzeki, że można żyć lepiej, czyli tak jak my żyjemy. Oczywiście napotkasz opór starych, konserwatywnych elementów z Amelungą na czele. Wówczas wezwiesz nas na pomoc. Czy wszystko jasne?

- Tak jest, Wielki Wodzu. Zrobię, jak każesz.
- W razie powodzenia, w które nie wątpię - dodałem - będziesz pełnił funkcję zaprzyjaźnionego z nami wodza naszych braci zza rzeki. Czy to ci odpowiada?

- Tak, Wielki Wodzu - odparł szybko. - Amelunga nigdy mnie nie lubił i dlatego przy pierwszej okazji pozbył się mnie ze swojego plemienia. Ale nadziedził czas zapłaty; podzieli los Balungi. Zasłużył na to - dodał mściwie, a ja zdobyłem przekonanie, że włoży całą energię w wykonanie powierzonego zadania.

Seko wyruszył na drugi brzeg tej samej nocy. Dwa dni czekaliśmy na sygnał, ale drugi brzeg milczał uparcie. Trzeciego dnia, w porze przedwieczornej, najlepszej do nadawania, poszedłem z Oguna na brzeg i kazałem wysłać następującą depeszę:

DO-WIE-DZIE-LIS-MY-SIE, ŻE-MA-CIE-TRUD-NOS-CI-JUT-RO-WY-SY-LA-MY-PO-MOC.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

WSZEL-KA-PO-MOC-ODEP-RZE-MY-NA-SZA-AR-MIA-JEST-W-PO-GO-TO-WIU.

Ogromnie zatroskała mnie ta odpowiedź. Oznaczała, że Seko nie zdołał jeszcze opanować środków łączności i masowego przekazu. Obawiałem się o jego los, bo był znakomitym kandydatem na zaprzyjaźnionego wodza. Wydałem więc niezbędne rozkazy do podjęcia przyjacielskiej wyprawy na jutro przed świtem. Oguna zajął się techniczną stroną przygotowań.

Wyruszyliśmy na godzinę przed wschodem słońca. W rzędzie idących z wolna ciemnościach spoglądałem z dumą na moją flotę; wyglądała imponująco. Wojownicy byli pełni zapału; wszak tam, po drugiej stronie rzeki, były kobiety, które zostały przyobiecane

im jako żony. Ich zapał podwyższyło moje ostatnie zarządzenie, likwidujące okup za żonę z zaprzyjaźnionego plemienia.

Desant odbył się sprawnie i bez specjalnych kłopotów. Armia Amelungi, mimo zapewnień o gotowości, jeszcze spała. Jedyne gwardia przyboczna starego wodza stawała, słaby zresztą, opór. Wydużone dzidy mojej konstrukcji jeszcze raz wykazały swoją wyższość nad tradycyjnym uzbrojeniem.

Nigdzie jednak nie napotkaliśmy Seko. Nie było też widać żadnych śladów jego działalności. Początkowo Amelunga zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o bytności Seko w tych stronach. Kiedy jednak kazałem go przesłuchać członkom mojej przybocznej gwardii, język mu się rozwiązał i przypomniał sobie, że, istotnie, widział Seko, a nawet kazał go uwiezić w jednej z pieczar nad rzeką. Wysłałem dwóch ludzi ze swojej gwardii, aby czym prędzej uwolnili Seko, zaś Amelundze nakazałem ałdykację. Uczynił to bez zwłoki, co poczytałem mu za okoliczność łagodzącą. Trybunał wojskowy, zorganizowany przez uwolnionego Seko, skazał Amelunge tylko na banicję, zaś pełnię władzy przekazał Seko.

Oguna, na prośbę nowego wodza, oddał mu do dyspozycji część armii, aby pomóc im w zorganizowaniu własnych sił zbrojnych.

Z całą tą formalną robotą uwineliśmy się dość szybko. Mogłem nareszcie udać się nad Gorzkie Jezioro, zaproszony zresztą oficjalnie przez Seko, który namawiał mnie do kilkudniowego wypoczynku po trudach wyprawy. Chętnie przystałem na jego propozycję.

Po raz pierwszy po długiej przerwie jadłem tego dnia solone potrawy.

Dni płynęły leniwie; Seko robił wszystko, abym czuł się komfortowo. Tymczasem Oguna, w moim zastępstwie, sprawował rządy w swojej rodzinnej wiosce. Po obu stronach rzeki zapanał pokój i współpraca. Tużycy, idąc moim śladem, zaczęli jeść solone potrawy. Wkrótce tak do tego przywykli, że nie wyobrażali sobie innego jedzenia, jak solone.

Pozostaliśmy pewnie w gościnie u Seko dłużej, gdyby nie coraz bardziej zastanawiające zachowanie Oguny. Miał samorzutnie przysyłać mi raporty o sytuacji w wiosce, czynił to tylko na moje wyraźne żądanie. Ponadto przestał w raportach tytułować mnie „Wielkim”. Postanowiłem niezwłocznie powrócić. Uczyniłem to bez uprzedzenia i zastałem Oguna na zwołanym przezeń zebraniu jego najbardziej zaufanych krewniaków, którymi poobsadzał ważniejsze stanowiska w armii. Rzekomym celem tego zebrania było podniesienie morale armii, które spadało w zastraszającym tempie. Ponieważ - jak mówił Oguna - w okolicy nie ma teraz żadnych wrogów, armia wyraźnie gnuśniała. Przypomniał mi, że tu ja w mojej doktrynie wojennej zawarłem pouczenie, że armia bez wroga przestaje istnieć; powoli, choć systematycznie łoczy ją demoralizacja. Może istotnie o czymś takim wspominałem, ale przecież warunki zmieniły się diametralnie. Teraz już nawet dziecko nie bało się Balungi, więc nie mógł on dłużej pełnić roli wroga, który integrowałby armię wokół wspólnego celu.

Manewry też się armii znudziły, zaś Oguna uparcie twierdził, że armii potrzebny jest autentyczny wróg. Wyglądało to logicznie i gotów byłbym przyznać Ogunie rację, gdyby nie zdarzenie, które napeliło mnie obawą.

Którejś nocy zniknął mój zardzewiały rewolwer i butelka. Zrozumiałem wówczas, że Oguna już znalazł wroga, który uratuje jego armię.

Tym wrogiem miałem być ja.

Nie zwlekając ani chwili, załadowałem pod osłoną ciemności moją flagową jednostkę niezbędnymi zapasami żywności i broni i odbiłem od brzoły. Czulem, że byłoby wielką nieroztropnością z mojej strony oczekiwanie poranka i wyjaśnienie sprawy zaginionych przedmiotów.

Ruszyłem w dół rzeki w nadziei, że uda mi się dołączyć do kompanii lotników, którzy mieli zamiar założyć osadę poniżej Zwrotnika Koziorożca.

Warszawa, 1980

Edmund Wnuk-Lipiński



PILOCI

ultrafioletowych dali

Fragmenty

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

III

byłem tylko pracownikiem służby naziemnej ale ten ubrany zawsze w jaskrawobłękitny kombinezon lotnik często przychodził do naszego warsztatu i opowiadał mi o swoim srebrzystym odrzutowcu

jego maszyna nie należała do najnowocześniejszych ale on uzyskiwał na niej predkości rzędu sześć macha i nawet piloci najszybszych odrzutowców poklepywali go po ramieniu mówiąc o nim – błękitny hipersonik

na dwa dni przed wypadkiem (niektórzy mówią że było to samobójstwo gdyż mógł się katapultować) poprosił mnie o przejrzenie silnika – nie chciałem wierzyć własnym oczom – pomiędzy wlotem a dyszą nie było komory spalania jakies pomarańczowe sita poprzecinane metalicznie połyskującymi pretami zachodziły na siebie koncentrycznie.

zaniykając osłone niechcący dotknąłem jednego z pretów rozległ się przeciągły syk przypominający mruknięcie rozdrażnionego lwa i zaraz potem przyszedł błękitny hipersonik patrząc na mnie jak na mordercę

V

samoloty zwiadowcze białych raz po raz pojawiały się nad naszym zamaskowanym lotniskiem – wiedzieliśmy że kiedyś wreszcie nas odkryją i zawiadomią swoje bazy – nasi ludzie meldowali że ich bombowce gotowe są do lotu i czekają tylko na rozkaz

nasze błękitne dowództwo – ukryte we wraku ogromnego białego śmigłowca postanowiło przeprowadzić nalot na ich pozycje – już od czterech dni ładowaliśmy do komór bombowych pociski burzące każdy z nich pietnując niebieskim kołem – niektórzy pisali też imiona swych przyjaciół pilotów zestrzelonych nad whitelandem

wkrótce byliśmy gotowi ubrani w pomarańczowozłote kombinezony dyskutowaliśmy czy lepiej będzie bombardować ich z lotu nurkowego czy wznoszącego – fleming żartował że skieruje w nich swój bombowiec a wróci z powrotem na jednej z bomb – pamiętam że wszyscy wybuchnęli śmiechem

w chwilę potem wybuchać zaczęły na naszym lotnisku lodowato białe pociski naszych wrogów.

VII

wznosząc się ponad pułap chmur myślałem o tej różowej kobiecie którą wczoraj miałem w ramionach przyciągając ku sobie drążek sterowy miałem wrażenie że lekko naginam nad siebie jej ciało wbijając się w ostatnie czapy cumulusów cieszyłem się że rozgarniam jej jasne włosy wdychając powietrze czulem zapach jej skóry

kiedy odzyskałem przytomność dyżurny lekarz powiedział mi że mojego ponaddziesięcioletniego geparda biali zastrzelili ich najnowszą rakieta o nazwie natalia – nie wiem jak pan to przetrzymał – powiedział lekarz – nic podobnego nigdy mi się nie zdarzyło

kiedy odszedł spojrzałem w szklaną dal okna z daleka leciał na moją stronę biały gołąb – nie mogłem się doczekać chwili kiedy znowu spojrzę w oczy natalii

XIII

zajmowałem się projektowaniem śmigłowców generacji xtp 8 – otrzymałem zadanie skonstruowania nowego modelu maszyny która wzięłaby udział w defiladzie powietrznej nad drugim sektorem

długo żyłem w próżni moich myśli nie mogąc znaleźć właściwej koncepcji – chciałem aby ten helikopter zaćmił wszystkie moje dotychczasowe konstrukcje –

i wtedy gdy przypadkowo oglądałem film o drapieżnikach żyjących na półwyspie qp 46 wpadł mi do głowy ten pomysł

zbudowałem śmigłowiec przypominający kształtem czaszkę żenety – jego parametry przeczyty wszelkim pra-



wom aerodynamiki – fachowcy patrzyli na jego srebrzysty kadłub sceptycznie a młodzi konstruktorzy uśmiechając się chytrze wietrzyli w tym moją pierwszą wielką porażkę – możliwość zajęcia mojego miejsca w construction blue office

zbliżał się dzień parady – nikt nie zdążył należycie poznać mojej maszyny więc spokojnie czekałem na rozkaz pilotowania jej

nadszedł na dwa dni przed pokazem – eskadrą kierować miał mój kiedyś najlepszy przyjaciel martin kennedy

każdy kto słyszał huk setek wznoszących się w powietrze helikopterów wie jak raduje się serce konstruktora – oparłem reke na drążku i wraz z innymi wzniosłem się nad lądowisko – miałem na sobie lśniący – biały jak śnieg – kombinezon żaroodporny

kiedy zbliżyliśmy się nad błękitny płaskowyż włączyłem mechanizm zegarowy – za minutę moja misja zostanie spełniona – wyskoczyłem ze śmigłowca i włączyłem zamontowany na plecach raketoton

kilkadziesiąt sekund później mój helikopter – tak jak żeneta rzuca się na śpiącego na drzewie czarnowrona – wyskoczył do przodu tuż obok ogromnej maszyny martina kennedy

zanim błękitni zdążyli zorientować się co się stało wielka implozja wessała wszystkie lecące w idealnie równym szyku jednostki bojowe

– biel mogła przystąpić do kontruderzenia –

XIV

marica była dziewczyną maxa – max rzucił ją dla super-nowoczesnego bombowca – marica zaczęła pić i szybko odebrała jej licencje

żeby zarobić na życie puszczała się z mechanikami pokładowymi i z członkami obsługi wahadłowców

była w tym równie dobra jak kiedyś w prowadzeniu odrzutowych jachtów powietrznych jak kiedyś w trzymania odrzutowego pocisku we właściwym torze lotu

predko na swej nowej profesji dorobiła się fortuny kupiła samolot ponaddzwiekowy starszego typu i dzięki protekcji swoich kochanków z rady najwyższej odzyskała pozwolenie latania

kongregacja pilotów obarczyła winą za to co się potem stało kierownika lotów który pozwolił jej wystartować w momencie kiedy błękitne bombowce unosiły się z lotniska

pilot marica skierowała swój samolot w stronę prowadzącej eskadry wielkiej maszyny maxa i zmieniając geo-

we wszystkim naśladować naszego drugiego wokalistę johna – ubierał się tak jak on poślubił dziewczynę z tej samej platformy startowej i próbował grać na gitarze

feralnego dnia kiedy szliśmy do kantyny david z miotaczem laserowym w ręku czekał przyczajony we wnęce korytarza – kiedy zobaczył johna wpakował mu w szyję całą zawartość magazynka

gdy go schwytaliśmy krzyczał że nasz wokalista był szpiegiem białych i podszedł pod jego nazwisko – to ja jestem john to ja grałem w zespole z pauliem georgem i ringo –

darł się na całe gardło gdy zamykano go w komorze neutralizacyjnej

XVII

znad czwartego sektora przywieziono schwytanego cyborga – uczeni rozpoczęli z nim eksperymenty – okazał się niezwykle jak na istotę tak niskiego poziomu inteligentny

doświadczenia potwierdziły domysły że cyborg może naśladować głos człowieka a po pewnym treningu zdolny jest także odtwarzać całe fragmenty mowy ludzkiej

(...)

po szeregu treningów i doświadczeń w komputerowym mózgu cyborga umieszczono specjalnie przygotowany program – odtąd ten półczłowiek półmechanizm był jednym z naszych najlepszych zwiadowców

biali wpadli na jego trop na skutek awarii w przewodach



metrie skrzydeł spowodowała zderzenie

zabiła jego wraz z kochanką i połączyła się z nim na zawsze w eksplodującym pocałunku śmierci

laka była starszy pilot marica

XVI

mam na imię paul – pracowałem jako muzyk na wahadłowcu chrabąszcz – powierzono mi prowadzenie czteroposobowego zespołu uprzyjemniającego sjęsty głównym mechanikom i oficerom odpowiedzialnym za najważniejsze układy sterowe

zblizaliśmy się do piątego sektora – nasza muzyka inspirowana obrazami z telewizjera miała ciepłe pomarańczowe brzmienie z tekkimi poblaskami złota i srebra

wszystkim bardzo się to podobało i cieszyliśmy się z tego – moi koledzy john george i ringo zbierali gratulacje na każdym pokładzie

wśród mechaników drugiego silnika był jednak chłopak który miał na imię david – był trochę stuknięty stara: sie

– na szczęście wmontowano mu także mechanizm samoniszczący

XVIII

badacze czwartej grupy operacyjnej: evans i prescott w chwili gł 2 a także naukowcy pierwszej grupy jabłokov i sikorsky w chwili zrównania trajektorii założyli że wypukła poduszka tłuszczowa umieszczona na kościach szczękowych i międzyszczękowych oraz wklesła przednia powierzchnia czaszki białych pilotów działają jak soczewka dźwiękowa i reflektor

organy te koncentrują sygnały nadawane przez worki powietrzne związane kanałem nosowym i w postaci wiązki dźwięków kierują je na lokalizowany obiekt

hipoteza soczewki dźwiękowej doskonale tłumaczy dokładność celność a nade wszystko długie dystanse na jakie może działać echolokacja białych mumi

Nowa seria SF

Wydawnictwo „Iskry” zainauguowało nową serię wydawniczą poświęconą literaturze fantastyki – naukowej. Są to zeszyty zawierające krótkie utwory prozatorskie dość znanych, aczkolwiek nie lych najbardziej, autorów. Pierwszy cykl zeszytów olwierają dwa opowiadania Charlesa R. Tannera, z których jedno – „Tumilak z podziemnych korytarzy” – już się ukazało.

Pojawienie się nazwiska Tanneta wśród autorów tłumaczonych na język polski przypomina o łwaidych prawach rynku, którymi nasi wydawcy muszą się teraz podporządkować. Muszą zapłacić, a na fanastyce naukowej się zabiła. Jednocześnie nie dysponują zbyt dużymi zasobami waluty wymienialnej na płacenie honorariów pisarzom współczesnym, których utwory są jeszcze chronione prawem autorskim. Dlatego zapewne za Tannetem pojawiają się opowiadania i powieści innych autorów, którzy zmarli przed ponad 25 laty, a więc do ich łwoidzkości wygasły już prawa autorskie i spadkobiercy nie będą mogli domagać się zapłaty za publikację w Polsce. Taka sytuacja nie zadowoli w pełni miłośników SF, ale też wymusza na wydawcach sięgnięcie do klasyki i przypomnienie zapomnianych lub zupełnie nieznanych u nas nazwisk i utworów. Wiedzy o łwaidyści nigdy nie za dużo i taka „powtórka z historii” światowej fanastyki naukowej przyda się nam wszystkim.

Mamy więc Tannera, zmarłego w 1954 roku pisarza, który nigdy nie był zaliczany do „pier-

wszej ligi" SF, nie olśniewał czytelników pomysłami fantazją, choć tworzył zaleźne, rzemieślniczo poprawne utwory. „Turmaki z podziemnych korytarzy” olwiera cykl opowiadań Tannera, których akcja toczy się na Ziemi opawanej przez podstępnych przybyszów z Wenus. Ludzie po zaczętej obronie schronili się w podziemnych korytarzach i coraz bardziej dzicząc żyją w ślachu przed sztykami. Wenusjanie, sztyki, najpierw uciążdali połowania na ludzi, a później zaczęli po prostu hodować wybraną grupę ludzi, których zabijali wykorzystując ich krew dla siebie tylko wiadomych celów (narracja opowiadań prowadzona jest z punktu widzenia tytułowego bohatera, więc czytelnik wie tyle, co on lub niewiele więcej).

Wyjściowy pomysł opowiadań o Tumulaku jest ziczej; nietylko z „Wojny światów” Herberta Georga Wellsa i Tanner nie starał się tego maskować. Nawet wygląd zewnętrzny szylkow przypomina nieco opis Marsjan. Jak znajdujemy u Wellsa Tanner jednak poszedł dalej niż autor „Wojny światów” który – było nie było – zakończył swą powieść happy endem. U Tannera Wenusianie zwyciężyli i byli panami Ziemi. W chwili, kiedy roz- poczyna się akcja pierwszego opowiadania, o ży- ciu na powierzchni ludzie wiedzą już tylko z le- gend. Tworzą skłócone wspólnoty plemienne, powoli się degenerujące. Jako taką wiedzę, be- dadą pozostałością po rozwinętej niegdyś nau- ce, dysponują tylko dostawcy cięteł żywności. Sy- nem jednego z nich jest Tumulak

Tanner na lle – że tak powiem – „rozwiniełego” Wellsa ulokował bohatera zapożyczzonego z opowieści ryckiejskiej. Olóż Tumilak przesiadkiwa-
wszy starożytnie księgi opisujące życie na Ziemi, najazd Wenusjan postanawia podjąć niebez-
pieczną wyprawę po głowę szylka, by udowodnić
wysłanżonym i zdegenerowanym ludziom, iż z
szylkami można walczyć i można ich zabijać. Tu
wszystko odbywa się zupełnie tak, jak w sadze –
bohater zostaje przez ojca wyposażony w ma-
giczne przedmioty (lalkę, gigan i pistolet) i wy-
rusza żęgnany przez najbliższych, którzy prze-
konani są, że już nigdy go nie zobaczą. Ale oczywi-
ście wszystko się udaje, mimo licznych przygód
Tumilak dociera na powieź zchnię Ziemi i pokonu-
jąc wielki strach zabija szylka, wica do swoich,
dokonuje zjednoczenia sąsiednich plemion i ob-
wołany jest królem.

Na przykładzie łwórczości pisarzy tej rangi, co Tannei, a więc siedniej, widać doskonale, jak blisko SF jest związana z baśnią i jak sama żywi się swoim własnym doświadczeniem. W opowiadaniu „Tumilak z podziemnych korytarzy” właściwie nie ma nic oryginalnego, niczym nas ono nie zaskakuje – jest doskonałą lekturą rozrywkową i niczym więcej. Powracają w nim motywy, postaci i myśli przeżute już przez innych, ale zgrabnie zmoulowane i przysposobowane do tego, co chciał osiągnąć pisarz. W sumie: mała iezecz, choć cieszę.

Leszek Bugajski

Charles R. Tanner: *Tumilak z podziemnych korytarzy*" Przełożył Wiktor Bukalo. Iskry, Warszawa 1984. Cena 50 zł.

Granice empatii

Konstrukcja tomiku „Wzpeł” Gabrieli Górskiej zrazu budzi w czytelniku konsternację, a potem może nawet uznanie. Teoretycznie są to lizy opowiadania, lecz autorka łączy je jednym tytułem i przechodzi skokowo od opowieści do opowieści, zmiana labuły i bohaterów dokonuje się nagle. Ta gra siane się zrozumiała, gdy uznać, że całość przedstawia wygenerowane szlucznie warianty naszego świata.

O możliwości takiej generacji opowiada część środkowa. Przedstawia II. Górską wezłową leonię czasu, w którym można się poruszać za sprawą urządzenia zwanego viniculatorem. Narrator tej części – Swann, podejmuje podróż temporalną, by uratować śmiertelnie chore, a kochaną kobietę. Ale uwaga – zmieniając jeden element rzeczywistości, możemy zachwiać całą jej skomplikowaną strukturą. I tak też się chyba stało, świadczą o tym swądy przedstawione w części pierwszej i drugiej – zdruzgotane, kalekie, karykaturalne.

Niedawno, przy okazji WL-owskiego wydania „Czarnoksiężnika z archipelagu” Ursuli Le Guin, czytaliśmy w postłowiu Lema do tej książki uwagi naszego miłośnika SF o pisarstwie kobiet. Uwagi te uczciwszy proporcje, częściowo pasują do książki Gosińskiej. Jest to proza poprawna, nautyczna, szczyły wspina się rzadko, ale i wyraźnie zapamiętane przydadzą się autorce, jak bywa czasem z pisarstwem energiczniejszych mężczyzn. Potwierdza także lektura „Wzła” ową sąd polonistyczny widzi w kobietach isidy szczerze zajęte tym, co kruche, delikatne, pokrzywdzone.

Przy czym, co także jest właściwością pisarstwa pani, bardziej bywa autorka „Węzła” przekonująca, gdy apeluje do czytelniczego współczucia, niż gdy w obronie pokrzywdzonych i wyznawanych wartości przechodzi do alaku. I tak na przykład część pierwsza – ulizywana w klimacie „Wojny i pokoju” – relacja o spotkaniu nadzwyczajnego chłopca z pędzłami i agresywną czynnością – nieświeżo zapachem, byśmy powiedzieli, nieświeżo zapachem, a wtedy i oni zniechęcają z wrogości. Nie zawiera już podobnego zrozumięcia cudzych racji część ostatnia, rysująca karykaturalny obraz społeczeństwa pisarzy i krytyków. Ta aktualna alegoria ma zresztą wyraźny adres (jeden z

demonicznych krytyków literackich owego świata nazywa się Starościk, drugi – Niewiadomski); niech mnie diabeł, jeśli czytelnicy nie domyślą się, o kogo chodzi!

Uważam, że złośliwy porządek dawno się nam lanfartom należał, ale Górska gryzie chyba problem od niewłaściwej strony. W jej świecie XXI wieku, wygenerowanym niejako przy użyciu wielkiej okazji, autorzy zżeszani w spekałnym Koncernie piszą pod dyktando demonicznych Krytyków, a czytelnicy zaś poznają ich dzieła tylko z recenzji, konsumując na co dzień „bzdurne komiksiki”. Krytycy rozkwitają, przysięgnięci autorzy inają o dawnych czasach, w których autor pozosławał suwełennv, krytyk był doładcą i przyjacielem, a nie dyktatorem, a książki ukazywały się w nakładach wielotysięcznych, nie zaś w jednym egzemplarzu. Bizmi to efektownie, ale alegoria jest głęboko niesłuszna. W znanym mi świecie znani mi krytycy SF pisali recenzje wężelnie odziczające poroimnie grałomanińskie teksty, a jedn- z wyćwicznv lez zeszła w inię jakichś racv puszczało je mimo wszystko na rynek. Górska rozznacza, jakie to wspanałe słonice kiesz jej literatom Krytycy! Oprawcy, ja zaś nie mogę uwielżyć w wartości dzieł powstających przy użyciu Systemu inspiacji Autorkiej, który beżpłodnie mu autorowi piszącemu aktual o moizu funduje fanłomajczyny szłom zupełnie jak żywy. Poza tym goyby Górska nie była tak niespawiedliwa dla krytycy, jak jej Krytycy sa dla pisarzy, zauwazyłaby natychmiast, że uprawianie krytyki lez jest rodzajem pisarsłwa i że analizowanie grałomani moze być kosmatem. Pojęcia grałomaniu zdaje się Górska nie znać, nie powia się oio w wymysłonym przez nią świecie.

Nie mówię, że słusznie wśród Jantasiów, w ogóle w świecie literatury i sztuki. Ale i nie uduził ich wiazła i drzazga zdowiec, eksponująca taki selektywny walek, że jej jakiś krytyk nadepnął na odcisk, bo polecił Lesia poprawić, skrócić lub pizemyścić od nowa Złotą, czy krytyk? A może – wydawca, mecenas, redaktor, cen-

zoi, polityk, dysponent... Kto tam jeszcze? Tyłko Górską taką krzywdą spotkała? Nie spotykały innych krzywdy nieco większe? Rozumiem, że „Wezeł” to są zwykłe fikcje – parodie światów z winiculatora – ale niepokoi mnie, że autorka tak dobitnie wie, kogo i za co wolno jej atakować, a kogo już nie. Źe na lemał na przykład komiksów ma do powiedzenia tyle tylko, że są kretyńskie, najgłupsze, szmiałowe... Typowo damski punkt widzenia, nawiasem mówiąc.

Nie staram się dotknąć Górskiej, tylko na zimno prześwieltam wady i zalety jej tomiku. W książce najzawwiej jest napisana właśnie część I rzecia (niesłuszna, co chyba udowodniłem), najmniej eklektyczny wydaje się środek. Początek jest niezły, choć znam wiele opowiadań o niepokojach dziecka poszukującego przyjaźni, a dziecięcego pizez niemądrych rodziców. W ogóle wolę w „Węzle” strukturę niż fakturę, całość jest lepiej pomyślana niż zrobiona i pewnie dlatego rozszyfrowanie oryginalnej konstrukcji książki dostarczyło mi malej radości. Aha – i nie zgadzam się z zakończeniem. Aulorka buduje pełnię: literaci, którym źle było pod bułem Krytyków, także na wolności, którą sobie wywołują, nie wiedzą co począć i po pewnym czasie szukają starego bala. Mam wiażenie, że Górska, jak to u kobiet bywa, zapomniała o bogactwie stanów pośrednich.

Maciej Parowski

Gabriela Górska. Węzeł. Seria „Stało się julio”. Nasza Księgarnia, Warszawa 1985. Cena 55 zł.

PS. Swoje recenzje piszę czasem na podstawie tzw. szczerek odczymywanych z wydawnictw, lub – jak było w przypadku zapowiadanych wznioślejszych książek Cz. Chruszczewskiego [„Fenomen kosmosu”], J. Kozieleckiego [„Smutek spienionych basen”] i E. A. Poe’a [„Opowiadania”] – na podstawie popiędzich wydań. Ten sposób czynnika rubryki bawdziej aktualną spawia, że recenzjom zdarza się dotrzeć do rynku przed książką. Za wynikiem z owych wypiędzich niepożądania przepraszam zainteressowanych Autorów, Wydawców, Czytelników (mp).

Chociaż poglądy o wyprzedzaniu fantazji przez naukę są głoszone od wielu lat, większość odbiorców traktuje takie sformułowania jako kurtuazyjne gesty w stronę tej drugiej. O tym, że nie mają racji przekonuje nas najnowsza książka profesora Włodzimierza Sedlaka, zawierająca kwintesencję dwudziestoletniej pracy autora na polu bioelektroniki – dziedziny wiedzy, której jest prekursorem.

Przebijając się przez tę książkę – a nie czytając, bo nie jest to książka do czytania – z każdym rozgryzionym zdaniem utwierdzamy się w przekonaniu, iż twórcom science fiction – tym, oczy-

wiście, przekazania otrzymanego ładunku informacji i problemów, dla rozbudzenia refleksji i wskazania zupełnie nowych kierunków myślenia.

Czym jest żywy organizm, a zatem i każdy z nas? Skonstruowanym przez przyrodę, samowzbuźnym i samosynchronizującym się szlakiem, niepowtarzalnym układem bioelektronicznym, na organicznych półprzewodnikach, charakteryzującym się kwantowym sprzężeniem elektroniki z reakcjami chemicznymi oraz nieznaną jeszcze kwantową leimodynamiką. Układ ten potrafi ewoluować, regenerować własne struktury i funkcję, a także produkować duplikaty.

Biotranzystor w zamieci elektromagnetycznej

wiście, którzy pierwszego członu gatunku nie traktują jak zwykłego ozdobiaka – pozostało albo zamknąć warsztat, albo starać się jako tako utrzymać na elicie kibiców czółowki. Jeśli zdecydują się na drugie rozwiązanie, to powinni obserwować obszary kontaktowe dwu lub większej liczby dyscyplin, gdyż właśnie tam bywa najciekawiej. Zgodnie z regułą zjawiska, które można by nazwać „prawem pogranicza”, wszystko co nowe rodzi się na stykach – stanach skupienia materii, nauk, kultur, systemów, jakby tam tkwiły zarodki twórczego fermentu. I właśnie w jednym z takich obszarów położonym u zbiegu biologii i fizyki, a ściślej: biologii, biochemii, biofizyki, elektroniki oraz fizyki, z nieprawdopodobną swobodą porusza się lubelski naukowiec i wydobywa stamtąd obserwacje na miarę wstępujących cywilizacyjnych. Nazwanie tego pogranicza bioelektroniką wydaje się już nie zadowalać samego autora terminu i raczej skłania się on ku poetycznej nazwie „fizyka życia”.

Od ponad stu lat funkcjonował w nauce biochemiczny model życia, lecz – jak to zwykle bywa – nowo odkrywane zjawiska i powiązania sprawiły, iż w pewnym momencie przestał być przydatny i koniecznością stało się stworzenie nowego, bardziej przystającego do obecnego poziomu poznania i do rzeczywistości. Tak doszło do zbudowania modelu bioelektronicznego, opisującego życie jako proces kwantowy łączący reakcje chemiczne ze zjawiskami elektronicznymi. Takie spożycie na isle życia jest lreścią dyscypliny, która może okazać się koniem lrojanckim filozofii, treścią „Postępów fizyki życia”.

Nieluzinkowe to dzieło! Gdyby kiedyś ktoś wpadł na absurdalny pomysł plebiscytu mającego wyłonić najlepszą polską książkę naukową dwudziestego wieku, praca Sedlaka powinna zdobyć najwyższe uznanie. Gdyby stało się inaczej, znaczyłoby, iż została wydana... zbyt wcześnie, zawiera myśli i sformułowania wybiegające poza granice naszego stulecia.

Wszystko, co dotychczas napisałem brzmi jak zachęcanie do sięgnięcia po pakowski taryas. Dla równowagi trzeba przesłizzeć potencjalnego czytelnika, jest to książka bardzo, bardzo trudna! Wymaga nie tylko znajomości fizyki na poziomie uniwersyteckim i porządnego rozeznania w biologii – przede wszystkim jest to książka dla ludzi o zacięciu filozoficznym. I do tego cierpliwych, bo wiem autor jakby z premedytacją wielokrotnie stała się ziażić odbiorcę stosując wiele dialektycznych konstrukcji warsztatowych oraz pozornie zbyt skomplikowany język. Niech za przykład posłuży tu lregment zdania: „...sieć molekularna synchronizuje swój kwantowy patoksyzm akustyczny z elektromagnetycznymi efektami biokładu”. Jeśli jednak wglebić się w zagadnienie, nie-
talwo zaproponować inne sformułowanie dla

Jeśli komuś taka definicja nie odpowiada, niechaj zapomni ją jak najszybciej i dalej egzystuje sobie w błogiej nieświadomości, co bynajmniej nie usłuży go przed wszechogarniającą elektromagnetyczną apokalipsą, jaką sami rozpętałismy. Bo trzeba zdać sobie wreszcie sprawę z tego, że żyjemy w samym wnętrzu planetarnego kondensatora z jedną okładką w postaci jonosfery, drugą – ziemskiego gruntu. Do niedawna przetrzeźnia była wypełniona polami i falami wytworzonymi w sposób naturalny; teraz została doszczętnie zaśmiecona emisjami milionów radiostacji, setkami tysięcy kilometrów elektrycznych linii przemysłowych, miliardami silników i prądnic. Nasze anteny – pardon! – zmysły, rozpoznają drobny wycinek oceanu szumów i informacji, w chaosie tym jesteśmy zanurzeni i on nas przenika bez przerwy, ugniata jak ciasto nasze systemy nerwowe, endokrynologiczne. Istnieją obawy, iż wstępująca liczba chorób psychicznych, zwłaszcza w społeczeństwach wysokoizurbanizowanych, nie pozostaje bez związku z totalnym zaśmieceniem środowiska elektromagnetycznego Ziemi. Do tego dochodzi mechaniczne niepokojenie jonosfery przez 10 tysięcy „mieszadeł” – sztucznych satelitów. Wszystko to razem daje w efekcie skażenie środowiska geofizycznego, czyli „przezroczystą, a więc zdiadliwą i niedostrzegalną śmierć elektromagnetyczną”, będącą częścią składową śmierci środowiskowej. Ślawne „promienie śmierci” dawnych fantastów są już wokół i we-
wnążył nas.

Nie sposób obejść się bez kilku dalszych cytatów z książki Sedlaka: „Środowiskowa śmierć nazywa się przez dłuższy czas dobrobytem, produkcją, techniczną zdobyczą, rozrywką, ambicją, informatyką o świecie”. Tak to człowiek postawi biostere przed niezwykle trudnym zadaniem przystosowania się do błyskawicznych zmian środowiska przez przyspieszenie ewolucji. Alternatywa jest wymarcie

A my? My jesteśmy przecież częścią biostery...

Pod koniec swej książki autor stała się podać bioelektroniczną definicję świadomości określając ją jako „stan energetycznego wzbudzenia układu czynnikami wewnętrznymi lub zewnętrznymi, z wywołaniem zmiany behawioru”. Później zaś dodaje: „Teoretycznie biorąc powinien istnieć sposób materializowania świadomości, czyli zwiększania gęstości energetycznej świadomości do stanu masy”. A to już prawie magia...

Albo może fizyka XXI wieku.

Ryszard Głowacki

Historia naiwna

Ciekaw jestem, jak zareagowałby historyk oraz wydawnictwo, gdyby ktoś napisał, że bitwa pod Grunwaldem została stoczona w 1683 roku i połączone siły polsko-tureckie pokonały w niej armię szwedzką pod wodzą Iwana Groźnego... Taki tekst zostałby zapewne odczytany nie tylko ze względu na anachronizmy, lecz również z powodu jego nonsensowności. Niepojęte jest więc, dlaczego mogła ukazać się książka zawierająca nielogiczności, a przede wszystkim wykazująca ignorancję autora (oraz redakcji) w budowie wszechświata.

Książką tą jest utwór SF „Adax z Układu Adhary” historyka Jerzego Jana Kolendo. Dowiadujemy się więc, że gwiazdozbiór Psa Wielkiego to połączone „zbiorowisko gwiazd” oraz że istnieje w nim dwa układy planetarne odległe od siebie o 300 parseków, zamieszkałe przez istoty rozumne (?). Nie dość na tym – w odległości wielu kiloparseków od Adhary ma się znajdować pewien układ (dodajmy, że chodzi o Układ Słoneczny), który obiega środek swojego „zbiorowiska gwiazd” w odległości około 10 megaparseków. Zaś nieco dalej dowiadujemy się, że Adharę dzieli od Słońca... 17 parseków. Te wyjaśnienia brzmią jak relacjonowane przez Szwedkę i twierdzenie, iż we wnętrzu kuli ziemskiej znajduje się druga kula, tylko większych rozmiarów.

Spółbijmy le „jewele” jakoś uporządkować. Ołóż Adharę i zeczywiście jest jedną z gwiazd Psa Wielkiego, ale jak wiadomo gwiazdozbiory nie są tworami fizycznymi (realnie istniejącymi). Adhara jest odległa od Słońca o 200 parseków i razem z nim wchodzi w skład naszego „zbiorowiska gwiazd” czyli Galaktyki! I wreszcie zarówno Słońce, jak i Adhara to gwiazdy odległe od centrum Galaktyki o około 10 kiloparseków.

Tyle o przestrzennej lokalizacji akcji, ale nie brak też błędów „lokalizacji” w czasie. Ołóż cywilizację Adhary (Dedrumów) dzieli od drugiej, wogóle cywilizacji Gronów, 300 parseków i odległość ta nie stanowi żadnego problemu w podejmowaniu napierw: wspólnych wypraw, a potem w toczeniu wojny kosmicznej, podczas gdy pokonanie 17 ps dzielących (w książce) Adharę od Słońca stanowi dla tychże Dedrumów ogromną trudność. Gdzie tu logika? I nie widzę też najmniejszego sensu w prowadzeniu wojny na odległość 300 ps, czyli prawie 1000 lat świetlnych!

Podobnych błędów i nieścisłości jest więcej. Ponadto książkę cechuje banalność i nieporadność kreacyjna oraz narracyjna, płaski dydaktyzm, wreszcie rażąca sztuczność w zachowaniu się rzekomo inteligentnych istot. Odnajdujemy w niej jakieś drugorzędne cechy i elementy utworów typu space opera czy wojen gwiazdnych, których rozmach jest pozorny, zaś realizacja nieszczerólna. Kiółko mówiąc jest to historia naiwna, a nie „opowieść fantastyczna dla młodzieży”, dla której należy pisać jak samo jak dla dorosłych albo nawet lepiej.

Zaslanawia mnie, dlaczego autor nie sięgnął do formuły powieści fantastyczno-historycznej, w której mógłby uzyskać większą swobodę lwór-
czą. Uniknąłby także popełnienia rażących błędów, których formuła science fiction wcale nie usprawiedliwia! Książka „Adax z Układu Adhary” ma wszelkie szanse, żeby stać się klasycznym przykładem, jak nie należy pisać utworów SF.

Zbigniew Dworak

Jasieński Bruno

(właściwie: Zysman Artur)
(1901 – 1939)

Poeta, powieściopisarz,
tłumacz

Urodził się 17 lipca 1901 roku w Klimontowie w rodzinie prowincjonalnego lekarza. Uczęszczał do gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie, którego nie ukończył z powodu wybuchu pierwszej wojny światowej. W latach 1914 – 1918 przebywał wraz z rodzicami w Moskwie, uczył się w szkole polskiej, gdzie otrzymał świadectwo dojrzałości. Wrócił do kraju w roku 1919 wstępując na Uniwersytet Jagielloński. Studiował filologię polską. Współz z grupą młodych poetów i malarzy (m.in. Anatolem Sternem, Tytusem Czyżewskim, Stanisławem Młodzieńcem) założył Klub Futuryistów „Katorynka”. W roku 1921 – razem z A. Sternem – wydał głośną jednodniówkę „Nuż w bzu” oraz pierwszy zbiorek „poezji futurystycznych” – „Bul w bulonierce”, zdobywając rozgłos ekslawagancją stylu i treści, manierystyczną techniką narracji, ingerencją w kwestie językowo-stylistyczne. W rok później ukazała się opowieść „Nogi Izoldy Morgan” (1922) i „Pieśń o głodzie” mówiąca o buncie proletariatu, echach Rewolucji Październikowej (Jasieński wzorował się tu na swoim mistrzu – Włodzimierzu Majakowskim).

Wkrótce po wypadkach roku 1923 (krakowskim powstaniu robotników) autor „Noża w bzu” wydaje wspólnie z Anatolem Sternem tom wierszy pod tytułem „Ziemia na lewo” (1924) manifestując swoją przynależność do rewolucyjnego nurtu poezji polskiej. W tym czasie nawiązuje współpracę z pismem KPP „Nowa Kultura”, a po przeniesieniu do Lwowa zostaje redaktorem działu literackiego w „Trybunie Robotniczej”. Z powodu przesładowań politycznych w roku 1926 musi opuścić kraj i wyjeżdża do Paryża. Jest czynnym członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej, współpracuje z organem tej partii – pismem „L'Humanité”. Organizuje polski teatr robotniczy. W roku 1926 publikuje jedno z największych dzieł swego życia – poemat „Słowo o Jakubie Szeli” mówiący o tzw. „rabacji chłopskiej” w roku 1846.

W odpowiedzi na pamflet francuskiego literata Paula Moranda (utwór „Pałę Moskwę” będący niewybrednym atakiem na Związek Radziecki) Bruno Jasieński pisze powieść „Pałę Paryż” drukowaną początkowo na łamach „L'Humanité” w roku 1928. Powieść ta ukazała się w dwa lata później nakładem jednego z największych wydawnictw francuskich – Ernesta Flammariona (1930), poprzedzona przedmową Henri Barbusse’a. Przetłumaczono ją na język rosyjski: w Związku Radzieckim osiągnęła nienawywalne powodzenia, miała kilka wydań (wyd. 1 i 2 – 1929, wyd. 3 i 4 – 1930, wyd. 5 – 1934), przy czym jej pierwsza wydanie (140 tys. egz.) zostało wyczerpane w ciągu trzech dni. Przetłumaczona na język niemiecki (druk w „Arbeiter Illustrierte Zeitung”; następnie w wydawnictwie „Neuer Deutscher Verlag”) ukazała się także w języku holenderskim (1933), czeskim (1930), hebrajskim (1929), a w roku 1929 opublikowała ją również polska spółka wydawnicza „Rój” z

przedmową J. Kadena-Bandrowskiego (wyd. 2 – 1931; wyd. 3 – 1957, „Biblioteka Dwudziestolecia”).

Niezwykle ostry ton polemiczny książki stał się powodem wydalenia Jasieńskiego z Francji jako „uciążliwego obcokrajowca”. Mimo protestów wybitnych twórców kultury (z Henri Barbusse'em na czele) musiał opuścić Paryż i zamieszkać we Frankfurcie nad Menem. Uzyskawszy chwilowe cofnięcie zażądania o „banicji politycznej” powrócił na krótko do Francji, ale 13 kwietnia 1929 roku został aresztowany i tym razem odstawiony pod konwojem do granicy belgijskiej. Stąd udał się na zaproszenie rządu ZSRR do Leningradu, a następnie do Moskwy (warto dodać, że jeszcze w Paryżu powstał pomysł sztuki satyrycznej Jasieńskiego „Bal manekinów” – wersja polska, przygotowana do druku przez Anaiela Sterna, ukazała się w „Dialogu” w roku 1957).

W Związku Radzieckim prowadził autorytarną działalność publicystyczną i literacką. Wchodził w skład Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich (1930), redagował pismo „Kultura Mas” – Organ Centralnej Sekcji Polskiej Wszechzwiązkowego Zjednoczenia Zrzeszeń Pisarzy Proletariackich. Od roku 1930 był również redaktorem pisma „Internacjonalnaja Literatūra”. Współpracował z leśną radą artystyczną, pisał wiersze, artykuły, opowiadania („Główny winowajca”, „Męstwo”, „Nos” etc.), wydawał powieści w języku polskim i rosyjskim. Dużą popularnością cieszyła się jego powieść „Człowiek zmienia skórę” mówiąca o przemianach kulturalnych w Rosji Radzieckiej (wyd. polskie 1932–1933; tekst pełny: 1961, tłum. J. Brzeczowski).

W roku 1936 Bruno Jasieński zostaje aresztowany na skutek prowokacji i posłany pod zarzutem zdrady interesów socjalizmu. Umiera w drodze na zesłanie w styczniu 1939 roku w obozie pod Władystokiem. Pozostawia niedokończoną powieść „Zmowa obywateli” (druk „Nowy Mi” 1935–1936; tekst polski odwołany przez żonę poety – Annę Berzin, tłum. W. Melcer, 1962 r.).

W roku 1956 Bruno Jasieński zostaje pośmiertnie zrehabilitowany.

Powieść „Pałę Paryż” – alegoryczna metafora przyszłości – jest odpowiedzią na katastroficzne prognozy filozofów, socjologów i literatów (Spengler, Bierdajew, Northrop, Ortega y Gasset; w Polsce: Żmichowski) wywołane głębokimi zmianami ekonomicznymi, kulturowymi, demograficznymi u progu XX stulecia (tragedia I wojny światowej, kolejne kryzysy gospodarcze, powstanie Kraju Rad, wzrost roli mas ludowych w kształtowaniu rzeczywistości). Powieść Paula Moranda stanowiła kolejne ogniwo w serii wielkich pamfletów politycznych, narastającej fali oskarżeń literackich: od utworów I. Erenburga, St. I. Witkiewicza, W. Jaworskiego – aż po szmirrowale, sensacyjne czytała osierzegające przed „złotym” i „czarnym niabazpieczeństwem” – popularna powieść Barszczawskiego, Niezabitowskiego, Krügara, Marczyńskiego i in.

W trzyczęściowej alegorii historycznej opisuje Jasieński narodziny nowego porządku społecznego, demaskuje prawdziwe oblicza milów głoszących niemożność dalszego tworzenia wartości kulturowych. Epidemia dżumy, wywołana umyslnie przez proletariusza paryskiego, dziesiątkuje ludność stolicy, która zostaje odczona szczyt-

nym kordonem wojsk. Wewnątrz tej utopijnej enklawy powstają załazki nowych systemów społecznych wzorowane na znanych strukturach społecznych: rodzaj komun o społeczno-narodowościowym charakterze (monarchia rosyjska, tymczasowa republika żytych, gmina żydowska, królestwo Irustu anglo-amerykańskiego etc.). W kolejnych scenach, dialogach i odautorskich charakterystykach sprawdza Jasieński rzeczywistość przydatność różnych systemów ideologicznych, demaskuje popularne sądy i rozpoznania dwudziestolecia. I tak na przykład ukazuje nikczerność środowiska emigracji rosyjskiej (postać rotmistrza Sotomina), prawosławną moralną komunistów chińskich, internacjonalizm postaw Czerwonej Gwardii (w tym kapitana Jacquesa Lassala, który podejmuje ślaczeczą wyprawę holownicą w poszukiwaniu żywności dla mieszkańców Paryża przytaczając to życiem).

Idee dyktatury proletariatu uosabia w powieści Jasieńskiego Irzydziestolusyczny tłum więźniów politycznych, który wylega na ulice w czwartym dniu epidemii i formuje początki nowego państwa komunistycznego. Przez dwa lata mieszkańcy Paryża (korzystając z nowych zasobów wody) utrzymują w niepewności Europę co do rzeczywistych losów stolicy. Kiedy rządy Anglii, Francji i Polski wypowiadają wojnę ZSRR, proletariatu całego kontynentu proklamuje strajk powszechny, a społeczność Paryża wzywa do przekształcenia wojny imperialistycznej w domową.

Powieść Jasieńskiego, nacochowana żywym, emocjonalnym slosunkiem do tematu, w którym znacząco echa futurystycznych eksperymentów językowych jest przede wszystkim środkiem do przedstawienia tez ideologicznych. Fantazja autora pozwala na zaostrenie konsekwencji istniejących konfliktów społecznych, zbliża ów fresk dziejowy do galunku, który W. Ostrowski określił kiedyś mianem „imaginary history”. Niepokój, jaki wzbudziło w Polsce, zwłaszcza w kręgach kół zachowawczych, pierwsze wydanie utworu Jasieńskiego uścisłował zlagodzić sam Kaden-Bandrowski, parający się również tematyką polityczną. W przedmowie do edycji z roku 1929 pisał co następuje: „Bruno Jasieński przedstawia nam w skrótach tak rychłych, że prawie pobieżnych – wszystkie nieszczęścia, katastrofy i kataklizmy, które czekają ludzkość, o ile pozostanie w tym stanie moralności, w jakim się znajduje. Kataklizmy – wedle mniemań autora – przyniosą zwycięstwo pewnej, wyraźnie określonej ideologii społecznej. Ta druga perspektywa – o zwycięstwie ideologii nie jest chyba niebezpieczna, skoro w myśl wierzeń autora ideologia ta przyniesie ludzkości najwzyszą miarę szczęścia. Fantazja artysty (...) nasuwa nam przed oczy skutki, jakie wynikną z naszego egoizmu, chciwości na wszelkie dobro i zawiądłości wobec cierpienia naszych bliźnich”.

Bibliografia wybrana

- Ogólne:
- B. Polow: Bruno Jasieński WSP Rzeszów 1974
Szczegółowa:
- L. Pawłowski [w:] „Wiadomości Literackie” 1929/27
- J. Szymanowski [w:] „Miesięcznik Literacki” 1929/1
- K. A. Jaworski [w:] „Kamena” 1956/5
- H. Beres: „Racja nieśwado” (w:) „Nowe Książki” 1957/8
- B. Czesko: „Pałę Paryż” znów po latach (w:) „Przegląd Kulturalny” 1957/14
- K. Wyka (w:) „Nowiny Literackie i Wydawnicze” 1957/5.

PAŁĘ PARYŻ

pożółkłe kartki
Bruno Jasieński

Byla właśnie wigilia dnia 14 lipca i nad miastem rozwieszano pośpiesznie trójkolorowe flagi i papierowe lampiony. Ulicami przewalały się przystrojone odświętnie tłumy, wydzielające ten specyficzny zapach francuskiego święta: taniego wina, machorki i demokracji.

Po parogodzinnej błąkaninie, Pierre i René znaleźli się pod bramą Instytutu, gdzie René sprawował tej nocy dyżur. Instytut był pusty. Wiało od niego wilgotnym chłodem i tym złożonym zapachem chemikaliów, jakim pachną apleki w małych prowincjonalnych miasteczkach.

René zaoferował się Pierrowi pokazać laboratoria. Po szerokich, cienistych jak tunel, kamiennych schodach weszli na górę (...). Orowadzając oniesmielonego Pierra wzdłuż oszklonych szaf, jak przed połyskującymi w słońcu szpalerami podwładnych armii, René upajał się rozkoszą swej złudnej polegi.

Przed wielką szafą, gdzie w ustawionych rzędem statywach widniały napelnione jakimś płynem większe i mniejsze probówki, nie mógł się nawet powstrzymać od wygłoszenia małego wykładu o bakteriologii ilustrowanego przez uwiecznione w hermetycznym szkle kolonie milczących mikroliów.

- Tu, za tą niepozorną, jak widzisz, szymbą, trzymamy jedyną w swoim rodzaju menażerie. Wszystkie możliwe zarazy światła. W tej probówce, na lewo, masz szkarlatynę, w lamtej dalej - leżec, w tej - tyfus plamisty, w tej, w glebi - brzuszný, w tej, szóstej z brzegu - cholere. Niczego kolekcýka, co? Widzisz te dwie probówki na prawo, z białym, memawym płynem? To pupilka naszego asysentla - dżuma. Od roku nad nią pracuje, hoduje ją na jakichś pożywkach własnego wynalazku, i mówi, że dohodował się niebýwałych szczepów. Bakterie jak konie (...). No, jak ci się podobą nasze gospodarstwo? Pycha, co? Wyobraź sobie, gdyby tak puścić to wszystko bractwo z szafki na przechadzkę po mieście - jak myślisz, dużo by zostało z naszego Paryża? *

Pierre potakiwał w roztargnieniu.

Wizyta przeciągała się do wieczora. Późno już było, gdy Pierre pożegnał wreszcie gościnnego przyjaciela i odprowadzony przez niego do bramy, wydostał się na ulicę.

Miał tego dnia, o dwunastej objąć nocną zmianę na wieży ciśnień i musiał przed tą godziną zdążyć do Saint-Maur.

Na ulicach panował już mrok rozświetlany małymi ksieżycami elektrycznych lamp (...). Uliczki dokoła płonęły już różnokolorowymi bańkami lampionów już trzejszego światła. Tu i ówdzie próbowało łańczyć. Troluary i jezdnie mrowiły się od ciżby przytulonych do siebie par.

Pierre poczuł nagle, jak jakiś podziemny nurt, zamurowany gdzieś głęboko przystającymi do siebie szczerlnie cegłami ostatnich dni, przeży się w nim i podwaja je od spodu, jak jedna za drugą odsłakuje wywalone cegły, trzaska rozsypując tylny i ciepły, czerwony strumień, zatapiając kolejno z takim jaskółczym trudem poklepane nadbudówki spraw podziemnych, zwolna zalewa mu oczy i wypływa je od wewnętrznego bólu.

Kiedy je otworzył, dostrzegł już tylko migotanie niezliczonych hotelików niro-

wie nalanych krwią, opastych karków i tysiąc kobiecych profilów, identycznych, jak odbitki jednej i tej samej, tak dobrze pamiętnej twarzy.

Ze wszystkich bram, przytłone do swych apoplektycznych gachów, wychodziły i uchodziły w gorączkowym pośpiechu dziesiątki i setki Jeanette, jedna ludzako podobna do drugiej: Jeanette w zaczarowanej ulicy ze zwierciadeł w żywszym lesie o pniach ze spasionych, napeczniałych karków.

Pierre zachybotał cały i zachłysnął się piekącą nienawiścią. Na chwilę, jak daleki odbłysek, zamajaczyła mu między zacisniętymi palcami wołowa, przeciekająca faldami sadła, szyja grubasa sprzed hoteliku na Montmartrze i znikła, nie pozostawiając spodziewanego zadośćuczynienia.

Nie! Mało! Coż znaczy jeden? Tysiąc! Milion! Wszystkich! Miasto! Skąd wziąć tych olbrzymich rąk, tych kilometrowych palców, co objęłyby jednym uściskiem te charczące, pofałdowane gardziele? Wszystkich! Zmiać! Powalić! Upić się ich beznymnym charkotem! Recel! Skąd wziąć tyle rąk!

Naraz niespodziewana jasność oślepiającym płomieniem magnezji rozświetliła mu na chwilę mózg, aż stanął osłupiały, oszołomiony i przycichły. Chwilę stał jak w olśnieniu, potem zawrócił na miejscu i począł iść z powrotem ulicami, którymi przyszedł, wprost, przez tłum, jak Chrystus, stąpający po wodzie, olbrzymi i ma-

jestatyczny, jakby miał przed sobą promieniejącą monstrancję swej nienawiści. Czuł, że ludzie ustępują mu z drogi, otwierając przed nim długi szpaler ulic z perspektywą w nieskończoność.

Znalazł się na powrót przed zamkniętymi drzwiami Instytutu, które opuścił przed chwilą, Pierre spokojnie zadzwonił.

Otworzył mu René, zdziwiony tą nieoczekiwaną powtórną wizytą. Pierre objawił mu spokojnie, że zapomniał laski, którą, o ile sobie dobrze przypomina, zostawił w laboratorium. (...)

W laboratorium laski nie było. Pierre poprosił René, by zechciał sprawdzić w innych pokojach, podczas gdy on rozejrzył się jeszcze raz po kątach.

Kiedy, po kilku minutach bezowocnych poszukiwań, René powrócił z niczym, zastał Pierra szperającego jeszcze za jedną z szaf laboratorium. Laski nie było.

Pierre przyznał, że być może nie zabrał jej w ogóle z domu - będzie musiał sprawdzić to nazajutrz - i po raz drugi pożegnał gościnnego przyjaciela, zdziwionego nie na żarty jego wyjątkowym roztargnieniem.

Wagon III klasy pociągu zdążającego tego wieczora do Saint-Maur pełen był podchoconej bliskością świata ludności podmiejskiej, dymu i zgietku. W rozgwarze rozmów ogólnych zwracał na siebie uwagę szczupły, rudy mężczyzna na ławce w kacie, nie biorący udziału w pogawedkach i przysłuchujący się im w rozlagnieniu i milczeniu.

Na stacji Saint-Maur mężczyzna wysiadł. Rozmowa potoczyła się dalej.

Przybywszy na wieżę ciśnień, Pierre spostrzegł, iż spóźnił się o całe pięć minut i pobiegł na górę zluźować robotnika dziennego.

Nadszedł dyżurny inżynier, kończący swój obchód nocny. Za chwilę ostatnie kroki na dole ucichły. Wtedy Pierre zanurzył rękę w kieszeni i wyjął dwie niewielkie probówki. Uważnie zbliżył je do oczu. Probówki zawierały mętny, białawy płyn. Pierre wstrząsnął nimi lekko pod światło.

Potem z probówkami w jednej ręce zbliżył się do wielkiej pompy odśrodkowej, wprawianej w ruch motorem Diesla.

Gdzieś na dole, trzasnęła brama. Pierre zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Panowała zupełna cisza. Wówczas Pierre wielkim kluczem francuskim zaczął otwierać kran olbrzymiego leja pompy służącego za rezerwuuar wody puszczającej ją w ruch. Otworzył kran, jął odkorkowywać palcami pierwszą probówkę. Szczelny korek nie wychodził. W rozdrażnieniu Pierre chwycił go silnie zębami.

Odkorkowawszy obie probówki, ostrożnie wlał ich zawartość w chlupocącą ciężko krtan leja. Woda w dole bulgotała w taki rytmicznych uderzeń tłoka Diesla, opadając i wznosząc się miarowo, jak gigantyczna kłapa sercowa wypychająca coraz to nowe porcje przezroczystej, bezbarwnej krwi w wygodniałe arterie dalekiego, śpiącego Paryża.

Bruno Jasieński, *Pałę Paryż*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1929, wybór ze stron 58-64.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

STASZÓW '84



o ewolucji polskiej fantastyki w 40-lecie od popularnej konwencji do zjawiska literackiego mówią: **LESZEK BUGAJSKI, RYSZARD HANDKE, ADAM HOLLANEK, ANDRZEJ NIEWIADOWSKI, ANTONI SMUSZKIEWICZ I MACIEJ PAROWSKI**, który dyskusję przygotował do druku.

Przemiany

A. Niewiadowski: Porozmawiamy o przeobrażeniach polskiej science fiction od początku lat 60. tych aż do dnia dzisiejszego. Pomówmy o przyczynach zmian i o ich kulturowych kontekstach. Popatrzmy, z czym zaczynała fantastyka ćwierć wieku temu po wyczerpaniu się formuł socrealizmu i co dziś sobą reprezentuje jako gatunek literacki i jako ruch społeczny, który wokół literatury wyrósł.

A. Hollanek: Sądzę, że początek lat 60. tych to jeszcze okres, nad którym rozciąga się zdecydowana dominacja Lema. A jego „Solaris” (1961) promieniuje na wszystkie pozycje ówczesnej SF.

Okres przejściowy

R. Handke: Wiele ukazujących się wówczas książek SF mieściło się swobodnie w wyobrażeniach z lat 50. tych. Podobnie z Lemem – działają jeszcze starsze pozycje, a są już jego nowe, ciekawsze dokonania. To wtedy, irochę ze względów merkantylnych, Wydawnictwo Literackie dużo Lema rzucało na rynek; w tych tomach nowości były pomieszane z rzeczami czytelnikom znany. Wychodziły jeszcze duże nakłady pierwszych Lemowskich książek, które miały charakter typowej, klasycznej SF: „Astronauta” (1951), „Obłok Magellana” (1959)...

A. Hollanek: Wydawano też wiele klasycznej fantastyki radzieckiej. Ale funkcjonowały już „Śledztwo” (1959) i „Księga robotów” (1961); wkrótce miała się pojawić „Summa Technologiae” (1964). To są znamiona tego okresu.

A. Smuszkiewicz: Ogromne zastępy dla polskiej SF położył wówczas Zbigniew Przyrowski jako redaktor „Młodego Technika”. Jego antologie „Pamięć z pamięci” (1964) i „Wolanie na Mlecznej Drodze” (1976) – pokłosie konkursów

„MT” ukazywały fantastykę ukształtowaną właśnie przez red. Przyrowskiego. On wpłynął na kształt artystyczny debiutów, wiadomo było, że opowiadanie musi mieć tyle i tyle stron, by zmieścić się w numerze.

R. Handke: Poza tym debiutanci czytali poprzedni numer, jeśli w następnym ma ochotę się okazać. „MT” dyktował ton.

Wybór Formy

A. Smuszkiewicz: I upowszechnił przekonanie, że fantastyka naukowa najlepiej wypowiada się przez krótkie formy. Nie powieści, lecz opowiadania. Przez pomysł, dobrze skonstruowaną akcję, skondensowaną myśl – jak w klasycznej noweli. Teraz obserwujemy więcej powieści. Pojawiały się nowe możliwości wydawnictw i pojawiają się dłuższe formy. Przekaz, jak widać, może stymulować in plus i in minus.

A. Hollanek: Powieści są bardziej ekonomiczne, bardziej opłacalne dla autorów. Dają możliwość wykorzystania jednego pomysłu na długim dyskursie.

R. Handke: Nie tylko SF, lecz w ogóle literatura żyje z pomysłów. Pisarz zwykłej powieści obyczajowej nie musi jednak wymyślać stołków, pokoi, światła i języka, jakim ludzie mówią. A pisarz SF musi. Dlatego powieść jest dla autora SF finansową pokusą i artystycznym niebezpieczeństwem. Bo nie tylko autor może mieć krótki oddech, ale i pomysł także. I pomysł ciągnięty przez wiele stron może się zde maskować, że wcale nie był dobry.

M. Parowski: Chodzi nie tylko o długość opowiadania, które prezentuje epizod ze świata przyszłego polegającego na kombinacji mniejszej liczby elementów, natomiast powieść to już dłuższa wypracowana i taki świat. Powieści od opowiadań róż-

nią nie tylko rozmiary, ale stopień wewnętrznej komplikacji, stosunek do świata przedstawionego, wiedza autora o tym świecie.

A. Smuszkiewicz: Rzeczywiście, problematyka „Solaris” na piętnastu stronach się nie zmieści.

M. Parowski: A short story z kolei, to nie jest powieść opowiedziana na pół strony. Zmierzam do czego innego. Dlaczego stały się możliwe powieści, dlaczego dziś ich przybywa? Ponieważ zbiorowym wysiłkiem wielu opowiadań, tysięcy epizodów, ten świat przyszłości został zbudowany i zabudowany. Pisarze widzą go, mogą się w nim pewnie poruszać.

R. Handke: Mogą pokazać coś, co właśnie jest warunkiem powieści, a mianowicie ewolucję, gdzie w ramach znanego świata coś się stało i zmienia się i te implikacje oddziałują dalej... Ale jedność świata, wspólny inwentarz, z którego się czerpie, kształtowały się stopniowo i nie od razu. Doskonale pamiętam, jak przed 25 laty autorzy wymyślali „każdy sobie” rekwizyty i sytuacje. Parząc na dobrane przez nich neologizmy, widać że używali różnych słów na określenie tych samych rzeczy.

A. Smuszkiewicz: Nawet specjalnie starali się je inaczej nazywać!

R. Handke: Tak, tycyłowali się pomysłami. Starali się ze wszystkich sił być oryginalni. Jeszcze nie było praktyki, że wchodzący do tej dziedziny autorzy zastają pewien zmyślony świat o określonych regułach i spójną porcję przechodzących rekwizytów. Jeszcze nie było takiej wspólnoty, jaka na przykład łączy światy różnych baśni.

Oswajanie techniki

L. Bugajski: Myślę, że robimy błąd rozpalać fantastykę naukową w oderwaniu od tego, co dzieje się poza nią i sprowadzając wszystkie przemiany do spraw literackich. Mnie się wydaje, że różnice w wizjach pisarzy brały się również stąd, iż autorzy, podobnie jak całe społeczeństwo, nie potrafili sobie wówczas wyobrazić, w jaką stronę pójdzie rozwój cywilizacji. Autor przysięgający do pisania miał słabą wizję realiów i czyste pole przed sobą. Mógł z całą naiwnością wymyślać świat od początku. W tej chwili przeciwnie, wiemy, w którą stronę idzie cywilizacja techniczna, znamy szalony dyskurs między nami a krajami nasyconymi elektroniką. Pewnych rzeczy nie trzeba wymyślać, tworzy się jednorodność czy jednolitość wyobraźni nawet nie uświadomiana sobie przez autorów.

R. Handke: Słusznie. Dziś nawet w podręcznikach fizyki jest niewiele rzeczy, których dawniej nie było. Ale wiecie panowie, nas łamie stare powieści SF nie drażnią dziś swoją techniczną naiwnością, bo ona akurat jest na swój sposób miła, tylko...

A. Hollanek: „naiwnością socjologiczną, naiwnością prognozy...”

R. Handke: I psychologiczną przede wszystkim. Zresztą to się wiąże z tym, o czym mówił pan Bugajski. Wymyślone postacie z dawnych książek nie odczuwają prawdziwych reperkusji świata wysokiej techniki, w którym na pozór żyją. Dziś widać wyraźnie, że to było czyste zmyślanie z powietrza.

A. Hollanek: To prawda. W latach 60. tych nasi fanlaści nie potrafili sobie wyobrazić człowieka w innej przestrzeni. To ciąży nawet na Lemie, który może zdawał sobie sprawę z tej innej przestrzeni, ale nie potrafił jeszcze przystosować do niej nowego człowieka.

R. Handke: Prawdziwego „człowieka ery atomowej”... Właśnie, bomby wybuchły daleko, a myśmy żyli wówczas pod ciężarem innych spraw. Dopiero później przyszło to oswajanie z techniką i na przykład Pirx, który wcześniej był jakby artystycznie niedoręczny, nieobyty, zaczyna być autentyczny, żyjący z cudownie technicznym światem.

krytycy o fantastyce

A. Smuszkiewicz: Tak, zjawia się nowe autorskie podejście do tematu. Narrator już nie dziwi się niczemu, czytelnik przestaje być pouczany, do książek nie dołącza się słowniczków i objaśnień, rakietą nie jest niczym nadzwyczajnym, stale tam mówi się, że jest obita.

R. Handke: Stara, podrapana. A lot jest rutynowy i nudny. Mamy pełną sugestię potoczności. Rewelacja Pixa polega na tym, że jest pierwszym

R. Handke: Niewątpliwie ma pan rację, że była to literatura dydaktyczna w najgorszy sposób – czytelnik funkcjonował w niej na zasadzie pouczanego głupekta.

A. Hollanek: Lem do dziś mówi, że pozostał moralistą i pisze moralitety. Ale za to jak on to robi!

A. Niewiadowski: Natomiast w ówczesnej literaturze, widać to zwłaszcza u Fiałkowskiego, upowszechnia się ucieczka w moralizatorstwo przyszłościowe. Zakonczenie u Fiałkowskiego

od gwiazd. Fantastyka wyciągnęła wniosek z tego, że nauka traci oddech, że kosmos otworzył się nad naszymi głowami w momencie, w którym zrozumieliśmy, że nic nie wiemy.

A. Hollanek: Tak, Lem w „Summa Technologiae” niby wychwytując naukę, kompromituje ją.

R. Handke: Wtedy bezwiednie, a teraz świadomie.

A. Niewiadowski: I to już wówczas, u schyłku lat 60-tych, a nie dziesięć lat później dokonał się w naszej SF zwrot ku człowiekowi, badaniom kosmosu wewnętrznego. Trzeba to podkreślić z całą stanowczością – cała rzecz zaczęła się właśnie wtedy.

Przyspieszenie

R. Handke: Czyli powoli wchodzimy w lata 70-te. Tutaj panowie musimy być bardziej precyzyjni, gdyż początek lat 70-tych, nie tylko w SF, bardzo się różnił od końca. Na to nakładają się jeszcze wydawnicze poślizgi, w wyniku których wszelkie zjawiska społeczne odzwierciedlały się w literaturze z kilkuletnim opóźnieniem. Coraz większa liczba wykształconych, z techniką obytych i technika strusztrowanych ludzi stała się jakością zaczynającą działać na odbiorców i na twórców. Dramatyzm drugiej połowy lat 70-tych miał początek w rzeczywistości, w której ludzie żyli. Ale na początku społecznych zaniepokojen nie wiadał. Przeciwnie.

A. Niewiadowski: Mamy debiut Adama Wiśniewskiego „Snerga „Robot” (1973), książkę pod tym względem neutralną. Ale jest zwiastujący nadciągającą burzę „Kongres futurologiczny” Lema (1971).

M. Perowski: Z początku lat 70-tych zapamiętałem przede wszystkim przyspieszenie w wielu dziedzinach. Zjawiają się w Polsce magnetofony kasetowe, Coca-Cola, a z nią plastikowe wreszcie, nie drewniane skrzynki. Pojawia się „matuch”. Ludzie zaczynają częściej jeździć w świat. Zaczyna się u nas boom prozy latynoskiej – wydawnictwa i pisma drukują najlepsze teksty Borgesa i Cortazara. To oni, jak sądzę, uczą pisać pokolenie 68–70.

A. Hollanek: Premiuje ich to samo wydawnictwo, które publikuje Lema.

R. Handke: I to ich wpływ także mógł nas skłaniać do odchodzenia od fantastyki technicznej do fantastyki.

M. Perowski: W roku 1971 startuje „Literatura na Świecie”. W PłW-ie rozpędza się sena teistyki „Biblioteka Myśli Współczesnej”, ukazuje się też trochę książek kieszonkowych – jest do kupienia Ceram, eseje o technice i kulturze amerykańskiej, o naszej kulturze masowej. Te książki cze-



Fot. Zbigniew Jarecki

naszym zawodowcom w kosmosie. Rutyniarzem. Ale to nie przyszło samo i nie od razu.

W kręgu szablonów

A. Niewiadowski: Nie padło tu jeszcze stwierdzenie, że literatura fantastyczna lat 60-tych to z reguły proza popularna. Nawet wypowiedzi Lema można traktować jako twórczość instrumentalną, wpasowaną w schemat utopii bądź antyutopii. Jeszcze wyraźniej widac to w opowiadaniach Weinsteina, Fiałkowskiego, wczesnego Zajdla, drukowanych w piśmie. Mamy tam zawsze do czynienia z elementarną chemią emocji, jest wierne przestrzeganie kodu, dobrowolne pozbawienie przekazu ambiwalencji czy nawet wieloznaczności. Na pozór hasłem tej literatury jest zaangażowanie, ale obita się ona w kręgu spraw oczywistych – nigdy napiwałem nie prowokuje czytelnika.

M. Parowski: Ani mecenasa.

A. Niewiadowski: Niczego nie burzy, nie narusza, zaciera konflikty ideologiczne, często wykreca się alegoryzmami. Można mieć dziś ogromne zastrzeżenia do warsztatu, formy i przestania tej prozy.

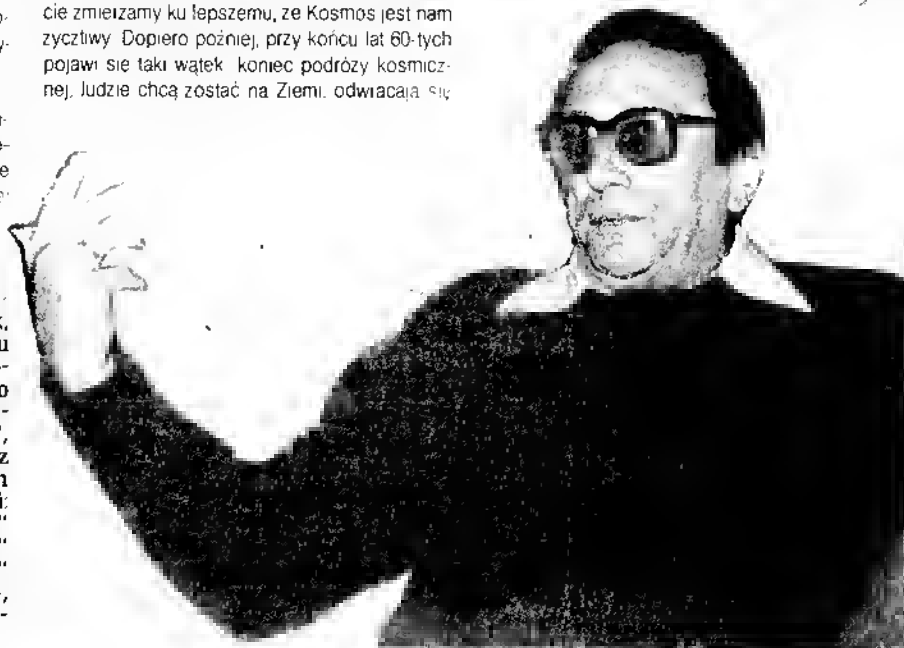
jest zawsze uspokajające – był jakiś konflikt, pewne oliary okazały się konieczne w imię wyższych idei, tak być powinno. Nie wiem, czy można coś takiego nazwać twórczym prognozowaniem fantastyki naukowej. Zawsze przecież mamy tam samouspokajającą wizję świata przyszłego.

A. Smuszkiewicz: Przynajmniej w sterze ideowej. Akcja niekiedy kończy się tragicznie. Ale wartość moralna zwycięża. To miała być diagnoza dotycząca współczesności.

M. Perowski: Fałszywa diagnoza.

R. Handke: Sądzę, że tamta stara fantastyka, mówiąc o teraźniejszości, autentycznie myślała i o przyszłości. Nie chodzi o formuły narracji, ale o to, że ówczesna SF wyrastała z marzenia i z wiary w możliwość prognozowania, w to, że rzeczywistość zmierzamy ku lepszemu, że Kosmos jest nam zyciowy. Dopiero później, przy końcu lat 60-tych pojawił się taki wątek: koniec podróży kosmicznej. Ludzie chcą zostać na Ziemi, odwracają się

red. ADAM HOLLANek – redaktor naczelny „Fantastyki”, pisarz, krytyk, dziennikarz – jest autorem kilkunastu pozycji o charakterze popularno-naukowym, działaczem międzynarodowego ruchu SF. Wydał kilka książek o tematyce współczesnej („Plaża w Europie”, 1967; „Bandyci i policjanci”, 1982) oraz utworów science fiction przekładanych na język rosyjski, niemiecki i czeski: „Katastrofa na Słońcu Antarktydy” (1958), „Zbrodnia wielkiego człowieka” (1960), „Muzyka dla was, chłopcy” (1975), „Ukochany z Księżycą” (1979), „Jeszcze trochę pożyć” (1980), „Oświecenie” (1982), „Kochać bez skóry” (1983).



Fot. Jan Surový



dr ANTONI SMUSZKIEWICZ – adiunkt Zakładu Metodyki Nauczania Literatury i Języka Polskiego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu – jest autorem dwóch książek poświęconych zagadnieniom gatunku SF: „Stereotyp fabularny fantastyki naukowej” (Ossolineum, 1980), „Zaczarowana gra” (Wyd. Poznańskie, 1982). Krytyk, historyk, teoretyk literatury SF. Opublikował wiele artykułów drukowanych na łamach „Nurtu”, „Ruchu Literackiego”, „Przeglądu Humanistycznego”. Autor podręcznika metodycznego o tematyce SF opracowanego dla nauczycieli szkół podstawowych.

kają jeszcze na czytelnika, nie uciekają pod ładę. W kinach pojawia się wiele dobrych, osłrych społecznie filmów z importu, zrywających z hollywoodzką sztucznością; kino wychodzi w plener, przygląda się życiu, konlestuje. Bo przecież z drugiej strony, po 1968 roku, roku konstestacji, świat zmienia skórę, zaczyna się era kontrkultury i echa tego docierają do nas. Ruch wyzwolenia kobiet, kryzys wiary w racjonalne społeczeństwo, nieufność do cywilizacji, zwrócenie uwagi na zanieczyszczenie środowiska, odpadanie młodych od porządków ustalonych przez establishment, pierwsze próby z narkotykami (wtedy się to u nas zaczyna, tylko wówczas nie wolno o tym mówić), rewolucja seksualna, psychodeliczne przemiany w sztuce, nowe awangardy, pogłoski o widowiskach typu „Hair”, „Oh! Calcutta!” czy „Jezus Christ Superstar”. Myślę, że oznaką wciągania fantastyki w orbitę tych spraw jest wydana w 1971 roku „Dokonała próżnia” Lema. Książka w wyraźny sposób żywiła się kontrkulturową eksplozją, rzecz trochę Borgesowska, kpiarska, skłócona z tą nową rzeczywistością, gęśta od یرهści kilkunastu poleceńialnych książek, których Lem napisać nie miał czasu i siły.

R. Handke: Mnie się wydaje, że to, co pan mówi, bardziej rejestruje kryzys warsztatu Lema niż kryzys ogólny. To zresztą zawsze było w nim fascynujące, że nie dawał się osaczyć w swojej własnej formie. Dopiero później, z perspektywy czasu, można te dwa kryzysy na siebie nałożyć.

A. Hollanek: Jednocześnie występuje przyspieszenie w dziedzinie czysto fantastycznej. Pojawia się wiele tłumaczeń z Zachodu. W „Przekroju” ukazują się tłumaczenia z Bradbury’ego, Lovcrafta. Zresztą było tam więcej takich sensacji. Wpływy się krzyżują. Nareszcie różne wpływy.

L. Bugajski: W „Iskrach” zaczyna się ukazywać wzorowa antologia Lecha Jęczyńskiego „Kroki w nieznaną”.

A. Niewiadowski: Rośnie jednocześnie świadomość teoretyczna gatunku. Przypominam: w roku 1969 ukazuje się „Polska proza fantastyczno-naukowa” Ryszarda Handkego. W roku 1970 pojawia się „Fantastyka i futurologia” Lema, wznowiona już po trzech latach.

Poślijz

A. Smuszkiewicz: I jednocześnie w tym właśnie momencie kończy się coś w zakresie nazwanej i opisaniej przez pana Handkego poetyki. Ona nie wytrzymuje ciężarów nowych problemów, a skostniała właściwie w latach 60-tych. Lem już w „Edeń” (1959) robił sobie kpiny z SF: tuż zaraz powinna się wyłonić jakaś łapa, bo jak czytałem SF to zawsze wychodziła. Pojawia się zalem konieczność rozszerzenia konwencji, odejścia od techniki na rzecz problemów bardziej interesujących człowieka. Fantastyka najpierw była techniczna, potem naukowa, potem zaczęła obejmować inne dziedziny życia, ale już w sferze medycyny i bio-

logii, jak u pana Hollanka; Fiatkowski tkwił przy cybernetyce i automatach, a wreszcie granica fantastyki naukowej się zalała, gdyż w połowie lat 70-tych Kulpisz wprowadził tematykę filozoficzną. Stara poetyka nie mogła unieść tego wszystkiego i tak skończyła się u nas klasyczna SF. Ta, którą pan Handke definiował jako naukowo-techniczną. Lata 60-te to był okres, okazuje się, ostrzeżenia narzędzi pisarskich, którymi będzie się teraz kroić i analizować rzeczywistość.

R. Handke: Ale zaczyna się też okres wielkiego rozchwiania, ponieważ fantastyka zdobywa, czy też jest zdobywana przez to, co się nazywa obszarami heterogenicznymi. Mamy więc do czynienia z nowymi obszarami fantastyki i rozmywającą się definicją naukowości. To jest zupełnie nowa jakość. W latach 60-tych przeciętnie wykształcony obywatel wiedział, że może wierzyć w kominiarza, ale za żadną cenę nie wolno mu się do tego przyznać. Później zaczął się cały szereg zjawisk mela-para-tele, z którymi nie wiadomo było co począć. Zrazu podpkiwaliśmy sobie z szerzającego się jakoby w Ameryce zabobonu, ale skutki naukowego poznania tak czy owak zaczęły komplikować nam życie. Okazało się, że każde naukowe poznanie więcej rodzi pytań niż zatałwia odpowiedzi. Im szybszy jest postęp nauki, tym bardziej rosną obszary nieznanego. A na obszarach nieznanym rodzą się duchy. Zawsze się rodzą.

A. Smuszkiewicz: W epoce pozytywizmu jakiś amerykański dyrektor biura patentowego powiedział, że wiek XIX wymyślił już wszystko, a przed wiekiem XX stoi zadanie ulepszenia tego. A tu masz – zjawiają się alomy, elektronika, a za nimi duchy, hipnoza i telekineza... I tak mamy kolejną „inwazję duchów” na świat i na Polskę.

A. Hollanek: Przy czym polskie duchy są po mickiewiczowsku – jak w „Balladach i romansach”, jak w „Dziadach” – łagodne, łagodzące, dobrotliwe. A amerykańskie, na przykład w fantasy – straszne, okrutne.

R. Handke: Polskie duchy to trochę odrzuć z eksportu. Nasi bajkopisarze nie byli w stanie sprostać prawdziwej grozie.

Fantastyka socjologiczna

M. Perowski: Chyba że chodzi o duchy, o diabełstwo społeczne, polityczne, kłębzące się w słowach, którego jedni nazywają Lewiatanem, inni państwem, miastem, społeczeństwem, jeszcze inni – piekłem (Sartre: piekło to inni). Serię portretów takich groźnych Lewiatanów, obojętnościących jednostkę na przeróżne sposoby, dały powieści Zajdla, Wnuka-Lipińskiego, Oramusa, Żwikiewicza, Wolskiego. Białczyńskiego czy moja – określane teraz mianem dystopii bądź social-political fiction. Pokolenie reprezentowane przez wspomnianych autorów nie za poznało tego słowa w latach 68–78. Ale wspomniane książki

powstały u schyłku dekad lat 70-tych, a ukazały się jeszcze później. My na razie jesteśmy bliżej początku lat 70-tych, kiedy „Nasza Księgarnia” z „Młodym Technikiem” finalizują konkurs na opowiadanie (1973). Płon tego konkursu ukaże się w tomiku „Wołanie na Mlecznej Drożdzie” (1976). Jest tam już zapowiedź zmiany poetyki, otrząśnięcie się z problemów techniki i koncentrowanie się na człowieku. Przy czym mam wrażenie (sam brałem w tym udział), że w owym łomie wiele jeszcze było czystszej spekulacji. Kontrpropozycja brała się z inwersji tego, co robili poprzednicy, nie z przejęcia na własnej skórze.

R. Handke: Ten człowiek, na którym się koncentrowano nie był jeszcze nasycony prawdziwymi dramatami.

M. Perowski: Tak, to działo się częściowo w ramach konwencji.

A. Hollanek: Ale w momencie, w którym ta konwencja się kończy, kiedy nauka i technika zaczynają się blamować, kiedy powstają przeróżne napięcia, wtedy rodzi się rozłam między Lemem i resztą fantastyki. Każdy zaczyna szukać na własną rękę i zgodnie ze swoim temperamentem.

R. Handke: I zjawiają się młodzi, którzy już nie z Lema wyrosli i zaczynają używać narzędzi wystrzonych przez innych. Kto jeszcze tworzy w tym czasie przełomu, kto z pisarzy, którzy doprowadzili fantastykę do tego momentu i teraz oddają ją młodym?

A. Niewiadowski: Jest Lem, Hollanek, Boruń, Weinfeld – inni niż przed laty. Zajdel pisze sprawne, niekiedy aluzyjne opowiadania, mamy Trepkę, Fiatkowskiego z „Homo divinus”, Chruszczewskiego...

R. Handke: Nie sądzę, żeby Chruszczewski był jednym z autorów doprowadzających fantastykę do momentu zmiany pałeczki. Czy młodzi rzeczywiście mogli się od niego uczyć?

M. Perowski: Postosławieciowy utopista-bajkopis Chruszczewski działa na następów jak wyzwanie. Wobec niego można się określić, podobnie jak wobec tej zdeliniowanej przez pana a u k o w o - t e c h n i c z n e j fantastyki. Lubie tę definicję i na swój sposób Chruszczewskiego – to były uczciwe, solidnie wykonane drogowskazy, tyle że wskazujące przeciwną drogę. To ogłomnie wiele wyjaśniło.

R. Handke: Tak właśnie rozumiem sens definowania. Żeby coś przełamać, trzeba dokładnie wiedzieć, co się przełamuje.

A. Niewiadowski: Z młodych tworzą wówczas: Sawaszkiewicz, Malinowski, pojawia się „Według lotra” (1978) Wsiewskiego-Snerga...

L. Bugajski: Ale prawdziwe zmasowane uderzenie nową tematyką socjologiczną przychodzi w momencie ukazania się „Wiru pamięci” (1979) Wnuka-Lipińskiego i „Cylindra van Troffa” (1979) Janusza Zajdla. Pamiętam, przeczytałem te książki w ciągu jednego miesiąca; od razu było widać, że to jest zjawisko, nie incydent. W czasie, w którym ukazały się te dwie rzeczy powstawały właśnie, bądź już powstały, powieści-dystopie, o których mówił Maciek.

R. Handke: Tak, te dwie książki tworzą czoło łali. Były rzeczywiście nowe, stanowiły ciekawą propozycję myślową i formalną, która ujawniała się dopiero po roku 1980 w postaci serii powieści socjologicznych.

A. Smuszkiewicz: Ale czy w związku z tym przesunięciem można wspomniane powieści określać mianem literatury lat 80-tych? Czy my w ogóle mamy literaturę lat 80-tych? Sądzę, że jej nie znamy, ona dopiero powstaje. Ze względu na wydłużony proces wydawniczy docierają do nas pozycje, które zrodziły się dopiero pod koniec lat 70-tych.

Perspektywa lat 80-tych

M. Perowski: Nie mamy może książek, ale mamy przegląd i ewolucję krótkiej formy, jaką ujawnia

krytycy o fantastyce

od dwu lat nasz miesięcznik, w tym zwłaszcza nasz konkurs. Mamy zbiorowy wizerunek adepta pisarstwa SF – czytającego, doświadczającego na przeróżne sposoby dwudziestoparolatka, który nie widzi swoich problemów w tzw. literaturze współczesnej, więc próbuje je znaleźć i zawieźć w fantastykę. Uprawia w związku z tym fantastykę aluzyjną, polityczną, ale także symboliczną, metafizyczną, surrealistyczną, fotrzykowską – zawsze wieloznaczną i bardzo prywatną. Na pewno nie naukową i nie polegającą na snuciu prognoz. Togo nie obchodzi. Dwudziestoparolatki używają literackich narzędzi wystrzonych, jak panowie wspomnieli, przez poprzedników, ale także jak myślę, przez własne bujne doświadczenia historyczne – do określenia swego miejsca w świecie. W świecie zdarzeń, myśli, idei i religii także.

R. Handke: Jeśli taki jest wynik konkursu to rzeczywiście może on być obrazem literatury lat 80-tych. Konkursy są obsyłane przez ludzi młodych,

literatury, mnożą się wydawnictwa, zjazdy, spotkania, dyskusje, lansuje się własna, środowiskowa hierarchia wartości i wielkości. Boję się, że jest to potrzeba jednoczenia moliwowana skrywaną świadomością słabości tej literatury. Że jest to getto niedowartościowania, które w zwarości upatruje siłę przebicia.

R. Handke: Z gettem można sobie radzić arcydziełami i jeśli tylko znajdą się talenty o dostatecznym potencjale, to przestanie być problemem, choć może tożsamość SF rozmyje się gdzieś po drodze i zostanie zwyczajna dobra literatura, zajmująca się tematami, którymi dawniej literatura się nie zajmowała. Niepokoi mnie inna rzecz, a mianowicie możliwość ciągnięcia ruchu w dół przez publiczność, która ma już głos i organy – różne druki fanowskie do jego wyrażania. Wy jesteście na pierwszej linii i wiecie, że gdybyście chcieli na przykład przyciąć komiks albo uczynić go ambilniejszym, to dostaniecie natychmiast sygnały z terenu. Masy żądają czegoś innego, wiedzą lepiej, co jest najlepsze.

M. Parowski: To jest chyba uogólnienie trochę z daleka. Przyglądam się lanom na spotkaniach autorskich. Owszem, wyrażają życzenia – ale ruch

się, ze środowiska fanów mają własny mechanizm polegający na tym, że inteligentny prezes – rozkłada świadomość, a świadomość raz się rozkłóciwszy zaczyna przywodzić za sobą wodzicieli w końcu może być tak, że nie wiadomo już, kto kogo za sobą i dokąd prowadzi... Żeby podsumować te kasandryczne lony, myślę, że panowie, którzy w „Fantastyce” macie z tym wszystkim do czynienia, siedzicie na zboczach wulkanu.

A. Hollanek: Trafił pan, sam tak właśnie się czuję. Pocieszam się zjawiskami widocznymi w innych krajach, które przeszły przez tę fantastyczną falę – wszystkie irracjonalne piady, antynaukowe, antytechniczne nastawienie...

R. Handke: W niektórych krajach to nastawienie ukonstytuowało się w partie polityczne.

A. Hollanek: Tak, „zieloni”, to prawda... Ale na przykład ruch wydał także jakieś zjawisko jak Ursula Le Guin, która jest bardzo łagodną czarownicą. W każdym razie tam nie ma boomu fantastyki. Był i się skończył.

R. Handke: U nas ledwo się zaczął. Czy sądzicie panowie, że na naszym terenie też tak to się rozwija, że losy fantastyki mogą się podobnie potoczyć jak tam? Rynek się nasyci i za kilka lat fala opadnie, a bunt się ustanie?

A. Hollanek: Dajcie mi papier, mnożstwo papieru, a zniszczę fantastykę. Coś w tym jest.

Zjawisko literackie

M. Parowski: Można by tak mówić, gdyby fantastyka zakorzeniła się u nas wyłącznie jako literatura rozrywkowa, ale tak nie jest. Fala dystopii, mówiliśmy i ostatnia młoda fantastyka dowodzą, że autorzy używają u nas galunku do pisania o tym, co ich dotyczy i czego ani oni, ani inni polscy pisarze nie mogą czy nie potrafią nazwać w inny sposób. Fantastyka pełni rolę literatury realistycznej.

L. Bugajski: Literatury „zamiast”.

A. Hollanek: Tym sposobem przestaje być galunkiem fantastycznym.

M. Parowski: Tak i nie. Twierdzą, że polska fantastyka spełnia wszystkie cztery warunki nowego zjawiska literackiego – takiego, jak je określał Janusz Sławiński („Wież” 10/82) w dyskusji o literaturze po październikowej odwilży. Otóż są to: nowa tematyka, nowa poetyka, konstatacja nowych nazwisk, i nowy model życia literackiego. Zaczniemy od końca. Mamy bez wątpienia nowy model literackiego życia fantasty-

calnym. W roku 1982 opublikował pierwszą powieść SF „Twarzą ku ziemi”. Wcześniej, w 1978 roku wydał zbiór felietonów i szkiców o kulturze masowej „Bez dubbingu”.

red. LESZEK BUGAJSKI – krytyk literacki, kierownik działu krytyki „Życia Literackiego”, członek kolegium redakcyjnego „Pisma” i „Fantastyki” – w roku 1983 opublikował wybór szkiców o tematyce SF „Spotkania drugiego stopnia”. Swoje prace ogłaszał m.in. na łamach „Nurtu”, „Twórczości”, „Miesięcznika Literackiego”, „Odry”, „Literatury”.

debiutantów i dzięki temu ukazują co do nas idzie. Są świadectwem wyobrażeń o tym jak należy robić literaturę, wyznawanych przez ludzi, którzy będą znaczącymi pisarzami za 5–10 lat.

Fanowie nadchodzą!

A. Niewiadowski: Zapomnieliście o jednej sprawie: połowa lat 70-tych ujawnia wielką potrzebę wspólnoty wśród fanów. Powstają przecież kluby, cały ruch związany z działalnością wokół

co najmniej równie często proszą pisarzy (redaktorów, recenzentów) o to, by odrobnie przykucnęli, jak wyraża pretensję, że przykucnęli zbyt nisko. W końcu ci ludzie zorganizowali się, wyrwali ze stanu bierności. Już to odbiera im status masy.

R. Handke: Bardzo jestem panu wdzięczny, że mnie pan pociesza, ponieważ nie pragnę niczego innego jak być pocieszonym. Widziałem tutaj w Staszowie wielu bardzo inteligentnych fanów, ale to nie znaczy, że nie ma się czego bać. Obawiam

red. MACIEJ PAROWSKI – kierownik działu literatury polskiej miesięcznika „Fantastyka” i działu fantastyki w „Przeglądzie Technicznym” – jest dziennikarzem, krytykiem, publicystą kultu-

RED. ANDRZEJ NIEWIADOWSKI – kierownik działu krytyki literackiej miesięcznika „Fantastyka”, twórca haseł „Słownika polskich autorów fantastyki” – jest krytykiem, historykiem literatury. Od roku 1981 związany z Zakładem Literatury XX Wieku Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie prowadzi specjalistyczne konwersatorium o tematyce science fiction. Doktoryzował się na podstawie pracy „Konstrukcja układów fabularnych polskiej prozy fantastyczno-naukowej”. Swoje artykuły ogłaszał na łamach „Przeglądu Humanistycznego”, „Pisma”, „Miesięcznika Literackiego”, „Życia Literackiego”, „Nowych Książek”.



ką Pan Handke zastanawiał się nad niebezpieczeństwami jakie on może nieść. Ja rucha broniem, ale ten model istnieje i nikt w Polsce nie czyta żadnego innego typu literatury w taki sposób jak fantastyki. Mam też nową konstatację: nazwisk. Wnuk-Lipński, Zwikiewicz, Baraniecki, Oramus, mamy gwiazdów naszego konkursu...

A. Smuszkiewicz: Jest też rzeczywistość nowa poetyka w stosunku do lat 60-tych. Tworzy się nowa poetyka, ponieważ tamta nie miała nowej tematyki.

M. Perowski: Tak jest, a tą nową tematyką jest pakowanie do skonwencjonalizowanego galunku tego wszystkiego, co młodym leży na sercu. Seta dyslopi zaczęła przez Zajdla i Wnuka portretowała swiały kryzys wartości. Czy robiła to tzw. współczesna literatura? Nie! Przecząłoby uważnie, nie wiem dobrą czy złą, ale bardzo pod tym względem reprezentatywną antologię KAW-u „Spotkania w przestworzach – 79” (1982). Słychać tam w niektórych tekstach jak młodej generacji. Pewnie nie ociosany formalnie, ale autentyczny.

A. Smuszkiewicz: Rzeczywiście fantastyka ostatnich lat należałoby określić jednym słowem, trochę wyswiechtanym. – była to po prostu literatura zaangażowana. Czy w tej sytuacji można mówić, że była to literatura „zamiat”?

L. Bugajski: Chyba można. W tym sensie, że sytuację rodząca emocje, w wyniku których literatura ta zrodziła się gęsta, mocna, autentyczna – pozostała jednak nie opisana.

R. Handke: Ale iachunek się zgadza, fantastyka ostatnich lat spełnia u nas warunki zjawiska literackiego. A jeśli chodzi o ten kryzys wartości, powiedzmy sobie szczerze, jest to pewien handicap. Literatura stojąca wobec takich zadań i rzeczywiście je podejmująca (bo nikt inny podjąć ich nie jest w stanie) stwarza bardzo pozytywne ciśnienie na galunek. To znaczy na SF walą się tak duże zadania, że żeby im sprostać, trzeba dużej literatury. Powstaje sytuacja zupełnie inna niż przedtem kiedy za fantastykę biali się różne krótkie prozy, żeby bawić społeczeństwo konsumpcyjnymi rakietaми i technicznymi zabawkami. Teraz – skończyło się. Fantastyka musi sobie uświadomić, że słońce przed nią zadania ma mieć wielkiej literatury, wielkich problemów i wielkiej zdolności artystycznej. Jak to się mówi – zawsze wtedy z górnym wyrostkiem rycerze, kiedy na rubież wojny. Bo jak pokój, to wyrosną dworanie. Ponieważ ci nasi górnicy będą musieli w ciężkim boju i ogniu zdobywać swoje pasy rycerskie, mam nadzieję, że będzie się można radować.

A. Niewiadowski: A nie boi się pan niebezpieczeństw ideologicznych uwarunkowań, które literatura ta będzie musiała podjąć? Czy nie okazą się jej spłyceniem? Czy młodzi niedoświadczeni jeszcze autorzy nie pójdą po lini najmniejszego oporu, nie wciągną tego wszystkiego w nasze miły narodowe?

A. Smuszkiewicz: Nikt inny tego za fantastów na razie nie zrobi?

R. Handke: Prawdziwe niebezpieczeństwo dla literatury powstaje wtedy, gdy jest ona zapraszana przez dysponenta i obciążana według jego gustu. Ale kiedy człowiek pisze o tym, co czuje, to musi napisać, to nie ma problemu. To jest jeden z mitów naszej świadomości kulturowej i historycznej, że mamy wtórną literaturę, bo mamy państwa-wyjątkowość. To nieprawda. Każda literatura każdego kraju podejmuje zadania, które są ważne. Jak się jest Anglikiem, to się jest Kiplingiem, bo ma się imperium. A jak się jest Polakiem, to w tym czasie trzeba się zajmować Powstaniem Sycylii.

M. Perowski: Polski dramalomaniczny narodził się w „instrumentalnej” służbie państwu.

R. Handke: Jak człowiek musi coś zrobić, to z reguły robi to na miarę swoich możliwości. To znaczy zawsze trochę lepiej niż sądził, że polali. Jeśli człowiek nie musi, to w ogóle nic nie robi albo udaje, że robi – tacy jesteśmy.

M. Perowski: I to ostatnie okazało się przygodą ogromnej części naszej literatury współczesnej. A czas jakiś także fantastyki.

A. Holanek: Wiódł do górników, z których wystąpiła rycerze. To była lepsza puenta. Dziękuję panom za udział w naszej dyskusji.

Potwory, będące dziwnym skrzyżowaniem różnych istot, żyły niegdyś w starożytnych legendach. Na przykład w krainie Likli (albo Lelji) na południu Azji Mniejszej młoda zamieszkiwała Chimera. Był to stwór o trzech głowach: lwa, kozy i smoka (Chimera przedstawiano też jako stworza o głowie lwa, tułowiu kozy i ogonie z węża). Pustoszył on spokojną Likie ogniem, zięjącym z paszczy i nikomu nie udawało się go pokonać. Dokonał tego dopiero Bellerofon, wnuk Syzyfa, który przeleciał nad Chimera na skrzydlatym koniu – Pegazie i wepchnął potworowi w paszczę oszczep z ostrzem z ołowiu. Ognisty dech smoka roztopił ołów, struga metalu spłynęła do jego wnętrza – taki był koniec Chimery (kto ciekaw szczegółów, niech poczyta grecką mitologię).

Z tamtej strony lustra

Maciej Ilowiecki

Stwór z legendy

Dzisiaj Chimera można zobaczyć tylko w muzeum w Neapolu, stoi tam jej spiżowy posąg, stworzony przed tysiącami laty przez etruskiego rzeźbiarza. Zaś nazwa potwora weszła na stałe do zasobu pojęć biologii – chimera nazywa się bowiem organizm, powstały ze zrosnięcia lkanek pochodzących z dwóch różnych organizmów, na przykład po zaszczepieniu na jednej roślinie innej, pokrewnej. Taka roślina chimera nie rozmnaża się płciowo, można ją mnożyć wegetatywnie przez sadzonki, cebule albo tzw. oczkowanie i dla ogrodników nie jest to nic niezwykłego. Wśród zwierząt przypadki chimery są bardzo rzadkie, stanowią wybrzyk natury, ale zdarzają się – np. czasem rodzi się organizm, którego prawa i lewa część wykazują cechy odmiennej płci.

W przyrodzie więc prawdziwa, biologiczna chimera zwierzęca jest prawdziwą rzadkością. Ale od bardzo niedawna udaje się tworzyć żyjące chimery dzięki pewnym sztucznym zabiegom. W tym wypadku sprawa polega nie tyle na zrosnięciu lkanek, ile na zespoleniu komórek odrębnych embrionów, pochodzących od różnych rodziców – zalem mających inne zestawy genetyczne. Może przyjemnie będzie się dowiedzieć, że pierwszym, który takie chimery stworzył, był polski biolog Andrzej Tarkowski, który i dziś zresztą pracuje twórczo w zakresie embriologii eksperymentalnej (na Uniwersytecie Warszawskim). Otóż Tarkowski specjalnymi metodami potrafił połączyć dwa zarodki myszy, pobrane od dwóch różnych mysich matek. Użył w ten sposób jeden zrosnięty zarodek, który wszczepił następnie (zdecyzyj) mysiej samiczce. Myszka ta urodziła później małą myszkę, nie różniącą się specjalnie od innych zwierzaków poza jednym: noworodek mysi miał czworo autentycznych, biologicznych rodziców i jedną matkę przyrządzoną. Ponieważ jedna para rodziców była szara, druga znacznie ciemniejsza, nowonarodzona myszka miała futro w paski.

Prace Tarkowskiego są wielkim krokiem naprzód w tzw. inżynierii embrionalnej i myślę, że jeszcze usłyszymy o tym uczonym.

Inżynieria embrionalna (biologowie krzywią się na tę nazwę, ale co zrobić, już się przyjęła – na wzór inżynierii genetycznej) jest jedną z tych niezwykłych dróg nauki, które prowadzą w krainę cudów. Cudów zresztą dwuznacznych – w tym sensie, iż tego rodzaju manipulacje mogą być kiedyś wykorzystane w celach, które dziś nas przerażają. „Czy chcemy wziąć na siebie odpowiedzialność za życie na naszej planecie, tworzyć dla własnych celów nowe, żywe organizmy? Czy rzeczywiście chcemy wziąć w swoje ręce naszą własną ewolucję?” – zabłytywał niedawno znany biolog amerykański Robert Sinheimer. W końcu bowiem „wyprodukowanie” embrionu ludzkiego z dwóch różnych ludzkich zarodków jest tylko kwestią ulepszenia technik. Nikt dotąd nie odważył się takiego doświadczenia przeprowadzić (choć kto wie?) i nie wiemy, jakie byłoby dziecko, pochodzące od czworga rodziców.

Zwracam uwagę, że byłoby to doświadczenie zupełnie inne, niż powszechne już „zastępcze ciążę”. Dzieci zrodzone przez „zastępcze matki” (żyje takich dzieci na świecie sporo) spędziły jako embriony okres rozwoju płodowego w kobiecie, która nie była ich biologiczną matką, ale oczywiście mają tylko jedną parę genetycznych – więc prawdziwych – rodziców. Dziecko, powstałe przez zespolenie dwóch obcych embrionów, zatem ludzka chimera, miałoby dwie pary prawdziwych, genetycznych rodziców. Naturalnie, można powiedzieć, że coś takiego jest możliwe tylko teoretycznie, ale dobrze wiemy, jak szybko w biologii możliwości stają się rzeczywistością. Nie ma właściwie prawa, które zabraniałoby podobnych eksperymentów z ludzkimi embrionami. Nie tylko zresztą nie istnieje w tej mierze odpowiednie normy prawne, ale ludzie wcale nie są zgodni co do tego, jakie owe normy być powinny. Na jednej szali mamy tzw. dobro nauki, potrzeby medycyny i w ogóle prawa postępu (?) – na drugiej szali – integralność osoby ludzkiej i jak dotąd oficjalnie tylko Kościół Katolicki wypowiedział się przeciw eksperymentom z ludzkimi zarodkami, które uważa (od chwili zapłodnienia) za nienaruszalne istoty ludzkie.

Wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi stawianie granic nauce w imię dobra człowieka, mamy do czynienia z najtrudniejszymi sprawami na świecie. Zwolennicy bowiem bezgranicznej „wolności eksperymentu” odpowiedzą, iż wszystkie granice stawiane nauce przynosiły zawsze szkody własne ludziom, a w imię „nienaruszalności integralności osoby ludzkiej” protestowano kiedyś na przykład przeciw chionącym od śmierci szczepionkom. Z drugiej strony nie ma co ukrywać – nawet ludzie nie uznający etyki chrześcijańskiej czują doskonale, iż eksperymenty na zarodkach człowieka nie mogą przekraczać pewnych granic, że chodzi tu o sprawy, których jeszcze w pełni nie pojmujemy, ale które różnią się istotnie od wszelkich innych doświadczeń z jakimikolwiek organizmami na Ziemi.

Zostawiam na boku sprawy, o których w felietonie można tylko wspomnieć. Wiódł do inżynierii embrionalnej. Przypomnę, że już w latach sześćdziesiątych słynne były doświadczenia embriologa Haleza z USA. Pobierał on mianowicie zarodki rasowych krów, wszczepiał je następnie do macicy samicy królika, gdzie przebywały sobie spokojnie przez dwa tygodnie, następnie wszystkie je „wymował” z królika i wszczepiał z kolei – już pojedynczo – wielu kiowom nierasowym. W odpowiednim czasie zwykłe łamarskie krasule rodziły cielęta najbardziej rasowe pod każdym względem. No dobrze, spyta ktoś – rozumie, że jedna krowa, nawet najlepszej rasy, może w ciągu życia urodzić najwyżej dwanaście cieląt, a dzięki metodzie „zastępczych matek” można na przykład sio rasowych zarodków wszczepić stu innym kiowom, ale po co w tym procesie króliki? Otóż króliki spełniały tu wyłącznie

iole przechowalni, ponieważ rasowe zarodki trzeba było przewieźć z USA do Australii, a na pewno nie wytrzymałyby podróży „w próbce” – przewieziono po prostu jednego królika z embrionami króliki w macicy. W ten sposób mały królik przewiódł w swym wnętrzu całe stado rasowego bydła... Zaś farmerzy australijscy mogli ożyznić ze swoich nierasowych krów najbardziej rasowe cielaki.

Metody – jak się to zwie – transferu embrionów zwierzęcych są już dziś bardzo rozpowszechnione. Uczni potrafią nawet zmusić organizm jednego gatunku, by sposobem „ciężkiej zastępczej” wydał na świat potomka innego gatunku. Na razie dotyczy to gatunków pokrewnych, ale...

Na przykład osłainio, bodaj w 1983 r. udało się w Instytucie Hodowli Zwierząt w Monachium wszczepić spokojnej łaciej krowie domowej zarodek bantenga, z rodziny krętorogich. Bantengi tylko z wyglądu przypominają bydło domowe, żyją zaś na wolności, w gęstych lasach górskich w Indochinach, na Borneo, Jawie i na Wyspie Bali (jedynie łam zostały udomowione). Nie dają się

we jest istnienie czegoś takiego, co – na przykład – byłoby zrodzone przez parę owiec i zarazem, jednocześnie, przez parę kóz? Co więc byłoby zarazem i kozą i owcą, kozoowcą po prostu?

Taki pomysł przeczy dzisiejszej biologicznej wiedzy. Każdy uczeń szkoły średniej wie, iż nie może istnieć zwierzę, złożone z elementów różnych gatunków, bowiem gatunki nie mogą się krzyżować. Biologia uznaje zresztą tę regułę za tak ważną, iż na jej podstawie można właśnie odróżnić gatunki od podgatunków i ras. Jeśli bowiem nawet bardzo podobne zwierzęta nie mogą się skrzyżować, to stanowią dwa odrębne gatunki – jeśli zaś się krzyżują i wydają na świat potomstwo – są tylko odmianami, rasami jednego gatunku. Oczywiście, istnieją wyjątki, ale mają one tylko potwierdzać regułę. Na przykład wspomniana krzyżówka bantenga z zebem, czy zdarzające się czasem krzyżówki wilka z psem. Wszyscy też na pewno słyszeli o mulach – produkcie skrzyżowania kłaczki z osłem (dziecko oślicy z ogierem zwie się osłomulem). Muły, jak wiadomo, są bezpłod-

ne, „zespolenie” oznacza tutaj bardzo trudną, skomplikowaną technikę embriologiczną. Ów „dwosłowy” embrion został następnie wszczepiony zastępczej matce. Tak spieparowanych zarodków było zresztą kilka, wszczepiono je zarówno kowie, jak i owcy, by zobaczyć, co z tego wyjdzie. „Wyszło z tego” sześć małych kozojagniały (albo owcokoziały?). Są podobne do obu par rodziców, jedno z nich ma nawet białką krwi, charakterystyczną jednocześnie dla obu gatunków, co jest już niezwykłością zupełną.

Tak więc na Ziemi pojawiło się nowe zwierzę (zapewne zresztą niepotodne, ale jeszcze nie wiadomo), stworzone przez człowieka. Ludzie stworzyli wiele ras zwierząt domowych – niektóre są tak różne, że ktoś, kto nie zna ich pochodzenia nie wiedziałby, iż należą do jednego gatunku. Przypomnijmy sobie choćby jamnika i daga. Ale nikomu dotąd nie udało się stworzyć chimery, która miałaby cechy dwóch różnych gatunków! Smutny paradoks polega może na tym, iż człowiek zniszczył bezpowrotnie o wiele, niestychanie więcej gatunków, niż ich stworzył.



krzyżować z bydlęciem domowym, natomiast udają się krzyżówkami zwierząt z gatunkiem zwanym zebem. I oto krowa w Monachium urodziła małego bantenga! Uczni przypuszczają, iż być może w ten sposób uda się zachować przy życiu niektóre znikające z Ziemi gatunki. Sprawa nie jest jednak prosta, poza różnymi czynnikami wchodzi w grę również i taki, jak po prostu wielkość zwierząt. Jakże bowiem zwierzę mogłoby urodzić na przykład małego słonia lub hipopotama czy nosorożca, nawet jeśli embriony tych ginących zwierząt „przyjęłyby się” w macicy jakiejś zastępczej matki?

Monachijski banteng nie jest – dodam dla porządku – biologiczną chimerą. Jest tylko noworodkiem, zrodzonym przez samice nie tylko nie będącą jego matką, ale nawet samice innego gatunku. Dla tak urodzonych istot nie ma jeszcze odrębnego określenia.

Co zaś do chimery, to czy możliwe jest istnienie stworu, który miałby nie tylko dwie pary biologicznych rodziców, jak myszki profesora Tarkowskiego, ale miałby dwie pary rodziców, wywodzących się z różnych gatunków zwierząt? Czy możli-

ne, choć mają wiele zalet jako zwierzęta domowe.

Węć skrzyżowanie owcy z kozą jest wykonalne? Ołóż właśnie, i zec tak nie udało się nigdy hodowcom, mimo różnych prób, nie zdarzyło się też nigdy samorzutnie w przyrodzie. Skrzyżowanie płciowej kozy z owcą jest po prostu niemożliwe. Ale dzięki metodom inżynierii embriologicznej stworzenie kozoowcy jest jednak możliwe!

W lipcu 1984 r. w najślawniejszym bodaj na świecie, brytyjskim naukowym czasopiśmie przyrodniczym „Nature” ukazało się zdjęcie, które natychmiast reprodukowali gazety niemal wszystkich krajów (u nas np. „Kurier Polski”). Na zdjęciu widzimy słonia, będący ni to kozą, ni to owcą. Ma pyszczek kozy obdarty łogami barana, obłożony jest długim, kręconym owczym futrem, gdzieś niedaleko tylko widnieją dziwaczne łaty krótkiej koziej sierści.

Kozoowca ze zdjęcia ma dwa lata. Urodziła się w 1982 r. w laboratoriach Instytutu Fizjologii Zwierząt Uniwersytetu Cambridge w Anglii. Powstała z zespolenia mikroskopijnego zarodka kozy, z równie mikroskopijnym zarodkiem owcy (oczywiście,

Nie wiadomo jeszcze, jakie korzyści gospodarcze przyniesie kozoowca. Na razie jest żywym przykładem możliwości nauki, jest stworzeniem z legend, antyczną Chimerą, tyle że bardzo łagodną i nieszkodliwą.

Embriologowie szkoccy z Edynburga zapowiedzieli, że pracują nad stworzeniem czegoś, co miałoby cechy świni i owcy, byłoby dla hodowców zwierzęciem bezcennym, mało wymagającym i dającym mięso, wełnę i mleko zarazem. Świnie z owczym runem trudno sobie wyobrazić. Zresztą w ogóle trudno sobie wyobrazić, by stwor taki mógł powstać, świnia i owca należą przecież nie tylko do odrębnych gatunków, ale do różnych rodzin (choć do jednego rzędu parzystopalcowatych).

Gdyby ktoś parę lat temu zapowiedział, że urodzi się kozoowca, biologowie wysmiałby go. Tymczasem kozoowca żyje i ma się dobrze. Więc może kiedyś pojawią się koniopsy albo kotoszczury i nikt się już nawet nie będzie dziwił, jeśli napawdę spotka Minotaura, człowieka z głową byka?

1959 (dokończenie)

Horror (W):

320. DUMAS [Alexandre]: ojciec: *Biesiada widm*. Tłum. [z franc.] Tadeusz Jakubowicz. [Łódź] Wyd. Łódzkie. 16° ss. 200, nrb. 3. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Aleksander.
 321. HAWTHORNE Nathaniel: *Dom o siedmiu szczytach*. Tłum. [z ang.] Bronisława Bałujowa. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 314, nrb. 2. 15 000 egz.
 322. JAMES Henry: *W kleszczach lęku*. Tłum. z ang. Witold Pośpieszała. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 194, nrb. 2. 15 000 egz.
 LEKSYCYCKI Adam: *Szkarłatna iglica*. W: *TAJEMNICA...* – zob. ASF
 323. *OPOWIEŚCI z dreszczykiem*. Aut.: Aleksandr Puškin [in.]. Red. Wojciech Żukrowski i Tadeusz Adrian Małanowski. Warszawa. Iskry. 8° ss. 461, nrb. 3. 20 000 egz. – Dodruk do poz. 232/57.

Krytyka, biografia, film (R):

- *324. HUTNIKIEWICZ Artur: *Twórczość literacka Stanisława Grabińskiego. 1887–1936*. Toruń. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 481 nrb. 2. portr. 700 egz.
 325. MAUROIS André. *Magicy i logicy. Szkice o pisarzach angielskich*. Tłum. z franc. Eligia Bakowska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 326, nrb. 1. 10 000 egz. – Min. o H.G. Wellsie, G.K. Chestertonie, A. Huxleyu.
 THOR J.: *Podróże...* – zob. F.

Futurologia (F):

- *326. BOROWIECKI Stanisław, DOMAGALIK Janusz: *Astroekspedycja*. Warszawa. Wyd. Harcerskie. 16° ss. 170, nrb. 4. 12 500 egz.
 327. THOR Janusz: *Podróże poza Ziemię. Opowieści z dawnych czasów. Osiągnięcia dnia dzisiejszego. Plany na przyszłość*. Warszawa. Państwowe Wydawnictwo Techniczne. 8° ss. 151. 5 000 egz. – F/R.

1960

SF dla dorosłych (ASF):

328. ASIMOV Isaac: *Pozytonowy detektyw*. Tłum. [z ang.] Julian Stawiński. Warszawa. Iskry. 16° ss. 346, nrb. 2. 30 000 egz. – Klub Srebrnego Kluczyka.
 329. [BÉLAËV Aleksandr]: *Wyspa zaginionych okrętów. [oraz Koniec świata.]* Tłum. [z ros.] Adam Galis. Warszawa. Iskry. 16° ss. 248, nrb. 2. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Białejew.
 330. BORUŃ Krzysztof: *Antyświat i inne opowiadania fantastyczno-naukowe*. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 209, nrb. 1. 10 000 egz.
 331. BRADBURY Ray: *451° Fahrenheit*. [Tłum. z ang. Adam Kaska.] Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 180, nrb. 4. 20 000 egz.
 332. ČAPEK [Karel]: *Krakati*. Tłum. [z czesk.] Emilia Witwicka. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 360, nrb. 3. 10 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Karol.
 CHRUSZCZEWSKI C.: *Bardzo...* – zob. AF.
 333. GAMOW George: *Mister Tompkins w krainie czarów [oraz Mister Tompkins poznaje atom.]* Tłum. z ang. Barbara Wójciszewska-Natanson, Ludwik Natanson i Maria Nowakowska-Hurwic. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 248, nrb. 7. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów. – Książka popularno-naukowa z elementami fantastyki.
 334. HOLLANEK Adam: *Zbrodnia Wielkiego Człowieka*. Opowieść kryminalno-fantastyczna. Katowice. Wyd. Śląsk. 16° ss. 91, nrb. 1. 77 000 egz. – *Złota Podkowa*. – Wyd. skrócone, pełne w czasopiśmie: „Panorama” (ok. 1958) i pl. „Zbrodnia w Niebieskim Mieście” – „Dziennik Toruński” (1975).
 PALMAN V.: *Więźniowie...* – zob. CJSF.
 SPRAWA... – zob. AF.
 335. [VOLKOV Konstantin]: *Wenus, gwiazda zaranna*. Tłum. [z ros.] Tadeusz Twarogowski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 465, nrb. 3. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód. – Na k. tyt. aut.: K. Wolkow. – ASF/CJSF.
 336. ZEGALSKI Witold: *Krater czarnego snu*. Powieść fantastyczna. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 229, nrb. 3. 10 000 egz. – Przygoda – Awantura – Sensacja.
 337. ŻULAWSKI Jerzy: *Stara Ziemia*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 335, nrb. 4. 5 000 egz.
 338. ŻULAWSKI Jerzy: *Zwycięzca*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 391, nrb. 4. 5 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

339. BROSKIEWICZ Jerzy: *Wielka, wiejsza i największa*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 324, nrb. 4. 10 000 egz. – CJSF/F.
 340. BRZECHWA Jan: *Pan Soczewka na dnie oceanu*. [wierszem]. Warszawa. Wyd. Artystyczne i Filmowe. 8° knib. 16. 50 000 egz.
 *341. BRZECHWA Jan: *Wyprawa na Anadnie*. [wierszem]. Gdynia. Wyd. Morskie. 4° knib. 20. 45 000 egz. – zob. Utopia.
 NÉKRASOV A.: *Przygody...* – zob. Utopia.
 342. [PALMAN Václav]: *Więźniowie krateru*. Tłum. [z ros.] Maria Okotów-Podhorska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 256, nrb. 6. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: W. Palman – CJSF/ASF.
 343. VERNE [Jules]: *Napowietrzna woska*. Tłum. [z franc.] Olga Nowakowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 253, nrb. 3. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
 344. VERNE [Jules]: *Pręd tygodni w balonie*. Tłum. z franc. Marta Zajączkowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 343, nrb. 1. 10 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz – Książka realistyczna z elementami fantastyki.
 VOLKOV K.: *Wenus...* – zob. ASF.

Utopia (U):

- *345. ANDRES Stefan: *O świętym księżulku Domenico*. Tłum. [z niem.] Zygmunta Lichniak. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 111, nrb. 5.
 346. (?) BORCHERT Wolfgang: *Pod drzwiami*. Tłum. [z niem.] Edwin Herbert i Egon Nagowski. Wstęp Andrzej Winth. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 468, nrb. 4. 3 000 egz. – Nike. – Elementy fantastyki.
 347. (?) CHESTERTON Gilbert Keith: *Poeci i wariaci*. Tłum. [z ang.] Zofia Ernstowa. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 222, nrb. 2. tabl. 8. 10 000 egz. – Elementy fantastyki.

Nowa kluby

Ostatnio powiększyła się rodzina zorganizowanych miłośników fantastyki. Powstał Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki w Olsztynie oraz klub PSMF w Ostrołęce. A oto adresy:

● Oddział Warmiński PSMF „Stalker”, OL-SZTYN, ul. Pana Tadeusza 6.

● Wojewódzki Ośrodek Kultury, 07-401 OSTROŁĘKA 3, ul. I Armii Wojska Polskiego 22. DIPS p. 15.

Pięćciolacja

Już pięć lat istnieje i działa we Wrocławiu Klub Miłośników Fantastyki. Z okazji tej rocznicy tamtejsi działacze zorganizowali w dniach 7–9 XII 1984 r. imprezę, w programie której przewidziano filmy oraz uroczysty bankiet. Ta druga część imprezy wypadła o wiele bardziej okazale od pierwszej, która robiła wrażenie dość mialkiej merytorycznie i słabo przygotowanej.

Vldao

Kolejny przegląd filmów video odbył się w Łagowie (okolice Zielonej Góry) w dniach 14–16 XII 1984 r.

Jego organizator – Zielonogórski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, nie chcąc powtarzać po raz kolejny „Białe Runnery” czy „Powrotu Jedi” zdecydował się na zaprezentowanie filmów o mniejszych ambicjach artystycznych, czasem obrazów wręcz nieudanych, ale takich, które warto na pewno obejrzeć, choćby dla wyrobienia sobie zdania o tendencjach i poziomie mniej znanych przedstawicieli filmu światowego. Można było więc w Łagowie obejrzeć takie filmy jak „Wojna gwiazd” (japońska parodia „Gwiezdnych wojen”), „Flash Gordon” czy „Galactica”. Całość imprezy, przede wszystkim dzięki staraniom Macieja Późniackiego – prezesa oddziału w Zielonej Górze, przebiegała bardzo sprawnie. Jedynym błędem był brak szczegółowego programu, który układano dopiero w czasie przeglądu, co powodowało nieporęczny bałagan i szereg nieporozumień.

Bal na Orbicie

Ostatnią imprezą w roku 1984 był kostiumowy Bal Sylwestrowy zorganizowany przez poznański oddział PSMF „Orbita”.

Ładnie zaprojektowane zaproszenia zapowiadające atrakcyjny program, kostiumy w konwencji fantastycznej, aura pewnej sensacji towarzyszącej przygotowaniom, znana solidność organizacyjna tamtejszego klubu – pozwalały spodziewać się imprezy jakiej jeszcze nie było. I rzeczywiście! Bal przypominał smętne wesele z udziałem obcych sobie osób, gdzie jedyną rozrywką są stół i trunki. Organizatorzy nawet nie spróbowali zrealizować programu. Nie odbyły się więc wybory królewskiej pary, konkurs na najlepszy kostium, taniec przyszłości itd. Dyskoteka prowadzona przez (według zapewnień organizatorów) najlepszego prezentera, przypominała bardziej polaćcówkę. Prowadzący puszczał po prostu muzykę i zniknął w sobie tylko wiadomych celach.

Nikt nie przedstawił sobie uczestników balu, nie próbował ich zintegrować, nie czuwał nad przebiegiem całości imprezy (nawet nadejście Nowego Roku każdy musiał obserwować na swoim zegarku). Wydaje się więc, że zabrakło tu organizatorów z prawdziwego zdarzenia, którzy potrafiliby zadbać o realizację wymyślonego przez siebie programu.

Myślę, że z nieudanego „Bal na Orbicie” koledzy z Poznania wyciągną odpowiednie wnioski. Jest to szczególnie ważne, gdyż w tym roku mają być oni organizatorami najważniejszej tano-wskiej imprezy – „POLCONU 85”

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

(MAK)

INDIANA JONES

I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY

THE HERO IS BACK – tak zapowiadano wędzie na ekrany kin w USA nowych przygód archeologa-awanturnika w filmie Stevena Spielberga „Indiana Jones i Świątynia Zagłady” (pierwszy film z tym bohaterem – „Poszukiwacze zaginionej arkii” – był wyświetlany niedawno na naszych ekranach).

Indiana Jones, przez przyjaciół zwany Indy, ma oczywiście u swego boku piękną kobietę, jest nią Willie Scott – piosenkarka z nocnego klubu w Szanghaju. Tym razem towarzyszy mu również lojalny i bardzo oddany mały pomocnik – Short Round. Ten dwunastoletni chłopiec, odkryty przez Spielberga podczas Międzynarodowych Poszukiwań Talentów w Los Angeles, swą wspaniałą grą raz jeszcze potwierdził umiejętności reżysera w kierowaniu dziećmi.

Trójka bohaterów ucieka z Szanghaju i unikając śmierci w rozbitym samolocie trafia do Indii, gdzie w biednej wiosce Indy ślubuje odnależć należący do jej mieszkańców święty kamień. Takie jest początek filmu.

Niewątpliwie bardzo ważną dla atrakcyjności filmu jest postać i

niestety odpowiednio efektowne. Realizatorzy doszli do wniosku, że samoloty rozbijające się w filmach zawsze wybuchają, nakręcili więc scenę wybuchu i tak można ją oglądać w kinie. Szkoda tylko, że zniszczył się przy tym samolot. Był to, co prawda, tylko jednometrowy model, ale wyglądał jak prawdziwy, zwłaszcza na tle cudownie ośnieżonych gór, które niestety były także makietą z blachy aluminiowej.

Innym przykładem odejścia od izeczywistości jest ujęcie z murem chińskim, obok którego rozciągają się pola ryżowe. Naprawdę najbliższe pola są położone o kilkaset kilometrów od muru. Spielbergowi chodziło jednak o to, by widz nie miał wątpliwości, gdzie rozgrywa się akcja.

Ogromne wrażenie robią sceny w Świątyni Zagłady, gdzie przestrzeń między kaptanem a wiełnymi przecina szczelina w ziemi z kłębiącą się w niej tawą. Otrzymanie takiego efektu nie było wcale proste i kosztowało ekipę od efektów specjalnych wiele prób, zanim osiągnięto stan satysfakcjonujący Spielberga. Lawa to woda zmieszana z gliceryną w wielkim pojemniku z pleksiglasu w kształcie muszli klozetowej. Ogromny układ dysz i pomp wprowadzał tę mieszaninę w ruch okieżny. Środek wiru powstającego w chwili gwałtownego zatrzymania tego układu był oświetlany najjaśniejszym. Postacie spuszczone w głąb dołu jako oliary straszliwej bogini to oczywiście talki sterowane za pomocą radia. Były one zresztą w czasie realizacji filmu używane parokrotnie. W scenach w stałej kopalni zastosowano je wszędzie tam, gdzie dekoracja przekroczyłaby dziesięć metrów długości. Najpierw kłębiono te sceny w technice video, co spowodowało między innymi konieczność bardzo starannego składania segmentów makiety, ponieważ szalenie trudno było ukryć aparaturę filmującą.

Bardzo widowiskowe są obrazy przedstawiające zalewanie kopalni wodą i tu zastosowano makietę tunelu długości 10 m z kamerą na jednym końcu, a rurą doprowadzającą wodę ze zbiornika położonego dużo wyżej – na długim. Wpadająca ruchem spiralnym woda oświetlano naturalne światło przez okienka rozmieszczone co metry wzdłuż sufitu tunelu, co dało delikatną, błękitną poświatę. Żeby woda miała wygląd odpowiadający skali dekoracji wykorzystano dmuchawy powietrza, dzielące ją na bardzo małe kropelki. Dla wzmocnienia efektu, sceny te kłębiono w tempie przyspieszonym, około 80 klatek/s, gdy woda zbliżała się do kamery, i około 120 klatek/s, gdy postacie uciekały przed nią.

Są to oczywiście tylko niektóre przykłady zastosowania technik trikowych w czasie pracy nad „Indiana Jonesem i Świątynią Zagłady”. Mam nadzieję, że ich ujawnienie nie zepsuje Państwu przyjemności obejrzenia filmu (gdy pojawi się on w Polsce), a raczej pozwoli docenić wielką pracę włożoną w jego przygotowanie.

Opracowała
Dorota Malinowska

INDIANA JONES I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY (Indiana Jones and the Temple of Doom) Reżyseria: Steven Spielberg. Zdjęcia: Douglas Slocombe. Obsada: Harrison Ford, Kate Capshaw, De Huey Quan i inni. Produkcja: A Lucasfilm Ltd. (USA).



osobowość Indriany Jonesa. Indy zyskuje sobie sympatię nie tylko dlatego, że zawsze wygrywa, ale również dzięki temu, że ma i pokazuje swoje słabe punkty. Na przykład bardzo boi się węży. Nie jest niepokonany, jego przeciwnicy bywają równie silni lub nawet silniejsi od niego (przypomnijmy sobie scenę walki na lotnisku w „Poszukiwaczach zaginionej arkii”). Ostatecznie jest górą, ale osiąga to dzięki połączeniu odwagi, determinacji, siły, inteligencji i szczęścia.

Głównym wadom filmu jest brawurowo poprowadzona akcja. Celem było zaszokowanie i oszołomienie widza. Realizatorzy starali się konsekwentnie stosować zasadę potęgowania w każdej scenie wrażenia niebezpieczeństwa. Nie zawsze jednak trzymali się reatów. Bardzo dobrze ilustruje to scena rozbicia się samolotu. Z wcześniejszego epizodu wynika, że wypuszczono z tego baku całą benzynę, w czasie wypadku powinien więc po prostu rozbić się o skały. Po nakręceniu tych scen okazało się, że nie są one

